HEIDI BLAKE

KRWAWE POZDROWIENIA Z ROSJI

Jak Władimir Putin eliminuje swoich przeciwników

wydawnictwo ab

Heidi Blake

KRWAWE POZDROWIENIA Z ROSJI

Jak Władimir Putin eliminuje swoich przeciwników?

Przełożyła Hanna Pustuła-Lewicka



Tytuł oryginału: *From Russia with Blood*

Published by agreement with Aevitas Creative Management, USA & Book/lab Literary Agency, Poland.

Wydanie I Warszawa MMXXI

Spis treści

Książkę dedykuję Markowi Schoofsowi, który jest moim światłem przewodnim; moim kolegom Tomowi Warrenowi, Richardowi Holmesowi, Jane Bradley i Jasonowi Leopoldowi, bez których przeprowadzenie tego śledztwa byłoby niemożliwe; a także odważnym współpracownikom niezależnych rosyjskich mediów, którzy codziennie ryzykują życie, ujawniając prawdę.

Słowo wstępne

Dziennikarskie śledztwo BuzzFeed News

Wgrudniu 2014 roku poleciałam do Nowego Jorku na spotkanie z Markiem Schoofsem, legendarnym dziennikarzem, który kierował wówczas działem śledczym BuzzFeed News. Mieliśmy rozmawiać o zorganizowaniu nowego zespołu w brytyjskiej sekcji tego serwisu informacyjnego. Wiozłam ze sobą wycinek z gazety z pierwszymi wskazówkami mogącymi doprowadzić do wyjaśnienia tajemnicy, której zbadania miałaby się podjąć ta grupa. Była to notatka prasowa o śmierci pewnego multimilionera, poważnego gracza na rynku nieruchomości, który kilka dni wcześniej wypadł z okna mieszkania na czwartym piętrze londyńskiej kamienicy. Dopisałam jego nazwisko do stale wydłużającej się listy osób – obejmującej między innymi skłóconego z Kremlem rosyjskiego oligarchę Borisa Bieriezowskiego – które zmarły w niejasnych okolicznościach. Zarówno mnie, jak i Marka zafrapowała ta seria zagadkowych zgonów w sercu Londynu.

Wkrótce po dołączeniu do BuzzFeed News, kiedy właśnie zaczynałam dobierać sobie współpracowników, niespodziewanie zostałam zaproszona na tajemnicze spotkanie w prywatnym apartamencie w eleganckiej dzielnicy Londynu. Dopiero na miejscu zorientowałam się, że osobą, która chciała się ze mną zobaczyć, jest była żona nieżyjącego milionera ze wspomnianej notatki prasowej. Uważała, że padł ofiarą morderstwa, i tak się złożyło, że postanowiła powierzyć zbadanie tej sprawy tworzonemu przeze mnie zespołowi. Szczęśliwym trafem okazało się, że posiada ona duży zbiór materiałów szczegółowo dokumentujących działalność byłego męża i jego partnerów biznesowych w latach poprzedzających ich przedwczesną śmierć.

Wkrótce dołączyła do mnie grupa fantastycznych kolegów i wspólnie wyruszyliśmy na poszukiwanie prawdy. Tom Warren, Jane Bradley i Richard Holmes wspierali mnie w Londynie, a Jason

Leopold i Alex Campbell podjęli trop po drugiej stronie Atlantyku. W ciągu dwóch lat pracy pod inspirującym przewodnictwem Marka nasz zespół powiązał śmiertelny upadek z okna potentata nieruchomości z czternastoma innymi zgonami, trzynastoma w Wielkiej Brytanii i jednym w Stanach Zjednoczonych. We wszystkich przypadkach ślady prowadziły do Rosji. O dziwo, żaden z nich nie wzbudził podejrzeń brytyjskiej policji. Dotarliśmy do kilkuset pudeł dokumentów, setek godzin nagrań z monitoringu i podsłuchów, ogromnego zasobu cyfrowych plików odzyskanych przez techników kryminalistycznych z telefonów komórkowych i komputerów oraz całych worków odrzuconych przez policję materiałów dowodowych, które zadawały kłam oficjalnej wersji zdarzeń.

Te nowo odkryte materiały wraz z tysiącami stron upublicznionych dokumentów wprowadziliśmy do zaprojektowanej specjalnie na nasze potrzeby bazy danych i przeprowadziliśmy zaawansowane przeszukiwania. Dzięki temu udało nam się poskładać z kawałków skomplikowaną historię ogromnych pieniędzy, zdrad i morderstw, która rozgrywała się na terenie wielu krajów. Następnie odszukaliśmy ponad dwieście osób w jakiś sposób związanych z piętnastoma nieżyjącymi mężczyznami i wysłuchaliśmy ich opowieści. Rozmawialiśmy z ponad czterdziestoma obecnymi i byłymi pracownikami wywiadu i organów ochrony bezpieczeństwa publicznego po obu stronach Atlantyku. Uzyskaliśmy dostęp do wielu tajnych dokumentów amerykańskiego wywiadu, w tym do tajnego raportu o Putinowskiej kampanii likwidowania przeciwników w krajach Zachodu, przesłanego Kongresowi USA przez wysokiego rangą oficera amerykańskiego wywiadu.

Każdy z członków naszego zespołu w istotny sposób przyczynił się do powodzenia tego projektu. Richard własnoręcznie zeskanował tysiące stron dokumentów, żeby można je było zdygitalizować i wprowadzić do bazy danych. Dotarł też do kluczowych źródeł w agencjach ochrony porządku publicznego. Tom stworzył gigantyczną bazę danych i dzięki swoim kryminalistycznym umiejętnościom przebił się przez skomplikowany labirynt finansowych manewrów, które stanowiły *clou* całej sprawy. Jane

wykazała niezrównany talent do odnajdywania ludzi i przekonywania ich, by mimo wielkich oporów zgodzili się mówić. Alex zdarł buty podczas poszukiwań w Ameryce. Jason (rockandrollowy reporter znikający na chwilę w przerwach między poufnymi rozmowami z agentami wywiadu, by wrócić z nową dziarą), nakłoniwszy liczne źródła w amerykańskim wywiadzie do ujawnienia informacji wskazujących, że w przypadku każdego ze zgonów w Wielkiej Brytanii ślady prowadzą do Moskwy, sprawił, że runął zbudowany przez oficjalne czynniki domek z kart.

Momentami nasza praca stawała się niebezpieczna. Przez kilka miesięcy pod domem jednego z reporterów co noc stał czarny samochód, w którym siedział jakiś facet. Inny kolega, wróciwszy do mieszkania, zorientował się, że ktoś poprzekładał rzeczy w sypialni. Jedno z nas było śledzone. Dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa stosowaliśmy urządzenia naprowadzające, przyciski napadowe (*panic buttons*), alarmy przeciwwłamaniowe, szyfry i metody antyobserwacyjne, a w ostatniej fazie niektórzy z nas przenieśli się do tajnych lokalów.

W czerwcu 2017 roku BuzzFeed News opublikowało wstępne wyniki naszego śledztwa, wywołując trzęsienie ziemi opisane na kartach tej książki. Od tamtej pory nieprzerwanie gromadzimy nowe dowody wskazujące na to, że piętnaście zabójstw, od których ujawnienia zaczęliśmy, wpisuje się w znacznie szerszy program likwidowania wrogów Kremla poza granicami Rosji.

Niniejsza książka powstała na podstawie wyników naszej pracy. Szczegóły przedstawionych wydarzeń pochodzą z ogromnego zbioru papierowych i cyfrowych dokumentów, do których dotarliśmy, a także z relacji ich bezpośrednich uczestników. Przytoczone dialogi brzmią tak, jak zostały zapamiętane.

Niejeden rząd wolałby, żeby ta historia nigdy nie ujrzała światła dziennego. I mogłaby na zawsze pozostać zagrzebana w tajnych archiwach, gdyby nie ciężka praca moich wspaniałych kolegów z BuzzFeed News.

Heidi Blake

Wprowadzenie

Salisbury, Anglia, 4 marca 2018 roku

W porze obiadu mgła, która w nocy spowiła miasto, rozpłynęła się i nieliczni niedzielni spacerowicze na Castle Street mogli podziwiać katedrę zawadzającą iglicą o chmury. Było chłodne, spokojne popołudnie, na dachy średniowiecznych domów siąpił drobny deszczyk. Z flankowanych kolumienkami drzwi restauracji Zizzi na Castle Street wyszło dwoje ludzi. O tej porze w lokalu panował tłok i pewnie nikt nie zwróciłby uwagi na wytwornego, zażywnego jegomościa o siwych włosach i młodszą od niego o ćwierć wieku blondynkę, popijających białym winem risotto, gdyby nie to, że nagle zaczęli się głośno kłócić. Kobieta i mężczyzna pospiesznie opuścili lokal i szybkim krokiem przeszli przez plac, lecz kiedy kamery monitoringu ponownie uchwyciły ich na moście nad wezbraną rzeką Avon, szli już zwyczajnym, spacerowym krokiem. Na okolonym drzewami placu zabaw na drugim brzegu rzeki grupka dzieci karmiła w deszczu kaczki. Mężczyzna przystanął, żeby dać maluchom resztkę chleba z obiadu, a potem razem ze swoją towarzyszką ruszył w stronę drzew. Wtem oboje się zatrzymali. Kilka minut później przypadkowi przechodnie natknęli się na osobliwą scenę.

Mężczyzna i kobieta półleżeli bezwładnie na ławce. Ona była całkowicie nieprzytomna; on wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w niebo i wykonywał dziwne, nieznaczne gesty dłonią. Kiedy przechodnie zbliżyli się ostrożnie do ławki, zastygł w bezruchu. Kobieta dostała drgawek, jej gałki oczne przekręciły się, ukazując białka, a na ustach pojawiła się piana.

Amatorzy niedzielnych zakupów, którzy pospieszyli z pomocą parze nieznajomych, nie domyślali się, jak potężne konsekwencje wywoła to zdarzenie. Nie zdawali sobie sprawy, że na ich oczach rozgrywa się najnowszy epizod tajnej wojny, którą wydało Zachodowi obce mocarstwo. Spokojne Wiltshire niespodziewanie

stało się polem bitwy, miejscem pierwszego od czasów drugiej wojny światowej ataku chemicznego na terenie Europy. Co gorsza, dobrzy samarytanie, którzy czekając na przyjazd ratowników medycznych, stanęli przy ławce, żeby własnymi parasolami osłonić nieprzytomne ofiary przed deszczem, również otrzymali dawkę śmiertelnie niebezpiecznej trucizny.

Nieprzytomną parą na ławce byli sześćdziesięciotrzyletni Siergiej Skripal, były rosyjski szpieg pracujący jako podwójny agent dla brytyjskiego MI6, i jego trzydziestosześcioletnia córka Julia. Skripal przyjechał do Wielkiej Brytanii osiem lat wcześniej, po zwolnieniu z rosyjskiego więzienia, gdzie siedział za zdradę stanu. Oficer rosyjskiego wywiadu wojskowego został skazany w 2006 roku za sprzedawanie tajemnic Brytyjczykom i spalenie trzystu rosyjskich agentów. Cztery lata później Rosjanie wymienili Skripala i trzech innych zachodnich szpiegów na dziesięciu rosyjskich agentów, którzy przez długie lata mieszkali pod przykrywką na przedmieściach amerykańskich miast. Największa od czasów zimnej wojny wymiana szpiegów odbyła się na płycie lotniska w Wiedniu, ale gdy tylko Rosjanie wylądowali w Moskwie, Władimir Putin w prostych żołnierskich słowach zapowiedział, jaki los czeka ludzi, których właśnie wypuścił.

„Zdrajcy sami się wykończą”, oznajmił na antenie państwowej telewizji. „Możecie być tego pewni. Zdradzili swych przyjaciół, towarzyszy broni. Dla pieniędzy. Udławią się swoimi judaszowymi srebrnikami”.

Scena na miejskim zieleńcu w Salisbury dowodziła, że rosyjski prezydent nie rzuca słów na wiatr. Siergiej i Julia Skripalowie dusili się na ławce w parku wskutek działania paraliżującej nerwy substancji chemicznej, którą kilka godzin wcześniej zamachowcy posmarowali klamkę drzwi wejściowych ich domu na przedmieściach Salisbury.

W momencie przyjęcia na oddział intensywnej terapii miejscowego szpitala oboje mieli drgawki, płyn w jamie opłucnej i drastycznie spowolnioną pracę serca. Lekarze z początku nie wiedzieli, co o tym myśleć, ale kiedy dowiedzieli się od policjantów, że mają pod opieką rosyjskiego renegata korzystającego z ochrony brytyjskiego rządu, objawy nabrały przerażającego sensu. Wszystko

wskazywało na to, że Skripalowie zostali otruci substancją paraliżującą, która atakuje ośrodkowy układ nerwowy, stopniowo blokując działanie narządów, najprawdopodobniej stworzoną na potrzeby wojska. Gazy, ciecze i opary o takich właściwościach stanowią zabójcze, nieselektywne środki bojowe, których produkcji i składowania zakazuje międzynarodowa konwencja podpisana ponad dwadzieścia lat temu przez większość państw świata. Jeśli doszło do czegoś tak niewyobrażalnego i Skripalów rzeczywiście zaatakowano bronią chemiczną na ulicy w Salisbury, czy ofiar nie będzie więcej?

Wkrótce okazało się, że te obawy są uzasadnione. Na oddziale intensywnej terapii pojawił się kolejny pacjent. Nick Bailey, zasłużony sierżant policji w Wiltshire, który przeszukał dom Skripalów, został przyjęty do szpitala z tymi samymi objawami co szpieg i jego córka. Niedługo potem na izbę przyjęć zgłosili się dwaj następni policjanci skarżący się na pieczenie oczu i trudności z oddychaniem. Kolejnymi pacjentami było troje dzieci karmiących wcześniej kaczki otrzymanym od Siergieja Skripala chlebem oraz lekarz i pielęgniarka, którzy przypadkowo znaleźli się w parku i przed przybyciem ratowników medycznych próbowali ratować nieprzytomnych metodą usta-usta. W krótkim czasie do szpitala trafiły dwadzieścia dwie osoby z objawami porażenia układu nerwowego.

Teraz było już aż nadto oczywiste, że Skripalów otruto śmiertelnie niebezpieczną substancją chemiczną, narażając jednocześnie życie setek brytyjskich obywateli. Personel medyczny szpitala rejonowego w Salisbury przygotowywał się do kryzysu na wielką skalę. Do miasta przybyli policjanci z wydziału Scotland Yardu do walki z terroryzmem, którzy przejęli śledztwo. Po ulicach Salisbury krążyli technicy kryminalistyczni w białych kombinezonach, szukający śladów środka paraliżującego system nerwowy; pomagało im stu osiemdziesięciu żołnierzy. Jednak dopóki nie wiedziano, jaką konkretnie substancją zostali zaatakowani Skripalowie, nie można było określić, skąd pochodzi ani w jaki sposób zneutralizować jej przerażające działanie.

Na północny wschód od Salisbury, pośrodku ogrodzonego drutem kolczastym otwartego terenu o powierzchni trzech tysięcy hektarów, znajduje się zespół rządowych laboratoriów i bunkrów. Pozbawione okien budynki ukrywają pilnie strzeżone tajemnice brytyjskiego państwa. Do ataku na Skripalów doszło zaledwie kilka kilometrów od Porton Down, siedziby Defence Science and Technology Laboratory, jednego z najlepszych na świecie ośrodków badania broni chemicznej i biologicznej. Kiedy lekarze ze szpitala w Salisbury zorientowali się, że para Rosjan została najprawdopodobniej zaatakowana bojowym środkiem paralityczno-drgawkowym, natychmiast przesłali pobrane od nich próbki do tajnego laboratorium.

Wojskowi naukowcy szybko zidentyfikowali toksyczną substancję. Był to nowiczok o wysokiej czystości, zabójcza broń chemiczna produkowana w Rosji. Naukowcy z Porton Down od lat badają tego rodzaju bojowe środki paralityczno-drgawkowe. Nowiczoki powstały w ramach programu „Foliant" prowadzonego w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku w radzieckim wojskowym ośrodku badawczym w Szychanach w południowo-zachodniej Rosji. Świat dowiedział się o ich istnieniu w 1992 roku, kiedy po rozpadzie Związku Radzieckiego Rosja przystępowała do międzynarodowej Konwencji o zakazie broni chemicznej. Dwaj rosyjscy chemicy ujawnili, że w państwowych obiektach nadal składowane są zapasy tych zabójczych substancji. Z danych wywiadowczych pozyskanych przez MI6 wynikało, że w ostatnich latach Rosjanie pracują nad wykorzystaniem toksyn z grupy nowiczoków, których można użyć do selektywnej eliminacji wrogów władzy. Odkrycie, że za dramatyczny stan Skripalów odpowiada radziecki środek bojowy, przyjęto w Wielkiej Brytanii z bezbrzeżnym zdumieniem. Nie tylko oznaczało to, że Rosjanie wyrównują swoje rachunki na obszarze Zjednoczonego Królestwa, lecz także było jawnym, celowym aktem agresji. Otrucie Siergieja i Julii Skripalów stanowiło wiadomość dla brytyjskich władz z wyraźnym podpisem Kremla.

Pani premier potrzebowała dokładnych informacji. Theresa May zwołała spotkanie z szefami wywiadu, którzy przedstawili jej materiały świadczące o tym, że agenci Putina próbowali

zlikwidować Skripalów na obszarze Wielkiej Brytanii. MI6 uzyskało dane wywiadowcze, z których niezbicie wynikało, że w ostatnim dziesięcioleciu Putin osobiście nadzorował prace nad przystosowaniem rosyjskiego arsenału broni biologicznej i chemicznej do celów eliminacji wrogów państwa. Pod okiem prezydenta Federacji Rosyjskiej powstały specjalne zespoły agentów przeszkolonych do selektywnego zabijania pojedynczych osób. Jedną z opracowanych w tym celu metod było smarowanie zabójczymi substancjami klamek, tak jak w domu Skripalów, gdzie największe stężenie trucizny wykryto na zewnętrznej klamce drzwi wejściowych. Szpiedzy Putina interesowali się Skripalami od 2013 roku; rosyjski wywiad wojskowy zhakował wtedy konta mejlowe Julii. Co więcej, żona i syn Siergieja zmarli niespodziewanie po przeniesieniu się do rodziny w Wielkiej Brytanii. Niewykluczone, że również zostali otruci.

Brytyjski rząd nie miał wyboru, musiał zareagować. Dwunastego marca, osiem dni po zamachu na Skripalów, Theresa May oświadczyła w Izbie Gmin, że „wedle wszelkiego prawdopodobieństwa" za atakiem stoi Władimir Putin. Stwierdziła, że „był to akt agresji skierowany bezpośrednio przeciwko naszemu państwu, chyba że rosyjski rząd utracił kontrolę nad niezwykle niebezpiecznym środkiem paralityczno-drgawkowym". Premier Wielkiej Brytanii zażądała od Moskwy udzielenia wyjaśnień, wyznaczając termin do północy następnego dnia. Rosjanie odpowiedzieli ciosem na cios, nazywając wypowiedź May prowokacją i „cyrkowym przedstawieniem w brytyjskim parlamencie". Wyraźnie nie zamierzali niczego wyjaśniać. Dwa dni później Theresa May ogłosiła decyzję o wydaleniu dwudziestu trzech rosyjskich szpiegów operujących w Londynie pod przykrywką dyplomatów. W odpowiedzi Rosjanie natychmiast kazali się spakować dwudziestu trzem członkom brytyjskiego korpusu dyplomatycznego.

Oskarżenie Rosji o użycie broni chemicznej na obszarze innego kraju wywołało bezprecedensową reakcję międzynarodowej społeczności. Dwadzieścia osiem zachodnich państw wydaliło łącznie ponad stu pięćdziesięciu rosyjskich dyplomatów. Przywódcy Stanów Zjednoczonych, Francji i Niemiec we wspólnym

oświadczeniu potępili Rosję za „pierwsze po drugiej wojnie światowej użycie bojowego środka paraliżującego na terenie Europy”, nazywając zamach „atakiem na suwerenność Zjednoczonego Królestwa” oraz pogwałceniem prawa międzynarodowego, „które zagraża bezpieczeństwu nas wszystkich”. W relacjach Zachodu z Rosją zapanowała lodowata atmosfera niczym w czasach zimnej wojny. Demonstracja międzynarodowej solidarności miała istotne znaczenie dla Wielkiej Brytanii, która wskutek swojej decyzji o opuszczeniu Unii Europejskiej znalazła się w izolacji. Pani premier, ostro krytykowana w Londynie za fiasko „rozwodowych” negocjacji, znów mogła uchodzić za polityczkę światowego formatu. Tymczasem w Moskwie Putin z ledwie skrywaną uciechą zacierał ręce.

Reakcja Zachodu na próbę zabójstwa Skripalów była spełnieniem życzeń gospodarza Kremla. Dwa tygodnie po zamachu, 18 marca, w Rosji odbywały się wybory prezydenckie i Putin chciał zmobilizować swój elektorat, choć trzeba przyznać, że nie miał poważnej konkurencji. Symboliczny przywódca opozycji, Aleksiej Nawalny, wielokrotnie aresztowany w czasie kampanii prezydenckiej, ostatecznie otrzymał zakaz kandydowania, a dawny główny rywal Putina, Boris Niemcow, trzy lata wcześniej zginął na moskiewskim moście od kul zamachowca. Wynik wyborów był z góry przesądzony. Jednak Putin, szykujący się do kolejnych sześciu lat u sterów państwa, marzył o miażdżącym zwycięstwie, a do tego potrzebna była wysoka frekwencja. Należało wprowadzić Rosjan w nastrój patriotycznego wzmożenia i odwrócić ich uwagę od dramatycznego stanu osłabionej sankcjami gospodarki, rozbuchanej korupcji, rozpadającej się infrastruktury, chronicznego niedofinansowania opieki zdrowotnej i kulejącego systemu edukacji. A cóż lepiej nadawało się do tego celu od wzrostu poczucia zagrożenia ze strony zagranicznych wrogów, przed którym tylko on mógł obronić *Matuszkę Rossiję*?

To właśnie było głównym przesłaniem orędzia o stanie państwa, które Putin wygłosił trzy dni przed zamachem na Skripalów. Prezydent Rosji oświadczył, że Rosja zbudowała nowy arsenał pocisków jądrowych, zdolnych przeniknąć przez amerykańską tarczę

obronną. W czarnym garniturze z usztywnionymi ramionami i intensywnie czerwonym krawacie wstąpił na mównicę i oświadczył: „Chciałbym powiedzieć ludziom, którzy od piętnastu lat próbują eskalować wyścig zbrojeń i uzyskać jednostronną przewagę nad Rosją, którzy nakładają na nas restrykcje i sankcje (…), że nie uda im się zmusić Rosji do uległości”. Na dwóch ogromnych telebimach za plecami prezydenta Federacji Rosyjskiej ukazały się okryte śniegiem wyrzutnie rakietowe wystrzeliwujące pociski we wrogie niebo, a następnie animacja trajektorii balistycznej opasującej cały glob.

Wojownicze orędzie o stanie państwa było pierwszym punktem starannie przygotowanego wyborczego show, który miał ukazać prezydenta Rosji jako globalnego mocarza. Zamach na Skripalów stanowił idealny ciąg dalszy. Kiedy Wielka Brytania, a po niej kraje Sojuszu Północnoatlantyckiego pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych obarczyły odpowiedzialnością Kreml, rosyjska machina propagandowa ruszyła pełną parą, rozpętując ogólnonarodową histerię na punkcie niegodziwości zachodnich wrogów Moskwy. Fabryki trolli, farmy fake newsów i reżimowe media produkowały oszałamiającą – nawet jak na rosyjskie standardy – liczbę teorii spiskowych. Brytyjczycy jakoby celowo wprowadzili Skripalów w śpiączkę i sfabrykowali dowody, żeby wrobić Rosję i odwrócić uwagę społeczeństwa od niepowodzenia negocjacji związanych z brexitem. Oczerniali Putina w przededniu rosyjskich wyborów prezydenckich, chcieli podważyć rolę Rosji w „negocjacjach pokojowych” w Syrii albo po prostu mścili się za to, że to nie oni zostali gospodarzem mistrzostw świata w piłce nożnej w 2018 roku. MI6 otruło Skripala ze strachu, że znów zmieni front i sprzeda Moskwie brytyjskie tajemnice. Za atakiem stały prozachodnie władze Ukrainy, Szwecja, Słowacja albo Czechy. Była to próba zabójstwa na zlecenie mafii. Nowiczok pochodził z laboratorium w Porton Down, Stany Zjednoczone wyprodukowały własną wersję środka paralityczno-drgawkowego lub ukradły go podczas inspekcji składów broni chemicznej w jednym z byłych krajów Związku Radzieckiego. Podobnym teoriom nie było końca.

Siergiej Naryszkin, dyrektor Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej, stwierdził, że otrucie Skripalów było

„groteskową prowokacją, prymitywnie zainscenizowaną przez brytyjskie i amerykańskie służby”, sam Putin zaś zbył oskarżenia, nazywając je lekceważąco „delirycznymi bredniami”. Jednocześnie jednak prezydent Rosji i jego propagandziści dawali do zrozumienia, że podejrzenia Brytyjczyków są słuszne.

Trzy dni po zdarzeniu w Salisbury, zanim jeszcze Wielka Brytania oskarżyła o odpowiedzialność za zamach Rosję, w głównym wydaniu wiadomości kontrolowanej przez Kreml stacji Pierwyj Kanał padła niezawoalowana groźba. Prowadzący program nazwał Skripala „zdrajcą ojczyzny” i dodał: „Nie życzę nikomu śmierci, ale w celach czysto wychowawczych chciałbym ostrzec każdego, komu marzy się taka kariera, że zawód zdrajcy to najbardziej niebezpieczna profesja na świecie”. Olśniewająco piękna Anna Chapman, kluczowa postać dziesięcioosobowej siatki uśpionych rosyjskich szpiegów, zdemaskowanej w 2010 roku w Stanach Zjednoczonych, publicznie zarzuciła Skripalowi zdradę ojczyzny. W szczycie kampanii prezydenckiej Putin osobiście wypowiedział ostrzegawcze słowa, wykorzystując do tego wywiad, którego udzielił zaprzyjaźnionej telewizji. Zapytany przez starannie wyselekcjonowanego dziennikarza, czy potrafi wybaczać, kiwnął potakująco głową. Następnie na jego twarzy pojawił się lodowaty uśmiech.

– Ale nie wszystko.

Dziennikarz był ciekaw, czego prezydent nie potrafi wybaczyć.

– Zdrady – warknął Putin.

Rosjanie są przyzwyczajeni do takich dysonansów poznawczych. Władza hipnotyzuje naród, siejąc zamęt poprzez rozpowszechnianie teorii spiskowych i sprzecznych oświadczeń, wypaczając debatę publiczną za pomocą dezinformacji, przesłaniając fakty kłamstwami; zdezorientowana świadomość zbiorowa Rosjan błądzi w wiecznej mgle wieloznaczności, w której nic nie jest prawdziwe i nikt za nic nie odpowiada. Siergiej Skripal zdradził ojczyznę, sprzedając rosyjskie tajemnice Zachodowi, a Putin jest mocarzem, więc zdrajcy sami ściągną na siebie zgubę. Zachód nęka Rosję fałszywymi oskarżeniami, żeby ją osłabić, a Putin jest mocarzem, więc tylko on

może obronić naród. Takie wykluczające się przesłania serwowano Rosjanom i większość w nie wierzyła.

Putin wygrał 18 marca wybory prezydenckie miażdżącą przewagą 77 procent głosów przy frekwencji sięgającej dwóch trzecich uprawnionych do głosowania. Tuż po zamknięciu lokali wyborczych spin doktorzy rosyjskiego prezydenta przypisali ten sukces jednemu wydarzeniu.

– Frekwencja była wyższa od oczekiwanej mniej więcej o osiem procent, za co musimy podziękować Wielkiej Brytanii – oznajmił Andriej Kondraszow. – Kiedy na Rosję spadają niesprawiedliwe, niepoparte dowodami oskarżenia, rosyjski naród zawsze jednoczy się wokół ośrodka władzy. A ośrodkiem władzy jest dzisiaj Putin.

Zamach na Skripalów był jawną prowokacją, która miała na celu zmuszenie Zjednoczonego Królestwa – i całego Zachodu – do jedynej możliwej reakcji, i trzeba przyznać, że to się Rosjanom udało. Jednocześnie jednak była elementem większego i znacznie bardziej groźnego projektu.

W rzeczywistości Putin pozbywał się oponentów za pomocą brutalnej siły od pierwszych dni swojej prezydentury, tylko Zachód długo zdawał się tego nie zauważać. W Rosji nieprawomyślni politycy, dziennikarze, kontrkandydaci w wyborach prezydenckich i ludzie publicznie krytykujący władzę ginęli od kul, trucizny, w wypadkach samochodowych, wypadali z okien, umierali wskutek pobicia i wylatywali w powietrze od 1999 roku, kiedy to Putin rozpoczął swoją pierwszą kadencję. Przymykanie oka na brutalne metody sprawowania władzy było ceną za prowadzenie intratnych interesów z odradzającą się gospodarczo potęgą nuklearną, kontrolującą zaopatrzenie Europy w energię, i z jej bajecznie bogatymi oligarchami, pompującymi miliardy dolarów i euro w zachodnie gospodarki. Kolejni przywódcy wmawiali sobie, że Putin jest człowiekiem, z którym można się porozumieć i który, odpowiednio do tego zachęcony, da się w końcu wywabić z krainy lodu i wprowadzi swój bezkresny kraj do cieplejszego, liberalnego świata, opartego na przestrzeganiu zasad i umów. Te nadzieje okazały się katastrofalną omyłką.

Naprawdę Putin nigdy nie chciał się przyłączyć do klubu. Pozostał tym, kim był od początku: produktem totalitarnego radzieckiego państwa policyjnego. Dla Putina rozpad ZSRR z jego masowymi zbrodniami, cenzurą, prześladowaniem dysydentów i buńczucznym izolacjonizmem był „największą katastrofą geopolityczną dwudziestego wieku", za którą odpowiadał Zachód. Prezydent FR uważał rewolucje demokratyczne 1989 roku, zerwanie żelaznej kurtyny, ponowne zjednoczenie Europy i wstąpienie byłych państw bloku wschodniego do Unii Europejskiej oraz NATO za domagające się pomsty zniewagi. Piął się po szczeblach kariery w KGB i objął władzę na Kremlu gotowy wykorzystać wszystkie środki z arsenału radzieckich służb specjalnych, by przywrócić Rosji chwałę. Gdy przywódcy Stanów Zjednoczonych i krajów Unii Europejskiej zabiegali o jego względy, zapraszając go na spotkania na szczycie i składając oficjalne wizyty w Moskwie, zapraszając do grupy G8, powołując do życia Radę NATO-Rosja, by zacieśnić relacje wojskowe i polityczne, Putin uśmiechał się do kamer, ściskał wyciągane do niego dłonie i w tym samym czasie przygotowywał się do tajnej wojny z instytucjami liberalnej demokracji i sojuszami, na których opiera się stabilność Zachodu. Lis wśliznął się do kurnika.

Systematyczne eliminowanie wrogów, zdrajców i przeciwników politycznych to jeden z zasadniczych elementów tajnej kampanii Putina. Skrytobójstwo było wpisane w metody działania radzieckiego państwa; stanowiło skuteczny instrument władzy, przez ponad pół wieku spoczywającej w rękach budzącego grozę aparatu bezpieczeństwa, z którego wywodził się Putin. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego (*Komitiet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* – KGB) z własnymi laboratoriami i fabrykami trucizn produkującymi takie cuda, jak rozpylacze epidemii, nafaszerowane cyjankiem kule, pistolety w kształcie szminki i parasole wstrzykujące śmiertelną dawkę rycyny, był światowym liderem w dziedzinie niewykrywalnych morderstw. Po upadku ZSRR możliwości tajnych służb zaczęły maleć, ale Putin odwrócił ten proces. Fetowany przez Zachód prezydent FR wskrzesił radziecki program selektywnej eliminacji wrogów. Państwo wznowiło finansowanie ze środków publicznych prac nad bronią chemiczną i biologiczną, substancjami psychoaktywnymi, słabo znanymi

kancerogenami i innymi niepozostawiającymi śladów truciznami oraz szkoliło specjalne zespoły agentów do tropienia wrogów w kraju i za granicą. Putin zapewnił Federalnej Służbie Bezpieczeństwa, która zastąpiła KGB, stały dopływ pieniędzy i dał jej agentom licencję na bezkarne zabijanie niepożądanych jednostek w dowolnych miejscach globu. Jakakolwiek osoba, która zdradziła *Matuszkę Rossiję*, rzuciła wyzwanie wszechwładzy państwa albo po prostu za dużo wiedziała, mogła znaleźć się na muszce Kremla. Każde kolejne zwłoki wzmacniały przekaz: ten, kto nadepnął na odcisk Władimirowi Putinowi, w żadnym miejscu na Ziemi nie może się czuć bezpiecznie.

Kampania skrytobójstw była jednym z głównych elementów szeroko zakrojonego programu podkopywania stabilności Zachodu. Gdy dzięki zwyżkującym cenom ropy kasa państwa była pełna, Putin przeznaczał ogromne sumy nie tylko na prace nad cyberbronią, która po jednym naciśnięciu klawisza mogła sparaliżować infrastrukturę całego państwa, lecz także na hakerskie laboratoria zbierające *kompromaty* (kompromitujące materiały) na jego przeciwników. Zintensyfikował aktywność szpiegów do poziomu z czasów zimnej wojny: umieścił w Stanach Zjednoczonych siatkę „śpiochów" Anny Chapman, wysłał szpiegów do wszystkich liczących się europejskich stolic i rozbudował sieć agentów wpływu, którzy w zachodnich kuluarach władzy forsowali interesy Moskwy. Dozbroił brutalną rosyjską mafię, zacieśniając powiązania rządu i służb bezpieczeństwa z przestępczością zorganizowaną, która za przyzwoleniem prezydenta FR rozpostarła swoje macki na cały świat, stając się nieoficjalną agendą rosyjskiego państwa. Zbudował potężną machinę propagandową służącą dezinformowaniu opinii publicznej za granicą; zwerbował armię internetowych trolli z milionami fałszywych kont w mediach społecznościowych, szerzącą teorie spiskowe i siejącą chaos na Zachodzie; stworzył kanały przepływu brudnych pieniędzy, które wykorzystuje do sponsorowania ekstremizmu, terroru i despotycznych rządów w obcych krajach. Podwoił wydatki na wojsko i wdrożył wielomiliardowy program modernizacji armii, by zastąpić przestarzały poradziecki arsenał najnowocześniejszymi samolotami

bombowymi, okrętami podwodnymi i wojennymi oraz pociskami o zasięgu międzykontynentalnym.

Przez kolejne kadencje Putin konsekwentnie wzmacniał swoją pozycję i rozbudowywał państwowy aparat przemocy, coraz bezczelniej poczynając sobie poza granicami własnego kraju. W 2006 roku wprowadził nowe prawo, które wprost zezwala agentom FSB na zabijanie wrogów Rosji na obszarze obcych państw. Od tamtej pory dysydenci, przeciwnicy reżimu Putina i renegaci, którzy przeszli na stronę Zachodu, giną gwałtowną lub zagadkową śmiercią zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie. Ale nigdzie Putin nie likwiduje swoich wrogów tak energicznie – i bezkarnie – jak w Wielkiej Brytanii.

Londyn okazał się idealnym schronieniem dla bajecznie bogatych Rosjan uciekających przed reżimem Putina. Prężny sektor bankowy i zwyżkujący rynek nieruchomości pozwalały bezpiecznie ukryć pieniądze zgromadzone w epoce dzikiego kapitalizmu po upadku ZSRR. Nadwyżkę można było przyjemnie roztrwonić w eleganckich hotelach, luksusowych domach towarowych i ekskluzywnych nocnych klubach, uczęszczanych przez gwiazdy i członków rodziny królewskiej. Anglia dostarczała wielu możliwości zarówno szybkiego wyprania brudnych pieniędzy, jak i naprawy zszarganej reputacji. Pierwszorzędni prawnicy i księgowi, z których słynie Londyn, pomogli wyprowadzić z Rosji niejedną astronomiczną fortunę, a następnie zainwestować ją, za pośrednictwem fikcyjnych zagranicznych spółek, w szacowne – przynajmniej na pierwszy rzut oka – brytyjskie przedsiębiorstwa. Agenci nieruchomości bez zadawania zbędnych pytań wręczali rosyjskim multimilionerom klucze do najlepszych londyńskich nieruchomości, a renomowani specjaliści od PR-u ustawiali się w kolejkach, by przywrócić ich wizerunkom, przybrudzonym realiami bogacenia się w postkomunistycznej Rosji, śnieżną biel. Darowizna dla koledżu w Oksfordzie lub Cambridge, dotacja dla partii rządzącej, imponująca rezydencja pod Londynem, latorośl ucząca się w Eton – niewiele było trzeba, by nowy przybysz z Moskwy uzyskał wstęp do najwyższych kręgów brytyjskiej socjety.

Zanim ktokolwiek się zorientował, Rosjanie wpompowywali w londyńskie banki i rynek nieruchomości miliardy funtów rocznie. Rządy Tony’ego Blaira, Gordona Browna i Davida Camerona były zainteresowane utrzymaniem nowego życiodajnego strumienia pieniędzy, zasilającego gospodarkę w czasach, gdy stopniowo rezygnowano z produkcji na rzecz rozbudowy sektora usług finansowych. Dlatego brytyjskie władze szczodrą ręką przyznawały azyl polityczny i wizy inwestorskie zjeżdżającym do Wielkiej Brytanii bogatym Rosjanom. Jednak nie mniej istotne było zachowanie dobrych stosunków z Putinem i nieutrudnianie życia brytyjskim koncernom energetycznym, które przymierzały się do ekspansji na rynek rosyjski. Gdy zatem wrogowie Kremla zaczęli umierać w Anglii w tajemniczych okolicznościach, rządzący dyskretnie odwrócili wzrok.

Borys Bieriezowski był filarem środowiska rosyjskich emigrantów, którzy uciekli do Anglii po dojściu Putina do władzy. Wybitny radziecki matematyk dorobił się miliardów na dzikiej prywatyzacji jako wysoki urzędnik w rządzie Borysa Jelcyna. Uważał się za szafarza władzy, który wyciągnął Putina z niebytu i wwindował na najwyższy urząd w państwie. Jednak gdy jego protegowany zrobił zwrot w kierunku despotyzmu i przystąpił do dławienia opozycji, Bieriezowski zaczął go ostro krytykować, wykorzystując do tego gazety i stacje telewizyjne, których był właścicielem. Rozzłoszczony Putin ostrzegł publicznie, że każdy oligarcha, który będzie wyłamywał się z szeregu, drogo za to zapłaci. I przystąpił do systematycznego niszczenia biznesowego imperium, które Bieriezowski zbudował w Moskwie. Miliarder, ku jeszcze większej wściekłości prezydenta, uciekł na zielone wzgórza Anglii, uwożąc nietknięty majątek.

Z pomocą brytyjskich prawników i speców od księgowości Bieriezowski wyprowadził aktywa z Rosji i ukrył je poza zasięgiem Kremla, w nieprzeniknionym labiryncie zagranicznych firm i instrumentów finansowych. Miliarder urządził się wygodnie na angielskiej wsi i zaczął wydawać pieniądze na rozkręcenie międzynarodowej kampanii przeciwko Putinowi. Udzielał finansowego wsparcia innym dysydentom, w tym byłemu podpułkownikowi FSB Aleksandrowi Litwinience, który wyjechał do

Anglii po ujawnieniu tajemnic swoich mocodawców. W ciągu zaledwie kilku miesięcy człowiek, któremu Putin zawdzięczał swoją pozycję, przeobraził się we wroga publicznego numer jeden.

Bieriezowski i jego niepokorni towarzysze sądzili, że znaleźli w Anglii spokojną przystań. Liczyli na to, że azyl polityczny w Wielkiej Brytanii uchroni ich przed długą ręką Kremla. Mylili się. W następnych latach kilkunastu prawników, współpracowników, partnerów biznesowych i przyjaciół oligarchy rozstało się z życiem w dziwnych okolicznościach. Władze Wielkiej Brytanii umarzały kolejne śledztwa i kontynuowały politykę podlizywania się Putinowi.

Z jednym wyjątkiem. Zamordowanie w 2006 roku Aleksandra Litwinienki, którego otruto w londyńskim hotelu radioaktywnym polonem, było prowokacją, jakiej rząd Jej Królewskiej Mości nie mógł puścić płazem. Zabójcy kompletnie sfuszerowali robotę, roznosząc radioaktywne ślady po całej stolicy. Litwinienko umierał powoli w pełnym blasku jupiterów. Wszystkie światowe media informacyjne pokazywały wychudzonego, łysego mężczyznę, który na łożu śmierci rozwiązał zagadkę własnego zabójstwa i wydał oświadczenie oskarżające Kreml.

Wielka Brytania nie miała wyboru – musiała coś zrobić, więc jej władze postawiły zaocznie zarzut zabójstwa dwóm zamachowcom, którzy zdążyli uciec do Rosji. Ale nawet w obliczu jawnego aktu nuklearnego terroryzmu na ulicach Londynu rząd zareagował powściągliwie, ograniczając się do wydalenia czterech rosyjskich dyplomatów. W odpowiedzi Rosjanie kazali opuścić Moskwę czterem członkom brytyjskiego korpusu dyplomatycznego. Gdy Rosja odmówiła ekstradycji zabójców, niwecząc nadzieje na postawienie ich przed sądem, rząd zablokował starania wdowy, Mariny Litwinienko, o wszczęcie publicznego dochodzenia. Zainterweniowała osobiście Theresa May, ówczesna szefowa resortu spraw wewnętrznych, powołując się na konieczność ochrony „dwustronnych stosunków” z Rosją. Dopiero dziesięć lat później, kiedy po aneksji Krymu dobre relacje z Kremlem i tak stały się niemożliwe, rząd dał zielone światło śledztwu, które wykazało, że Litwinienko prawdopodobnie został zamordowany na bezpośredni rozkaz Putina. Ale w 2006 roku Wielka Brytania miała jeszcze zbyt

wiele do stracenia, by zaczynać z góry przegraną potyczkę z Kremlem.

W okresie zimnego, wykalkulowanego merkantylizmu angielsko-rosyjska współpraca biznesowa przeżywała okres rozkwitu. W czasie gdy otruto Litwinienkę, Wielka Brytania była największym zagranicznym inwestorem w rosyjskim sektorze energetycznym; zaledwie tydzień po wzajemnym wydaleniu dyplomatów brytyjski gigant naftowy BP zawarł historyczną umowę, tworząc *joint venture* z państwowym wówczas Gazpromem. Rosyjskie firmy energetyczne także inwestowały na potęgę w Wielkiej Brytanii; na londyńskiej giełdzie wartość pierwszych ofert publicznych rosyjskich przedsiębiorstw co roku wynosiła kilkadziesiąt miliardów funtów. Był to cenny zastrzyk pieniędzy dla brytyjskiej gospodarki, a Putin nie miał nic przeciwko temu. Zarówno zagraniczne inwestycje w Rosji, jak i globalna ekspansja rodzimych biznesów przynosiły pieniądze, które można było przeznaczyć na destabilizowanie Zachodu, cyberwojnę i modernizację armii. Ponadto Putin był całą duszą nie tylko KGB-istą, lecz także kleptokratą. Chciał przywrócić Rosji utraconą potęgę, a przy okazji nabić kabzę sobie i swoim lojalnym współpracownikom. Im szerszy był strumień płynących do Moskwy pieniędzy, tym więcej mógł wyprowadzać do tajnego systemu zagranicznych kont, funduszy powierniczych i nieruchomości, dzięki któremu stał się najbogatszym, jak twierdzą niektórzy, człowiekiem świata.

Niemniej jednak dyplomatyczne przepychanki po śmierci Litwinienki ochłodziły angielsko-rosyjskie relacje, i to w momencie gdy Wielkiej Brytanii szczególnie zależało na zachowaniu jedności z resztą Zachodu i równocześnie bliskich stosunków z Kremlem. Więc gdy kolejni imigranci z Rosji i ich brytyjscy fikserzy[1] umierali w podejrzanych okolicznościach na angielskiej ziemi, rząd w Londynie konsekwentnie starał się tego nie widzieć. A im bardziej starał się tego nie widzieć, tym bardziej rozzuchwalał Rosjan.

Bezczynność Brytyjczyków nie była spowodowana wyłącznie względami finansowymi. Znane z brutalności rosyjskie gangi i agencje bezpieczeństwa państwowego osaczały Zachód po atakach z 11 września 2001 roku, kiedy to wywiady USA i Wielkiej Brytanii skupiły wszystkie moce przerobowe na wojnie z terroryzmem.

Brytyjska służba bezpieczeństwa (MI5) i antyterroryści ze Scotland Yardu, zajmujący się do tej pory tropieniem przestępczości zorganizowanej i monitorowaniem działań agentów obcych państw, zostali oderwani od swojej roboty i przerzuceni na front walki z islamistami. Jednocześnie szefowie MI6 zredukowali personel sekcji rosyjskiej, by wzmocnić sekcję bliskowschodnią. Bieriezowski i inni uciekinierzy z Rosji przywieźli ze sobą do Anglii bagaż w postaci rozległych powiązań z rosyjską mafią, a także przyciągnęli ogon w postaci agentów FSB. Londyn stał się ośrodkiem ożywionej działalności rosyjskich szpiegów i mafii, w momencie gdy uwagę MI5 i MI6 (brytyjski wywiad) zaprzątnęło coś zupełnie innego.

Zdziesiątkowana sekcja rosyjska MI6 wykonywała syzyfową pracę. W Rosji przestępczość zorganizowana przeplata się strukturami aparatu bezpieczeństwa. Co więcej, Bieriezowski i pozostali oligarchowie na wygnaniu też mieli liczne powiązania ze światem przestępczym, więc kiedy brytyjskie służby wykrywały coś niepokojącego, często nie były w stanie stwierdzić, czy dane zagrożenie płynie ze strony mafii, państwa, czy obu naraz. FSB powierzało czasem mokrą robotę mafijnym cynglom, a agenci służby bezpieczeństwa dorabiali sobie na boku bardziej wyrafinowanymi egzekucjami na zlecenie mafiosów. Rosyjskie państwo dysponowało metodami, o jakich nie śniło się Scotland Yardowi, a tym bardziej policjantom z prowincji, wzywanym na miejsce zdarzenia, kiedy bogaty Rosjanin umierał nagle w swojej wiejskiej rezydencji. Zabójcy z FSB byli mistrzami w morderstwach upozorowanych na wypadek albo samobójstwo; umieli też za pomocą narkotyków lub perswazji zmusić ofiarę, by sama odebrała sobie życie. Rządowe laboratoria stworzyły cały arsenał niewykrywalnych trucizn, dzięki którym morderstwo wyglądało jak śmierć z przyczyn naturalnych. Nawet gdy dane wywiadowcze wyraźnie wskazywały na Rosję, tajnych materiałów nie można było wykorzystać w sądzie bez spalenia źródeł lub ujawnienia metod operacyjnych wywiadu. W takich przypadkach prościej było ogłosić, że zgon nastąpił z przyczyn naturalnych, niż ryzykować kryzys dyplomatyczny i bulwersować opinię publiczną, formułując oskarżenia, których nie udało się później udowodnić w sądzie.

Kiedy Rosja zaczęła prowadzić otwarcie wrogie działania wobec innych państw, pojawił się nowy czynnik, który brytyjskie władze musiały wziąć pod uwagę: strach. Specjaliści od spraw bezpieczeństwa publicznego ostrzegali rząd, że Kreml może wyrządzić Zjednoczonemu Królestwu poważne szkody poprzez cyberataki hakerów, destabilizowanie gospodarki i podburzanie rosyjskiej diaspory. Możliwości brytyjskiej policji były znacznie ograniczone wskutek cięć budżetowych po kryzysie 2008 roku; służby wywiadowcze, od dziesięciu lat skupione na walce z dżihadystami, słabo orientowały się w sprawach Rosji i nie były w stanie odpowiednio zareagować na zagrożenia z tej strony. Resort obrony ostrzegał, że niedofinansowane siły zbrojne nie mogą się równać ze zmodernizowaną przez Putina armią Federacji Rosyjskiej. Co gorsza, pojawiły się obawy, że Rosja, demonstrująca wrogość wobec Zachodu, może zmierzać do otwartego konfliktu. W rządowych kuluarach zaczęto przebąkiwać o wojnie. Przeważała opinia, że jeśli do niej dojdzie, nastąpi to szybko i bez ostrzeżenia, a Wielka Brytania była na to zupełnie nieprzygotowana. Teraz nie chodziło już tylko o biznes. Rozważając odpowiedź na operacje rosyjskich służb na brytyjskiej ziemi, rząd musiał się liczyć z realnym zagrożeniem dla istnienia państwa.

Putin prężył muskuły, wyraźnie rozzuchwalony sukcesem zamachu na Litwinienkę. Kilka tygodni po śmierci byłego podpułkownika FSB rozpoczął realizację nowego programu modernizacji uzbrojenia. Potem nastąpiła seria groźnych cyberataków na Estonię; w 2008 roku Rosja przeprowadziła pierwszą operację militarną poza swoimi granicami, dokonując inwazji na Gruzję. Później kremlowscy hakerzy zaatakowali ważne instytucje w Niemczech, we Francji i w Stanach Zjednoczonych, a rosyjski rząd zaczął coraz jawniej wspierać, także finansowo, ugrupowania skrajnej prawicy i separatystów w całej Europie. Rosja poczynała sobie coraz bezczelniej i w pewnym momencie Wielka Brytania znalazła się między młotem a kowadłem – z jednej strony amerykański sojusznik domagał się od niej podjęcia zdecydowanych kroków, z drugiej strony musiała się liczyć z uzależnionymi od rosyjskich dostaw ropy i gazu europejskimi partnerami, którym

zależało na dobrych relacjach z państwem Putina. Punktem krytycznym była inwazja na wschodnią Ukrainę.

Aneksja Krymu w marcu 2014 roku położyła kres nadziejom, że Putin da się przekonać do liberalnej demokracji. Grupa G8 zawiesiła Rosję w prawach członka, państwa Sojuszu Północnoatlantyckiego zerwały polityczną i wojskową współpracę z Moskwą, a Stany Zjednoczone i Unia Europejska nałożyły dotkliwe sankcje, które w połączeniu ze spadkiem cen ropy poważnie osłabiły rosyjską gospodarkę. Nie powstrzymało to jednak Putina, który kontynuował ukraińską awanturę, wysyłając czołgi i ciężką broń do zbuntowanych regionów Doniecka i Ługańska i wdając się w regularną wojnę z rządem w Kijowie. Zachód zaostrzył sankcje. A potem prorosyjscy separatyści zestrzelili boeinga malezyjskich linii lotniczych lecącego z Amsterdamu do Kuala Lumpur. W katastrofie zginęło wszystkich dwustu osiemdziesięciu trzech pasażerów i piętnastu członków załogi. Dopiero wtedy brytyjski rząd zdecydował się na wszczęcie publicznego śledztwa w sprawie śmierci Aleksandra Litwinienki.

Ale nawet wtedy władze w dalszym ciągu blokowały ujawnienie prawdy o skali skrytobójczych operacji rosyjskich agentów na terenie Wielkiej Brytanii. Musiało dojść do ataku nieselektywną bronią chemiczną na ulicach angielskiego miasteczka, żeby rząd wreszcie skonfrontował się z zagrożeniem, na które długo przymykał oczy.

Kiedy Siergiej i Julia Skripalowie osuwali się na ławkę w Salisbury, Zachód zdawał już sobie sprawę z powagi sytuacji. Tuż przed zamachem na podwójnego agenta Kreml wykonał wiele niebywale zuchwałych posunięć: bezczelnie wmieszał się w amerykański proces wyborczy, by zwiększyć szanse Trumpa; siał ferment w Europie, sponsorując trolling w internecie i finansując zachodnich ekstremistów; podjął próbę przeprowadzenia zamachu stanu w Czarnogórze; nękał zachodnie rządy coraz groźniejszymi cyberatakami; włączył się w wojnę w Syrii po stronie reżimu Asada używającego broni chemicznej przeciwko własnym obywatelom. Rosja *de facto* prowadziła niesymetryczną wojnę podjazdową,

wykorzystując cały potencjał państwa do destabilizowania zachodnich społeczeństw.

Amerykańskie agencje wywiadowcze ostro krytykowały brytyjskich partnerów za to, że nie potrafią sobie poradzić z eskalacją aktywności rosyjskich zabójców na terenie swojego kraju. Po drugiej stronie Atlantyku z narastającym niepokojem obserwowano falę zgonów wpływowych Rosjan w Wielkiej Brytanii. Amerykanie obawiali się, że plaga może dotrzeć także do nich. Od lat przekazywali MI6 dane wywiadowcze łączące zagadkowe zgony osób z kręgu Borysa Bieriezowskiego z Moskwą i z zażenowaniem obserwowali, jak brytyjska policja umarza śledztwo za śledztwem. Obawy, że bezczynność Brytyjczyków może jeszcze bardziej rozzuchwalić Putina, nasiliły się w 2015 roku, gdy w Waszyngtonie umarł w niejasnych okolicznościach Michaił Lesin, były poplecznik Kremla, który następnego dnia miał złożyć zeznania w Departamencie Sprawiedliwości. Relacje między rosyjskimi sekcjami MI6 i CIA stawały się coraz bardziej napięte.

Latem 2017 roku dziennikarze śledczy z BuzzFeed News opublikowali cykl artykułów poświęconych działalności rosyjskich zabójców na terenie Wielkiej Brytanii, systematycznie tuszowanej przez Downing Street.

Kiedy Rosjanie uderzyli ponownie, premier Zjednoczonego Królestwa musiał zająć zdecydowane stanowisko. Jednak ani twarda retoryka rządu, ani dyplomatyczne reperkusje nie zepsuły humoru Putinowi, który szybkim krokiem zmierzał do triumfalnej reelekcji. Niespełna dobę po oświadczeniu Theresy May, która oskarżyła Kreml o próbę zabójstwa na terenie jej kraju, w Londynie znaleziono zwłoki kolejnego wroga Kremla. Nikołaj Głuszkow, przyjaciel i współpracownik Bieriezowskiego oraz zaciekły przeciwnik Putina, umarł w swoim domu na obrzeżach Londynu, uduszony psią smyczą. Detektywi z wydziału zwalczania terroryzmu szybko przejęli śledztwo, ale zabójca nie pozostawił żadnych śladów.

Tymczasem Siergiej i Julia Skripalowie w cudowny sposób wracali do zdrowia. Zawdzięczali to wiedzy i kompetencjom naukowców z Porton Down, którzy opracowali supernowoczesną metodę leczenia skutków działania substancji paralityczno-drgawkowych. Sierżant Bailey oraz lekarz i pielęgniarka, którzy

przypadkowo znaleźli się w parku, a także dzieci, które karmiły tam kaczki, zostali wypisani ze szpitala. Wojsko prowadziło operację oczyszczania dziewięciu lokalizacji w Salisbury skażonych trującą substancją i przez moment mogło się wydawać, że władze powstrzymały kryzys, zanim ktokolwiek umarł. Jednak cztery miesiące po zdarzeniu gruchnęła wiadomość, że do szpitala w Salisbury trafiły kolejne dwie osoby z objawami zatrucia nowiczokiem.

Dawn Sturgess i Charlie Rowley byli parą czterdziestokilkulatków, którym powinęła się w życiu noga. Przegrzebując w ciepły dzień pod koniec czerwca okoliczne śmietniki, Rowley znalazł elegancki, jak mu się wydawało, prezent dla swojej lubej: złote pudełeczko z logo Niny Ricci, zawierające flakonik ze spryskiwaczem na długiej rurce. Zaniósł znalezisko do domu i wręczył Sturgess, która spryskała oba nadgarstki.

We flakoniku nie było perfum — to właśnie w nim rosyjscy agenci przywieźli zabójczą substancję. Kobieta zaaplikowała sobie dawkę trucizny dziesięciokrotnie większą od użytej do otrucia Skripalów. Tydzień później zmarła w szpitalu. Trochę nowiczoka trafiło na dłonie Rowleya, który cudem uszedł z życiem; wybudził się ze śpiączki dwa dni po śmierci przyjaciółki. Na pogrzebie nikt nie niósł trumny z Dawn Sturgess. Władze zastosowały specjalne środki bezpieczeństwa, żeby ochronić żałobników przed zakażeniem.

Choć tropieniem rosyjskich agentów, którzy przywieźli do Anglii nowiczok, zajęli się najlepsi detektywi wydziału do walki z terroryzmem, przez pół roku nie było żadnych efektów. Wreszcie 5 września Scotland Yard poinformował, że dwóm mężczyznom postawiono zaocznie zarzut usiłowania zabójstwa. Obaj podejrzani byli aktywnymi agentami rosyjskiego wywiadu wojskowego (*Gławnoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije,* GRU) i przyjechali do Wielkiej Brytanii, posługując się fałszywymi nazwiskami. Policja opublikowała ich zdjęcia oraz nagrania z monitoringu pokazujące uśmiechniętych zabójców po wylądowaniu na londyńskim lotnisku Gatwick, w drodze do obskurnego hoteliku we wschodnim Londynie i w czasie rekonesansu w Salisbury.

Rzeczniczka rosyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych nazwała wyniki śledztwa „wielkim fałszerstwem". Władimir Putin

ogłosił, że uznani przez Scotland Yard za podejrzanych przebywają w Rosji, są niewinnymi „cywilami” i wkrótce sami wypowiedzą się na ten temat. Następnego dnia propagandowa tuba Kremla, telewizja RT, wyemitowała wywiad, w którym obaj mężczyźni stwierdzili, że odwiedzili Anglię jako zwyczajni turyści, a do Salisbury pojechali wyłącznie po to, żeby zwiedzić katedrę.

Przed końcem września portal dziennikarstwa śledczego Bellingcat zidentyfikował jednego z podejrzanych jako weterana GRU pułkownika Anatolija Władimirowicza Czepigę, który służył w Czeczenii i w Ukrainie, za co otrzymał z rąk Putina najwyższe rosyjskie odznaczenie. Niebawem portal podał nazwisko drugiego zamachowca, pracującego dla GRU lekarza wojskowego Aleksandra Myszkina.

Kreml zaprzeczył tym informacjom, lecz brytyjskie służby wywiadowcze je potwierdziły. W październiku Putin wygłosił przemówienie, w którym nazwawszy Skripala „zdrajcą” i „kanalią”, z gniewem odrzucił oskarżenia o jakiekolwiek związki GRU z marcowym zamachem w Salisbury.

W rządowych gmachach na Whitehall Road i kwaterach MI5 i MI6 na brzegu Tamizy zadawano sobie pytanie, jak do tego wszystkiego doszło. Szczególna predylekcja przeciwników Kremla na wygnaniu w Wielkiej Brytanii do umierania przedwcześnie już dawno została zauważona, ale do tej pory obserwowano ją z pewną dozą obojętności. Jeśli byłeś rosyjskim krwiopijcą, który zbudował swoją fortunę na gruzach radzieckiego państwa, albo nieuczciwym finansistą zajmującym się praniem brudnych pieniędzy, widocznie zasłużyłeś sobie na taki koniec. Nawet kiedy Zachód zaczął sobie uświadamiać, że gospodarz Kremla jest naprawdę bardzo niebezpiecznym człowiekiem, brytyjskie służby nadal traktowały zgony jak odosobnione przypadki, niezasługujące na większą uwagę. Zbyt wiele czasu i energii zajmowało pospiesznie nadrabianie braków wiedzy na temat nowego potencjału nuklearnego Moskwy i ruchów rosyjskich wojsk w Ukrainie. Lecz gdy użycie nowiczoka naraziło na szwank życie i zdrowie setek brytyjskich obywateli, a Kreml nie zamierzał wyrazić skruchy, nie można było dłużej

zaprzeczać, że skrytobójcza kampania Putina wymknęła się spod kontroli. Ale co zrobić, by ją zatrzymać?

Tajna wojna Władimira Putina wreszcie przedarła się do mediów. Oburzeni tym faktem przywódcy Wielkiej Brytanii nie mogli udawać zaskoczenia. Wiedzieli, że pozwolili nasyłanym przez Rosję zabójcom grasować bezkarnie po ulicach angielskich miast. Świadomie odwracali wzrok, gdy przeciwnicy Putina i ich fikserzy umierali kolejno w niejasnych okolicznościach na brytyjskiej ziemi.

Ta książka opowiada o ludziach, którzy żyli i umarli w Wielkiej Brytanii, gdzie dosięgło ich długie ramię Kremla, oraz o sekretach zabranych przez nich do grobu, do których ujawnienia próbowały nie dopuścić kolejne rządy.

Część pierwsza. Zderzenie dwóch światów

I Londyn, 1992 rok

Kupując bilet na powrotny lot concordeem z Nowego Jorku do Londynu, młody przebojowy prawnik jak zwykle dopilnował, żeby dostać miejsce z przodu. Trzy pierwsze rzędy foteli rezerwowano dla najważniejszych pasażerów naddźwiękowego turboodrzutowca, a on lubił się do nich zaliczać. Kiedyś siedział obok Jackie Onassis, innym razem obok Erica Claptona. W czasie odprawy rozglądał się niecierpliwie wśród współpasażerów, ciekaw, jaką ważną personę tym razem będzie miał za sąsiada.

Dwoje młodych ludzi, którzy zajęli miejsca 1B i 1C po drugiej stronie przejścia, natychmiast przykuło jego uwagę. Był rześki jesienny dzień i mężczyzna, najwyżej trzydziestokilkuletni, miał na sobie elegancki płaszcz od Armaniego z dostojnym futrzanym kołnierzem. Wysoki i opalony, z modnym dwudniowym zarostem, miał sympatyczną, szczerą twarz, okoloną burzą ciemnych loków. Jego towarzyszka, filigranowa, długowłosa blondynka o ostrych rysach, ubrana w miękką skórzaną kurtkę, trzymała w ramionach śpiącego noworodka. Zdaniem prawnika stanowili cudowną parę i wyraźnie byli bardzo zakochani. Musieli należeć do śmietanki towarzyskiej, skoro British Airways postanowiły wyróżnić ich miejscami w pierwszym rzędzie foteli.

Kiedy concorde wzbił się nad Atlantyk, nieznajomy wyciągnął rękę do sąsiada po drugiej stronie przejścia.

– Scot Young – przedstawił się z nieoczekiwanym szkockim zaśpiewem. – Czy ja pana znam?

To pytanie ucieszyło prawnika. Praca dla miliarderów i sław zaczęła przynosić mu spory rozgłos.

– Możliwe – stwierdził radośnie, ściskając dłoń Younga. – Ostatnio często pokazywali mnie w telewizji. Jestem prawnikiem.

Uśmiech Younga stał się jeszcze szerszy. Jego narzeczona Michelle karmiła piersią małą Scarlet i Scot się nudził. Wracając z luksusowych wakacji w Sandy Lane na Barbados, zatrzymali się w Nowym Jorku na szybkie zakupy. Young zwierzył się nowemu

znajomemu, że za bilety na samolot, pięciogwiazdkowe hotele i zakupy w designerskich sklepach zapłacił gotówką. To podsyciło ciekawość prawnika. Mogło tłumaczyć miejsca na samym przodzie. Ale podróż concordeem w obie strony kosztowała osiem tysięcy funtów za osobę. Kto wozi ze sobą tyle gotówki?

Pozostała część lotu upłynęła obu panom na przyjemnej pogawędce. Kiedy concorde wylądował na Heathrow i czekali na przystawienie schodów, Young poprosił prawnika o wizytówkę.

– Mam drobny problem z podatkami i chciałbym się ciebie poradzić – wyjaśnił, wstając i rozprostowując nogi.

Dwa tygodnie później Young wkroczył do gabinetu prawnika we wschodnim Londynie i zamknął za sobą drzwi.

– Okradam banki w całej Europie – oznajmił rzeczowo. – Za każdym razem, kiedy próbuję coś kupić w Wielkiej Brytanii, urząd podatkowy pyta, skąd mam pieniądze.

Prawnik uznał, że to niezwykły przypadek. Dotychczasowi klienci ze świata przestępczego, których nazywał czule „swoimi kryminalistami", z reguły ograniczali działalność do terenu Zjednoczonego Królestwa. Young miał szersze, międzynarodowe ambicje, a więc należał do bardziej interesującej klasy oszustów. Prawnik zapewnił nowego klienta, że pomoże mu uporządkować jego sprawy. Ale najpierw musi się o nich czegoś więcej dowiedzieć.

***

Scot Young spieszył się niemal od urodzenia. Odkąd sięgał pamięcią, chciał się znaleźć jak najdalej od obskurnego blokowiska w brudnym szkockim mieście portowym Dundee, w którym dorastał. Wcześnie rzucił szkołę, żeby handlować narkotykami w pubach i nocnych klubach. Wkrótce zamienił rodzinne miasto na Edynburg i robił to samo, tylko na większą skalę, w zadymionych barach szkockiej stolicy. Braki w wykształceniu nadrabiał urokiem osobistym, elokwencją i sprytem. Potrafił prawie każdego do wszystkiego przekonać i załatwić każdą sprawę. To właśnie ten talent pozwoli mu później zostać samozwańczym superfikserem

miliarderów i prominentnych polityków. Ale najpierw sam musiał się wybić.

Już jako początkujący kryminalista w Dundee Scot wykazywał nieokiełznaną skłonność do wynajdywania sobie niebezpiecznych przyjaciół. Jego pierwszym mentorem był król kasyn Alex Brown, który nie rozstawał się ze spluwą, nie bał się uciszyć pijackiej awantury kilkoma celnymi strzałami i musiał mieć niezwykłego pecha, bo jego lokale co rusz niszczyły pożary. W końcu znaleziono zwłoki Browna unoszące się na wodzie obok luksusowego jachtu w hiszpańskiej marinie, ale zanim do tego doszło, Young zdążył zarobić dosyć pieniędzy, by opuścić Szkocję dla bardziej ekscytującego i oferującego większe zyski Londynu. W stolicy Wielkiej Brytanii sprzymierzył się z jeszcze niebezpieczniejszym człowiekiem.

Patsy Adams, jeden z trzech braci kierujących potężnym gangiem przestępczym, zasłynął w londyńskim podziemiu kryminalnym z wyjątkowej brutalności. Klan Adamsów, czy też Drużyna A, jak lubili o sobie mówić, doszedł przestępczą działalnością do majątku wartego kilkaset milionów funtów. Patsy był rodzinnym cynglem, a jego ulubioną metodą pracy – odstrzał celu z pędzącego motocykla. Scotland Yard łączył go z dwudziestoma pięcioma egzekucjami na zlecenie gangu. Po przyjeździe do Londynu Young załatwił sobie dojście do Adamsa, a następnie zdobył jego zaufanie. Wkrótce zaczął pracować dla rodziny – i zarabiać prawdziwe pieniądze.

Drużyna A była nie tylko bardziej brutalna, lecz również bardziej ambitna od większości londyńskich gangów. Miała międzynarodowe aspiracje. Scotland Yard wyśledził jej powiązania z kolumbijskimi kartelami narkotykowymi oraz rosyjską mafią przerzucającą heroinę i kokainę z Kolumbii do Petersburga. Policja podejrzewała, że bracia ciągnęli ogromne zyski z rozprowadzania prochów w Europie, dorabiając sobie w ten sposób do i tak niezłych dochodów z haraczy, wyłudzeń, korupcji, handlu kobietami, prania pieniędzy, przemytu, oszustw, handlu bronią, kradzieży – oraz napadów z bronią w ręku.

Young nie wspomniał prawnikowi o swoich powiązaniach z Patsym Adamsem. Wyjaśnił tylko, że pracuje w ekipie, która

okrada europejskie banki. Większość zrabowanej kasy leżała ukryta na kontach w Szwajcarii i Liechtensteinie oraz w wypchanych banknotami walizkach, ale ilekroć Young próbował kupić coś w Wielkiej Brytanii, urząd skarbowy zaczynał zadawać mu niewygodne pytania.

Problem stał się jeszcze bardziej palący, odkąd Young się zakochał. Kiedy poznał Michelle, miała ona niewiele ponad dwadzieścia lat i świetnie zarabiała jako kupczyni mody, zaopatrując butiki w elegancką konfekcję. Wyznał jej kiedyś, że już na pierwszej randce wiedział, iż zostanie matką jego dzieci. Teraz, po urodzeniu pierwszego dziecka, Michelle zgodziła się zostać jego żoną. Lubiła życie na wysokiej stopie, ale była przekonana, że dochody jej narzeczonego pochodzą z uczciwego źródła. Myślała, że Scot jest doskonale zarabiającym biznesmenem. Trzeba było znaleźć jakiś sposób, żeby mógł swobodnie szastać pieniędzmi w Wielkiej Brytanii i zapewnić swojej ukochanej luksusy, na które jak sądzili oboje, zasługiwała.

Adwokat uważał, że w naiwnej szczerości nowego klienta jest coś wzruszającego. Chciał zostać szanowanym członkiem społeczeństwa. Miło widzieć młodą parę zakochaną w sobie do szaleństwa i pnącą się po szczeblach drabiny społecznej.

Prawnik powiedział Youngowi, że zna człowieka, który pomoże mu wyjść na prostą. Muszą zwrócić się do specjalisty od podatków – to zadanie w sam raz dla wybitnego radcy królewskiego.

Kiedy prawnik przyprowadził Scota Younga do kancelarii swego znakomitego kolegi, w progu przywitał ich przejęty stażysta.

– To będzie kosztowało trzy i pół tysiąca funtów za godzinę – oznajmił bez zbędnych wstępów.

Stawka mogła się wydawać horrendalna, ale Young był zdesperowany. Skinął głową i obaj panowie zostali wpuszczeni do środka.

Przypominający z wyglądu sowę radca królewski wysłuchał z uwagą wyjaśnień Younga. Następnie kiwnął głową, zakręcił młynka kciukami i zadał kilka dodatkowych pytań. Zegar tykał. W końcu wybitny prawnik odchylił się na oparcie fotela i udzielił swojej cennej porady.

– Musi pan powiedzieć urzędnikowi skarbowemu, skąd ma pan pieniądze – oznajmił.

Young wytrzeszczył ze zdumienia oczy. To nie była porada, za którą miałby ochotę zapłacić. Ale radca królewski rozwinął swoją myśl. Tak się składa, powiedział, że ustawa o podatkach dochodowym i korporacyjnym z 1988 roku nie wymienia zysków z napadów na banki w tabeli dochodów podlegających opodatkowaniu. Z formalnego punktu widzenia oznacza to, że Young nie musi oddawać fiskusowi ani centa z uzyskanych w ten sposób przychodów. Co więcej, zgodnie z prawem informacji udzielonych w deklaracji podatkowej nie można wykorzystać przeciwko temu, kto ich udzielił, więc urząd skarbowy nie przekaże ich policji.

– Nie chcą hamować napływu pieniędzy do Londynu – wtrącił inteligentnie młody adwokat.

Jeśli Young oświadczy w deklaracji podatkowej, że pieniądze pochodzą z kradzieży, i zgodzi się płacić podatki od przyszłych dochodów z ewentualnych inwestycji, władzom to w zupełności wystarczy.

Ku wielkiemu zdziwieniu Younga okazało się, że istotnie tak jest. Młody człowiek zaczął regularnie odwiedzać radcę królewskiego w okazałej georgiańskiej rezydencji na skraju Epping Forest. Codziennie rano zajeżdżał porsche na podjazd, by do wieczora porządkować swoje zagmatwane finanse. Doprowadzenie ich do takiego stanu, by można je było przedstawić urzędnikom, zajęło trzy miesiące. Urząd skarbowy rzeczywiście zaakceptował gotowe zeznanie i nagle Young miał na brytyjskim koncie kilka milionów legalnych funtów.

Scot Young zatrzymał porsche na podjeździe i ze sporym pudełkiem z polerowanego drewna w ręku zadzwonił do drzwi. To była jego ostatnia wizyta u radcy królewskiego. W środku rozsiadł się na kanapie i przez jakiś czas gawędził z prawnikiem o wszystkim i o niczym, popijając herbatę. Gospodarz z coraz większym zainteresowaniem popatrywał na tajemniczy przedmiot, ale Young wręczył mu prezent, dopiero gdy wychodził.

– Chciałem podziękować panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił – powiedział, a jego słowa zabrzmiały serdecznie i szczerze. – Proszę otworzyć pudełko.

Prawnik podniósł wieczko i z wrażenia otworzył usta. W środku znajdował się złoty Rolex Daytona, nowiutki i błyszczący, z brązowym skórzanym paskiem. Young wyjął zegarek z pudełka i zapiął go na nadgarstku radcy, gdzie pozostaje do dzisiaj. Następnie pożegnał się i jako nowy człowiek ruszył na podbój świata.

Oxfordshire, Anglia, 1996 rok

Przez okno gabinetu, które wychodziło na rozległe grunty Woodperry House, widać było wspaniałe porsche sunące długim żwirowym podjazdem. Mrucząc silnikiem, wóz zahamował przed wyłożoną złocistym piaskowcem fasadą okazałej osiemnastowiecznej rezydencji (której nazwa pochodziła od staroangielskiego wyrażenia *wudu-pyrige – the pear tree near the wood*, czyli „drzewo gruszy pod lasem") i wysiadł z niego wysoki, kosztownie odziany nieznajomy. Zapukał do drzwi. Pochodzący z Iranu uczony odsunął brudnopis artykułu, nad którym właśnie pracował, i poszedł otworzyć. Nieznany mu mężczyzna uśmiechnął się szeroko i wyciągnął na powitanie rękę.

– Scot Young – przedstawił się. – Jedziemy na Heathrow i moja żona uznała, że musimy kupić ten dom. – Wskazał gestem szczupłą blondynkę na fotelu pasażera. – Jeśli jest pan gotów go sprzedać, chętnie złożę ofertę.

Właściciel Woodperry House, Kaveh Moussavi, wybitny prawnik wykładający na Uniwersytecie Oksfordzkim, nie planował sprzedaży rezydencji. Jednak w mężczyźnie, który stał na jego progu, było coś tak nieodparcie przekonującego, że umówił się z nim kilka dni później w Londynie, żeby omówić warunki.

Panowie spotkali się w luksusowym hotelu Dorchester w londyńskiej dzielnicy Mayfair. Kiedy Moussavi wszedł do hotelowego baru, Young podał mu kieliszek szampana i wzniósł

w toaście swój własny. Obok ich stołu, w wiaderku z lodem, chłodziła się otwarta butelka.

– Co świętujemy? – zapytał Irańczyk.

– Złożę panu ofertę, z której będzie pan bardzo zadowolony – oświadczył z promiennym uśmiechem Young. – Zamierzam kupić pański dom za gotówkę.

Wyciągnął spod stolika walizkę i uchylił wieko. Moussavi otworzył szeroko oczy. Walizka była po brzegi wypchana zwitkami pięćdziesięciofuntowych banknotów.

Od zawarcia rozejmu z urzędem skarbowym minęły cztery lata, ale Young nie stracił zamiłowania do niebezpiecznego życia. Nadal pracował z braćmi Adams, jednak od pewnego czasu mierzył wyżej. Ożenił się z Michelle i miał z nią dwie córeczki, Scarlet i Sashę, musiał więc myśleć o rodzinie. Energicznie nawiązywał nowe kontakty i nie zadowalał się już milionem czy dwoma na szwajcarskim koncie albo w walizce. Grał teraz o większe stawki.

Oznajmił, że jest gotów zapłacić dziesięć milionów funtów – dwukrotność ceny rynkowej Woodperry – jeśli Moussavi zgodzi się przyjąć pieniądze w gotówce. Umowa będzie opiewać na kwotę dwóch milionów funtów, a reszta przejdzie z ręki do ręki bez informowania fiskUSA. Moussaviemu nie spodobał się ten pomysł, jednak oswoił się już z myślą o sprzedaży posiadłości, więc powiedział Youngowi, że zadowoli się ceną rynkową, o ile umówiona suma wpłynie na jego konto przelewem.

Kiedy przeszli do szczegółów, irański uczony szybko się zorientował, że coś jest nie tak. Pierwszy raz przyszło mu to do głowy, kiedy Young wyciągnął z walizki czterdzieści tysięcy funtów tytułem zadatku, ale poprosił go, by pokwitował pięćdziesiąt. „Widocznie działa na czyjeś zlecenie i chce skubnąć coś dla siebie na boku”, pomyślał Moussavi. To wystarczyło, by zdecydował się zlecić sprawdzenie Younga elitarnej agencji nieruchomości. Kiedy agent oddzwonił, w jego głosie brzmiało autentyczne zdziwienie.

– Sprawdziłem bardzo dokładnie, ale niczego nie znalazłem – powiedział. – Nie mam pojęcia, skąd ma pieniądze.

Moussavi zapytał Younga wprost o źródło jego fortuny. Szkot odpowiedział, że pierwsze pieniądze zarobił na rynku

nieruchomości, a potem genialny radziecki matematyk pomógł mu zainwestować kilka milionów w firmę zajmującą się technologiami płatności elektronicznych. Niebawem Young zjawił się w Woodperry w towarzystwie nieznajomego o krzaczastych brwiach, który chciał obejrzeć posiadłość. Niski mężczyzna w garniturze mówił z ciężkim rosyjskim akcentem i zachowywał się, jakby się spieszył. Kim był rosyjski dobroczyńca, który wprowadził Younga do branży nowoczesnych technologii? Czy to za jego pieniądze miała zostać kupiona posiadłość w Oxfordshire?

Young nie tylko szykował się do kupienia luksusowej posiadłości, ale w ogóle szastał pieniędzmi na prawo i lewo. Zgodnie z tym, co powiedział Moussaviemu, zainwestował dwa miliony sześćset tysięcy funtów w połowę udziałów w firmie obsługującej płatności elektroniczne, której drugim udziałowcem był fiński multimiliarder i sponsor torysów Poju Zabludowicz. Wkrótce pracował nad kolejną, dwumilionową inwestycją w przedsiębiorstwie z branży internetowej, w którym jego partnerem miał zostać gigant handlu detalicznego sir Philip Green. Young lubił się chwalić, że dołączył do klubu miliarderów. Ale kiedy agent nieruchomości próbował ustalić, z jakiego banku wyjdzie przelew, odniósł wrażenie, że chce on przeciągać sprawę, jakby miał trudności z zebraniem pieniędzy. Wystraszony Moussavi zadzwonił do Younga i postawił sprawę na ostrzu noża.

– Ma pan dwadzieścia cztery godziny na zrealizowanie transakcji, inaczej straci pan zadatek i podam pana do sądu.

Young nie przejął się jego ostrym tonem.

– Jutro wpłacę gotówkę na pańskie konto – oznajmił.

– Naprawdę ma pan na myśli gotówkę? – zapytał zdziwiony Moussavi.

– Tak, panie Kaveh. Jest pan pewien, że nie możemy tego załatwić osobiście?

Moussavi był pewien. Chciał, żeby transakcja została przeprowadzona legalnie, za pomocą przelewu bankowego, a nie z ręki do ręki. I ku swojemu zdziwieniu nazajutrz na koncie znalazł dwa miliony przelane z Coutts – banku brytyjskiej królowej.

Youngowie wiedli szczęśliwe życie w swojej nowej osiemdziesięciohektarowej posiadłości. Zapisali obie córeczki do superekskluzywnej Dragon School w Oksfordzie, do której uczęszczały dzieci całej plejady celebrytów. Michelle uwielbiała odgrywać rolę pani na włościach i dyrygować służbą, która utrzymywała dom w idealnej czystości. Codziennie rano po przebudzeniu patrzyła na rozległe tereny za oknem i nie mogła się nadziwić, że to wszystko należy do niej. Kiedy w styczniu spadł śnieg, ubrała dziewczynki w puchowe kombinezony i wybiegła z nimi na dwór fikać koziołki na ośnieżonym trawniku.

W spokojnej wiejskiej społeczności pojawienie się Youngów wywołało poruszenie. Kiedy zatrudnili do przebudowania domu najdroższą lokalną firmę architektoniczną, jej właściciel zadzwonił do Moussaviego, który był jego starym znajomym.

– Panie Moussavi, z tymi ludźmi coś jest nie tak, i to bardzo – stwierdził z zakłopotaniem. – Widziałem ich meble! Nie ma wątpliwości, że to nowe pieniądze. Ciekawe, na czym się dorobili.

Michelle stroszyła tymczasem piórka przed innymi mamami pod szkołą, epatując ekstrawaganckim stylem życia – egzotycznymi wakacjami, brylantami i kolacjami dwa razy w tygodniu w Le Manoir aux Quat'Saisons – wyróżnionej dwiema gwiazdkami Michelina restauracji Raymonda Blanca. Sytuacji nie poprawiało zachowanie Scota, który jeździł jak wariat swoim porsche po lokalnych drogach; często zostawiał wóz, z kluczykami w stacyjce, na jałowym biegu przed cichym wiejskim pubem. Ludzie, którzy z początku przyjęli nowych bogatych sąsiadów z otwartymi ramionami, szybko zrozumieli, że dali się zwieść pozorom. Young twierdził, że skończył Stowe, jedną z najbardziej ekskluzywnych brytyjskich szkół z internatem, ale przy kolacji podawał porto w niewłaściwym kierunku, więc raczej nie mogło to być prawdą.

Podejrzliwość Moussaviego sięgnęła zenitu, kiedy pewnego dnia, rok po sprzedaniu Woodperry, do drzwi jego nowego domu w tej samej okolicy zapukał policjant w cywilu. Był to detektyw ze Special Branch, wydziału specjalnego londyńskiej policji zajmującego się sprawami bezpieczeństwa narodowego. Chciał porozmawiać o Youngu. Powiedział, że Scotland Yard ma powody przypuszczać,

iż nabywca Woodperry House para się praniem rosyjskich pieniędzy. Czy pan Moussavi coś o tym wie?

Naukowiec nic o tym nie wiedział, ale poinformował detektywa, że Young próbował kupić od niego dom za gotówkę. Zaintrygowany postanowił dowiedzieć się czegoś więcej. Zaczął wypytywać znajomych, usiłując dociec, na czym naprawdę mógł się dorobić Young. W końcu zadał to pytanie wspólnemu znajomemu, miejscowemu kombinatorowi, który zaprzyjaźnił się z nowymi sąsiadami. Mężczyzna spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Nie wie pan? – Był wyraźnie rozbawiony. – Scot jest rekieterem Borisa Bieriezowskiego.

Nagle wszystko zaczęło do siebie pasować. Moussavi słyszał o Bieriezowskim, owianym sławą rosyjskim oligarsze, który doszedł do gigantycznej fortuny, wykupując za bezcen państwowy majątek pod rządami wiecznie pijanego prezydenta Jelcyna, a następnie wyprowadził większość pieniędzy za granicę, inwestując w jachty i nieruchomości w całej Europie. „A więc to jest źródło tych wszystkich pieniędzy", uświadomił sobie Moussavi. Doszedł do wniosku, że Young jest tylko chciwym młokosem, który umie bajerować, a wdawanie się w konszachty z szemranymi rosyjskimi miliarderami było bardzo ryzykowne. Od tego momentu Moussavi źle wróżył nowemu lokatorowi swojej dawnej rezydencji. „Scot Young ma niewielkie szanse dożyć starości", uznał. „To wynika z rachunku prawdopodobieństwa".

II

Moskwa i Petersburg, 1994 rok

Niebo nad Moskwą przesłaniał gęsty śnieg, gdy niski, zażywny rekin biznesu o błyszczących niespożytą energią czarnych oczach wysiadł z limuzyny i szybkim krokiem ruszył w kierunku przedrewolucyjnego pałacyku, w którym urządził swoje centrum dowodzenia. Borisowi Bieriezowskiemu towarzyszyła liczna obstawa. Ojciec chrzestny rosyjskich oligarchów niemal zawsze się spieszył, a ten dzień nie był pod tym względem wyjątkiem. Bieriezowski rozbudowywał swoje imperium.

Odrestaurowana kupiecka rezydencja z dziewiętnastego wieku znajdowała się w ekskluzywnym zakątku śródmieścia Moskwy, w pobliżu mostu Ustyńskiego. Po drugiej stronie zamarzniętej rzeki Moskwy, za zasłoną śniegu, błyszczały na tle stalowego nieba kopuły Kremla. Bieriezowski zamknął z obu stron wjazd na ulicę i urządził w swojej siedzibie prywatny, luksusowy klub dla rodzącej się nowej polityczno-biznesowej elity Rosji. Ze zdobionych stiukami sufitów zwisały ogromne żyrandole, meble przyjechały z Włoch, a bar serwował najlepsze wina, jakie można było kupić za ruble.

Wybitny radziecki matematyk, inżynier i obsesjonat szachów pomnożył majątek po rozpadzie ZSRR i w wieku czterdziestu kilku lat po raz pierwszy mógł się uważać za naprawdę bogatego człowieka. Kiedy runęła żelazna kurtyna, błyskawicznie wykorzystał otwierające się możliwości i zaczął sprowadzać niemieckie samochody. Gdy Rosja otworzyła się na kapitalizm, jego firma gwałtownie się rozrosła. Bieriezowski został największym dystrybutorem państwowej Wołżańskiej Fabryki Samochodów (AwtoWAZ), od której brał w komis wielkie partie aut Łada. Zarabiał gigantyczne pieniądze na hiperinflacji szalejącej w Rosji po uwolnieniu cen, ponieważ kiedy płacił producentowi za sprzedane samochody, wymieniona w kontrakcie nominalna cena hurtowa była już wielokrotnie niższa od rynkowej. Jego firma LogoWAZ

zarobiła w ten sposób krocie, a następnie została oficjalnym dealerem Mercedesa, Chryslera, Chevroleta i kilku innych prestiżowych zachodnich marek. LogoWAZ uważano za symbol sukcesu w nowej, kapitalistycznej Rosji. Ale Bieriezowski ciągle chciał więcej.

Zanim w mroźny styczniowy poranek biznesmen dotarł do drzwi siedziby swojej firmy, w jego kieszeni rozdzwonił się kosztowny gadżet – kobylasty telefon komórkowy. Telefonował dyrektor generalny LogoWAZ-u Julij Dubow, który nadzorował nowy projekt firmy i natrafił na poważny problem.

Władze Petersburga nie chciały wydać papierka potwierdzającego, że LogoWAZ jest właścicielem działki, na której firma budowała nowe reprezentacyjne centrum serwisowe Mercedesa. Jeśli obiekt zostanie otwarty bez kompletu dokumentów, natychmiast zleci się stado sępów: domagający się łapówek skorumpowani urzędnicy ratusza i grasujący w Petersburgu rekietierzy. Tymczasem ustalony z niemieckim gigantem motoryzacyjnym termin zbliżał się wielkimi krokami.

– Nasi ludzie są bezradni. – W głosie Dubowa brzmiała rozpacz. – To grozi zniszczeniem naszych relacji ze Stuttgartem.

Bieriezowski wiedział dokładnie, co należy zrobić.

– Musisz pójść z tym do Putina – poradził.

– Kim, u diabła, jest Putin? – spytał zaskoczony Dubow.

Limuzyna mknęła przez ośnieżony Petersburg, mijając zwieńczony złotymi kopułami Sobór Kazański i błyszczące kolumny Pałacu Zimowego. Jadący nią Dubow zastanawiał się, co właściwie wie o człowieku, z którym miał zjeść obiad. Bieriezowski wyjaśnił mu, że Władimir Władimirowicz Putin jest zastępcą mera Anatolija Sobczaka, niezłomnie lojalnym wobec starzejącego się szefa, choć w rzeczywistości nawet potężniejszym od niego. I że to on rządzi teraz miastem.

– Porządny z niego facet – powiedział Bieriezowski. – Nic w Petersburgu nie dzieje się bez jego zgody.

Dyrektor prężnie rozwijającego się przedsiębiorstwa w Moskwie ugaszczał wielu polityków i był pewien, że wie, jak przebiegnie spotkanie z Putinem. Przez kilka godzin będzie go karmił

wykwintnymi potrawami i poił wódką, zanim przejdą do interesów i dobiją targu.

Kiedy strzepując śnieg z rękawów płaszcza, Dubow wszedł do restauracji, w holu siedziało dwóch mężczyzn w szarych garniturach. Wstali, żeby się z nim przywitać. Niższy, drobny i niepozorny, przedstawił się jako Władimir Władimirowicz. Zachowywał się z rezerwą, do której pasował poważny ciemny krawat. „Gdyby postawić go pod ścianą", pomyślał Dubow, „zlałby się z tłem". Drugi mężczyzna, sekretarz Putina Igor Sieczin, stał na baczność obok swojego szefa z aktówką w jednej ręce i wielkim telefonem komórkowym w drugiej. Tworzyli dziwnie ascetyczną parę.

Urzędnicy petersburskiego ratusza odmówili drinka i nie usiedli. W oczekiwaniu na stolik, który miał być gotowy za dziesięć minut, Dubow wygłosił kilka uwag na temat pogody w Petersburgu, która jego zdaniem była, uczciwie mówiąc, parszywa. Kiedy jego próby przełamania lodów rozbiły się o kamienne milczenie, uznał, że nie ma co dalej owijać w bawełnę i trzeba przejść do rzeczy.

Wyjaśnił, że LogoWAZ zapłacił za działkę pod budowę nowego centrum serwisowego Mercedesa i że prace budowlane dobiegają końca. Jednak administracja miasta wstrzymuje wydanie dokumentu potwierdzającego, że teren jest własnością firmy. Czy zastępca mera mógłby coś w tej sprawie zrobić?

– Proszę mi dać minutę. – Putin wziął od sekretarza telefon, wyciągnął antenę i energicznym krokiem podszedł do okna.

Po chwili wrócił, oddał aparat Sieczinowi i zwrócił się do Dubowa.

– Dokumenty zostaną wystawione. Może je pan odebrać w urzędzie – oznajmił, sięgając po płaszcz. – Do widzenia.

– A co z obiadem? – zapytał zaskoczony Dubow.

– Sądziłem, że umówiliśmy się na obiad – powiedział Putin. – Ale okazało się, że miałem po prostu rozwiązać problemy pańskiej firmy. Skoro to już zrobiłem, nie ma sensu marnować czasu na jedzenie i gadanie.

Po tych słowach Putin i Sieczin odwrócili się na pięcie i sztywnym krokiem opuścili lokal, odprowadzani wzrokiem osłupiałego Dubowa.

– To strasznie dziwny facet – powiedział Bieriezowskiemu, kiedy spotkał się z nim w klubie LogoWAZ-u w Moskwie. Jaki polityk odmawia darmowej wyżerki w podziękowaniu za wyrządzoną przysługę?

– Tak – przyznał z uśmiechem Bieriezowski. – Jest wyjątkowym człowiekiem.

Kilka lat wcześniej Bieriezowski, wówczas początkujący importer samochodów, zaproponował młodemu urzędnikowi petersburskiego ratusza niewielką łapówkę za załatwienie kilku drobnych formalności. Ku jego zdumieniu Putin nie przyjął pieniędzy. Bieriezowski pierwszy raz w życiu widział rosyjskiego urzędnika, który nie bierze łapówek. To doświadczenie wywarło na nim ogromne wrażenie i od tamtej pory za każdym razem, kiedy był w Petersburgu, zachodził do biura Putina, by uciąć z nim pogawędkę. Dla człowieka, który chciał robić interesy w drugim po Moskwie najważniejszym mieście Rosji, była to cenna znajomość. Co więcej, wpływy Putina wyraźnie nie ograniczały się do ratusza.

Wszystko wskazywało na to, że młody sumienny zastępca mera miał posłuch także wśród potężnych grup przestępczych, które terroryzowały Petersburg. Mafia szybko wypełniała pustkę po implozji sowieckiego państwa policyjnego, a branża samochodowa cieszyła się szczególnym zainteresowaniem gangsterów. Uzbrojeni bandyci kradli całe partie nowych samochodów i kontrolowali lukratywne przedstawicielstwa zachodnich marek. Z tego powodu otwarcie nowego, rzucającego się w oczy serwisu Mercedesa w samym centrum Petersburga wiązało się z pewnym ryzykiem. Na szczęście Putin cieszył się dużym respektem w najpotężniejszej petersburskiej grupie przestępczej, mafii z Tambowa, i mógł nie tylko wygładzić biurokratyczne wyboje, lecz także zagwarantować bezpieczeństwo wszystkim przedsięwzięciom Bieriezowskiego w mieście.

Bieriezowski nie miał wątpliwości, że Putin jest wyjątkowym człowiekiem. Bo tylko ktoś wyjątkowy mógł zajść tak wysoko w hierarchii urzędniczej i zdobyć szacunek mafiosów, nie łamiąc swoich zasad moralnych. Bo tylko ktoś wyjątkowy pomagałby, nie chcąc niczego w zamian.

W rzeczywistości jednak Putin chciał czegoś, i to bardzo, a Bieriezowski był właśnie tym człowiekiem, który mógł mu to zapewnić. Nie chodziło o darmową wyżerkę, samochód czy kasę. Władimir Władimirowicz marzył o kluczach do Kremla.

Borys Jelcyn wygrał wybory prezydenckie w 1991 roku, obiecując Rosjanom, że wyprowadzi ich z mroków totalitaryzmu ku świetlanej przyszłości swobód i dobrobytu. Zgodnie z zaleceniami Banku Światowego i innych bastionów zachodniego kapitalizmu zastosował strategię terapii szokowej, polegającą na nagłym uwolnieniu cen i pospiesznej prywatyzacji państwowych przedsiębiorstw. To wszystko w połączeniu z decyzją zatkania dziury budżetowej masowym dodrukiem rubli spowodowało długotrwałą hiperinflację, która pozbawiła zwykłych obywateli oszczędności całego życia, wpędzając ich w rozpaczliwą nędzę. Ale garstce szczęściarzy gwałtowny upadek gospodarki socjalistycznej przyniósł niewyobrażalne bogactwo.

Bieriezowski wkradł się w łaski pierwszego demokratycznie wybranego prezydenta Rosji, finansując publikację jego wspomnień. Wydane w 1993 roku *Notatki prezydenta*[2] okazały się kompletną klapą, ale Bieriezowski dopilnował, by autor otrzymał sowite honorarium. Grając na próżności Jelcyna, uzyskał dostęp do kręgu jego najbliższych. Natychmiast zaczął zabiegać o względy wpływowej córki prezydenta, Tatiany. Obsypywał ją prezentami, na różne sposoby przychylał nieba i wkrótce został jej serdecznym przyjacielem. W ten sposób wszedł do „kremlowskiej rodziny”, wąskiej grupy osób doradzających Jelcynowi, który rozmontowywał aparat radzieckiego państwa i rozdawał jego majątek. Biznesmen do maksimum wykorzystał swoją uprzywilejowaną pozycję na prezydenckim dworze.

LogoWAZ zarobił na hiperinflacji ogromne pieniądze, które Bieriezowski zamierzał przeznaczyć na zakup tylu państwowych przedsiębiorstw i nieruchomości, ile tylko uda mu się wyszarpać. Radziecki system nie dopuszczał prywatnej działalności gospodarczej; w ZSRR funkcjonowało około czterdziestu pięciu tysięcy przedsiębiorstw państwowych, w tym koncerny eksploatujące bogate złoża ropy, gazu i innych minerałów

kopalnych, które można było teraz kupić za bezcen na Jelcynowskiej wyprzedaży. Bieriezowski miał pieniądze i kontakty na Kremlu gwarantujące mu dostęp do najlepszych kąsków, jakie pojawiały się na aukcjach, ale potrzebował jeszcze jednej rzeczy. W brutalnym chaosie postsowieckiej Rosji nie można było prowadzić interesów bez pójścia do łóżka z mafią.

Likwidacja radzieckich organów bezpieczeństwa pociągnęła za sobą gwałtowny wzrost przestępczości zorganizowanej – nie tylko dlatego, że nie miał kto z nią walczyć, lecz także z tego względu, że tysiące rozformowanych funkcjonariuszy KGB zasiliły szeregi mafii. Podczas gdy zwykli obywatele, przecierając ze zdumienia oczy, próbowali rozeznać się w nowej rzeczywistości, bandyci weszli w nią jak w masło. Współpracowali z najbardziej rzutkimi, najzdolniejszymi ludźmi w Rosji (którym socjalistyczne państwo zablokowało inne drogi do zdobycia majątku), mieli kilkudziesięcioletnie doświadczenie w transakcjach na czarnym rynku (*de facto* zastępującym w ZSRR sektor prywatny) i układy z ludźmi władzy, którym w czasach komunizmu dostarczali dobra luksusowe. Kiedy rozpoczęła się wyprzedaż państwowego majątku, mafia natychmiast wkroczyła do gry, przejmując za półdarmo znaczne udziały w sektorach energetycznym, wydobywczym, telekomunikacyjnym i transportowym. Kapitalizm otworzył dla nich kolejne pole intratnej działalności: każdy, kto chciał prowadzić działalność biznesową w Rosji, musiał płacić gangom za *kryszę* (ochronę, dosłownie „dach”); inaczej był zastraszany, wypędzany z miasta lub zabijany. Nie bez powodu w 1994 roku Jelcyn nazwał swój kraj „największym państwem mafijnym świata”, ostrzegając przed „przestępczym supermocarstwem, które przeżarło państwo od góry do dołu”. Mafia przejęła kontrolę i jeśli Bieriezowski chciał przetrwać w brutalnym świecie rodzącego się rosyjskiego kapitalizmu, musiał ułożyć sobie z nią stosunki.

I tu na scenę wkracza Arkadi „Badri” Patarkaciszwili. Wąsaty gruziński biznesmen miał liczne koneksje w postsowieckim świecie przestępczym, potężnych przyjaciół w moskiewskiej mafii i powiązania z elementem kryminalnym w służbach bezpieczeństwa. Był jednym z dyrektorów państwowej fabryki samochodów w stolicy Gruzji, Tbilisi. Bieriezowski uznał, że Badri może mu się przydać,

więc ściągnął go do Moskwy i uczynił wicedyrektorem LogoWAZ-u. Najcenniejszym kontaktem Patarkaciszwilego był gruziński mafioso i mistrz zapasów Otari Kwantriszwili, jeden z najpotężniejszych gangsterów działających w latach dziewięćdziesiątych w stolicy Rosji. Kwantriszwili był legendarnym przywódcą mafii w szalonych początkach prywatyzacji, przyjaźnił się z wieloma politykami i rozstrzygał spory między grupami przestępczymi rywalizującymi między sobą o atrakcyjne obiekty wystawiane na sprzedaż na aukcjach. Patarkaciszwili pojawił się w Moskwie pod koniec 1993 roku i zdążył wyrobić sobie pozycję w stołecznych kręgach przestępczych, zanim Kwantriszwili zginął na parkingu od kuli snajpera.

Dzięki dobraniu do współpracy Patarkaciszwilego Bieriezowski był ustawiony we wszystkich trzech środowiskach, od których zależały powodzenie w biznesie i szanse na przeżycie w brutalnej postsowieckiej Rosji: w mafii, na Kremlu i w służbach bezpieczeństwa. Co więcej, w ściągniętym z Tbilisi zapaśniku znalazł bratnią duszę. Boris i Badri, jak mówiono o nich na mieście, szybko stali się nierozłączni. Tworzyli świetnie dopasowany zespół. Bieriezowski był człowiekiem skrajności, zarówno pod względem upodobań, jak i nastrojów – nieodparcie czarującym, fantastycznie przekonującym i beznadziejnie niepraktycznym. Patarkaciszwili, z wąsami i słabością do futrzanych czap, stanowił jego biegunowe przeciwieństwo. Pod maską ojcowskiej dobroduszności skrywał żelazną wolę i zawsze doprowadzał sprawę do końca. Idealnie się dopełniali: Bieriezowski wnosił wizjonerskie pomysły, Patarkaciszwili przekładał je na praktyczne rozwiązania. Ich partnerstwo przyniosło oszałamiające efekty.

Na aukcjach prywatyzacyjnych Boris i Badri nabyli imponujący zestaw przedsiębiorstw, błyskawicznie stając się multimiliarderami. Zaczęli od przekształcenia lukratywnego kontraktu z AwtoWAZ-em w pakiet kontrolny państwowych zakładów motoryzacyjnych. Następnie wykupili większościowy pakiet akcji narodowych linii lotniczych Aerofłot, kilka dużych banków i znaczną część krajowej branży aluminiowej. Najcenniejszym nabytkiem był kupiony do spółki z innym oligarchą, Romanem Abramowiczem, największy

rosyjski koncern paliwowy Sibnieft. Państwo sprzedało go za sto milionów dolarów – niewielki ułamek jego prawdziwej wartości.

Wzbogaciwszy się na wyprzedawanym majątku państwa, Boris i Badri dostrzegli kolejną okazję do rozbudowania swojego imperium biznesowego: przejęcie koncernów medialnych, które po zniesieniu sowieckiej cenzury przeżywały okres gwałtownego rozwoju. Kupili udziały w środkach masowego przekazu, między innymi w ogólnokrajowej gazecie „Kommiersant" i największej rosyjskiej stacji telewizyjnej Pierwyj Kanał, zapewniając sobie dostęp do 98 procent rosyjskich gospodarstw domowych i zdobywając potężne narzędzie politycznych wpływów.

W połowie lat dziewięćdziesiątych radziecki matematyk był filarem nowej kleptokracji rodzącej się na gruzach sowieckiego państwa. Ta potężna pozycja wiązała się jednak z równie potężnym ryzykiem.

Ukośne promienie zachodzącego słońca zaglądały pod wystające gzymsy klubu LogoWAZ-u, przed którym mruczał silnikiem srebrny mercedes 600 Bieriezowskiego, czekając na swego właściciela. Oligarcha wyszedł tylnymi drzwiami i żwawym krokiem skierował się w stronę kuloodpornego pojazdu. W marszu skinął głową ochroniarzowi, który otworzył drzwi samochodu i przytrzymał je, by szef mógł wygodnie wsunąć się na tylne siedzenie. Był środek lata 1994 roku, na ulicach panowały cisza i spokój. Ale ledwie kierowca wyprowadził wóz z prywatnej uliczki Bieriezowskiego na publiczną magistralę, przedwieczorną ciszę rozdarł huk potężnej eksplozji, która poderwała mercedesa w powietrze, rozerwała pancerne drzwi i sypnęła biznesmenowi w twarz gradem odłamków szkła i metalu. Kiedy opadł dym, Bieriezowski zobaczył przed sobą bezgłowe zwłoki szofera. Z trudem wydostał się z rozgrzanego wraku. Na ulicy leżeli ciężko ranni przechodnie i dymiły osmalone szczątki niebieskiego opla zaparkowanego przy krawężniku. Samochód został nafaszerowany pół kilogramem materiałów wybuchowych, które w każdej chwili można było odpalić za pomocą zdalnego detonatora.

Bieriezowski przez kilka tygodni leczył poparzenia i rany szarpane twarzy w klinice w Szwajcarii, gdzie czuł się jak u siebie.

W końcu to właśnie do tamtejszych banków trafiała większość pieniędzy, które jego firmy wyprowadzały z Rosji. Po powrocie do Moskwy zaprosił go na rozmowę młody oficer FSB, który kierował śledztwem w sprawie zamachu na jego życie. Oficerem tym był Aleksandr Litwinienko.

Skrupulatny funkcjonariusz obejrzał miejsce zdarzenia, przesłuchał świadków i przekopał się przez opasłe akta organizacji przestępczych, ale nie zdołał ustalić zleceniodawcy zamachu. Jedynym tropem był spór kredytowy LogoWAZ-u z bankiem kontrolowanym przez moskiewskiego gangstera Siergieja Timofiejewa (znanego na mieście jako Sylwester, ze względu na nieznaczne podobieństwo do Sylvestra Stallone'a), ale Bieriezowski milczał na ten temat jak zaklęty. Litwinienko doszedł do ściany, ale jednego był pewien: mafijni protektorzy Bieriezowskiego potraktują zamach na swojego protegowanego jako osobistą zniewagę. Jeśli odkryją, kto go zlecił, można się spodziewać odwetu.

Cztery miesiące po zamachu przed klubem LogoWAZ-u policja znalazła w centrum Moskwy kolejny spalony samochód. Elegancki sedan zniszczyła przyczepiona do podwozia bomba. W środku znajdowały się zmasakrowane zwłoki Timofiejewa.

Litwinienko nigdy nie znalazł dowodów na to, kto stał za zamachem. Sprawa zabójstwa Sylwestra także nie doczekała się rozwiązania, chociaż w moskiewskim podziemiu kryminalnym krążyła plotka, że gangster sfingował swoją śmierć i ulotnił się z kraju. Jednak młody skrupulatny detektyw o przenikliwym spojrzeniu błękitnych oczu, krótko przyciętych płowozłotych włosach i starannych manierach, ujął Bieriezowskiego. Panowie wymienili się numerami telefonów i umówili się, że będą w kontakcie.

Litwinienko stanowił anomalię wśród oficerów rosyjskich służb. Był idealistą, nie pił alkoholu i miał obsesję na punkcie prawa i porządku – prawdziwa rzadkość w postsowieckiej Moskwie. Jako dwudziestoparolatek przeszedł chrzest bojowy w chaosie schyłkowych dni KGB i po rozwiązaniu starej agencji bezpieczeństwa publicznego zdobył wymarzoną pracę w organizowanym od nowa wydziale kryminalnym FSB.

Pod schludną powierzchownością Litwinienki czaiła się niespożyta energia. Młody człowiek miał namiętną naturę i łatwo wpadał w ekscytację, ale w akademii KGB nauczył się z zabójczą precyzją ukierunkowywać porywy entuzjazmu. Fanatycznie pilnował porządku w papierach, prowadził dokładne zapiski, którymi lubił się popisywać przed kolegami. Skrupulatnie archiwizował wszystkie dowody i informacje, na jakie natrafił, badając brudne interesy mafii.

Pierwszą wielką miłością Litwinienki była praca, ale niedawno w jego sercu wybuchło nowe uczucie, w które zaangażował się z całą swoją wysokooktanową energią. Jego wybranką była Marina, oszałamiająco wytworna jasnowłosa tancerka o błękitnych zamglonych oczach i wydatnych słowiańskich kościach policzkowych, którą poznał u przyjaciół. Z chłopięcym zapałem zabiegał o jej względy, przynosząc jej prezenty, bukiety kwiatów i kiście bananów, jej ulubionych owoców. Z ich płomiennego romansu urodził się synek, któremu dali na imię Anatolij. Para planowała ślub. Jednakże kiedy w życiu osobistym młodego oficera FSB zapanował błogi spokój, nad jego ukochaną pracą zawisły czarne chmury.

Litwinienko zgromadził całe góry materiałów dowodowych na temat działalności potężnych rosyjskich organizacji przestępczych. Podsłuchiwał rozmowy telefoniczne gangsterów, miał konfidentów wśród bliskich przyjaciół mafijnych bossów i skrupulatnie badał powiązania bandytów z politykami i urzędnikami. Analizując materiały dotyczące pewnej szczególnie niebezpiecznej grupy, dokonał kilku odkryć, które silnie zachwiały jego wiarą w nową Rosję.

Litwinienko dotarł do dowodów, że służba bezpieczeństwa pomaga mafii tambowskiej w przerzucaniu kolumbijskiej heroiny na zachód Europy przez port w Petersburgu. Nad powodzeniem tych operacji czuwali wszechmocni urzędnicy ratusza. W materiałach nieustannie powtarzało się jedno nazwisko: Władimir Putin.

Putin był KGB-istą do szpiku kości. Jako mały chłopiec oglądał radziecki serial szpiegowski *Tarcza i miecz* i od tamtej pory marzył o pracy w Komitecie Bezpieczeństwa Państwowego. W 1975 roku,

najwcześniej jak mógł, wstąpił na akademię KGB w rodzinnym Leningradzie (jak w czasach komunizmu nazywał się Petersburg). Po jej ukończeniu otrzymał zadanie szpiegowania przebywających w tym mieście dyplomatów. Wkrótce szefostwo wysłało go do Drezna w Niemieckiej Republice Demokratycznej, gdzie pod przykrywką tłumacza prowadził działalność wywiadowczą. Dla chłopaka, który od najmłodszych lat fascynował się KGB, nie był to spektakularny start zawodowy. Drezno leżało po niewłaściwej stronie żelaznej kurtyny; prawdziwe przygody zdarzały się na Zachodzie, za murem. Nadzieje Putina, że placówka w Dreźnie okaże się wstępem do poważniejszych zadań, ucięła niespodziewana tragedia. Po upadku muru berlińskiego w 1989 roku odesłano go z powrotem do Leningradu i przydzielono do nudnej roboty – werbowania narybku wśród studentów uniwersytetu. W dawnej rosyjskiej stolicy z przerażeniem obserwował rozpad radzieckiego państwa i swego ukochanego KGB.

Gdy na gruzach ZSRR wykluwała się nowa kapitalistyczna rzeczywistość, szefowie KGB zachęcali swoich byłych podwładnych do nawiązywania kontaktów z mafią. Nikt w kraju nie rozumiał mechanizmów rynkowych tak dobrze jak jej bossowie. Można było w ciemno założyć, że zaczną oni współrządzić nową Rosją, a rozformowane KGB postanowiło sprzymierzyć się z nowym ośrodkiem władzy. Z zebranych przez Litwinienkę dowodów[3] wynikało, że Putin i jego kolega z KGB, niejaki Wiktor Iwanow, zgodnie z zaleceniami zwierzchników zaczęli robić interesy z gangiem z Tambowa.

Iwanow był zuchowatym młodym oficerem o niefrasobliwym spojrzeniu, który mógł się poszczycić znacznie bardziej awanturniczą karierą od Putina: w czasie wojny radziecko-afgańskiej przez dwa lata służył w Afganistanie. Z uzyskanych przez Litwinienkę informacji wynikało, że w ostatnich dniach istnienia KGB Iwanow nawiązał bliską znajomość z bossem mafii tambowskiej Władimirem Kumarinem i że to on wciągnął do akcji Putina. Tambowcy prowadzili wówczas krwawą wojnę o kontrolę nad Leningradem z konkurencyjnym gangiem Małyszewa; Iwanow stanął po stronie Kumarina i wykorzystując zasoby KGB, pomógł mu wypędzić rywala z miasta. Gdy mafia tambowska (Brać Tambowska)

przejęła kontrolę nad Leningradem, Iwanow został niezastąpionym partnerem Kumarina. Pomagał mu szmuglować heroinę i zabezpieczał inne lukratywne biznesy gangu: przemyt broni, handel ludźmi, wymuszanie haraczy i zabójstwa na zlecenie. Jak wynikało z zebranych przez Litwinienkę informacji, Putin został zwerbowany do pomocy w legalizowaniu zysków. Zasiadał w radzie konsultacyjnej szemranej firmy deweloperskiej St. Petersburg Immobilien und Beteiligungen Aktiengesellschaft (SPAG), najprawdopodobniej założonej przez Kumarina w celu prania brudnych pieniędzy z handlu narkotykami.

Po rozwiązaniu w 1991 roku KGB Putin i Iwanow zachowali swoje kontakty w mafii. Iwanow podjął pracę w Federalnej Służbie Kontrwywiadu, która była bezpośrednią następczynią Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, i wszystko wskazywało na to, że w dalszym ciągu wykorzystywał aparat państwa do ułatwiania Kumarinowi przemytu kolumbijskiej heroiny. Putin zatrudnił się w merostwie Leningradu, gdzie jak należało się domyślać, pilnował, by władze nie interesowały się zbytnio działalnością Iwanowa i Kumarina. Litwinienko, przekonany, że trafił na trop grubej sprawy, postanowił drążyć dalej. Młody oficer nie miał pojęcia, jak wysoką cenę przyjdzie mu w przyszłości zapłacić za tę decyzję.

Nowy urzędnik ratusza, wyróżniający się na tle kolegów powagą i pracowitością, od razu wzbudził sympatię mera Anatolija Sobczaka. Miał również tę zaletę, że nie wysuwał się na pierwszy plan, pozwalając błyszczeć szefowi. Oprócz tego znał doskonale niemiecki, co było bardzo przydatne w portowym mieście, które wraz z całą Rosją otwierało się właśnie na świat. Wkrótce mer powierzył Putinowi kierowanie komisją do spraw kontaktów z zagranicą, której zadaniem było przyciąganie zagranicznych inwestorów.

Szalejąca inflacja boleśnie odbijała się na zaopatrzeniu Petersburga w żywność, a Putin nie potrzebował wiele czasu, żeby się zorientować, że każdy kryzys rodzi możliwości. Lokalne władze uzyskały zgodę rządu federalnego na eksport ropy, drewna i metali w zamian za mięso, owoce i cukier dla głodnej ludności. To właśnie Putin zajmował się przydzielaniem licencji na eksport miejscowym

przedsiębiorcom. Pod jego nadzorem z petersburskiego portu odpłynęły surowce o wartości miliona dolarów, ale dziwnym zrządzeniem losu wszystkie firmy, którym przyznał licencje, pozamykały się natychmiast po wyekspediowaniu ładunku. Kiedy wyeksportowane surowce rozpłynęły się w morskiej mgle, a oczekiwana żywność nie pojawiła się w sklepach, nie było kogo pociągnąć do odpowiedzialności.

Eksportowo-importowe perturbacje zwróciły uwagę Mariny Salje, twardej zastępczyni przewodniczącego rady miasta, która prowadziła nieprzejednaną walkę z wszechobecną w Petersburgu korupcją. Widząc, że zaopatrzenie w mięso, owoce i cukier się nie poprawia, Salje wszczęła śledztwo. Podejrzewała, że Putin i jego kumple zagarnęli dostawy dla siebie, nie przejmując się głodującą ludnością. W rezultacie rada miasta przegłosowała postawienie Putinowi zarzutu defraudacji i przekazała sprawę prokuraturze. Rozgniewany Putin energicznie zaprzeczył oskarżeniom, przerzucając odpowiedzialność na nieistniejące już firmy. Prokuratura nie wszczęła przeciwko niemu postępowania, ponieważ zainterweniował Sobczak.

Mer zdobył sympatię wyborców, ostro krytykując autorytarną władzę komunistów, ale demokratyczne mechanizmy, które zastąpiły stary reżim, szybko przestały mu się podobać. W ratuszu urzędowała czterystuosobowa rada miejska wybrana w pierwszych demokratycznych wyborach i entuzjastyczni nowicjusze, naciskający jednocześnie na wszystkie dostępne im dźwignie władzy, niezwykle utrudniali mu życie. Toczyli zajadłe spory przed podjęciem każdej, nawet najprostszej decyzji i z niezwykłym upodobaniem korzystali z nowego prawa do podważania postanowień mera na drodze sądowej.

Putin, który uważnie obserwował potyczki swojego szefa z legislaturą, teraz sam posmakował czepialstwa pochodzących z wyboru urzędników. Uważał demokrację za kulę u nogi. Co innego kapitalizm. Wolny rynek otwierał nieograniczone możliwości. Kiedy [w 1994 roku] został pierwszym zastępcą mera Petersburga, łączył już w sobie wszystkie cechy typowe dla starej i nowej Rosji. Stworzył autorską hybrydę autorytarnych metod, szacunku dla sił rynkowych i typowego dla kleptokratów zamiłowania do

kryminalnych przekrętów. Stawał się coraz potężniejszy, a proporcjonalnie do wpływów w mieście rosły też jego ambicje. Kiedy Boris Bieriezowski zapukał do drzwi Putina, zastępca Sobczaka dostrzegł szansę na zdobycie prawdziwej władzy.

III

Davos, Szwajcaria, 1996 rok

Okna urządzonego z przepychem salonu lały ciepły blask na zaśnieżoną uliczkę szwajcarskiego kurortu, w którym obradowali przywódcy najwyżej rozwiniętych krajów świata. W środku Boris Bieriezowski wygłaszał płomienną mowę. Pochylony lekko do przodu przedstawiał argumenty nielicznym, za to bardzo wpływowym słuchaczom. Był styczeń 1996 roku i niejako na marginesie Światowego Forum Ekonomicznego w Davos ważyły się losy Rosji. O przyszłości państwa po raz kolejny miała zadecydować wąska grupka krezusów.

Borys Jelcyn, który postanowił ubiegać się o reelekcję po zakończeniu pierwszej kadencji, pijackim krokiem zmierzał w kierunku upokarzającej porażki. Przeprowadzony pod jego auspicjami program reform, który w zamyśle miał być terapią szokową dla postsowieckiej gospodarki, pogrążył naród w nędzy. Publiczne wystąpienia prezydenta Federacji Rosyjskiej, coraz bardziej bełkotliwe i chaotyczne, ściągały na niego pogardę obywateli. Poparcie dla Jelcyna spadło poniżej dziesięciu procent. Ku przerażeniu Bieriezowskiego komuniści miażdżącą przewagą wygrali wybory parlamentarne, które odbyły się miesiąc wcześniej, i zdecydowanie prowadzili w pierwszych przedwyborczych sondażach. Milioner nie miał wątpliwości, co się stanie, jeśli przejmą władzę na Kremlu – będzie to koniec potęgi oligarchów. Przedsiębiorstwa i nieruchomości, które przejęli od państwa, zostaną skonfiskowane, majątek rozgrabiony, a oni sami wysłani na Syberię. Przerażenie biznesmena sięgnęło zenitu, kiedy lider rosyjskich komunistów pojawił się w Davos, gdzie najważniejsi światowi przywódcy i dziennikarze powitali go jako przyszłego prezydenta Rosji. Bieriezowski nie zamierzał patrzeć z założonymi rękami, jak Rosja zsuwa się w otchłań. Miał zbyt wiele do stracenia.

Najpotężniejsi rosyjscy oligarchowie przybyli do Davos na zaproszenie ojca chrzestnego, który chciał im przedstawić swój plan ratowania ojczyzny. Bieriezowski oznajmił gościom, że za wszelką cenę muszą uratować wybory, a po wygranej walce wystawią Jelcynowi rachunek. Zdolność przekonywania i tym razem go nie zawiodła. Panowie zawarli tajne porozumienie: postanowili wpompować w kampanię wyborczą Jelcyna kilkadziesiąt milionów dolarów, by nie dopuścić do powrotu do władzy komunistów. „Wielka siódemka" oligarchów kontrolowała wspólnie około połowy majątku narodowego i wszystkie najważniejsze środki przekazu Rosji. Zamierzali wykorzystać swoje zasoby finansowe, stacje telewizyjne i gazety do rozpętania totalnej wojny informacyjnej, która pomoże Jelcynowi zachować stanowisko prezydenta. Według rosyjskiego prawa wyborczego wydatki kandydata na kampanię wyborczą nie mogą przekroczyć trzech milionów dolarów, ale od kiedy rosyjscy multimiliarderzy pozwalają, żeby takie drobiazgi jak przepisy przeszkodziły im w osiągnięciu tego, co sobie zamierzyli?

Po powrocie do Moskwy Bieriezowski za pieniądze z utworzonego w Davos funduszu bojowego zorganizował Jelcynowi sprawną kampanię wyborczą w zachodnim stylu, z koncertami gwiazd rocka, wystąpieniami celebrytów, chwytliwymi reklamami oraz odpowiednią oprawą medialną. Zapłacił za programy telewizyjne i artykuły prasowe, których jedynym celem było wychwalanie Jelcyna pod niebiosa i przedstawianie zwolenników Partii Komunistycznej FR jako krwiożerczych stalinistów. Plan przyniósł spodziewane efekty. Poparcie dla Jelcyna odbiło się od dna i systematycznie rosło, aż w lecie 1996 roku Rosjanie wybrali go na drugą kadencję. Ale za pomoc oligarchów trzeba było słono zapłacić.

W zamian za sfinansowanie reelekcji Jelcyna „wielka siódemka" uzyskała pakiety kontrolne dochodowych przedsiębiorstw, których państwo nie zdążyło się jeszcze wyzbyć. Po wygranych wyborach Jelcyn natychmiast zorganizował kolejne ustawione aukcje zastawne, utwierdzając naród w zapiekłej nienawiści do rządzącej państwem kleptokracji. W roku 1997, rok po zawarciu „Paktu w Davos" i intratnych transakcjach, które były jego następstwem, czasopismo „Forbes" umieściło Bieriezowskiego na dziewiątym

miejscu listy najbogatszych przedsiębiorców świata, wyceniając jego majątek osobisty na trzy miliardy dolarów. Ale profity, które przyniosło mu załatwienie Jelcynowi drugiej kadencji, nie były wyłącznie finansowe.

Wygrana Jelcyna w wyborach prezydenckich wzmocniła pozycję ojca chrzestnego rosyjskich oligarchów. Prezydent powierzył mu wpływowe stanowisko zastępcy sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej i wysłał jako swojego człowieka do Czeczenii. Bieriezowski z radością przyjął nowe wyzwania. Przyniosły mu nie tylko prestiż, lecz także dały mnóstwo możliwości dalszego pomnażania majątku.

Ale zdrowie Jelcyna szybko się pogarszało, a jego pijackie występy czyniły z Rosji pośmiewisko w oczach świata. Bieriezowski i jego koledzy zrozumieli, że pora rozejrzeć się za następcą. Potrzebowali kogoś, kim da się manipulować – bezbarwnego, uległego funkcjonariusza, który byłby zwykłym administratorem zarządzającym pod dyktando oligarchów. Bieriezowski sądził, że zna idealnego kandydata, który akurat niedawno przeniósł się do Moskwy.

Anatolij Sobczak w wyborach mera Petersburga w 1996 roku miał mniej szczęścia od Jelcyna. Nie znalazł tylu bogatych sponsorów, ilu trzeba było, by przechylić szalę zwycięstwa na jego stronę, i przegrał ze swoim dawnym zastępcą. Właśnie tego potrzebował Putin, by opuścić rodzinne miasto i wypłynąć na szersze wody. Nie przyjął zaproponowanego stanowiska w nowych władzach miasta, czym jeszcze bardziej zaimponował Bieriezowskiemu. Lojalność wobec mocodawcy była główną cechą, jakiej Jelcyn wymagał od swego przyszłego następcy. Putin wydawał się doskonałym kandydatem, który powinien przypaść mu do gustu.

Urzędujący prezydent bał się, że może zostać rozliczony za dziesięć lat systematycznego szabrowania. Zdawał sobie sprawę, że on i jego otoczenie są znienawidzeni przez długo oszukiwany naród, musiał więc znaleźć takiego kandydata, który nie pójdzie łatwą drogą populizmu i nie będzie zabiegał o poklask, prześladując ludzi poprzedniego reżimu.

Po przyjeździe do Moskwy Władimir Władimirowicz zaczął spędzać dużo czasu w towarzystwie Bieriezowskiego: odwiedzał go w klubie LogoWAZ, jeździł z nim na narty do Szwajcarii, odpoczywał w jego willi w Hiszpanii. Wkrótce oligarcha załatwił swojemu protegowanemu drugorzędne stanowisko w rządzie. Dzięki perfekcyjnie dopracowanemu wizerunkowi wcielenia dyskrecji i pracowitości Putin szybko zaskarbił sobie sympatię przełożonych. Piął się w górę przy stałym poparciu Bieriezowskiego i w 1997 roku w końcu doszedł do stanowiska, które gwarantowało prawdziwą władzę: został szefem administracji prezydenta. Wreszcie dotarł na Kreml.

Moskwa, 1998 rok

Telefon zadzwonił, kiedy Bieriezowski dochodził do siebie w szpitalu po wypadku na skuterze śnieżnym. Dzwonił młody oficer służby bezpieczeństwa, który cztery lata wcześniej prowadził śledztwo w sprawie zamachu na życie oligarchy. Aleksandr Litwinienko, który pracował teraz w najtajniejszym wydziale FSB (nowej rosyjskiej agencji bezpieczeństwa państwowego, następczyni KGB), prosił o spotkanie w cztery oczy. Powiedział, że sprawa jest pilna – nie ma chwili do stracenia.

Kiedy panowie spotkali się osobiście, Litwinienko od razu przeszedł do rzeczy. Dostał rozkaz zabicia Bieriezowskiego. Zarząd do spraw Rozpracowywania Przestępczości Zorganizowanej (*Uprawlenije po razrabotkie priestupnych organizacyj*, URPO), w którym teraz pracował, był do tego stopnia tajny, że mieścił się poza Łubianką, w nieoznakowanym bunkrze, a rozkazy wydawano wyłącznie ustnie. Litwinienko liczył na fascynujące śledztwa w sprawach wagi państwowej, ale szybko się zorientował, czym naprawdę zajmuje się nowa komórka. URPO było tajną grupą szturmową FSB.

W miarę jak władza Jelcyna słabła, a wpływy mafii rosły, prezydent Federacji Rosyjskiej pompował coraz więcej pieniędzy w zreorganizowaną agencję bezpieczeństwa publicznego. Teoretycznie FSB miało reprezentować zerwanie z barbarzyńskimi

metodami KGB, w rzeczywistości jednak pracowali tam ci sami ludzie i wcale nie podobała im się nowa Rosja. Oficjalnym zadaniem URPO była walka z potężnymi grupami przestępczymi, które zawłaszczały państwo, ale wierchuszka jego zarządu przyznała sobie znacznie szersze uprawnienia. Wyspecjalizowana jednostka zaczęła być wykorzystywana do działań natury politycznej. Aż pewnego ranka szefowie polecili Litwinience i czterem jego kolegom sprzątnąć najbardziej wpływowego rosyjskiego oligarchę.

Kierownictwo URPO nie zwykło tłumaczyć podwładnym swoich decyzji i Litwinienko nie wiedział, z jakiego powodu Bieriezowski trafił na czarną listę, ale jednego był pewien. Zamordowanie ważnego doradcy prezydenta byłoby aktem szaleństwa, nie mówiąc już o zdradzie stanu. Co gorsza, oprócz zlecenia na Bieriezowskiego oficerowie FSB otrzymali kolejne, równie szokujące zadanie. Ich kolega, powszechnie lubiany Michaił Triepaszkin, odkrył korupcyjną zmowę w FSB i szefostwo postanowiło się go pozbyć. Triepaszkin zaczynał od rozpracowywania nielegalnego handlu antykami i dziełami sztuki, a następnie został skierowany do walki z czeczeńskimi gangami, które terroryzowały Moskwę. Zaliczał się do tej samej co Litwinienko nielicznej grupy ideowców z żelazną konsekwencją ścigających przestępców. Zlikwidowanie jednego ze swoich było dla zespołu Litwinienki tak samo nie do pomyślenia, jak dopuszczenie się zdrady stanu poprzez zabójstwo członka rządu. Oficerowie postanowili ujawnić oba spiski.

Z początku Bieriezowski nie chciał uwierzyć w to, co usłyszał. On też uważał, że państwowe służby nie mogą zabić kremlowskiego urzędnika. Uwierzył dopiero wtedy, gdy Litwinienko przyprowadził kolegów z zespołu, którzy potwierdzili, że dostali taki rozkaz. Teraz należało ostrzec Triepaszkina, że FSB chce się go pozbyć. Przez kilka miesięcy niedoszli zabójcy wspólnie ze swoimi niedoszłymi ofiarami zastanawiali się, w jaki sposób zdemaskować spisek służb.

Przygotowali plan i przystąpili do jego realizacji. Pewnego chłodnego kwietniowego wieczoru zebrali się w przestronnej daczy Bieriezowskiego pod Moskwą, by pod osłoną nocy nagrać wideo ze szczegółowym opisem wydanych im rozkazów. Miało to być zabezpieczenie na wypadek aresztowania albo zabójstwa. Następnie sygnaliści złożyli skargę do prokuratury wojskowej, która wszczęła

ściśle tajne śledztwo. W oczekiwaniu na jego rezultaty Bieriezowski prowadził własne działania na Kremlu.

Federalna Służba Bezpieczeństwa wyraźnie wyrwała się spod kontroli i nadszedł czas na zmianę warty. W czerwcu 1998 roku Jelcyn posłuchał Bieriezowskiego i innych doradców i zwolnił dyrektora FSB. Na jego miejsce zatrudnił człowieka, który był znany ze skrupulatnego wykonywania poleceń zwierzchnictwa. Władimir Putin spełnił swoje młodzieńcze marzenie: został szefem całej Łubianki.

Bieriezowski był zachwycony, że szefem służby bezpieczeństwa został jego protegowany. Sądził, że teraz nie tylko udaremni spisek na swoje życie, lecz także oczyści szeregi FSB ze swoich wrogów. Polecił Litwinience, żeby poszedł do nowego dyrektora i wszystko mu dokładnie opowiedział. Śledczemu nie spodobał się ten pomysł. Kilka lat wcześniej dotarł do dowodów współpracy Putina z mafią tambowską w Petersburgu. Oligarcha nie chciał jednak słuchać argumentów oficera FSB. Nie raz osobiście przekonał się o nieposzlakowanej uczciwości Putina, a poza tym nie można przecież skreślać ważnego sojusznika. Litwinienko, chcąc nie chcąc, zrobił to, co mu polecono.

Szary, funkcjonalnie urządzony gabinet dyrektora Federalnej Służby Bezpieczeństwa na Łubiance harmonizował z osobą swego lokatora. Putin z udawaną serdecznością wyszedł zza biurka, żeby przywitać gościa, ale Litwinienko natychmiast go przejrzał. „Stara się sprawiać wrażenie sympatycznego i otwartego”, pomyślał, „ale to wszystko na pokaz”. Mimo to, zgodnie z instrukcjami Bieriezowskiego, spokojnie usiadł i opowiedział, co się dzieje w URPO. Putin wysłuchał go z uwagą i podziękował za informacje. Lecz młody oficer nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dyrektor FSB patrzy na niego z zimną nienawiścią.

Wkrótce po tym spotkaniu Putin zlikwidował URPO, bezceremonialnie zwalniając wszystkich zatrudnionych tam oficerów. Bieriezowski uznał to za akt dobrej woli, ale w rzeczywistości dyrektor FSB nie miał wyboru, ponieważ rozkaz zamknięcia wydziału przyszedł z samego Kremla. Kiedy jesienią sygnaliści dowiedzieli się, że prokuratura wojskowa odrzuciła ich

skargę, oligarcha, pewien, że dyrektor FSB jest po jego stronie, uznał, że czas nagłośnić sprawę w mediach.

Zrobił to na łamach „Kommiersanta”. Opublikował w swojej gazecie list otwarty do Putina, w którym wezwał go do wykorzenienia korupcji w FSB. Następnie zorganizował szczególną konferencję prasową. Czterej mężczyźni w kominiarkach i ciemnych okularach i Litwinienko z odsłoniętą twarzą weszli do wypełnionej dziennikarzami sali i przed kamerami ujawnili całą prawdę. Konferencję pokazywały na żywo telewizje na całym świecie. Bieriezowski uznał to za ogromny sukces. Od tamtego dnia oligarcha lubował się w dramatycznych konferencjach prasowych. Jednak na Łubiance dyrektor Federalnej Służby Bezpieczeństwa kipiał z gniewu. Sygnaliści zdradzili firmę, upubliczniając jej tajemnice, a to najcięższe przewinienie w kodeksie honorowym szpiegów, którym kierował się Putin. Litwinienko i jego tchórzliwi towarzysze, ukrywający twarze pod maskami, musieli ponieść karę, ale Putin postanowił wstrzymać się z zemstą. Musiał wspiąć się jeszcze trochę wyżej, zanim będzie mógł zrzucić własną maskę.

Putin został postawiony na czele FSB ze znacznie ważniejszych powodów niż zorganizowanie spisku na życie Bieriezowskiego. Doradcy chorego i gwałtownie tracącego popularność Jelcyna rozpaczliwie szukali na to stanowisko kogoś, kto zrobi wszystko, by chronić swojego szefa. A pewien niedawny epizod w karierze Putina wskazywał, że jest on właśnie takim człowiekiem, jakiego im trzeba.

Kiedy rok wcześniej energiczny nowy prokurator generalny Federacji Rosyjskiej Jurij Skuratow wszczął śledztwo przeciwko Anatolijowi Sobczakowi w związku z podejrzeniem o korupcję, Putin natychmiast pospieszył na ratunek byłemu zwierzchnikowi. W listopadzie 1997 roku podczas przesłuchania Sobczak doznał zawału serca i trafił do szpitala. Putin zorganizował akcję wykradzenia byłego mera Petersburga z pilnowanej przez policjantów izolatki i przerzucenia go prywatnym odrzutowcem do Paryża. Od tej pory Sobczak cieszył się życiem na uchodźstwie w *la belle France*, co bardzo przemawiało do wyobraźni doradców Jelcyna, którzy obawiali się o przyszłość prezydenta po odejściu ze

stanowiska. Między innymi dlatego, że prezydent i jego ludzie też mieli na pieńku ze Skuratowem.

Korpulentny prokurator generalny sympatyzował z komunistami i po wyborach prezydenckich w 1996 roku publicznie wypowiedział wojnę Jelcynowi. Zapowiedziawszy, że rozprawi się z korupcją na Kremlu, wszczął śledztwo w sprawie rozdawania przez ludzi prezydenta lukratywnych rządowych kontraktów za łapówki. Ekipa Jelcyna rozpaczliwie potrzebowała dyrektora FSB, który będzie umiał skutecznie ochronić prezydenta przed wymiarem sprawiedliwości. Dlatego pozbycie się Skuratowa było jednym z priorytetów nowego lokatora gabinetu na Łubiance.

Nie tylko Jelcyn znajdował się w opałach. Prokurator generalny wziął także pod lupę Bieriezowskiego. Pewnego poranka w lutym 1999 roku do moskiewskiego biura oligarchy wtargnęło kilkunastu mężczyzn w mundurach w panterkę i z automatami w ręku. Działali na polecenie Skuratowa. Kłopoty zaczęły się, kiedy trzy lata wcześniej oligarcha zainstalował swojego człowieka na stanowisku dyrektora finansowego Aerofłotu. Nikołaj Głuszkow był pedantem z niezwykłą smykałką do liczb, który łagodził swój ascetyczny wizerunek zawadiacką muszką. Wkrótce Głuszkow trafił na trop bardzo niebezpiecznej sprawy. Odkrył, że państwowe linie lotnicze przez wiele lat były przykrywką dla działalności radzieckich szpiegów. Poinformował Bieriezowskiego, że mniej więcej trzy tysiące z czternastu tysięcy pracowników Aerofłotu pracowało dla wywiadu, a wpływy ze sprzedaży biletów trafiały na liczne konta za granicą z przeznaczeniem na tajne operacje. Głuszkow nie zamierzał fundować szpiegom darmowych lotów. Pozwalniał agentów i zamknął im dostęp do lewej kasy. Następnie przelał pieniądze na konta szwajcarskich firm, których głównymi udziałowcami byli on i Bieriezowski, i powiadomił na piśmie szefów wywiadu, że odtąd muszą sobie radzić sami. Nalot na biuro Bieriezowskiego i podanie do wiadomości publicznej, że obaj panowie są podejrzewani o zdefraudowanie kilkuset milionów dolarów, wywołały sensację w Moskwie. Czyżby Bieriezowski wreszcie dostał za swoje?

Nie, dopóki na Łubiance rządził Putin.

Kilka dni później Putin, z ogromnym bukietem róż w ręku, pojawił się na prywatnym przyjęciu żony oligarchy, dając wyraźnie

do zrozumienia, po czyjej jest stronie. W marcu FSB zabrało się za Skuratowa. W godzinach najwyższej oglądalności państwowa telewizja pokazała niewyraźne nagranie, na którym tęgi mężczyzna, uderzająco podobny do prokuratora generalnego, figlował z dwiema prostytutkami. Była to pułapka z przynętą, klasyk z repertuaru KGB. By rozwiać wszelkie wątpliwości, Putin zorganizował konferencję prasową, na której osobiście oznajmił, że facetem na filmie jest Skuratow.

Upublicznienie drastycznego nagrania z jego udziałem zmusiło prokuratora do złożenia rezygnacji. Kiedy zdominowana przez komunistów Duma próbowała przywrócić mu tę funkcję, Jelcyn zarządził śledztwo kryminalne w sprawie korzystania przez Skuratowa z usług prostytutek, a następnie posłużył się nim jako pretekstem do odebrania mu pełnionej funkcji.

Dla pewności Jelcyn zwolnił także premiera Federacji Rosyjskiej, potencjalnego rywala do fotela prezydenta i oddanego sprzymierzeńca Skuratowa. Oddaliwszy od siebie groźbę postępowania prokuratorskiego, „kremlowska rodzina" mogła spokojnie zająć się przygotowywaniem sukcesji. Dla wszystkich było oczywiste, że dni Jelcyna na Kremlu są policzone. Potrzebny był nowy premier, którego w przyszłości będzie można posadzić na fotelu prezydenta. Na szczęście odpowiedni człowiek był pod ręką. Putin zdążył już udowodnić, że jest lojalny, posłuszny i nie cofnie się przed niczym, by chronić swoich patronów.

Bieriezowski pojechał do Biarritz, gdzie dyrektor Federalnej Służby Bezpieczeństwa spędzał wakacje z rodziną, i przedstawił mu propozycję. Rano 9 sierpnia 1999 roku mieszkańcy Rosji dowiedzieli się z mediów, że Władimir Putin nie tylko został mianowany nowym premierem rządu, lecz także jest oficjalnym następcą Jelcyna.

***

Nie minął nawet miesiąc od objęcia przez Putina stanowiska premiera Federacji Rosyjskiej, kiedy doszło do pierwszego zamachu terrorystycznego. Na początku września 1999 roku seria potężnych eksplozji w Moskwie i dwóch innych dużych rosyjskich miastach

zniszczyła cztery bloki mieszkalne. Do wszystkich wybuchów doszło w nocy, kiedy mieszkańcy spali. Strażacy wyciągnęli z gruzów tysiące ciężko rannych ludzi, niemal trzysta osób zginęło. Wiele zwęglonych zwłok znalezionych wśród zgliszczy należało do dzieci.

Odpowiedzialnością za bezprecedensową przed 11 września 2001 roku falę ataków terrorystycznych obarczono bojowników ze zbuntowanej Czeczenii. Całą Rosję ogarnęło przerażenie. Dokładnie tego potrzebował nowy premier, by sięgnąć po kolejny szczebel władzy.

Wizerunek niepozornego urzędnika, który przekonał kolejnych chlebodawców, że Putin jest tylko sumiennym, z natury ponurym wykonawcą poleceń, spełnił już swoje zadanie. To, co do tej pory stanowiło atut, mogło stać się zawadą w dalszej drodze na szczyt. Nowemu premierowi nie wystarczało, że został namaszczony na następcę Jelcyna przez sitwę znienawidzonych przez naród kremlowskich kleptokratów; chciał jeszcze przekonać do siebie wyborców głęboko rozczarowanych przemianami w postsowieckiej Rosji. A to wymagało przybrania innej, bardziej zdecydowanej postawy.

Rosjanie przeżywali głęboki kryzys tożsamości. Marzenie o kapitalistycznym dobrobycie, którym ich mamiono, rozwiało się, ustępując miejsca długim latom biedy i rażących nierówności. Nie tęsknili za siermiężnym sowieckim autorytaryzmem, ale orgia rozkradania państwowego majątku i kolesiostwa, w którą zmieniły się rządy Jelcyna, kazała im zwątpić w alternatywne rozwiązanie. Pozostała im jedynie tęsknota za poczuciem potęgi – nostalgia za czasami, gdy Rosja była prawdziwym supermocarstwem. Putin wyczuwał intuicyjnie, że Rosjanie pragną przywódcy, który będzie człowiekiem czynu i ucieleśni ich tęsknotę za silnym, stabilnym państwem. Taki właśnie wizerunek musiał teraz stworzyć, a eksplozje bomb podłożonych w blokach mieszkalnych stanowiły do tego doskonałą okazję.

Putin natychmiast przystąpił do działania. Zbombardował stolicę Czeczenii, wywołując wojnę, która pochłonęła życie kilkudziesięciu tysięcy cywilów. Wystąpił w telewizji, wygłaszając przemówienie naszpikowane pogróżkami pod adresem rebeliantów, które odcisnęło trwały ślad na świadomości narodowej Rosjan.

„Zniszczymy ich wszędzie, nieważne, gdzie się skryją”, poprzysiągł. „Dopadniemy ich i rozwalimy nawet w wychodku”. Znakomicie wyczuł nastroje obywateli i jego popularność gwałtownie wzrosła.

Jednakże uważni obserwatorzy dostrzegli znaczące nieścisłości w oficjalnej wersji wydarzeń. Pierwsze wątpliwości pojawiły się, kiedy po trzeciej eksplozji przewodniczący Dumy Państwowej oświadczył, że wybuch bomby zniszczył blok mieszkalny w Wołgodońsku, tysiąc kilometrów na południe od Moskwy. Problem polegał na tym, że w Wołgodońsku nic nie wybuchło, przynajmniej jeszcze nie wtedy. Trzy dni później doszło do czwartego zamachu, w którym zginęło kolejne siedemnaście osób. A w następnym tygodniu mieszkańcy bloku w zupełnie innym mieście zauważyli w piwnicy kilku mężczyzn zakładających ładunki wybuchowe i podnieśli alarm. Lokalna milicja zorganizowała obławę i zatrzymała sprawców, którzy, o zgrozo, okazali się funkcjonariuszami FSB. Nowy dyrektor Federalnej Służby Bezpieczeństwa pospiesznie oświadczył, że ładunki wybuchowe były atrapami, a cała akcja miała na celu sprawdzenie czujności mieszkańców. Jednak nie wszyscy dali wiarę jego słowom.

Po wyrzuceniu z FSB za ujawnienie tajemnic firmy Litwinienko zatrudnił się u Bieriezowskiego jako prywatny konsultant do spraw bezpieczeństwa. Nadal utrzymywał kontakty z dawnymi informatorami. Na podstawie tego, co mu powiedzieli, doszedł do przekonania, że Putin przygotował serię zamachów terrorystycznych przed swoim odejściem z FSB, żeby mieć pretekst do zbombardowania Czeczenii i podnieść sobie słupki poparcia. Gdyby okazało się to prawdą, oznaczałoby, że Putin jest nie tylko gangsterem, lecz także psychopatą gotowym poświęcić życie kilkuset obywateli, by zwiększyć swoje szanse na fotel prezydenta. Ale Bieriezowski nie chciał tego słuchać. Był zbyt zajęty torowaniem swojemu protegowanemu drogi do władzy.

Tak jak w przypadku Jelcyna Bieriezowski zaczął od zasponsorowania książki, która ukazywała jego kandydata w nadzwyczaj pozytywnym świetle. W biografii, opublikowanej najpierw w odcinkach na łamach „Kommiersanta”, przyszły prezydent Rosji został przedstawiony jako silny człowiek i twardy

polityk. Jednocześnie stacja Pierwyj Kanał ostro krytykowała pozostałych kandydatów. Oligarcha stworzył i finansował nową proputinowską partię polityczną Jedność, która w grudniowych wyborach zgarnęła większość mandatów do Dumy Państwowej. Zatrudnił także najlepszego w Moskwie specjalistę od budowania wizerunku, Michaiła Lesina. Rumianolicy guru branży komunikacji masowej pokierował supernowoczesną kampanią wyborczą i przekonał wyborców, że Putin jest niezwykle skutecznym politykiem, który wprowadzi Rosję w dwudziesty pierwszy wiek.

Kiedy Putin zdystansował pozostałych kandydatów na prezydenta, Bieriezowski przekonał Jelcyna, że pora się zebrać i odejść. Ostatniego dnia 1999 roku Jelcyn ogłosił, że rezygnuje ze stanowiska, a jego obowiązki przejmuje w trybie natychmiastowym premier rządu. Układ był korzystny dla obu stron: jeszcze tego samego dnia, 31 grudnia 1999 roku, Putin podpisał dekret gwarantujący bezpieczeństwo prawne byłemu prezydentowi i jego rodzinie. Wypełniwszy swoją część umowy, zapewnił sobie najlepszą pozycję startową w nadchodzących wyborach: Kreml.

Właściwie Putin nie musiał nic robić. Nie licząc zwycięskiego okrążenia nad gruzami Groznego, które niemal na okrągło pokazywała telewizja, praktycznie nie prowadził kampanii wyborczej. Miał poparcie narodu i sympatię zachodnich przywódców. Nowy, seksowny laburzystowski premier Wielkiej Brytanii na dwa tygodnie przed wyborami w Rosji osobiście pofatygował się do Petersburga, by w blasku fleszy spotkać się z faworytem wyścigu po urząd prezydenta. Tony Blair ściągnął na siebie gniew obrońców praw człowieka, wzburzonych zalewem wstrząsających doniesień o plądrowaniu, gwałtach, masowych egzekucjach i torturach, których rosyjscy żołnierze dopuszczali się w okupowanej republice. Krytykowano go również za fetowanie jednego kandydata i lekceważenie pozostałych, zanim wyborcy zdążyli się wypowiedzieć przy urnach. Ale dwaj energiczni młodzi politycy wiedzieli, że wspólny wieczór w petersburskiej operze przyniesie im obopólne korzyści.

„Jest bardzo inteligentny i ma jasną wizję tego, co chce osiągnąć dla Rosji”, powiedział BBC po powrocie do kraju Blair, uśmiechając się jak kot z Cheshire. Pochwalił Putina za chęć unowocześnienia

rosyjskiej gospodarki i otwarcia kraju na zagraniczne inwestycje. Putin też zrobił, co do niego należało, i obiecał, że dopuści brytyjskie koncerny do udziału w rozbudowie rosyjskiego sektora energetycznego. Kiedy więc dziennikarze zadali niewygodne pytanie o łamanie praw człowieka w Czeczenii, Blair bez wahania stanął w obronie nowego sprzymierzeńca. „Rosjanie zostali *naprawdę* ciężko doświadczeni przez terroryzm”, oznajmił, nawiązując do eksplozji w blokach mieszkalnych, o które Putin oskarżył czeczeńskich bojowników.

Opinia publiczna nie zdawała sobie sprawy, że wspólny wieczór premiera Zjednoczonego Królestwa z przyszłym prezydentem Federacji Rosyjskiej w petersburskiej operze został starannie przygotowany przez służby wywiadowcze obu państw. Wysoki oficer FSB zwrócił się w Londynie do szefa MI6 sir Richarda Dearlove’a z prośbą o pomoc w zorganizowaniu spotkania na wysokim szczeblu, które miało wzmocnić wiarygodność Putina przed zbliżającymi się wyborami. Po długich deliberacjach w River House[4] szef brytyjskich szpiegów doszedł do wniosku, że to „niezwykła, wyjątkowa szansa”, i przekonał premiera, żeby przyjął zaproszenie. W ten sposób Wielka Brytania pomogła Putinowi dojść do władzy.

Blair nie był jedynym światowym przywódcą, którego zauroczył przyszły prezydent Rosji. Kilka miesięcy wcześniej Bill Clinton wykonał entuzjastyczny telefon do premiera Wielkiej Brytanii.

– Moim zdaniem Putin ma ogromny potencjał – wyraził swoją opinię prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki. – To bardzo inteligentny człowiek. I myślący. Uważam, że razem możemy zrobić wiele dobrego – powiedział. Należało co prawda zachować pewną ostrożność, więc dodał: – Może jednak chcieć ograniczyć demokrację. – Mimo wszystko Clinton miał nadzieję, że odpowiednio zachęcony Putin zasiądzie do rozmów przy wspólnym stole. – Generalnie jest uczciwy i ma dobre intencje – stwierdził prezydent USA. – Tylko jest jeszcze niezdecydowany[5].

W rzeczywistości Władimir Putin był zdecydowany, i to bardzo.

W maju 2000 roku, tydzień po oficjalnej inauguracji prezydentury, nowy przywódca Rosji wprowadził serię praw mających na celu, jak się eufemistycznie wyraził, „wzmocnienie pionowej struktury władzy”. W wyższej izbie parlamentu, Radzie Federacji, zastąpił wyłanianych w wyborach gubernatorów regionów pełnomocnikami prezydenta w okręgach federalnych. Ograniczył samodzielność władz obszarów półautonomicznych, poddając je nadzorowi specjalnych pełnomocników prezydenckich. Przyznał sobie prawo do usuwania gubernatorów w sytuacji, kiedy padnie na nich chociażby podejrzenie, że popełnili przestępstwo. Podporządkowawszy sobie regiony, zabrał się za inne konkurencyjne źródła władzy. W pierwszej kolejności za wolne media.

Minister łączności w rządzie Putina i były szef jego kampanii wyborczej Michaił Lesin rozpoczął akcję dyscyplinowania niezależnych stacji telewizyjnych, gazet i czasopism, które rozmnożyły się po upadku Związku Radzieckiego. Wykorzystując wszystkie dostępne środki nacisku, zmuszał ich właścicieli do posłuszeństwa Kremlowi. Aresztowano dziennikarzy i wydawców, przywoływano do porządku reklamodawców, urządzano naloty na redakcje, stawiano fałszywe zarzuty kryminalne. Niespożyta energia i bezwzględne metody działania sprawiły, że późniejszemu założycielowi tuby propagandowej reżimu, telewizji Russia Today, nadano przydomek „Buldożer”.

Gdy czystka w mediach szła pełną parą, Putin skierował uwagę na oligarchów. Wezwał do siebie Bieriezowskiego i jego kolegów i poinformował ich, że nie mogą już liczyć na specjalne traktowanie. Nie cofnie bandyckiej reprywatyzacji, ale mają zapomnieć o wpływach i władzy. Innymi słowy, mogą zachować swój stan posiadania, pod warunkiem że nie będą się mieszać w politykę.

Bieriezowski nie wierzył własnym uszom. W karnawałowej atmosferze pierwszych dni nowej prezydentury, niemal mrucząc z zadowolenia, opowiadał każdemu, kto chciał słuchać, że to on uczynił nieznanego nikomu człowieka nowym władcą Rosji. Był tak pewien, że to on sam rozdaje karty na Kremlu, że wkrótce przedstawił Putinowi bezczelną propozycję: prezydent będzie rządził Rosją, a on, Bieriezowski, zostanie przywódcą partii opozycyjnej

i w ten sposób podzielą między siebie wpływy. Pozostali oligarchowie i prawdziwa opozycja nie będą mieli nic do powiedzenia. Dopiero kiedy Putin z lodowatą pogardą odrzucił ten pomysł, Bieriezowski zaczął sobie uświadamiać swój błąd.

W rzeczywistości autorytarne ciągoty Putina dały o sobie znać jeszcze przed uroczystą inauguracją jego prezydentury i każdy, kto miał oczy, mógł je zauważyć. W ciągu trzech miesięcy, kiedy rządził państwem w zastępstwie Borysa Jelcyna, wykorzystując jako pretekst wojnę w Czeczenii, cofnął część pacyficznych reform epoki postsowieckiej: podpisał dekret zezwalający na użycie broni nuklearnej w odpowiedzi na agresję innego państwa i zwiększył wydatki na wojsko. Szybko też się wyjaśniło, że ludzie, którzy za wiele wiedzą, nie powinni się czuć zbyt bezpieczni.

Anatolij Sobczak powrócił z wygnania w Paryżu i zaczął energicznie, choć nieco chaotycznie, popierać starania Putina o najwyższy urząd w państwie. W pewnym momencie były mer drugiego po Moskwie najważniejszego miasta Rosji nieco się zagalopował i zapominając o swoich liberalnych korzeniach, obwołał Putina „nowym Stalinem”. Co gorsza, uwielbiał opowiadać publicznie o ich wspólnej petersburskiej przeszłości, wspominając epizody, o których Putin wolałby zapomnieć. Siedemnastego lutego 2000 roku Putin poprosił Sobczaka, żeby pojechał do Kaliningradu, rosyjskiej enklawy na granicy z Polską i Litwą, i wystąpił na wiecu wyborczym. Trzy dni później zwłoki byłego mera znaleziono w pokoju hotelowym. Według oficjalnego raportu z sekcji przyczyną śmierci był rozległy zawał serca, ale to nie wyjaśniało, dlaczego u dwóch ochroniarzy zmarłego wystąpiły niegroźne objawy zatrucia. Zdaniem dziennikarza śledczego Arkadija Waksberga Sobczak został zlikwidowany za pomocą trucizny, którą posmarowano żarówkę w jego pokoju; była to klasyczna technika zabójców z KGB. Wkrótce nieznani sprawcy podłożyli bombę pod samochód dziennikarza zaparkowany w moskiewskim garażu. Szczęśliwie Waksberga nie było w środku, ale doskonale zrozumiał, co chciano mu w ten sposób przekazać.

***

Bieriezowski postanowił w końcu pokazać skręcającemu w kierunku autorytaryzmu prezydentowi, kto jest szefem. W tym celu zaczął ostro krytykować na łamach „Kommiersanta” plan scentralizowania władzy. „Rolą prawa w demokratycznym społeczeństwie jest ochrona wolności jednostki”, pouczył Putina w jednym z listów otwartych. Kiedy to nie poskutkowało, a prezydent, niezrażony moralizowaniem byłego protektora, dalej przykręcał śrubę, współpracownicy poradzili wściekłemu oligarsze, żeby dał sobie spokój.

– Zastanów się, Borysie! Przyhamuj trochę, wyluzuj – perswadował jeden z doradców oligarchy przy winie, cygarach i cichych dźwiękach pianina w klubie LogoWAZ-u. – Masz do niego dojście. Zacznij z gościem współpracować. Potrafisz przekonywać ludzi, jesteś od niego inteligentniejszy, w końcu to ty postawiłeś go tam, gdzie stoi. Dogadaj się z nim.

Badri Patarkaciszwili był tego samego zdania. Dlaczego Borys nie może się na chwilę przyczaić i poczekać, aż wszystko przycichnie? W końcu Putin obiecał, że nie ruszy nielegalnie zdobytych majątków, o ile nie będą podskakiwali. Bieriezowski łaknął jednak władzy i wpływów nawet bardziej niż pieniędzy i nie był skłonny do pojednania.

– Ty skurwielu – mruczał pod nosem, ilekroć padło nazwisko Putina. – Jeszcze mnie popamiętasz.

Dawny dyrektor LogoWAZ-u Julij Dubow z niedowierzaniem wspominał swoje pierwsze spotkanie z Putinem w Petersburgu, kiedy to umówili się na obiad, ale go nie zjedli. W końcu doszedł do wniosku, że zastępca mera Petersburga włożył maskę prawego ascety, żeby wyróżnić się z tłumu.

„Miał dalekosiężne plany”, myślał Dubow. „Uważał, że jest jeszcze za wcześnie, żeby się wzbogacić, i czekał na odpowiedni moment”. Zdaniem Dubowa fatalną wadą Bieriezowskiego było wygórowane mniemanie o własnym znaczeniu. Wierzył, że bez niego Putin nie będzie w stanie rządzić, tymczasem okazało się, że nowy prezydent nie potrzebuje już dawnego dobrodzieja. I w ogóle nikogo nie potrzebuje. Nagle oligarcha zorientował się, że wszyscy wysoko postawieni przyjaciele go opuścili. To go jednak nie powstrzymało przed dalszym krytykowaniem Putina.

W sierpniu 2000 roku nowy prezydent musiał stawić czoło pierwszemu publicznemu skandalowi, wywołanemu katastrofą nuklearnego okrętu podwodnego Kursk, który pozostawiony sam sobie zatonął ze stu osiemnastoma marynarzami na pokładzie w lodowatych wodach Oceanu Arktycznego. Należąca do Bieriezowskiego stacja telewizyjna Pierwyj Kanał natychmiast ostro zaatakowała prezydenta, zarzucając mu, że się przyczynił do tej tragedii.

Wkrótce potem, gdy Bieriezowski wypoczywał na Lazurowym Wybrzeżu, na progu jego oślepiająco białej willi, przeglądającej się w szafirowych wodach Morza Śródziemnego, wylądował nowy numer „Le Figaro”. Zawierał prywatną wiadomość dla oligarchy od Kremla. Putin udzielił francuskiej gazecie wywiadu, w którym zapowiedział, że pozwalający sobie za dużo milionerzy dostaną „po łbie tak, że się nie pozbierają”. W ślad za ostrzeżeniem przyszło wezwanie do Moskwy; nowy prokurator generalny wznowił śledztwo w sprawie malwersacji w Aerofłocie, umorzone dwa lata wcześniej przy czynnej pomocy Putina, i chciał przesłuchać Bieriezowskiego. Ojciec chrzestny rosyjskich oligarchów stał się poszukiwanym przestępcą gospodarczym i wrogiem Kremla.

Jedno było oczywiste: dopóki rządzi Putin, nie może wrócić do Rosji.

IV

Wentworth Estate, hrabstwo Surrey, Anglia, 2001 rok

Był chłodny letni wieczór. Scot Young podjeżdżał niespiesznie porsche pod główne wejście swojej nowej wspaniałej rezydencji w hrabstwie Surrey, gdy nagle zobaczył Michelle biegnącą w jego stronę przez starannie przystrzyżony trawnik.

– W domu siedzi jakiś dziwny typ i nie mogę się go pozbyć – oznajmiła. – Dzwonimy na policję?

Young szybkim krokiem wszedł do środka przez flankowane kolumnami drzwi. W jego salonie rozpierał się w fotelu niski mężczyzna o czarnych oczach.

– Witaj w moim domu! – huknął z wyraźnym rosyjskim akcentem, otwierając szeroko ramiona.

Później Young opowiadał znajomym, że to właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczył Borisa Bieriezowskiego. Był urodzonym gawędziarzem i lubił ubarwiać swoje opowieści, a poza tym taka wersja pasowała mu bardziej od prawdy. Puenta brzmiała, że nie miał pojęcia, iż rozmawia z jednym z najbogatszych Rosjan, więc posłał gościa do diabła. W rzeczywistości Young doskonale wiedział, kim jest Bieriezowski.

Kilka lat później prywatni detektywi wynajęci do zbadania powiązań Younga z oligarchą odkryli, że młody Szkot po raz pierwszy zetknął się z ludźmi Bieriezowskiego kilka lat wcześniej, przy okazji jednej z wizyt w Moskwie, i że od tamtej pory pełnił tajną funkcję jego angielskiego łącznika. Pomagał Bieriezowskiemu inwestować wyprowadzane z Rosji pieniądze w nieruchomości i przedsiębiorstwa w Wielkiej Brytanii. Po ucieczce oligarchy z kraju Young nadal regularnie latał do Moskwy i załatwiał tam jego sprawy. W stolicy Federacji Rosyjskiej podawał się za konsultanta telewizji Pierwyj Kanał. Szybko stał się obiektem „długofalowego”, jak mawiają szpiedzy, zainteresowania FSB. Agenci, którzy

prowadzili inwigilację brytyjskiego biznesmena, doszli do wniosku, że jest on wysoko wykwalifikowanym fikserem, człowiekiem od tajnych poruczeń, pobierającym za swoje usługi sowite honoraria. Young wiódł królewskie życie. Pił i jadł na koszt Bieriezowskiego w najlepszych moskiewskich restauracjach – Café Puszkin, Vogue Café i Vanil – a na zakończenie wieczoru często wpadał do prywatnego klubu Bordo, ekskluzywnego burdelu, w którym bywała polityczno-biznesowa elita rosyjskiej stolicy.

Kilka miesięcy wcześniej Youngowie sprzedali Woodperry House za trzynaście i pół miliona funtów, ponad dwa razy więcej, niż za niego zapłacili. Kupili sobie okazały dwór we wsi Wentworth Estate, znanej z tego, że mieszka tam wielu celebrytów. Bieriezowski znudził się w końcu wygrzewaniem na słońcu w przestronnej willi we włoskim stylu na Cap d’Antibes i przeniósł się do Anglii, żeby wziąć się wreszcie za odbudowywanie swojego życia. Pogodził się z tym, że ma przed sobą długotrwałe wygnanie, i postanowił zapuścić korzenie. Uznał, że nowy dom Youngów będzie siedzibą w sam raz dla niego.

Bieriezowski wyciągnął zza fotela skrzynkę wybornego czerwonego wina i odkorkował zakurzoną butelkę. Panowie spędzili beztroski wieczór, opróżniając kolejne flaszki. Raczony szalonymi opowieściami z Dzikiego Wschodu gospodarz szybko zgodził się sprzedać dom za dwadzieścia i pół miliona funtów. Potem mówił przyjaciołom, że wziął za posiadłość pięćdziesiąt milionów i większość tej sumy ukrył na zagranicznych kontach. Tak czy inaczej, Bieriezowski zamieszkał w Wentworth Estate.

Ojciec chrzestny rosyjskich oligarchów wprowadził się do nowej rezydencji razem z żoną i małymi dziećmi. Youngowie przenieśli się do innego, równie luksusowego domu w tej samej okolicy. Dawny majątek ziemski w zielonym zakątku hrabstwa Surrey, obejmujący rozległy park z romantycznymi budowlami ogrodowymi, stawami i stadami jeleni, niebawem stanie się kwaterą główną rosyjskich miliarderów na wygnaniu, toczących zdalną wojnę z Kremlem.

Część druga. Oligarchowie na wygnaniu

V

Mayfair, Londyn, 2002 rok

Kamerdyner z Down Street, bliski apopleksji, obserwował przemarsz armii dostawców przez wyłożony puszystą kremową wykładziną hol. Nieśli skrzynki frykasów wydzielających intensywną woń czosnku i przypraw. Były tam: *lobio*, gruzińska zupa z fasoli i soku z granatów; *chaczapuri*, placki ociekające serem i surowym jajkiem, oraz kurczęta w takiej ilości orzechowego sosu z czosnkiem, że można by zatopić okręt wojenny. Dla kamerdynera, który zarządzał kuchnią z aptekarską precyzją, lawina niezamówionego jedzenia była ciosem w samo serce, nie mówiąc już o tym, że urągała zasadom higieny. Intruzi zniknęli za drzwiami, by za chwilę znów się pojawić nie z jednym, nie z dwoma, lecz z dziesięcioma pieczonymi w całości prosiętami.

To przelało czarę goryczy. Kamerdyner szybkim krokiem minął biuro, saunę i boczną salkę, w której odbywały się tajne narady, i zastukał do drzwi narożnego gabinetu. Gdy się otworzyły, Bieriezowski spojrzał na niego pytająco, a potem przeniósł wzrok na dziwaczną procesję. Z nagłym ożywieniem pospieszył obejrzeć z bliska tę ruchomą ucztę.

– Panie Bieriezowski! Nie mamy tyle miejsca w lodówce! Co mam zrobić z dziesięcioma martwymi świniami? – lamentował za jego plecami kamerdyner.

Oligarcha puścił jego protesty mimo uszu.

– To od Badriego! – wykrzyknął uszczęśliwiony.

Nieobecny partner znów przysłał mu domowe przysmaki.

Po ucieczce Bieriezowskiego do Anglii Patarkaciszwili pozostał przez pewien czas w Moskwie i próbował ratować ich wspólne biznesowe imperium. Putin lubił takich ludzi jak gruziński przedsiębiorca: zręcznych, pragmatycznych i niedających się ponieść emocjom. Patarkaciszwili wkrótce został wezwany na Kreml, gdzie otrzymał atrakcyjną, wydawałoby się, propozycję. Zatrzyma majątek

i będzie mógł zacząć od nowa z czystą kartą, pod warunkiem że odetnie się od Bieriezowskiego. Jednak Patarkaciszwili nie był zdolny do takiej zdrady. Odrzucił ofertę i wkrótce został zmuszony do opuszczenia Rosji. W odróżnieniu od Bieriezowskiego nie był anglofilem i znał tylko kilka słów po angielsku, więc kiedy wydano za nim nakaz aresztowania i musiał się zwinąć z Moskwy, wrócił do rodzinnego Tbilisi. Boris i Badri nadal współpracowali ściśle przy wyprowadzaniu aktywów firmy z Rosji, ale każdy, kto ich znał, wiedział, że rozłąka sprawia im ból.

Rozgrywającej się w holu scenie z uśmiechem przyglądał się drobny szpakowaty mężczyzna w okularach, który wyszedł z ciasnego gabineciku w przeciwległym rogu korytarza. Julij Dubow nieraz widział ten dziwny korowód. Od chwili ucieczki Bieriezowskiego z kraju dwa lata wcześniej takie dostawy żywności zdarzały się często. Patarkaciszwili regularnie przysyłał do Londynu swój prywatny odrzutowiec wyładowany przysmakami gruzińskiej kuchni. Z lotniska do wytwornej rezydencji na Down Street dostarczała je kolumna pojazdów. Magnat na wygnaniu oczywiście nie był w stanie tego wszystkiego zjeść, więc na jego personel spadało niewdzięczne zadanie rozparcelowania gruzińskich pieczonych prosiąt pomiędzy kuchnie eleganckich rezydencji Mayfair. Ale Dubow wiedział, że tu nie chodzi o ilość. Badri przysyłał Borisowi wyrazy miłości.

***

Biuro przy Down Street w wytwornej dzielnicy Londynu stało się nowym sztabem dowodzenia Bieriezowskiego. To tam oligarcha przyjmował licznych gości i razem z nimi obmyślał strategie i plany. Wydawało się, że dokoła aż trzeszczy od intensywnego wysiłku błyskotliwych umysłów. Julij Dubow, były dyrektor LogoWAZ-u, opuścił Rosję, gdy prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie korupcji w przedsiębiorstwie samochodowym Bieriezowskiego – kolejnego domniemanego przestępstwa w puchnącej kartotece oligarchy. Dołączył w Londynie do swojego szefa, zajął niewielki gabinecik w jego nowej londyńskiej siedzibie i włączył się

w wyprowadzanie z Rosji miliardów Borisa i Badriego. Widział, co się tam działo, i z kwaśną miną obserwował barwną procesję gości i interesantów.

Bieriezowski był samozwańczym wodzem stale powiększającej się grupy biznesmenów i dysydentów, którzy zjeżdżali do Wielkiej Brytanii, popadłszy w niełaskę u Putina. Księgę odwiedzających Down Street wypełniały nazwiska ludzi mających na pieńku z rosyjskimi służbami. Jednym z częstych gości był Aleksandr Litwinienko. Były oficer FSB, który ujawnił zbrodniczy spisek URPO, wielokrotnie trafiał do aresztu pod coraz bardziej wymyślnymi zarzutami. W końcu Bieriezowski wydostał go wraz z rodziną z Rosji i zorganizował skomplikowaną akcję przerzucenia do Wielkiej Brytanii, gdzie sygnalista otrzymał azyl polityczny. Bieriezowski szykował się do wypowiedzenia otwartej wojny Władimirowi Putinowi i uważał Litwinienkę za swoją wunderwaffe co najmniej z dwiema srebrnymi kulami w magazynku. W posiadaniu Litwinienki znajdowały się nie tylko dowody współpracy Putina z terroryzującą Petersburg mafią tambowską, lecz także materiały łączące prezydenta z zamachami na bloki mieszkalne, w których zginęło ponad trzystu Rosjan.

Bieriezowski zignorował rewelacje Litwinienki, kiedy lansował kandydaturę Putina na urząd prezydenta Federacji Rosyjskiej, teraz jednak postanowił poinformować świat, że jego dawny protegowany jest zwykłym kryminalistą w dobrze skrojonym garniturze, wspólnikiem bezwzględnych handlarzy narkotyków, potworem o gładkich manierach, który dla zdobycia władzy zgładził kilkuset własnych obywateli. Byłoby to znakomite otwarcie międzynarodowej kampanii przeciwko prezydenturze Putina, którą planował, ale na jej przeprowadzenie potrzebował ogromnego budżetu. Tym bardziej więc należało szybko wydobyć z Rosji pozostawione tam aktywa. W księdze gości Down Street zaczęły się pojawiać nazwiska najwybitniejszych brytyjskich prawników i finansistów, których oligarcha zaangażował do odzyskania swojej fortuny.

Dubow przeszedł przez hol, minął dwóch ochroniarzy o kamiennych twarzach i wsiadł do windy. Kiedy na parterze rozsunęły się drzwi, w wyłożonym białym marmurem holu zobaczył

znajomą postać, którą szczerze mówiąc, wolałby oglądać znacznie rzadziej.

– Cześć, Julij! – Wysoki mężczyzna wyszczerzył zęby w irytującym odruchowym uśmiechu.

– Scot – odparł z rezerwą Rosjanin. Dubow nie mógł zrozumieć, co jego szef widzi w tym wiecznie opalonym cwaniaku, nieustannie próbującym opchnąć komuś szpanerski zegarek, penthouse albo szybki samochód. Odkąd Bieriezowski przeniósł się do Anglii i wprowadził do dworu w Wentworth Estate, Young snuł się za nim jak cień. Można go było spotkać wszędzie tam, gdzie przebywał oligarcha – na Down Street, w odrzutowcu, na tylnym siedzeniu kuloodpornej limuzyny. Miał wyjątkowo nieprzyjemny zwyczaj wpadania późnym wieczorem do restauracji, w której Bieriezowski akurat kończył kolację, i szeptania mu do ucha szczegółów najnowszego przekrętu.

Dubow nie był odosobniony w swojej niechęci.

– Drobny oszust – podsumował Younga inny bliski współpracownik Bieriezowskiego. – Wystarczyło z nim chwilę pogadać, żeby się zorientować, że to zwykły kombinator.

Ale oligarcha miał wyraźną słabość do młodego fiksera wyznającego filozofię, że „wszystko da się zrobić”. Takie podejście ożywczo kontrastowało ze sceptycyzmem wieloletnich współpracowników Bieriezowskiego, którzy studzili jego błyskotliwe pomysły. Dubow nie zamierzał mówić swojemu szefowi, z kim ma się zadawać, ale w duchu uważał Younga za szarlatana i starał się go omijać szerokim łukiem. Oschle skinął głową i nie oglądając się za siebie, wyszedł na zatłoczoną ulicę, gdzie wmieszał się w tłum londyńczyków.

Young nie przejmował się rosyjskimi pieczeniarzami, którzy traktowali go z wyższością. Wiedział, że Bieriezowski go potrzebuje. Pieniądze z Rosji budziły niepokój zachodnich bankierów – zwłaszcza jeśli na odbiorcy przelewu ciążyły zarzuty malwersacji na skalę masową w kraju ojczystym. Fikser dbał o to, żeby oligarcha mógł swobodnie wydawać swoje miliony w Anglii bez problemów z biurokracją. Na szczęście brytyjski system finansowy obfitował w przydatne luki, a Young wiedział, jak z nich korzystać.

Bieriezowski wyprowadzał więc swoje aktywa z Rosji, a Young inwestował je w oszałamiający portfel luksusowych nieruchomości i samochodów, dla niepoznaki rejestrowanych na firmy wydmuszki. Zajmował się również dostarczaniem bajecznych prezentów dla kolejnych przyjaciółek rosyjskiego magnata. Dysponował kosmicznymi sumami, poznawał nową dla siebie bajeczną rzeczywistość i nic nie było w stanie zepsuć mu zabawy.

Bieriezowski żył, jakby cały świat należał do niego. Emanował tak potężną aurą bogactwa i władzy, że zdawał się nie podlegać grawitacji, więc nic dziwnego, że występowanie w roli jego fiksera mogło zawrócić w głowie. Oligarchę zawsze otaczała liczna obstawa złożona z byłych żołnierzy Legii Cudzoziemskiej, czujnie rozglądających się na boki i mamroczących coś do przypiętych mikrofonów. Young odkrył, że poruszanie się w otoczeniu wyszkolonych zabójców daje człowiekowi wyjątkowe poczucie władzy. Podobnie jak przemieszczanie się po Londynie w kawalkadzie opancerzonych samochodów. Bieriezowski był wożony przez szofera kuloodpornym maybachem. Za nim jechał wóz z ochroną. Konwój zamykały samochody z zespołami przeciwinwigilacyjnymi, pilnującymi, żeby nie było ogona. Przodem jechał zwiadowca, dobroduszny Południowoafrykańczyk na jaskrawokolorowym motocyklu, który wypatrywał potencjalnych zagrożeń i blokował ruchliwe skrzyżowania. Chłopak lubił żartować, że kiedy bez odznaki policyjnej i koguta próbował zatrzymać chaotyczny ruch na Hyde Park Corner, zwykle kończyło się to wypadkiem. Bieriezowski przyzwyczaił się do bycia najpotężniejszym człowiekiem w mieście i nie miał zamiaru czekać, aż zmieni się światło.

Również wybór rodzaju transportu lotniczego pokazuje, że Bieriezowski kochał prędkość. Oligarcha kupił najwyższej klasy odrzutowiec Bombardier Global Express, który jest szybszy i ma większy zasięg od innych tego typu maszyn, ponieważ potrafi błyskawicznie wznieść się na bardzo dużą wysokość, gdzie powietrze jest rzadsze. Kiedy nie był potrzebny do podróży w interesach, przydawał się do innych celów. Pilot odrzutowca regularnie latał do krajów byłego Związku Radzieckiego po panienki. Oligarcha przyjeżdżał na lotnisko w Farnborough,

wchodził na pokład samolotu i osobiście przeprowadzał casting w luksusowej kabinie sypialnej z podwójnym łóżkiem. Te z dziewcząt, które się zakwalifikowały, kierowca zawoził maybachem do któregoś z najwytworniejszych londyńskich hoteli, gdzie rezydowały w królewskim przepychu, dopóki Bieriezowski się nimi nie znudził. Pozostałe odlatywały do domu, nie postawiwszy stopy na brytyjskiej ziemi.

Young uwielbiał się rozpierać w obitych beżową skórą fotelach bombardiera i wysoko w chmurach, z kieliszkiem szampana w dłoni, omawiać z Bieriezowskim interesy. Ale to ekscytujące życie pociągało za sobą trudne do zignorowania ryzyko.

Young doskonale zdawał sobie sprawę, że jego układy z Rosjanami są niebezpieczne, chociażby dlatego, że nie pozwalała mu o tym zapomnieć małżonka. Miał kłopoty w domu od momentu, kiedy Bieriezowski zaprosił ich oboje na kolację, żeby uczcić kupno Wentworth Estate, i Michelle puściły nerwy na widok kawalkady opancerzonych samochodów i armii ochroniarzy.

– To dowód, że jest bardzo niebezpieczny – syknęła do męża, gdy oligarcha na chwilę się oddalił. – Niech się trzyma z daleka ode mnie i moich córek.

Scot próbował uspokoić żonę, zapewniając, że ich rodzinie nic nie grozi, ale jego wysiłki zniweczył sam Bieriezowski. Kiedy pewnego dnia wpadł do Youngów, żeby pogadać o interesach, szef obstawy poprosił Michelle, żeby zabrała Sashę i Scarlet z domu – dla ich własnego bezpieczeństwa. Później Michelle przeczytała gdzieś o zamachu bombowym w Moskwie, z którego Bieriezowski cudem uszedł z życiem. Atmosfera w domu stawała się coraz bardziej napięta. Pewnego dnia Michelle wróciła z miasta i powiedziała mężowi, że zaczepił ją mężczyzna, który podał się za pracownika MI6. Ostrzegł, że Scot uwikłał się w niebezpieczne interesy z Rosjanami.

– Ryzykujesz życie, swoje i najbliższych – ofuknęła go. – Wydaje ci się, że jesteś niezwyciężony! Myślisz, że masz władzę i pieniądze, ale każdego można zniszczyć!

Z drugiej strony Michelle przyzwyczaiła się do podróżowania prywatnym samolotem, wakacji na luksusowych jachtach i nieograniczonego szaleństwa zakupów. Odkąd Bieriezowski

zamieszkał w Anglii, Young dorabiał się w błyskawicznym tempie. Wykaz jego aktywów ulokowanych w firmie zarządzającej majątkiem Coutts opiewał już na dwieście siedemdziesiąt dziewięć milionów funtów sterlingów. Scot obsypywał żonę prezentami. Bez żadnej okazji robił jej bajecznie drogie niespodzianki, takie jak brylantowy naszyjnik za miliony funtów, range rover wypakowany pod sam dach sukniami od najlepszych projektantów albo klucze do kolejnej wspaniałej posiadłości w Wielkiej Brytanii lub za granicą. Niemal z dnia na dzień stał się prawdziwym tuzem brytyjskiego rynku nieruchomości; elitarna firma doradcza Knight Frank pisała mu listy polecające, nazywając go swoim „najważniejszym prywatnym klientem w Zjednoczonym Królestwie". Obracał się wśród najsławniejszych i najzamożniejszych ludzi świata.

Poju Zabludowicz, fiński multimiliarder i sponsor torysów, zaprosił Younga i Bieriezowskiego na „męską kolację" z Billem Clintonem w Londynie. Young zaprzyjaźnił się z sir Philipem Greenem, bajecznie bogatym prezesem Arcadia Group; z Richardem Caringiem, właścicielem sieci restauracji The Ivy i z Simonem Cowellem, producentem popularnych telewizyjnych *reality show*. Chwalił się, że przywiózł prywatnym samolotem Paris Hilton na kolację w Londynie i że kiedy był z Michelle w Miami, zakumplowali się z gwiazdą popu Pharellem Williamsem. Mgliste poczucie zagrożenia nie było w stanie zaćmić splendoru tego pięknego życia.

Young wjechał windą na drugie piętro, wesoło pozdrowił ponurych ochroniarzy, którzy rozstąpili się, żeby go przepuścić, i wszedł do biura, gdzie od progu uderzyła go ciężka woń pieczonego mięsa. *Badri*. Uśmiechnął się promiennie do recepcjonistki w nienagannej garsonce od Coco Chanel, przeszedł przez lobby i zapukał do drzwi naprzeciwko gabinetu Bieriezowskiego.

Elegancki, wymuskany mężczyzna o łysej podłużnej czaszce, który je otworzył, uśmiechnął się samymi kącikami przejrzyście niebieskich oczu. Rusłan Fomiczew pilnował pieniędzy Borisa i Badriego i cieszył się absolutnym zaufaniem obydwu. Dawniej pełnił funkcję prezesa i dyrektora generalnego banku, który założyli w Moskwie dla obsługi swoich rozlicznych kontraktów, a teraz

odgrywał rolę ich prywatnego skarbnika w Londynie. Bieriezowski powtarzał, że Fomiczew jest jedynym człowiekiem, który dysponuje pełną wiedzą o jego interesach. Był też jedynym człowiekiem z otoczenia oligarchy, któremu Young przypadł do gustu.

Fomiczew był młodszy od pozostałych współpracowników Bieriezowskiego, miał niewiele ponad trzydzieści lat. Razem z żoną Katią dopiero od niedawna przebywał w Londynie. Young stał się dla nich idealnym wprowadzającym do światka stołecznych imprezowiczów. Bywał w najmodniejszych klubach w towarzystwie celebrytów i członków rodziny królewskiej, w jeden wieczór w Boujis wydawał kilkadziesiąt tysięcy funtów, fundując wódkę Belvedere i szampana Dom Pérignon, potrafił załatwić rezerwację w dowolnej restauracji, wejście na każdy koncert i zaproszenie na najbardziej nawet ekskluzywne przyjęcie. Dowcipni, urodziwi i czarujący Fomiczewowie potrzebowali zaledwie kilku lat, by dotrzeć na trzynaste miejsce listy „najczęściej zapraszanych" czasopisma „Tatler", zaraz po Davidzie i Samancie Cameronach.

Scot i Rusłan zaprzyjaźnili się i niebawem, niezależnie od pracy dla Bieriezowskiego, zaczęli robić wspólne interesy. Najlepiej zapowiadał się pewien projekt budowlany w centrum Moskwy. Ojciec Fomiczewa był emerytowanym generałem KGB, więc były bankier mógł nadal prowadzić działalność w kraju i chciał wciągnąć w nią Younga. Dla głównego fiksera Bieriezowskiego była to ryzykowna propozycja, ale Young lubił dreszczyk emocji. Często jeździł do Moskwy załatwiać różne sprawy dla swojego szefa i polubił awanturniczy styl robienia interesów w Rosji. Jeśli udałoby im się zbudować wieżowiec na działce w samym centrum rosyjskiej stolicy, za kilka lat zaczęliby zgarniać ogromne zyski. Na razie jednak obaj panowie mieli pełne ręce roboty przy znacznie pilniejszych sprawach.

Fomiczew koordynował chaotyczną operację wyprowadzania miliardów Borisa i Badriego na zagraniczne konta; zadanie Younga polegało na dopilnowaniu, by szef mógł korzystać z tych pieniędzy w Wielkiej Brytanii i żyć na takiej stopie, do jakiej przywykł. Za rządów Jelcyna Bieriezowski i Patarkaciszwili wyciągnęli z LogoWAZ-u i Aerofłotu grube miliony, które w przeważającej części leżały teraz bezpiecznie ulokowane w szwajcarskich bankach,

ale odkąd władzę przejął Putin, nowy prokurator generalny energicznie próbował dobrać się obu oligarchom do skóry. Stawiał im zaocznie kolejne zarzuty korupcyjne, wydawał za nimi międzynarodowe listy gończe, próbował zamrażać ich zagraniczne konta i nasyłał zamaskowanych antyterrorystów na moskiewskie biura ich firm.

Odzyskanie reszty majątku utrudniały dwie główne przeszkody: rosyjskie regulacje walutowe, określające maksymalną kwotę indywidualnego przelewu zagranicznego, oraz zachodnie przepisy przeciwko praniu pieniędzy, zgodnie z którymi trzeba było udowodnić, że wpłacane środki pochodzą z legalnego źródła. Do ominięcia tych trudności niezbędna była pomoc wybitnych i wybitnie dyskretnych prawników po stronie brytyjskiej i zawarcie faustowskiego paktu z jednym z najpotężniejszych ludzi w Moskwie.

Paryż, Moskwa, Londyn lata 2000–2002

W mroźny wieczór w grudniu 2000 roku, gdy w podparyskim Le Bourget wylądowały dwa prywatne odrzutowce, Boris Bieriezowski i Badri Patarkaciszwili zeszli po podstawionych schodach na płytę lotniska i udali się do saloniku dla VIP-ów. Zanim nad lądowiskiem pojawiły się mrugające światła trzeciego samolotu, zdążyli naradzić się w cztery oczy przed decydującą rozmową. Człowiek, z którym mieli się spotkać, był jednym z najbardziej wpływowych biznesmenów Putinowskiej Rosji i to właśnie od niego zależał los znacznej części ich majątku. Chcieli go namówić, żeby zaryzykował wszystko, co ma, i pomógł im wydostać z Moskwy ich pieniądze.

Roman Abramowicz nieśpiesznie przeciął płytę lotniska i wszedł do saloniku dla VIP-ów. Małomówny jasnowłosy baron naftowy zdawał sobie sprawę, jak wiele zawdzięcza starszym kolegom. To dzięki ich protekcji w świecie polityki w latach dziewięćdziesiątych udało mu się kupić od państwa za śmieszne pieniądze koncern Sibnieft i niemal z dnia na dzień zostać miliarderem. Od tamtej pory spłacał ten dług wdzięczności, nie żałując pieniędzy. Boris i Badri uważali, że należy im się udział w dochodach paliwowego giganta. Ponadto Abramowicz pokrywał wydatki Bieriezowskiego: płacił za

loty prywatnym odrzutowcem, kupił mu willę na Cap d'Antibes i regularnie podrzucał znaczne sumy w gotówce. „Projekt Boris" stanowił stałą pozycję jego budżetu.

Ale teraz Abramowicz służył innemu panu. Należał do wąskiej grupy oligarchów, którzy drobili się w epoce Jelcyna, ale cieszyli się przychylnością także nowego prezydenta. Zadbał o to jeszcze przed dojściem Putina do władzy, w 1999 roku przewidująco kupując mu jacht. Utrzymywanie relacji biznesowych z Borisem i Badrim było mu teraz bardzo nie na rękę i chciał je jak najprędzej zakończyć, ale musiał to zrobić w taki sposób, żeby nie było wątpliwości, wobec kogo jest obecnie lojalny. Obiecał więc dawnym wspólnikom, że ich dyskretnie spłaci, ale zażądał czegoś w zamian. Przed podróżą do Paryża odwiedził na Kremlu Putina, który upoważnił go do wykupienia innego kluczowego składnika majątku Bieriezowskiego i Patarkaciszwilego: pakietu kontrolnego największej ogólnokrajowej telewizji.

Stacja Pierwyj Kanał była ostatnim instrumentem nacisku politycznego w Rosji, jaki im jeszcze pozostał. Dawna telewizja państwowa, wykorzystywana przez Bieriezowskiego do zjadliwego krytykowania rządów Putina, była odbierana w niemal wszystkich gospodarstwach domowych w kraju i miała kilkaset milionów widzów. Odkąd Michaił Lesin rozpoczął krucjatę przeciwko wolnym mediom, Kreml próbował podporządkować sobie stację i sięgał w tym celu po coraz ostrzejsze środki. Dziennikarze przyzwyczaili się już do szykan i wchodzenia na wizję z zamaskowanymi agentami FSB w tle, przeszukującymi studio.

Patarkaciszwili nie miał nic przeciwko sprzedaniu stacji Abramowiczowi. Liczył na to, że władza się wreszcie od nich odczepi i będą mogli spokojnie wyprowadzić z Rosji resztę majątku. Bieriezowski nie chciał się jednak pozbywać swojego ostatniego atutu. W kategoriach biznesowych pakiet kontrolny, który posiadali, miał niewielką wartość. Stacja Pierwyj Kanał doprowadzała jednak do szału Putina, a Bieriezowskiemu nic na świecie nie sprawiało większej przyjemności niż wściekłość prezydenta. Rozważał nawet przekazanie stacji w zarząd powierniczy grupie dziennikarzy i intelektualistów i umocnienia w ten sposób jej pozycji pojedynczej niekontrolowanej gwiazdy na zdominowanym przez Kreml

firmamencie rosyjskich mediów. Trzech baronów biznesu pożegnało się więc, nie dobiwszy targu, i Bieriezowski wrócił do willi na Cap d'Antibes, żeby przemyśleć sprawę.

Następny dzień przyniósł bardzo złą wiadomość. Najbliższy współpracownik Borisa i Badriego w Moskwie, dyrektor generalny Aerofłotu Nikołaj Głuszkow, został aresztowany pod zarzutem defraudacji i wtrącony do słynącego z brutalnego traktowania osadzonych więzienia FSB Lefortowo. Bieriezowski był w szoku. Dręczyły go wyrzuty sumienia, że po ucieczce z Moskwy zostawił wiernego Głuszkowa na łasce Kremla. Wiedział, że jego przyjaciel cierpi na chorobę krwi i jeśli nie będzie odpowiednio leczony, może umrzeć. W nadziei, że pomoże w ten sposób Głuszkowowi, poinformował moskiewskie media, że rezygnuje z planu przekazania stacji telewizyjnej niezależnym dziennikarzom, a następnie zadzwonił do Patarkaciszwilego i oznajmił, że zgadza się sprzedać Pierwyj Kanał.

Bieriezowski nie chciał mieć więcej nic wspólnego z Abramowiczem. Do ustalenia szczegółów transakcji oddelegował Dubowa. Warunki wyjścia z koncernu Sibnieft negocjowali Patarkaciszwili i, w imieniu Bieriezowskiego, Fomiczew. Ostatecznie Abramowicz zgodził się zapłacić Borisowi i Badriemu za definitywne zakończenie współpracy miliard trzysta milionów dolarów, nie licząc stu pięćdziesięciu czterech milionów, które zainkasowali już za Pierwyj Kanał. Pozostało jedynie znaleźć sposób na przerzucenie pieniędzy z Moskwy do Londynu bez wzbudzania podejrzeń obu państw. I tu na scenę wchodzi para niezwykle sprytnych brytyjskich prawników.

Stephen Curtis, potężny, jowialny Anglik z Północy, dołączył do ekipy na Down Street na wniosek Fomiczewa i od razu stał się duszą towarzystwa. Jego firma prawnicza Curtis & Co., mieszcząca się w eleganckim biurze na ostatnim piętrze kamienicy przy Park Lane, obsługiwała wielu najbogatszych i najbardziej prominentnych ludzi z Rosji i Bliskiego Wschodu. Z pozoru sympatyczny i prostolinijny, Curtis był geniuszem w konstruowaniu skomplikowanych, zwodniczych systemów przepływu pieniędzy, a co więcej, wszystkie szczegóły przechowywał w głowie, nie zostawiając śladów na papierze. Dzięki tym talentom doszedł do bajecznych pieniędzy.

Kupił gotyckie zamczysko na Wybrzeżu Jurajskim w hrabstwie Dorset, do którego latał własnym sześcioosobowym helikopterem.

Curtis starał się jak najczęściej pracować ze swoim przyjacielem Stephenem Mossem. Ten nieśmiały starszy pan o powściągliwym, dyskretnym sposobie bycia był wspólnikiem zarządzającym szacownej firmy prawniczej Reid Minty i jego nazwisko miało moc oddalania podejrzeń od dowolnego przedsięwzięcia. Moss wchodził do gry dopiero wtedy, kiedy brudna robota była już wykonana. Na zlecenie Curtisa, nieobarczony nadmiarem wiedzy, sporządzał wówczas dokumenty prawne, które sprawiały, że wszystko wyglądało czysto i legalnie.

Kiedy układ z Abramowiczem został sfinalizowany i przyszła pora na rozliczenia finansowe, Curtis miał już gotowy elegancki plan. Przez długie lata reprezentowania fantastycznie bogatych klientów z Bliskiego Wschodu nawiązał wiele cennych kontaktów, między innymi z pewnym młodym człowiekiem ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, członkiem rodziny panującej. Szejk Chalifa ibn Zajid Al Nahajjan, syn emira Abu Zabi, nie miał nic przeciwko temu, by wykorzystać swoją pozycję do zarobienia kilku dodatkowych groszy.

Podczas wystawnej kolacji w Mosimann's – ekskluzywnej londyńskiej restauracji, gdzie krzesła są wyściełane czerwonym pluszem, na stołach leżą wykrochmalone białe obrusy, a pod sufitem skrzą się ogromne żyrandole – młody szejk zgodził się, by kontrolowana przez niego firma znad Zatoki Perskiej odegrała rolę pośrednika w przekazaniu pieniędzy z łotewskich kont Abramowicza na londyńskie konto Bieriezowskiego. Miało to wyglądać, jakby Abramowicz zapłacił szejkowi, a szejk zapłacił Bieriezowskiemu. Brytyjskie banki z radością przyjmą pieniądze od członka emirackiego rodu panującego. Środki zostaną przelane w transzach, żeby nie zwracać uwagi. Abramowicz nie musi znać wszystkich szczegółów – da mu się po prostu numer konta firmy szejka i powie, żeby dokonał wpłaty. Resztą zajmą się prawnicy i księgowi.

Powstał specjalny fundusz powierniczy New World Value Fund, który miał obsługiwać płatności. W lutym 2001 roku na brytyjskie konta Borisa i Badriego wpłynęło *via* Emiraty Arabskie około stu czterdziestu milionów dolarów za Pierwyj Kanał, a wkrótce miała się pojawić znacznie większa suma za Sibnieft. Jednakże rezygnacja

ze stacji telewizyjnej nie spowodowała uwolnienia Głuszkowa. Były dyrektor Aerofłotu nadal gnił w osławionym więzieniu Lefortowo. Gdy na wiosnę oligarchowie dopracowywali ostatnie szczegóły sprzedaży Sibnieftu, doszło do dziwnego zdarzenia, które dodatkowo pogorszyło sytuację Głuszkowa.

Cierpiący na chorobę krwi więzień został przewieziony na badania do szpitala i kiedy przechodził w kapciach przez jego podwórze, podszedł do niego człowiek, który pracował kiedyś w Aerofłocie. Mężczyzna powiedział, że dostał zlecenie, żeby go uwolnić, ale gdy obaj puścili się biegiem do zaparkowanego za bramą samochodu, nagle otoczyli ich tajniacy z FSB z przygotowanymi kajdankami. Głuszkowowi postawiono zarzut próby ucieczki. Nieco później o zorganizowanie akcji oskarżony został dawny szef ochrony telewizji Pierwyj Kanał, były oficer KGB Andriej Ługowoj. Wydano również nakaz aresztowania Badriego Patarkaciszwilego, którego władze uznały za zleceniodawcę operacji.

Głuszkow twierdził, że go wrobiono i że akcja była prowokacją FSB mającą na celu obciążyć jego i Patarkaciszwilego. Tak czy inaczej, zdarzenie w szpitalu przypieczętowało jego los. Choć ostatecznie został oczyszczony z zarzutów o malwersacje, spędził cztery lata za kratkami za próbę ucieczki. Kiedy wyszedł na wolność, opuścił Rosję i na wygnaniu dołączył do Bieriezowskiego. Również Andriej Ługowoj znalazł się w końcu w Londynie i wszedł do grona zaufanych ludzi oligarchy.

Jeśli chodzi o Pierwyj Kanał, niemal natychmiast po zmianie właściciela stacja telewizyjna przeszła pod pełną kontrolę Kremla. Bieriezowski poczuł się boleśnie zdradzony i zapałał żądzą zemsty. Tymczasem na jego brytyjskie konta zaczęły spływać pieniądze z odstępnego za Sibnieft. Rosyjski wróg publiczny jeszcze nigdy nie był aż tak wściekły. Tym razem miał pieniądze na wydanie otwartej wojny Putinowi.

VI

Tony Blair tak się spieszył ze scementowaniem przyjaźni z Putinem, zadzierzgniętej podczas wspólnego wieczoru w operze, że nie czekając na oficjalną inaugurację jego prezydentury w maju, zaprosił go do Londynu niemal od razu po zamknięciu rosyjskich lokalów wyborczych.

– Władimir Putin to przywódca gotowy na zbudowanie nowych relacji z Unią Europejską i Stanami Zjednoczonymi – oświadczył po spotkaniu z prezydentem elektem w kwietniu 2000 roku, udając, że nie widzi, jak policja zgarnia do furgonetek demonstrantów protestujących na Downing Street przeciwko wojnie w Czeczenii.

Inni światowi przywódcy powitali Putina w swoim gronie z podobnym entuzjazmem. Bill Clinton na zakończenie urzędowania poleciał do Moskwy, nie bacząc na niepokojącą sytuację w Czeczenii. Odchodzący prezydent USA uznał, że Putin jest zdolny „uczynić z Rosji dynamicznie rozwijające się, silne państwo bez naruszania swobód obywatelskich, pluralizmu i rządów prawa”. Rok później taką samą podróż odbył jego następca George W. Bush, który również dał się oczarować Putinowi.

– Spojrzałem mu prosto w oczy – powiedział dziennikarzom. – To człowiek uczciwy i godny zaufania. Zobaczyłem, że ma duszę.

Bieriezowski był zdecydowany za wszelką cenę odrzeć zachodnich naiwniaków ze złudzeń co do swojego byłego protegowanego. Założył Fundację Swobód Obywatelskich, która wspierała finansowo ugrupowania opozycyjne w kraju i wykupywała w międzynarodowej prasie całostronicowe ogłoszenia informujące świat, że w Rosji łamane są prawa człowieka. Prowadzenie medialnej kampanii przeciwko Putinowi oligarcha powierzył zasłużonemu spin doktorowi Margaret Thatcher, lordowi Timothy’emu Bellowi. Pozostawało jedynie zaopatrzyć się w odpowiednią amunicję. I tu na scenę wchodzi Litwinienko.

Oligarcha polecił byłemu oficerowi FSB pokopać głębiej i znaleźć dowody na powiązania Putina z petersburską mafią i z eksplozjami

w blokach mieszkalnych w Moskwie. Przydzielił mu do pomocy dwóch innych stałych bywalców Down Street. Pierwszym z nich był Achmied Zakajew, przywódca czeczeńskich rebeliantów, którego Putin oskarżył o odpowiedzialność za zamachy bombowe na rosyjskich obywateli. Zakajew miał liczne kontakty w terenie i był gorąco zainteresowany udowodnieniem, że jego bojownicy zostali wrobieni przez służby. Po ucieczce z Czeczenii brodaty czeczeński generał, groźny i zawzięty nie tylko z wyglądu, powiększył grono dysydentów żyjących na koszt Bieriezowskiego w Anglii i kontynuował wojnę z Rosją ze swojej siedziby na Muswell Hill, naprzeciwko domu Litwinienków. Oprócz niego do pomocy w śledztwie został oddelegowany znakomity, rozbrajająco nieporadny rosyjski historyk Jurij Felsztinski, który zebrane materiały miał przygotować do publikacji.

W marcu 2002 roku zespół dochodzeniowy dostarczył pierwszą partię amunicji. Na specjalnej konferencji prasowej w Londynie Bieriezowski pokazał dziennikarzom materiały, z których jednoznacznie wynikało, że służby specjalne Putina maczały palce w zamachach bombowych w Moskwie. Litwinienko i Felsztinski opisali swoje ustalenia w książce *Wysadzić Rosję*. Zanim trafiła ona do księgarń, niezależna „Nowaja Gazieta" opublikowała obszerne fragmenty książki, poświęcając jej cały dwudziestodwustronicowy numer. Obok książki powstał równie jednoznaczny film dokumentalny *Pokuszenije na Rossiju* (tytuł angielski *Assassination of Russia*, Zamach na Rosję), który przedstawiciele mediów obejrzeli na zamkniętym pokazie.

Oskarżenie opierało się głównie na analizie materiałów wybuchowych użytych do wysadzenia moskiewskich bloków. Bezpośrednio po pierwszej eksplozji władze poinformowały, że na miejscu zdarzenia znaleziono ślady heksogenu, związku chemicznego o bardzo silnych właściwościach wybuchowych; była to zdumiewająca szczerość ze strony FSB, zważywszy że produkowana na potrzeby wojska substancja mogła pochodzić wyłącznie z państwowych magazynów, nadzorowanych przez tę samą Federalną Służbę Bezpieczeństwa. Agenci szybko zrozumieli swój błąd i zmienili oficjalny komunikat, ale w międzyczasie technicy kryminalistyczni odkryli inną obciążającą rząd okoliczność.

Eksperci od materiałów wybuchowych przeprowadzili oględziny budynku w Riazaniu, którego mieszkańcy przyłapali w piwnicy dwóch mężczyzn z pięćdziesięciokilogramowymi workami jakiegoś proszku i detonatorami. Policyjni specjaliści ustalili, że w workach był heksogen. Kiedy miejscowa policja schwytała sprawców i zidentyfikowała ich jako funkcjonariuszy FSB, agencja ogłosiła, że akcja miała wyłącznie cel szkoleniowy, a w workach znajdował się zwykły cukier. Autorzy książki *Wysadzić Rosję* nie zostawili na tej wersji suchej nitki.

Litwinienko i Felsztinski przedstawili dowody wskazujące na to, że w znalezionych w Riazaniu workach rzeczywiście znajdował się produkowany wyłącznie przez państwo heksogen i że ten sam materiał został umieszczony w bombach odpalonych w pozostałych zamachach. Między innymi przytoczyli zeznania żołnierza, który jesienią 1999 roku, kilka tygodni przed serią wybuchów, został wyznaczony do pilnowania wojskowego magazynu w Riazaniu, w którym, co ciekawe, składowano wyłącznie pięćdziesięciokilogramowe worki z napisem „cukier". Szeregowy uszczknął trochę białego proszku i posłodził nim herbatę, ale miała tak ohydny smak, że oddał ją do analizy, by się upewnić, że nie spożył trucizny. Według jego zeznań badanie wykazało, że był to heksogen.

Na konferencji prasowej Bieriezowski poinformował dziennikarzy, że substancję z Riazania przeanalizowało niezależnie od siebie czterech specjalistów z Wielkiej Brytanii i Francji i wszyscy doszli do tego samego wniosku: agenci FSB próbowali podłożyć prawdziwą bombę. Następnie przedstawił byłego dyrektora rządowej fabryki materiałów wybuchowych, który potwierdził, że niedługo przed zamachami służba bezpieczeństwa zakupiła hurtową ilość heksogenu.

– Władimir Putin w najlepszym razie musiał wiedzieć, że FSB było zamieszane w przygotowanie zamachów – oznajmił na konferencji prasowej oligarcha.

Oskarżenie prezydenta Federacji Rosyjskiej o współudział w zamordowaniu prawie trzystu własnych obywateli odbiło się głośnym echem w brytyjskich i światowych środkach przekazu. Tymczasem moskiewska prokuratura oskarżyła Bieriezowskiego

o „finansowanie działalności terrorystycznej". Cenzura zatrzymała książkę, która trafiła na oficjalną listę zakazanych publikacji ekstremistycznych, a FSB robiło, co mogło, by rosyjska opinia publiczna nie poznała jej wywrotowej treści. Zamykano kina, które próbowały wyświetlać film, a ich właściciele padali ofiarą pobicia. Funkcjonariusze służby bezpieczeństwa zatrzymywali rozwożące nakład furgonetki i konfiskowali ładunek. A zachodni przywódcy udawali, że tego nie widzą.

W korytarzach agencji wywiadowczych po obu stronach Atlantyku panowała posępna zgoda, że za zamachami niemal na pewno stoi Putin, ale nikt nie miał ochoty wywoływać konfliktu z Rosją. Pół roku przed konferencją prasową Bieriezowskiego światem wstrząsnęły wydarzenia, które przyćmiły eksplozje w rosyjskich blokach mieszkalnych – najpotworniejsze zamachy terrorystyczne w historii Zachodu. I nikt nie zdyskontował ich lepiej niż Putin.

Kiedy 11 września 2001 roku dwa samoloty pasażerskie wbiły się w bliźniacze wieże World Trade Center w Nowym Jorku, Putin był pierwszym światowym przywódcą, który zadzwonił do George'a W. Busha z kondolencjami.

– Rosja z własnego doświadczenia wie, czym jest terroryzm – oświadczył po rozmowie z prezydentem USA w telewizyjnym wystąpieniu, porównując atak Al-Kaidy do moskiewskich zamachów bombowych, o które oskarżył czeczeńskich islamistów. – Dlatego lepiej od innych rozumiemy, co czują Amerykanie.

Dwa dni później NATO i Rosja wykonały gest nie do pomyślenia w epoce zimnej wojny: wydały wspólne oświadczenie, w którym zadeklarowały bezwzględną walkę ze światowym terroryzmem. A kiedy prezydent Bush ogłosił „wojnę z terroryzmem", Putin natychmiast zapewnił go o swoim pełnym poparciu. Pomógł Stanom Zjednoczonym w inwazji na Afganistan, otwierając rosyjską przestrzeń powietrzną dla amerykańskich samolotów transportowych i, rzecz równie niebywała, pozwolił armii amerykańskiej korzystać z dawnych radzieckich baz wojskowych w Azji Środkowej. W momencie gdy Zachód jednoczył się w walce ze wspólnym wrogiem, z wdzięcznością przyjął rosyjską pomoc.

Putin ustawił się w pierwszej linii globalnej wojny z islamistami, co idealnie współgrało z jego narracją.

Wkrótce prezydent Rosji zaczął głosić, że czeczeńscy bojownicy są szkoleni i finansowani przez Al-Kaidę. Z upodobaniem porównywał Zakajewa do Osamy bin Ladena. Kreml od dawna przedstawiał krwawą rozprawę z czeczeńskim separatyzmem jako walkę z dżihadem, a zamieszkany głównie przez muzułmanów region – jako pierwsze pole bitwy w globalnej wojnie z terroryzmem, uzasadniając w ten sposób brutalność rosyjskich wojsk. Z Groznego napływały doniesienia o gwałtach, rzeziach, grabieżach i torturach, ale Zachód przyjmował argumenty prezydenta FR za dobrą monetę.

Gdy po 11 września Putin odwiedził Busha w Camp David, prezydent USA pochwalił go za budowanie „pokojowego państwa respektującego granice, żyjącego w zgodzie z sąsiadami, w którym kwitną demokracja, wolność i rządy prawa". W grudniu 2001 roku Tony Blair podejmował prezydenta FR w Chequers, wiejskiej rezydencji brytyjskiego rządu. Przywódcy Wielkiej Brytanii i Federacji Rosyjskiej wystąpili na wspólnej konferencji prasowej i ogłosili, że ich kraje będą wymieniać się danymi wywiadowczymi na temat terroryzmu. Blair z własnej inicjatywy porównał wówczas atak na World Trade Center z zamachami bombowymi w Moskwie.

Aktywny udział w koalicji antyterrorystycznej, na której czele stanęły Stany Zjednoczone, przyniósł Putinowi wymierne korzyści, takie jak powstanie Rady NATO–Rosja, pełne członkostwo w grupie G8 i poparcie przez Zachód starań Rosji o przyjęcie do Światowej Organizacji Handlu. Przede wszystkim jednak zmotywował świat do przełknięcia historyjki, że za zamachy w Moskwie odpowiadają czeczeńscy bojownicy, a nie Putinowska służba bezpieczeństwa.

W pierwszą rocznicę zburzenia bliźniaczych wież, pół roku po konferencji prasowej, na której Bieriezowski przedstawił wyniki śledztwa Litwinienki, Putin zadzwonił do prezydenta Busha, by jeszcze raz zapewnić go o swoim współczuciu. Następnie zwrócił się bezpośrednio do narodu rosyjskiego z ekranów telewizorów.

– Niedawno czciliśmy pamięć ofiar serii zamachów bombowych na domy mieszkalne w Moskwie; dziś oddajemy cześć tym, którzy zginęli w Waszyngtonie i Nowym Jorku – oświadczył. – W Rosji mówimy, że czas leczy rany. Ale nie wolno nam zapomnieć.

Z perspektywy Aleksandra Litwinienki wyglądało to zupełnie inaczej. Dowody, które zebrał, łączące rosyjskie państwo ze śmiercią kilkuset własnych obywateli, po 11 września stały się po prostu niewygodne. Więc świat zapomniał.

Londyn, Tbilisi, Moskwa, 2002 rok

Niezależnie od stanowiska krajów Zachodu Bieriezowski i jego zespół dochodzeniowy nie dawali za wygraną. Po ogłoszeniu wstępnych rezultatów śledztwa grupa spotkała się na Down Street, by omówić dalsze postępowanie. W tajnym spotkaniu wzięli udział nowi, cenni sprzymierzeńcy.

Jednym z nich był blady mężczyzna w wymiętym garniturze; rozchylone usta i duże niebieskie oczy nadawały jego twarzy wyraz wiecznego zdziwienia. Siergiej Juszenkow należał do czołowych postaci pieriestrojki; to właśnie on zorganizował „żywy łańcuch" obrońców Dumy Państwowej podczas próby zamachu stanu w 1991 roku. Od pierwszych dni młodej rosyjskiej demokracji aktywnie uczestniczył w pracach Dumy, a ostatnio ostro krytykował łamanie praw człowieka w Czeczenii. Zaprawiony w bojach parlamentarzysta także podejrzewał, że za atakami terrorystycznymi w Moskwie stał Putin. Dlatego wstąpił do nowej partii opozycyjnej Wolna Rosja, założonej i finansowanej przez Bieriezowskiego. Deputowani proputinowskiej Jedności, którą oligarcha powołał do życia przed wyborami prezydenckimi w 2000 roku, już trzykrotnie utrącili wniosek parlamentarny o przeprowadzenie oficjalnego śledztwa. Bieriezowski chciał wykorzystać Wolną Rosję do nagłośnienia domniemanego udziału FSB i do wymuszenia w końcu na Dumie zgody na dochodzenie w sprawie zamachów.

Juszenkow zgłosił się już wcześniej do pomocy w rozprowadzaniu książki i filmu dokumentalnego w Rosji; zamierzał wykorzystać do tego swój immunitet poselski. Na tajnym spotkaniu na Down Street otrzymał kolejną misję. Ponieważ dotychczasowe próby doprowadzenia do oficjalnego śledztwa w sprawie zamachów bombowych nie przyniosły żadnych rezultatów, po powrocie do Moskwy Juszenkow miał stworzyć niezależną komisję złożoną

z polityków, prawników i dziennikarzy. W dalszym toku prywatnego śledztwa Litwinienko i Felsztinski będą przekazywali zdobyte materiały dowodowe komisji Juszenkowa, który następnie upubliczni rezultaty dochodzenia na forum Dumy.

Grupa zyskała jeszcze jedną nową współpracowniczkę. Uczestnicząca w spotkaniu kobieta w milczeniu przysłuchiwała się dyskusji. Litwinienko i Felsztinski przedstawili ją jako Tanię Morozową, trzydziestojednoletnią Rosjankę mieszkającą w USA, która w jednej z moskiewskich eksplozji straciła matkę. Felsztinski odnalazł Tanię w Wisconsin i namówił ją, żeby przyjechała do Londynu na premierę filmu dokumentalnego. Po tym, co usłyszała i zobaczyła na konferencji, doszła do przekonania, że za śmierć jej matki odpowiada rosyjskie państwo. Postanowiła pomóc w zdemaskowaniu tej zbrodni. Litwinienko wyjaśnił zebranym, że Morozowa, która straciła w zamachu najbliższą osobę, ma oficjalny status ofiary, co w rosyjskim systemie prawnym daje jej prawo wglądu w akta sprawy i zeznawania w sądzie, jeśli sprawcy kiedykolwiek trafią przed jego oblicze. Dzięki niej konspiratorzy będą mogli na bieżąco śledzić działania prokuratury.

Był jeszcze ktoś, kogo Litwinienko chciał włączyć do wąskiego kręgu zaufanych: Michaił Triepaszkin, ten sam zawzięty były oficer FSB, który odkrył klikę skorumpowanych funkcjonariuszy FSB i trafił na czarną listę URPO razem z Bieriezowskim. Triepaszkin był fenomenalnym detektywem i nie zapomniał, że zawdzięcza Litwinience życie. Do tej pory pomagał w śledztwie, zbierając materiały dowodowe na miejscu, w Moskwie. Co więcej, niedawno otrzymał uprawnienia adwokackie. Na spotkaniu na Down Street ustalono, że zostanie pełnomocnikiem prawnym niezależnej komisji Juszenkowa i jednocześnie będzie oficjalnie reprezentował Tanię Morozową, co da mu dostęp do akt FSB i pozwoli zeznawać w jej imieniu w sądzie.

Juszenkow odleciał do Moskwy, zabierając ze sobą kilkadziesiąt egzemplarzy *Wysadzić Rosję*. Rozdał je dziennikarzom czekającym na niego na lotnisku Szeremietiewo.

– Książka pokazuje, jak tajne służby oszukały obywateli Rosji – powiedział przedstawicielom mediów.

Po czym przystąpił do kompletowania niezależnej komisji.

Tymczasem w Londynie Litwinienko i Felsztinski zbliżali się do przełomu, który miał spowodować prawdziwe trzęsienie ziemi. Federalna Służba Bezpieczeństwa podała już nazwisko głównego podejrzanego o dokonanie zamachów. Był nim niejaki Aczemez Goczijajew, który wynajmował pomieszczenia we wszystkich wysadzonych budynkach. Niedługo po konferencji prasowej Bieriezowskiego do Felsztinskiego zgłosił się czeczeński pośrednik z wiadomością od najbardziej poszukiwanego człowieka w Rosji. Powiedział, że Goczijajew jest niewinny i chce rozmawiać z autorami *Wysadzić Rosję*.

Historyk spotkał się na Down Street z Litwinienką i Bieriezowskim, żeby wprowadzić ich w szczegóły. Był przerażony. Pośrednik chciał, żeby pojechał do niekontrolowanego przez władze Wąwozu Pankisi na granicy Gruzji z Czeczenią, gdzie Goczijajew przyczaił się w kryjówce separatystów. Felsztinski bał się o swoje życie. Jego zdaniem mogła to być też próba porwania w celu wymuszenia okupu od Bieriezowskiego albo zasadzka FSB.

Bieriezowski zapytał spokojnie Zakajewa, czy Czeczeńcy dybią na życie Felsztinskiego.

– Nie wydaje mi się, żeby chcieli go zabić – odparł przywódca rebeliantów. – Najwyżej obetną mu uszy – dodał po chwili zastanowienia.

Felsztinski zakrył je dłońmi.

– Borisie, zapłacisz okup, jeśli wezmą mnie na zakładnika? – zapytał z niepokojem.

– Oczywiście – zapewnił go Bieriezowski. – Ale zrobimy tak: Litwinienko pojedzie z Felsztinskim jako obstawa, a Patarkaciszwili dopilnuje, żeby w Gruzji nic im się nie stało.

– To jego podwórko. Róbcie, co wam każe – polecił stanowczym tonem. – Zgoda?

– Zgoda.

Historyk i detektyw jeszcze tego samego dnia polecieli do Gruzji. Późnym wieczorem znaleźli się w Tbilisi. Na lotnisku czekali na nich ochroniarze Patarkaciszwilego, którzy mieli ich pilnować w dzień i w nocy. Po drodze na londyńskie lotnisko Litwinienko, jak na rasowego detektywa przystało, wstąpił do domu towarowego i kupił kilka eleganckich walizek na dokumenty, z którymi zamierzał

wrócić do Londynu. Badri przydzielił im też kierowcę. Mężczyzna przedstawił się, zaprosił ich do samochodu i zawiózł, w eskorcie pojazdów obstawy, do pięciogwiazdkowego Sheraton Grand Tbilisi Metechi Palace. Po obu stronach wejścia do hotelu stali ludzie z kałaszami.

Kiedy Patarkaciszwili dowiedział się, że z Felsztinskim przyleciał Litwinienko, wpadł w furię. Zapewnienie bezpieczeństwa akademikowi to była bułka z masłem, a dopilnowanie, żeby pod samym nosem Rosji żadna przykra przygoda nie spotkała człowieka, który zdradził swoich mocodawców z FSB – to już zupełnie inna sprawa. Kiedyś wszyscy zapłacą głową za szalone pomysły Bieriezowskiego, tego Badri był pewien. Oświadczył gościom, że gwarantuje im nietykalność w Tbilisi, ale poza granicami stolicy są zdani sami na siebie. Wycieczka do Wąwozu Pankisi, gdzie roi się od uzbrojonych czeczeńskich rebeliantów, nie wchodzi w grę. Będą musieli spotkać się z Goczijajewem w jakimś innym miejscu.

Nazajutrz kierowca zawiózł Litwinienkę i Felsztinskiego do popularnego miejsca spotkań na placu Wolności pod kolumną, na której Święty Jerzy zabijał pozłacanego smoka. Felsztinski stanął pod pomnikiem z „International Herald Tribune" pod pachą; obstawa zajęła pozycje w pewnej odległości. Czekali na człowieka w zielonej czapeczce bejsbolowej.

Kiedy pośrednik się zjawił, Felsztinski poinformował go, że nie może pojechać do Wąwozu Pankisi; Goczijajew będzie musiał pofatygować się do Tbilisi. W odpowiedzi usłyszał, że to absolutnie nie wchodzi w grę. W Gruzji kręci się masa agentów FSB, wąwóz jest jedynym miejscem, do którego się nie zapuszczają, i właśnie dlatego Goczijajew tam się schronił. Mężczyzna w zielonej czapeczce powiedział, że nawet teraz są obserwowani, i wskazał kilka zaparkowanych w pobliżu samochodów. W końcu ustalono, że pośrednik dostanie listę pytań i następnego dnia przywiezie do Tbilisi nagranie wideo z odpowiedziami zbiega.

Felsztinski i Litwinienko mieli przed sobą wolny wieczór, więc zabrali kierowcę i ochroniarzy na sutą kolację do jednej z tbiliskich restauracji. W końcu odebrali niecierpliwie wyczekiwany telefon. Ich kontakt powiedział, że przez większość drogi do wąwozu jechały

za nim dwa samochody, ale udało mu się zgubić ogon i dotrzeć bezpiecznie na miejsce. Jutro dostarczy im kasetę z nagraniem.

Były oficer FSB i historyk zasnęli w nastroju błogiej nadziei pod śnieżnobiałymi hotelowymi prześcieradłami. Ale rano ich dobry humor zmienił się we wściekłość. Obudzili ich ochroniarze Patarkaciszwilego z wiadomością od oligarchy: mają natychmiast opuścić Gruzję.

– Nigdzie nie wyjeżdżam – oświadczył z oburzeniem Felsztinski. – Czekam na pewne materiały. Dzwońcie do Badriego.

Ochroniarz wybrał numer i oddał telefon historykowi.

– Zbierajcie swoje manele i przyjedźcie do mnie – polecił kategorycznym tonem oligarcha. – Powinniście natychmiast wyjechać – powiedział, kiedy zjawili się w jego ociekającej przepychem rezydencji. – Poinformowano mnie, że grozi wam śmierć – wyjaśnił z powagą.

Patarkaciszwili dostał cynk, że ktoś zlecił ich zabójstwo. Nie było czasu do stracenia.

Felsztinski wpadł w rozpacz. To straszne, że muszą opuścić Gruzję teraz, kiedy już prawie mają w rękach zeznanie Goczijajewa. Nagle historykowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Może kasetę od pośrednika mógłby odebrać kierowca, którego przydzielił im oligarcha. Wie, jak facet wygląda, bo przecież widział go, kiedy poprzedniego dnia zawiózł ich na spotkanie.

Patarkaciszwili pokręcił głową.

– Wasz kierowca zniknął – wyjaśnił. – Odwiózł was wczoraj do hotelu i nikt go więcej nie widział. Szukamy go.

Felsztinski zamarł z przerażenia. Jeżeli szofera zgarnęli funkcjonariusze FSB, mógł im powiedzieć, po co przyjechali do Tbilisi. Teraz nie było już wątpliwości, że rzeczywiście muszą uciekać. Patarkaciszwili zapakował ich do dżipa i odjechali w konwoju pojazdów ochrony na lotnisko, gdzie wsiedli na pokład pierwszego odlatującego samolotu. Trafił im się lot do Frankfurtu.

Kiedy wylądowali w Niemczech, Felsztinski natychmiast zadzwonił do Bieriezowskiego. Poinformował go, że niestety musieli opuścić Gruzję bez kasety wideo, ale teraz są już bezpieczni i wszystko jest w porządku.

– Z wami tak – odparł oligarcha. – Ale wasz kierowca został znaleziony martwy.

Litwinienko i Felsztinski wrócili do Londynu cali i zdrowi, ale z pustymi rękami. Czuli się głęboko rozczarowani. Ale kilka dni później ponownie skontaktował się z nimi człowiek Goczijajewa, tym razem proponując spotkanie w Paryżu. Felsztinski umówił się z nim w lobby eleganckiego hotelu na Champs Élysées i odebrał kopertę z pisemnym oświadczeniem czeczeńskiego zbiega. Relacja człowieka oskarżanego przez rosyjskie władze o przeprowadzenie zamachów bombowych w Moskwie potwierdziła przypuszczenia obu mężczyzn. Tym razem nie byli zawiedzeni.

Goczijajew oświadczył, że jest niewinny i że uciekł z Rosji tylko z obawy o swoje życie. Twierdził, że wynajął pomieszczenia w wysadzonych później budynkach na prośbę znajomego, z którym robił interesy i który rzekomo potrzebował przestrzeni do magazynowania materiałów budowlanych. Teraz podejrzewał, że facet pracował dla FSB. Po drugiej eksplozji Goczijajew zadzwonił na policję i ostrzegł, że ładunki wybuchowe mogły zostać podłożone w dwóch innych blokach, ale władze zignorowały jego informację. Rzekomy wspólnik nigdy nie został uznany za podejrzanego. Jeśli to wszystko było prawdą, Goczijajewa wrobiono.

Nowe informacje należało upublicznić, i tu bardzo przydatna okazała się komisja Juszenkowa. Politykowi udało się namówić do pokierowania jej pracami powszechnie szanowanego posła do Dumy Państwowej i obrońcę praw człowiek Siergieja Kowalowa, którego nazwisko stanowiło rękojmię niezależności i wiarygodności. Sam zadowolił się stanowiskiem wiceprzewodniczącego. Przekonał także do współpracy pięcioro deputowanych oraz kilkunastu dziennikarzy, prawników i naukowców. Jednym z najaktywniejszych członków komisji był dziennikarz śledczy Jurij Szczekoczichin, który przygotował numer „Nowoj Gaziety" poświęcony książce *Wysadzić Rosję*. Pełne ręce roboty miał także Michaił Triepaszkin, odpowiedzialny za kwestie prawne.

W lipcu 2002 roku Litwinienko i Felsztinski przez dwie godziny zeznawali przed komisją w czasie sesji wideo. Przesłuchanie, które obserwował tłum dziennikarzy, wywołało w Moskwie sensację.

Jakim cudem dwóm niezależnym detektywom udało się dotrzeć do człowieka, którego bezskutecznie poszukiwał cały aparat państwowej służby bezpieczeństwa?

Kowalow starał się zachować bezstronność. Zaznaczył, że komisja jest jeszcze bardzo daleka od rozstrzygnięcia, kto stał za zamachami na bloki mieszkalne w Moskwie: czeczeńscy islamiści czy FSB. Mimo to stwierdził, że relacja Goczijajewa jest „w najwyższym stopniu interesująca" i należy ją skrupulatnie zbadać. Jej zweryfikowanie powierzono Triepaszkinowi, który jako adwokat Tatiany Morozowej miał prawo wglądu w akta FSB.

Wkrótce po przesłuchaniu przed komisją Litwinienko odpalił kolejną bombę. Wydał drugą książkę, *Przestępcy z Łubianki*, w której nie tylko szczegółowo opisał i udokumentował powiązania Putina z mafią tambowską oraz proces przeobrażania się Federalnej Służby Bezpieczeństwa w organizację przestępczą, lecz także przytoczył najświeższe ustalenia śledztwa w sprawie zamachów terrorystycznych w Moskwie, łącznie z relacją Goczijajewa. Triepaszkin zorganizował przemyt nakładu do Rosji. Pewnego sierpniowego popołudnia na odludnym zjeździe łotewskiej autostrady odebrał ciężarówkę z dziesięcioma tysiącami egzemplarzy, a następnie ukrył ładunek w magazynie na jakimś pustkowiu. Kilka dni później *Przestępcy z Łubianki* rozchodzili się w Moskwie jak ciepłe bułeczki. Kiedy Kreml wpisał książkę na indeks i funkcjonariusze zaczęli konfiskować księgarniom jej egzemplarze, Litwinienko wyraził zgodę na darmową dystrybucję. Nakład rozszedł się błyskawicznie.

Publiczne przesłuchania przed komisją Juszenkowa przykuwały uwagę opinii publicznej i wkrótce teoria, że moskiewskie zamachy bombowe były dziełem FSB, zdobyła w Moskwie wielu zwolenników, choć społeczność międzynarodowa nadal zachowywała obojętne milczenie. Tak czy inaczej, Putinowi wreszcie zaczęło się robić gorąco. I wtedy na miasto spadło kolejne nieszczęście.

Moskwa, październik 2002 roku

Był październikowy wieczór 2002 roku, w Moskwie sypał pierwszy śnieg. Prawie tysiąc osób przyszło do ciepłego teatru na Dubrowce, żeby obejrzeć musical *Nord-Ost*. Adaptacja starej radzieckiej powieści o arktycznych przygodach osieroconego chłopca cieszyła się ogromnym powodzeniem i wszystkie spektakle odbywały się przy pełnej widowni. Kiedy przygasły światła i podniosła się kurtyna, na scenę wtargnęło czterdziestu kilku zamaskowanych czeczeńskich bojowników. Terroryści wzięli na zakładników widzów i obsadę przedstawienia. Rozmieścili na widowni ładunki wybuchowe i przekazali władzy nagrane na wideo ultimatum: jeśli Rosja nie wycofa natychmiast swoich żołnierzy z Czeczenii, wszyscy zakładnicy zginą.

Uzbrojeni po zęby funkcjonariusze FSB przez trzy dni oblegali budynek teatru. Zakajew, który przebywał wówczas w Kopenhadze na Światowym Kongresie Czeczeńskim, zaapelował do bojowników, by wypuścili zakładników i „powstrzymali się od pochopnych czynów". Ale po pięćdziesięciu siedmiu godzinach oblężenia zakładnicy zaczęli mieć trudności z oddychaniem. Jedna z kobiet zadzwoniła do studia rozgłośni radiowej Echo Moskwy. „Zagazowują nas!", krzyczała do słuchawki. „Wszyscy jesteśmy na widowni. Błagam, nie zagazowujcie nas!"

Do systemu wentylacyjnego budynku wpompowano silny środek chemiczny, który pozbawił przytomności zarówno terrorystów, jak i zakładników. Kiedy zapadła cisza, uzbrojeni funkcjonariusze FSB weszli do środka i zlikwidowali wszystkich bojowników strzałem w głowę. Strażacy i policjanci wynosili bezwładne ciała w strojach wieczorowych na zasypaną śniegiem ulicę. Kiedy zdali sobie sprawę, że wielu ludzi zmarło wskutek uduszenia się, połknięcia języka albo zadławienia wymiocinami, zaczęli pospiesznie wrzucać zakładników do autobusów, by ukryć ich przed okiem kamer. Kolejne osoby udusiły się przywalone zwłokami.

Podczas trwającego trzy dni oblężenia terroryści zabili dwóch zakładników. Pozostałe ofiary śmiertelne – ponad sto trzydzieścioro kobiet, mężczyzn i dzieci – zatruły się gazem wpuszczonym na widownię przez FSB. Rozkaz przyszedł z góry.

– Nie byliśmy w stanie uratować wszystkich – oświadczył w wystąpieniu telewizyjnym Władimir Putin, ogłaszając zakończenie

akcji ratunkowej. Winą za śmierć zakładników obarczył plagę międzynarodowego terroryzmu. Tony Blair zadzwonił do Putina, by pogratulować mu sprawnie przeprowadzonej operacji, następnie publicznie poparł decyzję użycia gazu.

– Fanatycy, którymi kieruje zabójcze połączenie religijnego i politycznego ekstremizmu, nie mają żadnego szacunku dla ludzkiego życia – stwierdził premier Wielkiej Brytanii. – Mam nadzieję, że ludzie zrozumieją, przed jak dramatycznym dylematem stał prezydent Putin. Zależało mu na jak najmniejszej liczbie ofiar, ale z drugiej strony musiał uważać, żeby nie zrobić nic, co w konsekwencji mogłoby nasilić obecną falę czeczeńskiego terroryzmu.

Także prezydent USA George W. Bush publicznie pogratulował Putinowi odbicia teatru na Dubrowce z rąk islamistów. Międzynarodowa prasa, pisząc o wydarzeniach w Moskwie, uparcie porównywała je do wydarzeń z 11 września. Kierujący akcją szef FSB otrzymał z rąk Putina tytuł honorowy Bohatera Federacji Rosyjskiej. Prezydent Rosji zaostrzył swoją antyislamską retorykę i poprzysiągł dopaść „terrorystów, organizatorów zbrodni oraz ich ideologicznych i finansowych inspiratorów bez względu na to, gdzie się ukryją”. O przygotowanie ataku oskarżył Zakajewa, a Interpol wydał międzynarodowy nakaz aresztowania przywódcy czeczeńskich rebeliantów.

Zakajew trafił na krótko do duńskiego aresztu, szybko jednak wyszedł za kaucją i otrzymał zgodę na powrót do Wielkiej Brytanii. Rosja, nie zwlekając, zwróciła się do rządu w Londynie z żądaniem jego ekstradycji. Kiedy Bieriezowski zapowiedział, że sfinansuje jego batalię prawną przeciwko wydaleniu do Moskwy, rosyjscy prokuratorzy zażądali od Brytyjczyków także ekstradycji oligarchy.

Zakajew był wściekły, że czeczeńscy bojownicy przeprowadzili tak brutalny atak w momencie, gdy oczyszczenie się z oskarżeń o dokonanie zamachów w Moskwie wreszcie było w zasięgu ręki. Ale kiedy przeczytał, co o dramacie w teatrze na Dubrowce pisały moskiewskie gazety, zaczęło do niego docierać, że coś tu się nie zgadza.

Po pierwsze, atak przeprowadzili znani ekstremiści znajdujący się pod stałą obserwacją FSB – jak to możliwe, że przedostali się do

stolicy Rosji uzbrojeni po zęby w broń maszynową i ładunki wybuchowe i zebrali się pod teatrem niezatrzymywani przez służby? Jakkolwiek by patrzeć, sprawa wydawała się dziwna. Kiedy Zakajew przeczytał w moskiewskiej gazecie listę czterdzieściorga zamachowców, jego uwagę przykuło jedno nazwisko.

Chanpasz Terkibajew był szemraną postacią, dobrze znaną w Groznym. Przewinął się przez tyle komórek rebeliantów, zarówno w kraju, jak i w diasporze, że czeczeńscy przywódcy zaczęli go uważać za prowokatora z FSB. Zakajew skontaktował się ze swoimi ludźmi w Groznym i dowiedział się, że niedługo po tragedii na Dubrowce Terkibajew próbował zdobyć zaufanie kolejnego odłamu separatystów, chełpiąc się swoim udziałem w ataku. Według wersji oficjalnej wszyscy zamachowcy zginęli, gdy funkcjonariusze FSB wtargnęli do budynku teatru, ale Terkibajewowi najwyraźniej udało się jednak wymknąć. Jeśli rzeczywiście był rosyjskim agentem i służby pozwoliły mu uciec, umożliwiając dalszą działalność, wskazywałoby to wyraźnie na ich współudział w zorganizowaniu ataku.

Na prośbę Bieriezowskiego komisja Juszenkowa ogłosiła, że zamierza rozszerzyć dochodzenie i zbadać ewentualną rolę państwa w wydarzeniach na Dubrowce. Zakajew podzielił się z Litwinienką swoją wiedzą o Terkibajewie. Były oficer FSB kontynuował śledztwo, i kiedy w kwietniu 2003 roku Juszenkow przyjechał do Londynu, Zakajew przekazał mu zebrane przez siebie materiały na temat domniemanego prowokatora. Żeby pójść dalej, potrzebny był ktoś, kto umiał się poruszać w niebezpiecznym czeczeńskim terenie i dotrzeć do kryjówek rebeliantów, i kto miałby dosyć odwagi, by ścigać brutalnego ekstremistę, prawdopodobnie powiązanego z rosyjskimi służbami. Wszyscy się zgadzali, że jest tylko jedna taka osoba.

Anna Politkowska była dziennikarką „Nowoj Gaziety”, jednego z ostatnich naprawdę niezależnych pism w Rosji. Drobna kobieta o przetykanych siwizną włosach, która przez kilka lat pracowała jako korespondentka wojenna w Czeczenii, dysponowała ogromną siecią kontaktów w niespokojnym regionie. Separatyści darzyli ją szacunkiem i zaufaniem. Dzięki temu podczas oblężenia teatru na Dubrowce udało jej się dostać do środka i przeprowadzić wywiad

z przywódcą zamachowców. Weszła na widownię, krzycząc: „Jestem Politkowska! Jestem Politkowska!”, i została na scenie, żeby pośredniczyć w negocjacjach między terrorystami a FSB. Nie było drugiej tak odważnej osoby. Po powrocie do Moskwy Juszenkow przekazał jej teczkę Terkibajewa, którą dostał od Litwinienki, i znów włączył się aktywnie w prace komisji badającej teraz powiązania rządu nie z jednym, lecz z dwoma aktami terrorystycznymi na terenie Moskwy.

Pewnego kwietniowego dnia Juszenkow wysiadł z samochodu na rozsłoneczniony chodnik przed swoim apartamentowcem. Sekundę później padły trzy bezgłośne wystrzały. Przybyli na miejsce zdarzenia policjanci znaleźli na chodniku pistolet z tłumikiem i martwe ciało jednego z najbardziej nieprzejednanych krytyków Kremla.

Dziesięć dni po zabójstwie Siergieja Juszenkowa w „Nowoj Gazietie” ukazał się artykuł Politkowskiej. Dziennikarka wytropiła Terkibajewa i namówiła go do udzielenia wywiadu. Jedyny terrorysta, który przeżył akcję odbijania zakładników, opowiedział, jak było naprawdę.

Terkibajew potwierdził, że brał udział w ataku na teatr. Wprowadził terrorystów na scenę i wymknął się z budynku przed wkroczeniem służb. Przyznał się wprost, że był agentem FSB. Poszedł jeszcze dalej. Powiedział coś, czego nikt się nie spodziewał usłyszeć: że jest doradcą na Kremlu.

Trudno pojąć, dlaczego Terkibajew zdecydował się opowiedzieć to wszystko dziennikarce. Osiem miesięcy później zginął w wypadku samochodowym w Czeczenii, ale opinia publiczna zdążyła poznać jego wersję wydarzeń. Jeśli przyjąć, że powiedział Politkowskiej prawdę, wychodzi na to, że zamach na teatr na Dubrowce został wyreżyserowany przez FSB, by skompromitować rebeliantów i wzmocnić wizerunek Putina jako silnego, twardego męża stanu.

Zachodni politycy, nawet gdyby chcieli, nie byli w stanie skonfrontować się z tymi podejrzeniami. Jak mieliby w nie uwierzyć po tym, jak pogratulowali Putinowi jego postawy podczas kryzysu? Jak mieliby przyjąć do wiadomości, że inspiratorem aktów terrorystycznych mógł być rząd Federacji Rosyjskiej, skoro

wcześniej publicznie uznali zagazowanie stu trzydzieściorga rosyjskich obywateli za adekwatną reakcję na bestialskie działania islamistów?

W czerwcu, dwa miesiące po zastrzeleniu Juszenkowa, Putin poleciał z oficjalną wizytą do Londynu, gdzie został przyjęty z honorami. Na lotnisku powitała go salwa honorowa, po czym wsiadł razem z królową do pozłacanej karety i pojechał reprezentacyjną aleją The Mall do pałacu Buckingham. To był zaledwie wstęp do czterodniowych oficjalnych bankietów, uroczystych przeglądów Gwardii Królewskiej i przejazdów orszaku królewskiego ulicami miasta. Londyn nie podejmował z taką pompą żadnego przywódcy Rosji od wizyty cara Mikołaja I w 1844 roku. Rosyjskie, posłuszne już teraz media wpadły w ekstazę. „Putin otrzymał w Wielkiej Brytanii przyjęcie godne koronowanej głowy", rozpływał się z zachwytem jeden z brukowców. „Ani Borys Jelcyn, ani Michaił Gorbaczow nie dostąpili zaszczytu spotkania z królową". Eksperci byli zgodni, że ten spektakl pomoże Putinowi wygrać w przyszłym roku kolejne wybory.

Kilkakrotnie próbowano popsuć Putinowi zabawę. Amnesty International i inne grupy obrońców praw człowieka starały się przekrzyczeć świąteczną wrzawę, po raz kolejny przypominając opinii publicznej o gwałtach, torturach i rzeziach ludności cywilnej, których rosyjskie wojsko dopuszczało się w Czeczenii. Ale nikt ważny ich nie słuchał.

Blair i Putin rozmawiali w cztery oczy na Downing Street i wzięli udział w odbywającej się w Londynie konferencji energetycznej, poświęconej głównie nowym możliwościom otwierającym się dla brytyjskich firm w Rosji, w tym planom budowy gazociągu z Syberii do Europy Zachodniej. W czwartym, ostatnim dniu wizyty na szczycie premier Wielkiej Brytanii wyraził ostrożny optymizm. Po jej zakończeniu stwierdził z entuzjazmem, że: „Prezydentura Putina niesie nadzieję Rosji i całemu światu".

Tymczasem w Moskwie głosy domagające się wyjaśnienia roli FSB w obu atakach terrorystycznych znacząco przycichły. Zabójstwo Juszenkowa uznano za mord polityczny, a niewielu ludzi było gotowych zapłacić taką cenę za prawdę. Prace komisji właściwie

utknęły w miejscu, jeszcze zanim trzy miesiące po śmierci jej założyciela nastąpił kolejny zgon.

Jurij Szczekoczichin, który przygotował numer „Nowoj Gaziety” poświęcony książce *Wysadzić Rosję*, a później brał udział w pracach komisji Juszenkowa, zapadł na tajemniczą chorobę. Na ciele dziennikarza pojawiły się czerwone wybroczyny, wypadały mu włosy, narządy wewnętrzne kolejno przestawały funkcjonować. Kiedy po szesnastu dniach zmarł, zwłoki przewieziono do szpitala FSB, gdzie w największej tajemnicy przeprowadzono sekcję. Krewnych poinformowano, że przyczyną śmierci była ostra reakcja alergiczna, odmówiono im jednak dostępu do danych medycznych, które zostały utajnione.

Po podejrzanej śmierci dwóch swoich członków komisja praktycznie zrezygnowała z dalszego szukania prawdziwych sprawców moskiewskich eksplozji. Tylko Triepaszkin kontynuował jeszcze śledztwo.

Głównemu podejrzanemu FSB udało się uciec, ale Triepaszkin nadal przegryzał się przez akta jego sprawy. Po wybuchu na ulicy Gurianowa, w którym zginęła matka Tani Morozowej, policjanci z miejscowego posterunku na podstawie opisu dozorcy bloku sporządzili portret pamięciowy podejrzanego. Triepaszkin pamiętał, że szkic szybko zniknął z mediów, a jego miejsce zajął rysunek zupełnie innej twarzy. Ten drugi wizerunek stał się sławny. Doprowadził do szybkiego zidentyfikowania Goczijajewa, którego uznano za naczelnego organizatora zamachów. Portret był wielokrotnie publikowany na łamach gazet i pokazywany na ekranach telewizorów. Co dziwne, pierwszy portret pamięciowy zniknął również z materiałów dochodzeniowych FSB.

Triepaszkin postanowił odnaleźć wcześniejszy rysunek. Zaczął przeglądać stare wycinki prasowe w nadziei, że wydrukowała go któraś z gazet. I rzeczywiście, po żmudnych poszukiwaniach na pożółkłej stronie gazety, która ukazała się nazajutrz po tragedii, natrafił na portret ciemnowłosego mężczyzny po trzydziestce, w okularach. Ze zdumieniem stwierdził, że zna tę twarz. Pracował z gościem na Łubiance.

Władimir Romanowicz był agentem Federalnej Służby Bezpieczeństwa specjalizującym się w przenikaniu do czeczeńskich grup przestępczych, które działały na terenie Moskwy. Należał także do siatki skorumpowanych funkcjonariuszy FSB, którą wykrył Triepaszkin, ściągając na siebie wyrok śmierci. Prawnik komisji Juszenkowa miał przed sobą niezbity dowód, że człowiek, pierwotnie podejrzany o podłożenie ładunków wybuchowych w bloku przy ulicy Gurianowa, pracował dla FSB.

Przekonanie Romanowicza, żeby się przyznał do udziału w aktach terrorystycznych, nie wchodziło w grę, ponieważ w międzyczasie, podobnie jak Terkibajew, zginął w wypadku samochodowym. Triepaszkin odnalazł jednak dozorcę bloku, który po eksplozji opisał policji podejrzanego mężczyznę. Kiedy prawnik pokazał mu oba portrety, dozorca nie tylko potwierdził, że widział, jak Romanowicz podkładał ładunki, ale dorzucił też kolejną szokującą informację. Dwa dni po sporządzeniu portretu pamięciowego został zatrzymany przez funkcjonariuszy FSB. Trafił do pokoju przesłuchań w osławionym więzieniu Lefortowo, gdzie pokazano mu zdjęcie Goczijajewa i zmuszono do zmiany zeznań.

Był to najmocniejszy jak dotąd dowód, że oficjalny główny podejrzany został wrobiony przez służby. Triepaszkin postanowił przedstawić go w sądzie podczas procesu dwóch osób oskarżonych o udział w przygotowaniu zamachów, który miał się rozpocząć w październiku. Miał w nim zeznawać w imieniu Tani Morozowej. Jako były oficer FSB znał jednak metody działania służb i zdawał sobie sprawę, że coś może mu w tym przeszkodzić. Dlatego zabezpieczył się, przekazując komplet zebranych materiałów dowodowych znajomemu dziennikarzowi w Moskwie. Poprosił go, by opublikował dokumenty, jeśli on sam nie będzie mógł zeznawać.

I rzeczywiście, tydzień przed pierwszą rozprawą Triepaszkin został aresztowany. Funkcjonariusze FSB przeszukali jego samochód i ogłosili, że znaleźli w nim posiadaną nielegalnie broń. Prawnik twierdził stanowczo, że została podłożona, ale przedstawiono mu kolejny zarzut, „ujawnienia tajemnicy państwowej”. Poszedł do więzienia, gdzie spędził cztery lata.

Dziennikarz wywiązał się z obietnicy i opublikował materiały, ale temat nie został podchwycony przez rosyjską prasę. Odkąd Michaił

Lesin rozprawił się z niepokornymi środkami przekazu, wszystkie ważne gazety, kanały telewizyjne i radiostacje posłusznie realizowały linię Kremla. Proces toczył się za zamkniętymi drzwiami i bez ławy przysięgłych. Obaj oskarżeni otrzymali wyroki dożywocia.

Fakt, że proces odbył się po cichu przy minimalnym zainteresowaniu moskiewskich mediów i nie wywołał wrzawy w rosyjskim parlamencie, pozwolił zachodnim przywódcom na kontynuowanie polityki poklepywania Putina po plecach. Za to dochodzenie Litwinienki wzbudzało żywe zainteresowanie w zupełnie innych sferach. W zielono-złotej siedzibie brytyjskich służb specjalnych eksperci z rosyjskiej sekcji MI6 śledzili je z najwyższą uwagą.

VII

Londyn, lata 2003–2004

Szef pionu operacyjnego, posiwiały starszy pan w ciemnoszarym garniturze, pracował w brytyjskich służbach wywiadowczych od wczesnej młodości, podobnie jak większość jego kolegów, posiwiałych starszych panów w ciemnoszarych garniturach. Większość z nich została zwerbowana w czasie studiów w Oksfordzie lub Cambridge i przez resztę dorosłego życia nie robiła już nic innego. Szpiedzy muszą roztapiać się w tłumie, dlatego w biurowych korytarzach widywano wyłącznie niezapadające w pamięć twarze. Było w tym coś zabawnego, że do elitarnej służby kwalifikowała człowieka niepozorna powierzchowność, ale taki to był właśnie zawód. Wszyscy pracownicy River House doskonale wiedzieli, że są tylko pozornie niepozorni.

W siedzibie MI6 na Albert Embankment pod numerem 85 urzędowały najtęższe umysły w kraju. Ich praca polegała na zbieraniu i analizowaniu ogromnych ilości danych wywiadowczych, żeby zapewnić rządowi rzetelną wiedzę o bieżącej sytuacji na świecie, niezbędną do skutecznego realizowania interesów Wielkiej Brytanii na arenie międzynarodowej i, co jeszcze ważniejsze, zapewnienia bezpieczeństwa państwu. Analitycy z River House musieli wiedzieć wszystko i umieć błyskawicznie docierać do informacji.

Szef pionu operacyjnego przez długie lata szpiegował dla kraju i królowej, a potem wrócił do Londynu, by zasilić grono urzędasów. Do jego nowych obowiązków należało między innymi nadzorowanie bardzo trudnego sektora działań, jakim stało się przechwytywanie danych wywiadowczych na temat Rosji. Nie podobał mu się rozwój sytuacji w Moskwie; problem polegał na tym, że nikt w rządzie nie chciał go słuchać.

Po 11 września jeszcze większa część środków na ochronę bezpieczeństwa narodowego zaczęła wpadać w – jak to prywatnie

określał szef działu operacyjnego – „nienasyconą paszczę” wojny z terroryzmem. Sekcja rosyjska musiała robić więcej za mniej. Obcinano budżet, ekspertów i analityków przerzucano do monitorowania sytuacji na Bliskim Wschodzie, wśród nowego narybku coraz rzadziej trafiali się rosyjskojęzyczni, większość rekrutów mówiła teraz po arabsku, w języku urdu albo pasztuńskim. Absolutnym priorytetem było zapobieganie atakom terrorystycznym na obszarze Wielkiej Brytanii i trzeba się było dobrze naszarpać, żeby wyciągnąć od rządzących sensowne pieniądze na działalność operacyjną w Rosji. Szef działu operacyjnego nie kwestionował potrzeby skupienia się na realnym, stale obecnym zagrożeniu ze strony Al-Kaidy, ale jednocześnie bacznie śledził coraz bardziej niepokojącą sytuację w Moskwie. Był pewny, że prędzej czy później nadciągną stamtąd czarne chmury.

On i jego koledzy zbierali własne dane wywiadowcze dotyczące serii eksplozji w moskiewskich blokach i jednocześnie z dużym zainteresowaniem obserwowali działania Litwinienki. Byli prawie pewni, że Putin maczał palce w moskiewskich zamachach terrorystycznych; właściwie brakowało im tylko tego, żeby sam się przyznał. Jeśli dodać, że nowy prezydent prześladował niezależne media, niszczył mechanizmy młodej rosyjskiej demokracji i krwawo tłumił rebelię w Czeczenii, sytuacja w Rosji zmierzała w kierunku bezwzględnego autorytaryzmu. Szef działu operacyjnego nie miał wątpliwości, że światowi przywódcy popełniają poważny błąd, kontynuując politykę klepania po plecach i pochlebstw wobec Putina. Źródła zbliżone do Kremla twierdziły, że Władimir Władimirowicz żywi do Zachodu głęboką nienawiść. Dziś się uśmiecha i ściska dłonie, ale kto wie, co postanowi zrobić jutro.

Nikt nie wątpił, że Putin stosuje skrytobójstwo jako sprawdzoną metodę uciszania swoich krytyków w Rosji, ale szefa pionu operacyjnego martwiły przede wszystkim docierające do MI6 informacje, z których wynikało, że prezydent Rosji przygotowuje grunt pod kampanię selektywnej eliminacji przeciwników na znacznie szerszą skalę. Dane wywiadowcze napływające z coraz mniej licznych rosyjskich źródeł i stanowisk nasłuchowych świadczyły o tym, że Putin osobiście nadzoruje program

przystosowania sowieckiej broni masowego rażenia do potrzeb skrytobójców.

Podpisując w 1993 roku Konwencję o zakazie broni chemicznej, Rosja zobowiązała się zniszczyć czterdzieści tysięcy ton chemicznych i biologicznych środków rażenia, które przechowywała wówczas w swoich magazynach. MI6 od dawna zdawało sobie sprawę, że Kreml nie wywiązał się z obietnicy. Rosjanie zrezygnowali z wykorzystania tych substancji w warunkach bojowych, ponieważ chemikalia zbaczają z kursu pod wpływem wiatru i innych czynników atmosferycznych, a rozpylone w powietrzu wirusy i drobnoustroje w arsenale biologicznym źle znoszą twarde lądowanie z dużej wysokości. Jednakże bacznie obserwując wzmożoną aktywność w tajnych laboratoriach FSB pod Moskwą, brytyjscy szpiedzy nie mieli wątpliwości, że Rosjanie intensywnie pracują nad stworzeniem poręcznego zestawu chemicznych, biologicznych i nuklearnych toksyn na potrzeby programu selektywnego likwidowania przeciwników władzy.

Usuwanie wrogów państwa za pomocą wyrafinowanych trucizn było sprawdzoną metodą działania KGB, ale obecny program szedł znacznie dalej. W laboratoriach FSB naukowcy tworzyli chemikalia, zarazki i radioaktywne trucizny, które zabijały, nie pozostawiając śladów. Podane doustnie albo rozpylone w powietrzu w postaci mgiełki czy oparów wywoływały błyskawicznie postępujące nowotwory, zawał serca albo niewydolność wielonarządową. Agenci FSB mogli usunąć figuranta, pozorując śmierć w wyniku nagłej choroby albo z przyczyn naturalnych. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby Putin zadawał sobie tyle trudu po to, by wypielić własny przydomowy ogródek. Należało się spodziewać, że prezydent Federacji Rosyjskiej szykuje grubszą akcję.

Szef pionu operacyjnego nie mógł się oprzeć refleksji, że ucieczka Bieriezowskiego i kilku innych dysydentów do Wielkiej Brytanii bardzo pechowo zbiegła się w czasie z 11 września. Brytyjski wywiad musiał skupić uwagę na czym innym właśnie wtedy, gdy Rosja wyeksportowała swoje problemy do Zjednoczonego Królestwa. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – napływ prominentnych uciekinierów z Rosji znakomicie ułatwił

pozyskiwanie danych wywiadowczych w dobie ostrych cięć budżetowych.

Największą wartość dla brytyjskiego wywiadu miał Litwinienko, który nie tylko dysponował aktualną wiedzą o hermetycznej agencji bezpieczeństwa publicznego, lecz także, na zlecenie Bieriezowskiego, zajmował się pozyskiwaniem źródeł i szukaniem nowych tropów w Moskwie. Chłopcy z MI6 też chcieli na tym skorzystać. Dlatego w połowie 2003 roku siwiejący mężczyzna w ciemnoszarym garniturze nawiązał kontakt z Litwinienką i zadał mu pytanie, czy jest gotów pomóc swojej nowej ojczyźnie. Były oficer FSB został szczegółowo przesłuchiwany po otrzymaniu azylu politycznego, ale teraz Brytyjczycy chcieli go włączyć do aktywnej służby jako konsultanta do spraw związków Kremla z przestępczością zorganizowaną.

Litwinienko skwapliwie przyjął propozycję brytyjskiego wywiadu. Dostał „opiekuna", który przedstawił się jako Martin i wręczył mu zakodowany telefon. Panowie spotykali się regularnie w starannie wybranych, niezwracających uwagi miejscach, takich jak salka w piwnicy kawiarni Waterstones na Piccadilly Circus. Były oficer FSB rzeczywiście okazał się cennym nabytkiem, więc przyznano mu stałe uposażenie w wysokości dwóch tysięcy funtów, które stanowiło miły dodatek do pensji wypłacanej przez Bieriezowskiego. Aleksandr Litwinienko przestał być tylko prywatnym detektywem węszącym na zlecenie żądnego zemsty oligarchy. Pracował dla królowej i dla kraju.

Bieriezowski był wściekły, że zachodni przywódcy nie chcą publicznie uznać dowodów zebranych przez jego ludzi przeciwko Putinowi. Ale werbowanie Litwinienki przez MI6 wydawało się dobrym znakiem; zresztą nawet gdyby Putinowi udało się ukryć prawdę o eksplozjach w blokach mieszkalnych, oligarcha miał w rękawie kilka innych asów.

Został jednym z głównych sponsorów projektu przygotowania transkrypcji taśm z poufnymi rozmowami Łeonida Kuczmy, które nagrał potajemnie, a potem upublicznił jego były ochroniarz. Słychać na nich między innymi, jak prokremlowski prezydent Ukrainy planuje rozmaite przestępstwa kryminalne, z porwaniem

i zabójstwem nieposłusznego dziennikarza włącznie. Tak zwana afera kasetowa wywołała falę protestów w całej Ukrainie i przygotowała grunt pod pomarańczową rewolucję i obalenie marionetkowego rządu w Kijowie. Taśmy obciążały również Putina: zawierały odniesienia do jego powiązań ze światem przestępczym, w tym z mafią tambowską w Petersburgu. Bieriezowski wciągnął do projektu Litwinienkę, zlecając mu uporządkowanie tych materiałów.

Nowe zadanie wspaniale zazębiało się z pracą, którą były oficer FSB wykonywał dla MI6. Opiekunowie z brytyjskiego wywiadu skontaktowali go ze swoimi kolegami z innych europejskich służb specjalnych, które również interesowały się powiązaniami Kremla z rosyjskim światem przestępczym, rozcapierzającym swoje macki na zachód. Litwinienko zaczął przekazywać śledczym z Hiszpanii i Włoch to, czego się dowiedział z taśm Kuczmy i co odkrył w toku własnego śledztwa.

Tymczasem Zakajew nadal próbował dotrzeć do prawdy o eksplozjach w moskiewskich domach mieszkalnych i o tragedii na Dubrowce. Przywódca rebeliantów powołał komisję do zbadania zbrodni wojennych. Oprócz przypadków łamania praw człowieka w Czeczenii komisja zajmowała się również domniemanym udziałem FSB w obu tych aktach terrorystycznych, o które władze Rosji oskarżyły czeczeńskich bojowników. Tu także przydały się wiedza i umiejętności śledcze Litwinienki. Panowie postanowili zwrócić się o pomoc do Anny Politkowskiej, która zdobyła ich podziw i szacunek, kiedy udało jej się przeprowadzić wywiad z Terkibajewem. Namówili dziennikarkę, żeby poszukała nowych śladów w Moskwie i Groznym. Chodziło o to, by zgromadzić dostatecznie mocne dowody współudziału Putina w aktach terrorystycznych, by wnieść przeciwko niemu oskarżenie do Międzynarodowego Trybunału Karnego.

Bieriezowski i Zakajew musieli też toczyć prywatną walkę z Kremlem. Rosjanie coraz natarczywiej domagali się ich ekstradycji do Moskwy, gdzie chcieli ich postawić przed sądem: Zakajewa za rzekome zorganizowanie zamachów bombowych, a Bieriezowskiego za malwersacje. Wydarzenia ostatnich miesięcy utwierdziły obu dysydentów w przekonaniu, że uniknięcie ekstradycji jest sprawą życia i śmierci.

Ledwie uchodźcy z Rosji urządzili sobie życie w nowej ojczyźnie, zaczęto im grozić. Pierwszy był Litwinienko. Zadzwonił do niego dawny kolega z URPO, żeby przekazać wiadomość z góry: jeśli nie chce szybko rozstać się z życiem, ma natychmiast wracać o Rosji.

– Jeśli nie wrócisz dobrowolnie, przywiozą cię w plastikowym worku albo ktoś wepchnie cię pod pociąg – powiedział mężczyzna.

– Bardzo ciekawa propozycja – odparł Litwinienko – ale jestem zmuszony odmówić.

Kolejne ostrzeżenie nadeszło za pośrednictwem Triepaszkina. Wkrótce po ukazaniu się *Wysadzić Rosję* detektyw rozmawiał w Moskwie ze swoim źródłem w dowództwie FSB. Opisał to spotkanie w mejlu do Litwinienki: „Powiedział mi, że wisi nad Tobą wyrok. To znaczy, że jeśli wydasz kolejną książkę, na bank Cię zabiją".

Pogróżki nie ustawały, lecz Litwinienko nieszczególnie się nimi przejmował. Zaledwie kilka miesięcy po przyjeździe do Londynu były oficer FSB i jego najbliżsi otrzymali azyl polityczny w Wielkiej Brytanii, a to oznaczało, że choćby jego dawni koledzy ze służb pękli ze złości, Anglicy nie odeślą go do Rosji. Litwinienko powtarzał przyjaciołom, że nigdzie nie czuł się tak bezpiecznie jak w Wielkiej Brytanii.

Następny był Bieriezowski. Oligarcha otrzymał pierwszy list z pogróżkami miesiąc po pamiętnej konferencji prasowej w marcu 2002 roku, na której przekazał dziennikarzom wstępne ustalenia śledztwa Litwinienki. Nadawca podpisał się „Piotr Pietrowicz", a jako adres zwrotny podał cmentarz Highgate w Londynie. List zawierał mało znany cytat z francuskiego filozofa Michela de Montaigne'a: „Nie ma takiego miejsca na ziemi, w którym śmierć nie zdoła cię znaleźć" i ostrzeżenie: „Postaraj się zrozumieć, że wszystko, co ostatnio robisz, przybliża śmierć twoją i twoich najbliższych".

Bieriezowski zareagował z właściwą sobie dezynwolturą. List od szantażysty wraz z odpowiedzią skierowaną bezpośrednio do Putina przesłał do redakcji „Kommiersanta", moskiewskiej gazety, która niegdyś należała do niego. „Afektowany ton Pańskiego listu wskazuje jednoznacznie, że popadł Pan, drogi Panie, w poważne uzależnienie od heksogenu", zadrwił z prezydenta Federacji

Rosyjskiej, nawiązując do zamachów bombowych w Moskwie. „Heksogen jest narkotykiem, który demoralizuje nie mniej, a powiedziałbym, że nawet bardziej, od kokainy. Pora udać się na odwyk”. Nowa redakcja dziennika nie ośmieliła się opublikować oryginalnego listu ani odpowiedzi Bieriezowskiego, ale od tego momentu listy z pogróżkami zaczęły przychodzić regularnie.

„Piotr Pietrowicz zachęca swoich klientów, żeby szczegółowo wyobrazili sobie własną śmierć: ból, strach, poczucie bezradności, rozpacz ukochanych”, ostrzegał jeden z anonimów. „Jak powiedział Władimir Putin: oligarchowie przez całe życie przygotowują się, przygotowują, przygotowują… ale nie umieją przygotować się na śmierć”.

Początkowo Bieriezowski nie przejmował się lawiną pustych, jak sądził, pogróżek. Narcystyczny oligarcha był bliski wiary we własną nieśmiertelność, a poza tym nabrał graniczącego z obsesją podziwu dla brytyjskiego systemu sprawiedliwości i był pewny, że angielski sąd nie zgodzi się na jego ekstradycję. Uważał, że dopóki pozostaje w Wielkiej Brytanii, nic mu nie grozi. Nawet Putin nie jest tak bezczelny, by zabijać swoich przeciwników na obszarze obcego mocarstwa.

Wkrótce ekipa ochrony Bieriezowskiego dostała cynk, że Rosjanie szykują zamach na życie ich pracodawcy. Co gorsza, nie miała to być zwykła mokra robota, lecz operacja z wykorzystaniem radioaktywnej trucizny z laboratorium FSB. Informacja, chociaż nie do zweryfikowania, pochodziła ze strategicznego źródła na najwyższych szczeblach FSB, a zagrożenie było zbyt poważne, by je po prostu zignorować. Ochrona Bieriezowskiego zaopatrzyła się w licznik Geigera i zaczęła dokładnie sprawdzać samochód, dom i biuro oligarchy przed wpuszczeniem go do środka.

Oligarcha, który dopiero co publicznie oskarżył Putina o współudział w moskiewskich zamachach bombowych, zaczął tracić poczucie bezpieczeństwa. Londyn przygotowywał się do wizyty prezydenta Federacji Rosyjskiej. W marcu 2003 roku brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych odrzuciło wniosek o azyl polityczny, który Bieriezowski złożył bezpośrednio po przyjeździe do Wielkiej Brytanii, pisząc w uzasadnieniu, że w Rosji grozi mu śmierć. A tydzień później został zatrzymany przez policję.

Detektywi ze Scotland Yardu doprowadzili Borisa Bieriezowskiego i Julija Dubowa na przesłuchanie zorganizowane na żądanie rosyjskich prokuratorów, którzy domagali się ekstradycji obu biznesmenów w związku z oskarżeniem o przekręty w LogoWAZ-ie. Obaj panowie oświadczyli, że zarzuty mają podłoże polityczne, i wyszli za kaucją. Poręczenie w wysokości dwustu tysięcy funtów wpłacili Stephen Curtis i PR-owiec oligarchy Tim Bell. Ale na początku kwietnia Bieriezowski i Dubow mieli się stawić w sądzie pokoju na Bow Street, który rozpatrzy wniosek o ekstradycję. Nagle anonimowe pogróżki nabrały przerażającej realności.

Jeśli w przyszłym miesiącu sędzia pokoju zgodzi się na ekstradycję, Bieriezowski wpadnie w ręce Kremla. Był absolutnie pewien, że Putin łaknie jego śmierci, ale jeśli chciał pozostać w Wielkiej Brytanii, musiał znaleźć na to twarde dowody. Prawnicy oligarchy w pośpiechu przygotowywali odwołanie od odmowy przyznania azylu politycznego, ale uprzedzili klienta, że plik listów z pogróżkami nie będzie miał żadnej wartości w sądzie, jeśli nie zdoła udowodnić, kto jest ich nadawcą. Musi znaleźć coś, co je połączy bezpośrednio z Kremlem. Tylko jak?

Pewnego ranka, gdy oligarcha głowił się nad rozwiązaniem tego problemu, w jego pole widzenia wczłapał Jurij Felsztinski.

– Dostałem od FSB list z groźbą śmierci – zwierzył się Bieriezowski historykowi. – Chcesz przeczytać?

– Oczywiście.

Felsztinski wziął kartkę w swoje wielkie dłonie. Przebiegł wzrokiem tekst, unosząc ze zdziwieniem brwi.

– Borisie, ja już to czytałem – powiedział.

– Niemożliwe – burknął oligarcha.

Historyk był jednak pewien swoich słów. Niemal identyczny list pokazał mu Oleg Kaługin, generał KGB, który uciekł do Stanów Zjednoczonych i mieszkał teraz pod ochroną CIA w Waszyngtonie. List doręczony Kaługinowi w grudniu poprzedniego roku był uderzająco podobny do anonimu, który dostał Bieriezowski. Autor podpisał się jako Piotr Pietrowicz i przytoczył ten sam cytat z de Montaigne’a. Główną różnicę stanowił adres zwrotny – duży cmentarz publiczny, tym razem w Waszyngtonie zamiast w Londynie.

Bieriezowski natychmiast zadzwonił do swoich prawników. Fakt, że inny wróg Kremla otrzymał niemal identycznie brzmiący list z pogróżkami, niewątpliwie wskazywał, że oba anonimy są produktem kremlowskiego aparatu bezpieczeństwa. Przeanalizowanie wszystkich listów, które dostali Bieriezowski i Kaługin, prawnicy miliardera zlecili ekspertowi. Miał on wyszukać podobieństwa i spróbować ustalić, skąd pochodzą. A dzień przed rozprawą w sprawie ekstradycji oligarcha otrzymał nową wiadomość z Moskwy.

Jego kontakt w stolicy Rosji doniósł, że FSB wysłało do Anglii agenta, który ma zabić Bieriezowskiego na sali rozpraw. Informator twierdził, że zamachowiec będzie czekał przy przejściu na galerii dla publiczności i gdy oligarcha wejdzie na salę, zaatakuje go napełnionym trucizną wiecznym piórem.

Wiadomość była wystarczająco konkretna, by zaalarmować policję. W dniu rozprawy do sądu przybyli ubrani po cywilnemu funkcjonariusze Scotland Yardu. Poczekali, aż publiczność zajmie miejsca na galerii, a potem dyskretnie zatrzymali napastnika. Niedoszły zabójca został wyprowadzony z budynku i deportowany.

Pozyskanie w ostatniej chwili dowodu, że Moskwa dybie na jego życie, wyraźnie podniosło oligarchę na duchu. Pewny siebie, w nieskazitelnym czarnym garniturze i jedwabnym krawacie, wkroczył na salę sądową otoczony przez osiłków z obstawy.

– Mój klient żyje w nieustannym strachu przed śmiercią z ręki siepaczy rosyjskiego reżimu – powiedział sądowi adwokat oligarchy. Następnie nazwał oskarżenia moskiewskiej prokuratury „polityczną szopką”.

Sędzia pokoju Timothy Workman znów zwolnił Bieriezowskiego za kaucją i postanowił wstrzymać się z ostateczną decyzją, dopóki MinisterstwoSpraw Wewnętrznych nie rozważy odwołania od odmowy przyznania azylu politycznego.

Oligarcha opuścił salę rozpraw w znakomitym nastroju. W masce Putina na twarzy przepchnął się przez czekający przed wejściem tłum dziennikarzy i odjechał w kawalkadzie samochodów do hotelu Méridien Piccadilly, gdzie wystąpił na konferencji prasowej. Nie mógł wspomnieć o nieudanym zamachu na swoje życie ze względu na kategoryczny zakaz Scotland Yardu, ale i tak nie zdołał ukryć

złośliwej satysfakcji. Oświadczył tłumnie zebranym dziennikarzom, że jest szczęśliwy, iż może mieszkać w kraju z „naprawdę niezależnym” systemem sądowniczym, gdzie rosyjska prokuratura ma „zerowe szanse” na uzyskanie zgody na jego ekstradycję.

Dowód, że Rosjanie rzeczywiście chcą zlikwidować Bieriezowskiego, bardzo wzmocnił argumentację prawników walczących o ponowne rozpatrzenie jego wniosku o azyl polityczny. Do dokumentów, które wysłali do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, dołączyli także opinię eksperta, który zbadał listy z pogróżkami. Był nim były oficer KGB Jurij Szwec, dawny kolega Putina z akademii KGB, który uciekł z Rosji do Stanów Zjednoczonych. Zgodnie z fachową opinią Szweca anonimy zawierały „otwartą groźbę, że jeśli Bieriezowski nie przestanie atakować reżimu w Moskwie, a zwłaszcza FSB, zostanie zamordowany, mimo że mieszka na obszarze obcego państwa”. Ekspert ostrzegł, że „uwzględniając fakt, że rosyjskie władze i służby bezpieczeństwa przywiązują patologiczną wręcz wagę do Borisa Bieriezowskiego, nie będzie przesadą oczekiwać, że spróbują go zabić na obszarze Wielkiej Brytanii”.

We wrześniu 2003 roku minister spraw wewnętrznych David Blunkett przyznał Borisowi Bieriezowskiemu azyl polityczny. Rząd Rosji nerwowo przyjął tę decyzję. Oskarżył Wielką Brytanię o łamanie zasad prawa i zapowiedział, że nie zrezygnuje ze starań o ekstradycję oligarchy.

Scotland Yard nieoficjalnie poinformował sędziego pokoju Timothy’ego Workmana, że kolejne przesłuchania na Bow Street wiążą się dla Bieriezowskiego z ogromnym ryzykiem. Sędzia odrzucił wniosek o ekstradycję, uznając, że udzielenie oligarsze azylu politycznego w Wielkiej Brytanii czyni go bezprzedmiotowym.

Kilka tygodni później ten sam sędzia pokoju wysłuchał stron w sprawie o ekstradycję Zakajewa. Przeciwko przywódcy czeczeńskich rebeliantów toczyło się w Rosji trzynaście spraw karnych, w tym o zabójstwo i o porwanie. Jednakże kluczowy świadek oskarżenia odwołał swoje zeznania, stwierdzając w sądzie, że został zmuszony torturami do podpisania zeznań obciążających Zakajewa. Sędzia Workman odrzucił wniosek o ekstradycję, stwierdzając w uzasadnieniu, że jest on umotywowany politycznie

i że w Rosji oskarżonemu grozi niehumanitarne traktowanie. „Doszedłem do nieuniknionego wniosku, że skoro władze stosują tortury wobec świadków, istnieje poważne ryzyko, iż pan Zakajew również mógłby zostać poddany torturom”, orzekł sędzia Workman. „Odesłanie pana Zakajewa do Rosji, by stanął przed tamtejszym sądem, byłoby wobec niego niesprawiedliwe i krzywdzące”. Czeczeński przywódca nazwał wyrok „małym zwycięstwem” i wykorzystując chwilowe zainteresowanie mediów, oświadczył, że nie spocznie, dopóki Putin nie odpowie za zbrodnie wobec narodu czeczeńskiego przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym.

Kreml ostro skrytykował decyzję sędziego Workmana. Rzeczniczka rosyjskiego rządu oświadczyła, że wyrok odzwierciedla „politykę podwójnych standardów, znaną z czasów zimnej wojny”. Oskarżyła brytyjski rząd o udzielanie ochrony ekstremistom i zagroziła zerwaniem współpracy z Londynem na polu walki z terroryzmem. Brytyjskie służby dyplomatyczne próbowały tłumaczyć, że rząd nie ma wpływu na decyzje sądów, ale nie był to argument, który trafiłby do przekonania Putinowi.

Trzej najwięksi wrogowie Kremla na wygnaniu w Wielkiej Brytanii znaleźli się poza zasięgiem moskiewskiej prokuratury. Jeśli Kreml chciał położyć kres ich nieustannym prowokacjom, musiał się uciec do środków pozasądowych.

Stephen Moss pracował dla obsesyjnie atakującego Putina oligarchy z narastającym poczuciem dyskomfortu. W miarę jak zbliżała się data sfinalizowania sprzedaży Sibnieftu, coraz bardziej zamykał się w sobie. Kiedy przyjaciele pytali, czym się martwi, odpowiadał tylko, że się boi. Nie chciał zdradzić szczegółów, ale uważał, że jego życiu może zagrażać niebezpieczeństwo.

W czasie gdy Bieriezowski przygotowywał się do rozprawy w sądzie pokoju, Moss z żoną i małymi dziećmi odpoczywał na wakacjach we Włoszech. Wrócił dopiero po odrzuceniu przez sędziego Workmana wniosku o ekstradycję. Przyjaciele, z którymi spędził popołudnie na wyścigach konnych w Surrey, z ulgą stwierdzili, że wygląda na odprężonego. Trzy dni później już nie żył.

Wiadomość, że czterdziestosześcioletni prawnik umarł nagle na zawał serca, wywołała popłoch w otoczeniu Bieriezowskiego.

Znajomi prawnika podejrzewali, że ktoś go sprzątnął. Kilka dni później ich niepokój spotęgowała wiadomość o włamaniu do domu denata. Intruzi nie ruszyli rodzinnych drogocenności, zabrali tylko komputery. W tym samym czasie Stephen Curtis, który zastanawiał się gorączkowo, jakie sekrety jego zmarły partner mógł przechowywać na twardych dyskach, zaczął odbierać telefony z pogróżkami.

– Curtis, gdzie jesteś? – pytał z mocnym rosyjskim akcentem męski głos, który zostawił wiadomość w skrzynce głosowej. – Jesteśmy obok. Tuż za twoimi plecami. Nie odstępujemy cię na krok.

Curtis wiele razy zmieniał numer telefonu, ale wiadomości przychodziły nadal. Zatrudnił ekipę ochroniarzy i urządził w swoim zamku w Dorset bezpieczny pokój (*panic room*). Miał powody czuć się zagrożony, i to bardziej od większości ludzi z otoczenia Bieriezowskiego, ponieważ był uwikłany po uszy w niebezpieczne interesy innego rosyjskiego oligarchy, który miał nieostrożność zadrzeć z Putinem.

Michaił Chodorkowski był właścicielem wartego piętnaście miliardów dolarów paliwowego giganta Jukos i, co za tym idzie, najbogatszym człowiekiem w Rosji. Jego aresztowanie w październiku 2003 roku pokazało, że Kreml jest w stanie zgnoić nawet największego rekina biznesu. Potentat naftowy popełnił fatalny błąd, publicznie zarzucając korupcję urzędnikom administracji prezydenckiej. Został aresztowany, a następnie skazany za rzekome oszustwa finansowe i spędził dziesięć lat w kolonii karnej. Gdy właściciel Jukosu utknął za kratkami, zadanie ratowania firmy spadło na barki Curtisa, który od wielu lat był jego prawnikiem.

Kreml zamroził wszystkie udziały w przedsiębiorstwie, a następnie oskarżył Jukos o zaległości podatkowe, które przekraczały jego wartość. Jeden ze współzałożycieli koncernu, Jurij Gołubiew, po aresztowaniu Chodorkowskiego wyjechał do Londynu i stamtąd, wspólnie z Curtisem, próbował bronić przedsiębiorstwa przez całkowitym upadkiem.

Równocześnie Curtis pomagał Fomiczewowi ukryć miliard trzysta milionów dolarów – przekazany Borisowi i Badriemu przez Romana

Abramowicza – w oszałamiającym labiryncie zagranicznych inwestycji i funduszy; wszystkie szczegóły przechowywał w swojej fotograficznej pamięci, żeby nie zostawiać śladów na papierze. Rosyjscy klienci płacili mu bajeczne honoraria i, podobnie jak Scot Young, Curtis nabrał zwyczaju szastania pieniędzmi. Potrafił w jeden wieczór wydać kilkadziesiąt tysięcy funtów na najdroższego szampana i indywidualne pokazy tańca erotycznego w VIP-owskim saloniku nocnego klubu. Ale ceną za szybkie wzbogacenie się był dławiący stres.

Curtis miał nerwy w strzępach, co odbijało się w widoczny sposób na jego zachowaniu. Stres, potęgowany telefonicznymi pogróżkami, zmienił go z jowialnego kompana w drażliwego, nieznoszącego sprzeciwu despotę. A w styczniu 2004 roku zdarzył się dziwny incydent, który jeszcze bardziej pogłębił jego lęki.

W mroźny styczniowy wieczór w malowniczej wiosce Furneux Pelham w Hertford do drewnianego domku osiemdziesięciotrzyletniego podpułkownika Roberta Workmana zapukał nieznajomy mężczyzna. Weteran drugiej wojny światowej otworzył drzwi facetowi z obrzynem, który oddał do niego pojedynczy strzał z bliskiej odległości. O tej porze mieszkańcy wioski mościli się do snu w przytulnych domkach licowanych deską szalunkową, więc zwłoki znaleziono dopiero nazajutrz rano. Zabójca zdążył się tymczasem ulotnić.

Przez prawie dziesięć lat morderstwo w cichym zakątku jednego z otaczających Londyn hrabstw pozostawało nierozwiązane. Mieszkańcy Furneux Pelham zachodzili w głowę, kto mógł mieć motyw, żeby pozbyć się starego wojaka. Ale lokalna policja próbująca rozwiązać tę zagadkę coś sobie skojarzyła. Podpułkownik Workman nosił to samo nazwisko co znacznie bardziej prawdopodobny cel zamachu – sędzia pokoju, który rozwścieczył Kreml odrzuceniem wniosku o ekstradycję Bieriezowskiego i Zakajewa. Detektywi ostrzegli sędziego Workmana, mieszkającego w pobliskim Berkshire, że jego życie może być w niebezpieczeństwie.

Kiedy Bieriezowski usłyszał o incydencie w Furneux Pelham, ani przez chwilę nie wątpił, że była to spartaczona próba ukarania

sędziego, który zapewnił jemu i Zakajewowi bezpieczne schronienie w Wielkiej Brytanii. W końcu w Rosji niepokornym przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości nieraz zdarzało się spotkać oko w oko z obrzynem; dlatego właśnie wrogów Putina tak łatwo było wysłać do kolonii karnej za niepopełnione przestępstwa kryminalne. Jak na zabójstwo zlecone przez Moskwę była to nader prymitywna robota, ale możliwe, że Rosjanie wynajęli miejscowego chuligana, z którym nie umieli się dogadać. „Ścisłe powiązania FSB z organizacjami przestępczymi w Rosji są faktem", napisał były KGB-ista Szwec w ekspertyzie, którą Bieriezowski dołączył do swojego wniosku o azyl. „Funkcjonariusz FSB niższego szczebla może zlecić zawodowemu przestępcy zabicie dowolnej osoby na terenie Zjednoczonego Królestwa i nie pozostawi to żadnego śladu w aktach".

Po latach zabójca starego weterana stanął wreszcie przed sądem. Okazał się nim miejscowy deratyzator, Christopher Docherty-Puncheon, który odsiadując wyrok więzienia za inne zabójstwo, zwierzył się koledze z celi, że to on zastrzelił podpułkownika Workmana. Powiedział, że dostał na niego zlecenie i że zrobił to dla pieniędzy. W listopadzie 2012 Docherty-Puncheon został skazany za morderstwo, ale nigdy nie wyjawił, kto mu za nie zapłacił.

Zabójstwo wojskowego wstrząsnęło Bieriezowskim i jego współpracownikami. Curtis, który coraz częściej odbierał nieprzyjemne telefony i sądził, że ktoś za nim jeździ, był śmiertelnie przerażony. W lutym 2004 roku zgłosił się do NCIS (*National Criminal Intelligence Service* – Narodowa Służba Wywiadu Kryminalnego) i zaproponował, że w zamian za ochronę zostanie jej informatorem. Przydzielono mu opiekuna, któremu na dwóch kolejnych spotkaniach opowiedział, co wie o działalności swoich rosyjskich klientów w Londynie. Nie uśmierzyło to jednak jego obaw. Pod koniec lutego powiedział przyjacielowi: „Jeśli w ciągu najbliższych tygodni coś mi się stanie, nie będzie to wypadek".

Niespełna tydzień później, w pogodny wiosenny wieczór 3 marca 2004 roku, Curtis wsiadł do swojego nowiutkiego sześcioosobowego śmigłowca Augusta na londyńskim lądowisku Battersea Heliport. Maszyna wzbiła się w bezchmurne niebo i odleciała w kierunku zamku w Dorset. Półtorej godziny później znalazła się nad

lotniskiem w Bournemouth. Siąpił lekki deszcz. W momencie gdy pilot połączył się z wieżą kontrolną, żeby poprosić o pozwolenie na lądowanie, helikopterem gwałtownie szarpnęło w lewo i w ułamku sekundy maszyna straciła prawie sto pięćdziesiąt metrów wysokości. Pilot próbował odzyskać kontrolę nad sterami, ale silnik odmówił posłuszeństwa i Augusta runęła na płytę lotniska, zmieniając się w kulę ognia o dziesięciometrowej średnicy. Curtis i trzydziestoczteroletni pilot zginęli na miejscu.

Lokalna policja szybko uznała, że nie ma tu nic do roboty. Rutynowe dochodzenie w celu ustalenia okoliczności śmierci zakończyło się orzeczeniem: „śmierć w katastrofie lotniczej", aczkolwiek koroner zauważył, że „w sprawie występują wszystkie elementy thrillera szpiegowskiego". Oficjalnie stwierdzono, że Curtis zginął w zwykłym wypadku, ale chłopcy z rosyjskiej sekcji River House mieli swoje podejrzenia.

MI6 otrzymało informacje, z których wynikało, że zarówno Curtis, jak i Moss mogli paść ofiarą zabójstwa. Brytyjscy szpiedzy zawrócili się o pomoc do swoich amerykańskich partnerów. Takie prośby są wysyłane teleksem za pośrednictwem posiadających certyfikaty bezpieczeństwa pracowników ambasady USA w Londynie. Odpowiedź nadeszła tą samą drogą. Amerykanie potwierdzili, że w obu przypadkach ślady prowadzą do Rosji; byli gotowi podzielić się danymi wywiadowczymi z kolegami zza oceanu. Nie omieszkali podkreślić, że tropy są „mocne", zwłaszcza w przypadku Curtisa.

Problem polegał na tym, że zdobyta przez Amerykanów wiedza pochodziła z tych samych źródeł operacyjnych i stanowisk nasłuchowych, dzięki którym byli w stanie śledzić prowadzone w laboratorium pod Moskwą badania nad chemicznymi i biologicznymi truciznami, i próba jej wykorzystania mogła spalić całą siatkę wywiadowczą. A to z kolei zniweczyłoby szanse na zneutralizowanie długofalowej strategii Putina. Dlatego uzyskane od Amerykanów informacje musiały pozostać tajne.

Bieriezowski i jego współpracownicy stawili się w komplecie na pogrzebie prawnika w Dorset. Karawan zaprzężony w konie z czarnymi pióropuszami na łbach wiózł trumnę, na której zamkniętym wieku leżał pojedynczy bukiet białych kwiatów przewiązany wstęgą. Było na niej napisane tylko jedno słowo:

„Tatuś”. Kondukt pogrzebowy otwierali zawodowi żałobnicy we frakach i w cylindrach. Curtis zdążył dobrze się przygotować na tę chwilę. Zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach, łącznie z pokazem fajerwerków nad zatoką i flagą Wielkiej Brytanii łopoczącą na wieży zamku.

Bieriezowski był zdruzgotany śmiercią swojego prawnika.

– Zabili go – powiedział Dubowowi, błyskając gniewnie czarnymi oczami. – Wiem, że to było morderstwo.

Dubow był bardziej powściągliwy w sądach. Wiedział z doświadczenia, że Bieriezowski zawsze jest stuprocentowo przekonany o swojej racji bez względu na to, jak szalony pomysł akurat przyszedł mu do głowy. Jednak oficjalne stanowisko brytyjskich władz również nieszczególnie trafiało mu do przekonania. Zasugerowanie, że służby Putina mogły mieć cokolwiek wspólnego z katastrofą śmigłowca Curtisa, ostatecznie zepsułoby i tak nie najlepsze relacje z Rosją, które Brytyjczycy właśnie usilnie próbowali naprawić. Można było z dużym prawdopodobieństwem założyć, że cała prawda o śmierci Mossa i Curtisa nigdy nie wyjdzie na jaw.

Kiedy niespełna dwa tygodnie po katastrofie Augusty Putin wygrał wybory prezydenckie przytłaczającą większością 71,9 procent głosów, Tony Blair natychmiast złapał za słuchawkę i zadzwonił do Moskwy, by pogratulować mu walnego zwycięstwa. Obserwatorzy alarmowali, że w niektórych lokalach wyborczych liczba oddanych głosów przewyższała liczbę wyborców (*ballot stuffing*), a przedwyborczy przekaz publicznych mediów był daleki od bezstronności, jednak premier Wielkiej Brytanii zignorował te doniesienia i po raz kolejny zapewnił publicznie, że zależy mu na zbliżeniu z Kremlem.

Trudne chwile przeżywał też Scot Young, który pospiesznie wycofał zamówienie na sześcioosobową Augustę – ten sam model, którym rozbił się Curtis. Po śmierci dwóch prawników nie mógł już dłużej udawać przed Michelle, że bycie rekieterem Bieriezowskiego nie jest wyjątkowo ryzykownym biznesem. Stałe napięcie zaczęło się poważnie odbijać na jego małżeństwie. Jednak fikser nie zwykł kierować się emocjami tam, gdzie chodziło o pieniądze.

Young pomógł Borisowi i Badriemu odciąć rodzinę zmarłego od udziałów w World New Value Fund, który prawnik stworzył do odbierania przelewów od Abramowicza, a następnie rzucił się w wir nowych interesów z Bieriezowskim. Gra w pierwszej lidze z definicji jest niebezpieczna, ale przy tak wysokich stawkach i bajecznych zyskach bardzo trudno zdecydować się na zakończenie kariery.

Część trzecia. Ryzyko zawodowe

VIII

Miami, Floryda, 2004 rok

Jonathan Brown siedział przy ulubionym stoliku z widokiem na turkusowy przesmyk pomiędzy Fisher Island i Miami, którym wypływały na pełne morze ogromne statki wycieczkowe. Opalony, szeroki w barach milioner, sączący martini w miodowych promieniach przedwieczornego słońca, wyglądał jak rodowity mieszkaniec Miami, jednak jego upodobanie do białych obcisłych dżinsów i szpanerskich butów z krokodylej skóry było mylące. W rzeczywistości Brown był synem farmera z hrabstwa Kumbria w deszczowej północnej Anglii. Wszedł w branżę przetwórstwa i rybnego i udowodnił, że na wędzeniu łososi też można zarobić gigantyczne pieniądze. Przeniósł się na drugą stronę Atlantyku, by rozszerzyć łososiowe imperium na Amerykę, i pomnażał swoje miliony, inwestując w nieruchomości na Florydzie. Choć przepuszczając przy barze grube tysiące dolarów, lubił informować zupełnie obcych ludzi: „Jestem tylko zwykłym rybakiem!", nie spieszył się bynajmniej z powrotem do kumbryjskiej szarugi.

Król wędzonego łososia umówił się w specjalizującej się w stekach restauracji Smith & Wollensky z milionerem z Londynu, który przypłynął jachtem na Florydę, żeby kupić sobie nadmorską rezydencję. Zaprosił go na powitalną kolację na prośbę wspólnego znajomego z branży nieruchomości. Przyglądał się teraz z zainteresowaniem opalonemu na brąz żeglarzowi, który szedł w jego stronę między stolikami, odpowiadając uśmiechem na zaciekawione spojrzenia pozostałych gości.

Mimo rzednących włosów i zarysowującego się coraz wyraźniej brzuszka Young nadal przyciągał spojrzenia. Zachował nonszalancki styl bycia i pewność siebie, które zawsze wyróżniały go z tłumu. Odkąd jego życie w Anglii zaczęło się poważnie komplikować, coraz częściej bywał w Miami. Niedawno wpadł na pomysł, żeby z całą rodziną przeprowadzić się tam na stałe. Odsunąłby w ten sposób

Scarlet i Sashę od swoich niebezpiecznych rosyjskich znajomych i kto wie, może by poprawił napiętą ostatnio relację z żoną. Przypłynął, żeby rozejrzeć się za domem, i cieszył się, że znalazł towarzystwo.

Panowie od razu przypadli sobie do gustu. Brown zaproponował, żeby dla przełamania lodów każdy z nich zapisał na karteczce swoją ulubioną scenę z filmu. Kiedy wymienili się karteczkami, okazało się, że obaj wybrali ten sam moment z *Prawdziwego romansu* Quentina Tarantino, kiedy Dennis Hopper, którego zaraz rozwali mafia, wykorzystuje ostatnie chwile życie, by posłać kwiecistą wiązankę swojemu zabójcy.

– Nawet umierając, przypierdolimy im! – zawołał radośnie Brown, a Young zawtórował mu śmiechem.

Panowie gawędzili przyjemnie, popijając sezonowaną na sucho polędwicę wołową kolejnymi butelkami aksamitnego czerwonego wina. Pod koniec wieczoru snuli już wspólne plany na przyszłość.

– Wpadnij w przyszłym tygodniu do Londynu! – namawiał Scot. – Pokażę ci, jak trzeba żyć!

Brown dopiero co sprzedał znaczną część swojego łososiowego imperium, jego małżeństwo utknęło w martwym punkcie i w ogóle nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić. Ponadto właśnie sobie kupił nowiutki prywatny odrzutowiec i miał ogromną ochotę go przetestować. „Niech mnie kule biją", pomyślał, przyjmując propozycję Younga. „Wreszcie poznałem kogoś, z kim można się zabawić".

Londyn, Miami, lata 2004–2005

Kiedy tydzień później Brown wylądował w Biggin Hill, na płycie lotniska czekały na niego dwa rolls-roycey phantom. Young zainstalował nowego kumpla w pięciogwiazdkowym hotelu Halkin w eleganckiej dzielnicy Belgravia i panowie ruszyli w miasto. Imprezowali do rana w ulubionym klubie książąt Williama i Harry'go, Boujis, gdzie Scot co wieczór przepuszczał pięćdziesiąt tysięcy funtów na kokainę i szampana Dom Pérignon

w półtoralitrowych butelkach, z których fajnie polewało się rozbawiony tłum.

Tak dobrze spędzało im się razem czas, że Brown zaczął regularnie odwiedzać Londyn, gdzie zawsze zatrzymywał się w hotelu Halkin. Young za to jeszcze częściej pojawiał się w Miami. Kupił sobie cztery samochody marki Porsche, by mieć czym jeździć po półwyspie. Brown pomagał mu szukać nadmorskiej rezydencji, która zmieściłaby się w budżecie czterdziestu pięciu milionów funtów. Niebawem fikser Bieriezowskiego nabył oślepiająco białą willę w Coconut Grove i przeprowadził się do nowego domu z całą rodziną.

Choć ostatnio bardzo trudno było zadowolić Michelle, nowa rezydencja z widokiem na obrzeżoną namorzynami lagunę Biscayne Bay wprawiła ją w zachwyt. Young zwierzył się nowemu przyjacielowi, że jego małżeństwo się rozpada i że przeprowadził się do Miami, by jego córki mogły rozpocząć nowe cudowne życie, zanim tata ostatecznie rozstanie się z ich matką. Brown, który chciał mu jakoś pomóc, porozmawiał z kim trzeba, i Scarlet oraz Sasha zostały przyjęte do tej samej ekskluzywnej szkoły, do której chodziły jego własne córki. Jednak po kilku miesiącach imprezowania ze Scotem jego małżeństwo również wisiało na włosku.

W Londynie Brown spotykał się z pewną młodą Rosjanką. Kiedy dziewczyna powiedziała mu, że spodziewa się dziecka, uświadomił sobie, że chyba się w niej zakochał. Prowadził podwójne życie, utrzymując ciężarną kochankę w luksusowym londyńskim apartamencie, z dala od żony i córek, które zostały w Miami, i choć było to dość kłopotliwe, nareszcie czuł, że żyje pełnią życia. Scot roztaczał wokół siebie upajającą aurę hulaszczego nieokiełznania; przebywanie w jego towarzystwie było nieustanną, magiczną przygodą. Brown nigdy nie zapomni, jak kiedyś w grudniu zabrał swoją dziewczynę do Dorchester i nagle Young wtargnął do ich pokoju z naręczem banknotów. Obsypał ich pieniędzmi, jakby to było konfetti.

– Wesołych Świąt, Jonny! – wrzasnął do Browna, który leżał w łóżku i zaśmiewał się pod deszczem pięćdziesięciofuntówek.

Jednak niektóre sprawy budziły niepokój Browna. Young operował wyłącznie grubymi plikami gotówki i w hotel Hulkin co

rusz zjawiali się jacyś ludzie z workami pieniędzy. Skąd brał takie sumy?

– Scot, możesz mi przysiąc, że nie jesteś pieprzonym handlarzem narkotyków? – zapytał, kiedy nie mógł już dłużej powstrzymać ciekawości.

Young wyśmiał to podejrzenie i wyjaśnił, że pieniądze pochodzą od inwestorów, których nie może wymienić z nazwiska. Ale niedługo po tej rozmowie oznajmił przyjacielowi, że jest ktoś, kogo powinien poznać.

– Boris Bieriezowski? Słyszałem o nim! – wykrzyknął Brown.

– Taa… – przytaknął Young. – Były Rusek, któremu pomagam w interesach.

Fikser zabrał swojego kumpla do dyskretnego klubu na Berkeley Square, gdzie czekał na nich Bieriezowski w obstawie dwóch goryli, którzy na królu wędzonego łososia wywarli wrażenie bezwzględnych zabójców. Stresowało go, że snują się za nim jak cień, ilekroć musiał pójść do toalety. Za to oligarcha natychmiast go oczarował. Brown nie mógł uwierzyć, że ten błyskotliwy, niski mężczyzna, gestykulujący żywo bez wypuszczania z ręki papierosa, to zapiekły wróg Kremla, o którym tyle czytał w gazetach.

Szybko się przekonał, że oligarcha z naddatkiem nadrabia niedostatki wzrostu magnetyczną osobowością. Bieriezowski był fantastycznym gawędziarzem; uwielbiał perorować na temat *Matuszki Rossiji* i Brown z zapartym tchem słuchał jego opowieści o waśniach polityków, wojnach gangów i zbrodniczych spiskach. Król wędzonego łososia zaczął spędzać mnóstwo czasu w towarzystwie oligarchy i jego fiksera.

Wieczory z Bieriezowskim bardzo różniły się od hulanek, na które zabierał go Young. Szpakowaty biznesmen nie miał zwyczaju tańczyć na stole ani polewać wszystkich wokół szampanem, lubił za to wino i muzykę. Brown myślał o nim ciepło jako o „ekscentrycznym wujaszku”, z którym można prowadzić długie rozmowy o sensie życia. Oligarcha umiał sprawić, by potentat branży rybnej poczuł się ważny: zwracał się do niego „mój kochany”, a kiedy chciał porozmawiać o jakiejś delikatnej sprawie,

stawał na noskach jego butów i zbliżał twarz do twarzy w sposób sugerujący głębokie zaufanie.

Panowie tak się ze sobą zżyli, że Young wynajął przy Eaton Square w dzielnicy Belgravia (najbardziej prestiżowy adres w Londynie) trzy sąsiadujące ze sobą domy z białymi kolumnami i balkonami wychodzącymi na prywatne ogrody. Odnowiwszy je w luksusowym stylu, wręczył klucz do numeru 29 Bieriezowskiemu, sobie wziął numer 27, a Browna ulokował pośrodku.

Oprócz rezydencji w Wentworth Estate, gdzie mieszkała jego rodzina, oligarcha posiadał zawrotną liczbę nieruchomości w Londynie, spomiędzy których mógł wybierać, kiedy przebywał w stolicy. Domowi przy Eaton Square wyznaczył szczególną funkcję.

– Mój kochany – powiedział, przydeptując czubkami wypolerowanych na połysk butów palce Browna, kiedy wszyscy trzej już się urządzili. – Nie mogę zamieszkać na stałe pod dwudziestkądziewiątką. Mógłbyś zaopiekować się moimi paniami?

Oligarcha zaprosił Anglika z Miami do środka i pokazał mu stadko nastoletnich prostytutek, które przyleciały odrzutowcem Bieriezowskiego z krajów bałtyckich.

– Borysie! – wykrzyknął Brown. – One są młodsze od moich córek!

Mimo to obiecał, że popilnuje dziewczyn pod nieobecność właściciela domu.

Brown był pod coraz silniejszym urokiem Bieriezowskiego. Uwielbiał wpadać na Down Street; kiedy ochroniarze otwierali przed nim drzwi do wewnętrznego sanktuarium oligarchy z sekretarkami w garsonkach od Coco Chanel, z coraz to nową ekipą uchodźców z Rosji i wiecznie oburzonym kamerdynerem, wyobrażał sobie, że gra w filmie. Fascynowała go niemal dziecięca zależność miliardera od Younga. Uświadomił sobie jej rozmiary, kiedy pewnego dnia w Miami przypadkowo odebrał telefon przyjaciela.

– Mój kochany – usłyszał w słuchawce głos Bieriezowskiego, zanim zdążył się przedstawić – jesteś mi potrzebny w Londynie. Straciłem Ducha Miłości.

– Co to jest, do cholery, duch miłości? – zapytał kumpla zdumiony Brown.

Zaginiony skarb o wartości pół miliona funtów okazał się zabytkowym rolls-royce’em, kupionym przez Younga dla Bieriezowskiego za pośrednictwem podstawionej spółki zarejestrowanej na Gibraltarze. Wnętrze wozu, urządzone, jak to ujął autor katalogu domu aukcyjnego, „z iście królewskim przepychem”, miało luksusową tapicerkę i malowany w nagie amorki sufit, który jakoby przywodził na myśl „salę tronową w Wersalu”. Bieriezowski podarował Ducha Miłości swojej osiemnastoletniej przyjaciółce i dziewczyna zadzwoniła teraz, żeby powiedzieć, że samochód „zniknął” z ulicy.

Young ani przez chwilę nie wątpił, że znajdzie zgubę.

– Znam kogoś, kto będzie wiedział, kto wie, gdzie jest samochód. – To mówiąc, zrobił perskie oko. I, ku powszechnemu zdziwieniu, rzeczywiście go znalazł.

Brown był pełen podziwu dla przyjaciela, który wszystko potrafił załatwić, jednocześnie kręcąc niewiarygodnie zyskowne interesy. Spędzali razem mnóstwo czasu, ale Young nie spieszył się z dopuszczeniem go do spółki. Aż w końcu, pewnego ranka w drodze na lotnisko, opowiedział mu o tajnym Projekcie Moskwa.

Wspólne przedsięwzięcie budowlane Younga i głównego speca Bieriezowskiego od finansów, Rusłana Fomiczewa, wreszcie zbliżało się do fazy realizacji. Young wyjaśnił, że kupili na spółkę działkę w ścisłym centrum stolicy i zamierzali wznieść na niej „spektakularny” kompleks handlowo-biznesowy, który będzie przynosił „zyski liczone w setkach milionów”. Kiedy przyjaciel zaproponował mu udział w projekcie, Brown nie wahał się ani chwili.

Warunkiem uczestnictwa w przedsięwzięciu było dochowanie dwóch wielkich tajemnic. Po pierwsze, nikt nie może się dowiedzieć, że Bieriezowski inwestuje sześć milionów dolarów. Young wyjaśnił, że to „nie spodobałoby się” Putinowi, który chciał postawić oligarchę przed sądem, dlatego oficjalnie to on występuje w roli inwestora. Po drugie, na zakupionym terenie znajdowały się dwa budynki rosyjskiego Ministerstwa Obrony i trzeba było uzyskać specjalne pozwolenie władz miasta na ich przebudowę, a to wymagało koneksji w najwyższych kręgach. Ojciec Fomiczewa[6] był

emerytowanym generałem FSB, co dobrze rokowało, ale przezorności nigdy dosyć, więc dla pewności Young przekupił potężnego mera stolicy, który miał dopilnować, by wszystko poszło gładko. To właśnie ta druga sprawa, o której Brownowi nie wolno było puścić pary z ust.

– Mamy najlepszą lokalizację w Moskwie, mer siedzi w naszej kieszeni, zarobimy na tym kokosy – obiecał Young.

Mer Moskwy Jurij Łużkow[7] był prominentnym rosyjskim politykiem, kluczowym sojusznikiem Kremla, a prywatnie mężem jednej z najbogatszych kobiet w kraju, której osobisty majątek szacowano na przeszło miliard dolarów. Był również, jak stwierdził w tajnej depeszy pewien amerykański dyplomata, skorumpowaną szarą eminencją „przyjmującą łapówki w zamian za lukratywne kontrakty budowlane na terenie Moskwy”. Amerykańscy analitycy, którzy badali ośrodek władzy w mieście, zidentyfikowali „trzypiętrową strukturę”, z Łużkowem na samej górze, FSB pośrodku i zwykłymi kryminalistami na dole. Każdy, kto chciał prowadzić w stolicy interesy, musiał zapłacić jednej z tych grup za *kryszę*. „Jeśli ktoś próbował się od tego wykręcić, błyskawicznie zmuszano go do zamknięcia biznesu”.

Również ze względu na Łużkowa udział Bieriezowskiego w projekcie musiał pozostać tajemnicą: panowie byli wrogami niemal od upadku ZSRR. Oligarcha przechwalał się, że Łużkow znienawidził go, bo na początku swojej kariery politycznej przegrał z nim w bilard. Wspólna partyjka ulubionej gry mera Moskwy, w którą Bieriezowski rzekomo nigdy wcześniej nie grał, miała pomóc w nawiązaniu dobrych relacji z nowym włodarzem stolicy, ale oligarcha bezczelnie zwyciężył trzy razy z rzędu, co tak rozwścieczyło przeciwnika, że złamał swój kij. Niechęć Łużkowa do Bieriezowskiego wzrosła, kiedy mer wystartował przeciwko Putinowi w wyborach prezydenckich w 2000 roku i stał się obiektem brutalnych ataków kontrolowanych przez oligarchę mediów. Czara goryczy się przelała, kiedy były szef ochrony Jelcyna publicznie oskarżył Bieriezowskiego o przygotowywanie zamachu na życie Łużkowa. Dlatego mer Moskwy w żadnym razie nie mógł nabrać podejrzeń, że jego stary wróg zainwestował w Projekt Moskwa swoje pieniądze.

Young wymyślił, jak Bieriezowski może włożyć sześć milionów we wspólne przedsięwzięcie tak, by nikt się nie zorientował. Transakcję firmowała swoim nazwiskiem córka Bieriezowskiego, Jekatierina[8], która „sprzedała" Youngowi luksusowy dom w prestiżowej londyńskiej dzielnicy Mayfair, ale pieniądze nie przeszły z rąk do rąk. Young zobowiązał się zapłacić później, z zysków z Projektu Moskwa, następnie wziął kredyt pod zastaw nieruchomości, by pozyskać kapitał na pokrycie udziału Bieriezowskiego. Prawdziwe źródło pieniędzy zostało dobrze ukryte.

Young i Fomiczew byli współudziałowcami na równych prawach i fikser musiał zebrać do stycznia 2006 roku swoją część, dwadzieścia sześć i pół miliona dolarów, żeby rozpocząć budowę. Stworzył cały system zagranicznych firm wydmuszek do obsługi przepływów pieniędzy. Brown wpłacił obiecane pięć milionów. Kilka kolejnych dorzucili Poju Zabludowicz – fiński miliarder i sponsor torysów, który zaprosił kiedyś Bieriezowskiego i Younga na kolację z Billem Clintonem – i dwóch innych przyjaciół fiksera – potentat filmowy z Monako i londyński pożyczkodawca.

Young był tak pewien swojej *kryszy*, że wziął całe ryzyko na siebie, obiecując pozostałym inwestorom, że w razie niepowodzenia spłaci ich co do grosza. Znacznie mniejszym entuzjazmem wykazał się jego londyński prawnik, który ostrzegł swojego klienta, że pokłada nadmierne zaufanie w koneksjach rosyjskiego partnera. „Pomijając możliwość nieszczęśliwego wypadku, Rosja nadal jest niebezpiecznym krajem, gdzie ludzie są porywani dla okupu, mordowani albo po prostu znikają bez śladu", zauważył w analizie *due diligence*. „Podejmuje pan duże ryzyko, ponieważ pańskie umowy z RF [Rusłanem Fomiczewem] będą nic niewarte, jeśli jego samego zabraknie".

Young był jednak przekonany, że wszystko pójdzie dobrze, o ile nikt się nie dowie o tajnym wkładzie Bieriezowskiego.

– To musi pozostać w tajemnicy, Jon – ostrzegał Browna przed każdym spotkaniem z innymi inwestorami. – Tylko ty wiesz, że Boris włożył w to pieniądze.

– Gówno mnie to obchodzi – odpowiadał Brown, pokrywając brawurą niepokój. – Jestem tylko zwykłym rybakiem!

W rzeczywistości był przerażony, że jego współinwestorem jest Bieriezowski. Oligarcha ciągle powtarzał, że Putin pragnie jego śmierci, a mimo to nadal drażnił niedźwiedzia.

– Boris! – krzyczał Brown, kiedy jego przyjaciel po raz kolejny skrytykował w prasie politykę Kremla. – Nie wkurzaj rządu!

Równie dobrze mógł walić grochem o ścianę. Do Browna zaczęło docierać, że Bieriezowski żyje w świecie fantazji: oligarcha miał obsesję na punkcie Rosji i wyobrażał sobie, że zarządza Kremlem ze swojego biura na Down Street. Król wędzonego łososia czuł się coraz mniej bezpiecznie w towarzystwie Bieriezowskiego. Rój ochroniarzy i opancerzone samochody nie pozwalały zapomnieć o zagrożeniu. Podróżując na tylnym siedzeniu maybacha, Brown nie mógł się powstrzymać od myślenia o wysadzonym w Moskwie mercedesie, w którym o mało nie zginął jego przyjaciel, i zastanawiał się, czy zdążyłby coś poczuć, gdyby sytuacja się powtórzyła.

Za to Young był tak zaślepiony miliardami szefa, że nie zauważał niebezpieczeństwa. Patrząc potem wstecz, Brown żałował, że bardziej się nie postarał odciągnąć kumpla od Bieriezowskiego.

– Ja i Scot, jak się bardzo napniemy, zarobimy dziesięć, dwadzieścia, może trzydzieści milionów – mawiał. – Ale nie miliardy, prawda? To tak nie działa. Miliardy są tam, gdzie Bieriezowski. Z tym że miliardy są rakotwórcze. I rak cię zabija.

Londyn i Kijów, lata 2004–2005

Najświeższym genialnym pomysłem Bieriezowskiego było podsycanie rozruchów tuż za plecami Rosji. Skandal kasetowy w Ukrainie doprowadził do masowych protestów przeciwko prokremlowskiemu reżimowi prezydenta Łeonida Kuczmy. W 2004 roku demonstracje przerodziły się w prawdziwe powstanie. Kilkaset tysięcy ubranych na pomarańczowo aktywistów wyszło na ulice Kijowa, uczestniczyło w strajkach i manifestacjach. Na czele protestów stanął niezwykle przystojny lider opozycji Wiktor Juszczenko, który po ujawnieniu kompromitujących prezydenta nagrań ogłosił początek rewolucji. Jak zwykle zza sceny pociągał za sznurki Bieriezowski.

Oligarcha zapłacił za transkrypcję taśm i wpompował kilkadziesiąt milionów dolarów w pomarańczową rewolucję Juszczenki. Przekazywał środki za pośrednictwem podstawionych spółek, ponieważ ukraińskie prawo zabraniało finansowania polityki z zagranicznych źródeł. Kiedy w 2004 roku skończyła się kadencja Kuczmy, Bieriezowski wsparł swoimi pieniędzmi kampanię lidera opozycji walczącego o fotel prezydenta z kolejnym pupilem Kremla.

Program wyborczy Juszczenki stanowił listę koszmarów nocnych Putina: przystąpienie do NATO, integracja z Unią Europejską i walka z korupcją urzędników państwa, a wszystko to pod wywrotowym hasłem „Siła Narodu”. Ponieważ rząd kontrolował większość kanałów telewizyjnych, kandydat opozycji postawił na bezpośrednie kontakty z wyborcami. Jeździł od miasta do miasta i organizował wiece, które przyciągały rzesze ubranych na pomarańczowo zwolenników.

Piątego września 2004 roku, kilka tygodni przed datą wyborów, Juszczenko wrócił wieczorem do domu z biesiady z szefem ukraińskiej służby bezpieczeństwa i pocałował żonę.

– Twoje usta smakują metalem – stwierdziła pani Juszczenko.

Po kilku dniach kandydatowi na prezydenta spuchły głowa i twarz, na skórze pojawiły się ropne wypryski, a ciało przeszywał palący ból. Przywódca pomarańczowej rewolucji został przetransportowany samolotem do Wiednia, gdzie trafił pod opiekę specjalistów. Badania laboratoryjne wykazały obecność w jego organizmie dużych ilości silnej toksyny. Juszczenkę otruto tetrachlorodibenzodioksyną (TCDD), najsilniej działającym składnikiem broni chemicznej o nazwie Agent Orange.

Dawka toksyny, którą przyjął, powinna była go zabić, ale dzięki fachowej pomocy wiedeńskich toksykologów jego stan poprawił się na tyle, że mógł polecieć z powrotem do Kijowa. Przystojny do niedawna Juszczenko wystąpił na wiecu, pokazując się swoim zwolennikom z groteskowo oszpeconą, pokrytą bliznami, poszarzałą twarzą, ostro kontrastującą z pomarańczowym szalikiem. I kontynuował swoją kampanię prezydencką.

Kilka tygodni później odbyły się wybory prezydenckie. Zostały zmanipulowane. Kiedy ogłoszono, że Juszczenko przegrał z prokremlowskim kandydatem, w kraju zawrzało. W Kijowie ludzie

wyszli masowo na ulice, zmieniając Majdan Nezałeżnosti w falujące morze pomarańczowych transparentów i paraliżując centrum miasta. Liczba protestujących sięgnęła miliona. Dzięki pieniądzom od Bieriezowskiego udało się utrzymać manifestacje przez dwa miesiące; kiedy potrzebne były posiłki, Juszczenko organizował transport autobusowy i przywoził swoich zwolenników z przedmieść stolicy.

Protesty rozwścieczyły Kreml. Mer Łużkow nazwał je „sabatem utuczonych pomarańczami czarownic", a Putin ostrzegł, że buntownicy chcą zmienić Ukrainę w „bananową republikę, gdzie wygrywa ten, kto najgłośniej krzyczy". Kiedy pod koniec grudnia protesty trwały nadal i nic nie wskazywało, by miały się szybko skończyć, władze Ukrainy były zmuszone przeprowadzić powtórne głosowanie. Tym razem nieodwracalnie oszpecony Juszczenko odniósł druzgocące zwycięstwo.

Pomarańczowa rewolucja stanowiła najpoważniejsze zagrożenie dla władzy Putina, z jakim musiał się dotąd zmierzyć. Zrujnowała jego szanse na zainstalowanie marionetkowych rządów w byłych republikach Związku Radzieckiego i pokazała mieszkańcom Rosji i krajów ościennych, że nie muszą cierpliwie znosić korupcji i fałszowania wyborów. Ludzie zobaczyli, że można obalić autorytarny rząd drogą pokojowych protestów.

Putin poprzysiągł, że nie dopuści żadnej „kolorowej rewolucji" na własnym podwórku. Powołał do życia organizację młodzieżową Nasi, która miała stać się „antypomarańczową" siłą „broniącą Rosji" przed prodemokratycznymi aktywistami, zerkającymi z nadzieją w stronę Ukrainy. Wkrótce prokremlowska młodzieżówka miała już dwieście tysięcy członków – lojalnych wobec władzy nastolatków, którzy pod hasłem „Przywrócić Rosji jej wielkość" maszerowali po ulicach w czerwonych płaszczach ozdobionych wizerunkiem prezydenta.

Kreml wpompował w organizację Nasi setki milionów rubli, a sam prezydent regularnie spotykał się z jej liderami. Gdy młodzi aktywiści podrośli i okrzepli, organizacja przeobraziła się w agresywne ramię państwa. Przeprowadzała cyberataki na redakcje nieposłusznych mediów, wysyłała nowych rekrutów na paramilitarne obozy szkoleniowe, organizowała prowokacje,

zbierając *kompromaty*, czyli kompromitujące materiały na politycznych rywali, nękała i zastraszała dysydentów, a czasem uciekała się do otwartej przemocy. Gdy chłopcy z Naszych walczyli z opozycją na ulicach, Putin uderzył w nią z wysokości swojej władzy. Wprowadził nowe prawa, ograniczające wolność zgromadzeń i zakazujące organizacjom pozarządowym przyjmowania pieniędzy od zagranicznych darczyńców.

Bieriezowski, który do tej pory zwyczajnie irytował dawnego protegowanego, teraz stał się dla niego autentycznym zagrożeniem. Do River House zaczęły docierać pogłoski o kolejnych spiskach na życie oligarchy. Spływały nieprzerwanym strumieniem ze źródeł w Wielkiej Brytanii i stanowisk nasłuchowych w Moskwie. Zagrożenie stawało się coraz bardziej realne. W neoklasycystycznej siedzibie MI5 na przeciwległym brzegu Tamizy oficerowie kontrwywiadu odnotowali znaczne nasilenie aktywności rosyjskich szpiegów na obszarze Wielkiej Brytanii. Wiosną 2005 roku przekazali brytyjskiemu rządowi poufny raport zawierający nazwiska trzydziestu dwóch agentów rosyjskiego wywiadu, którzy działali w Londynie pod przykrywką pracowników korpusu dyplomatycznego. Rosjan interesowały przede wszystkim tajne informacje na temat potencjału wojskowego i przemysłu militarnego Zjednoczonego Królestwa oraz poczynań osób z otoczenia Bieriezowskiego.

Orędzie do narodu, które Putin wygłosił tamtej wiosny, również sygnalizowało zmianę klimatu. Po latach klepania banialuk o umacnianiu wolności i demokracji prezydent Rosji pokazał wreszcie swoje prawdziwe oblicze. Były KGB-ista stwierdził, że rozpad Związku Radzieckiego był „największą katastrofą geopolityczną dwudziestego wieku". Następnie nazwał niepodległość byłych republik ZSRR „prawdziwą tragedią", która spowodowała, że „kilkadziesiąt milionów naszych obywateli" znalazło się poza granicami Rosji.

Wojownicza retoryka Putina, kolejne groźby pod adresem Bieriezowskiego i eskalacja aktywności rosyjskich szpiegów na terenie Wielkiej Brytanii składały się na obraz, który poważnie niepokoił specjalistów z rosyjskiej sekcji MI6. Ale ich nadziejom, że

rząd zrobi coś w tej sprawie, położyła kres tragedia, która owego lata wstrząsnęła Londynem.

Rano 7 lipca 2005 roku czterech zamachowców samobójców zdetonowało w zatłoczonych londyńskich środkach transportu publicznego ukryte w plecakach ładunki wybuchowe. W eksplozjach zginęło ponad pięćdziesiąt osób, a kilkaset zostało rannych. Pierwszy atak islamskich fundamentalistów na terenie Wielkiej Brytanii był spełnieniem najgorszych snów służb bezpieczeństwa, które od pewnego czasu pracowały na najwyższych obrotach, by do czegoś podobnego nie dopuścić. Po 7 lipca dla brytyjskiego rządu absolutnym priorytetem była ścisła współpraca ze wszystkimi sojusznikami w wojnie z islamistami.

Kiedy Putin przyleciał w październiku do Londynu na szczyt Unia Europejska–Rosja, Tony Blair, pragnąc odzyskać zaufanie Moskwy, zdobył się na niebywały gest. Premier Wielkiej Brytanii zaprosił prezydenta Federacji Rosyjskiej do sekretnej świątyni państwowego aparatu bezpieczeństwa – podziemnego bunkra, w którym w momentach kryzysu członkowie rządu odbywają tajne narady z szefami MI6 i MI5. W rządowym pokoju obrad (*Cabinet Office Briefing Room*, określanym w Whitehall jako COBRA) Putin rozmawiał ze ścisłym kierownictwem brytyjskich służb o wymianie danych wywiadowczych. Bardzo niewielu światowych przywódców dostąpiło takiego zaszczytu.

Mimo to Bieriezowskiemu udało się w końcu narobić Putinowi naprawdę poważnych kłopotów w Ukrainie. Oprócz tego mieszał w Gruzji i Białorusi, gdzie także finansował przeciwników rządu i wspierał w wyborach kandydatów opozycji. Jak zawsze, sprawnie łączył politykę z interesami. Kiedy prezydentem Ukrainy został Juszczenko, Young pojechał na polecenie oligarchy do Kijowa, by wybadać możliwości biznesowe. Bieriezowski poinstruował go, by rozmawiając z decydentami, przypominał im, kto łoży w sekrecie na nowe władze. Young szybko załatwił dla oligarchy udział w dużej rządowej inwestycji w infrastrukturę, a przy okazji kopnął się prywatnym odrzutowcem do Tbilisi, żeby sprawdzić, czy da się coś zarobić w Gruzji. Odkąd Projekt Moskwa wszedł w decydującą fazę realizacji, Young często latał do Rosji, by rozglądać się za nowymi okazjami. Miał na oku kontrakt z władzami Moskwy na budowę

elektrowni i duży projekt budowlany w Petersburgu. Bieriezowski parł przed siebie jak czołg, zapędzając się na coraz bardziej niebezpieczne terytoria, a jego fikser dzielnie dotrzymywał mu kroku.

IX

Oxfordshire i Petersburg, 2006 rok

Jezioro zasnuwała zimowa mgła, ale pałac tonął w księżycowym blasku. Po długim podjeździe przesuwał się sznur limuzyn, z których wysiadali goście w smokingach i wieczorowych sukniach. Omiótłszy wzrokiem imponujące wieże i przypory, wchodzili po schodach do osłoniętego portykiem wejścia, za którym znajdowała się wspaniała sala reprezentacyjna.

Był 23 stycznia 2006 roku i Boris Bieriezowski z okazji swoich sześćdziesiątych urodzin wydawał bal w Blenheim Palace, oszałamiającym barokowym przepychem rodowym gnieździe Winstona Churchilla i książąt Malborough. Zza drzwi, strzeżonych przez lokajów w czerwonych liberiach i bermycach, płynęły dźwięki kwartetu smyczkowego. Dwustu gości sączyło różowego szampana przed ogromnym, bogato zdobionym kominkiem, na którym wesoło trzaskał ogień. Wśród zaproszonych były wszystkie kluczowe figury globalnej partii szachów, którą rozgrywał Bieriezowski.

Badri Patarkaciszwili, uosobienie jowialności, ściskał i całował w policzki wszystkich napotkanych znajomych. Rusłan i Katia Fomiczewowie przechadzali się z wdziękiem po sali. Jurij Felsztinski ze swadą wygłaszał prelekcję dla niewielkiej gromadki słuchaczy; Scot Young kręcił się po sali, poszerzając sieć przydatnych znajomości. Julij Dubow śmiał się i bawił w koci, koci łapci z najmłodszymi dziećmi oligarchy, a Aleksandr Litwinienko i Achmied Zakajew szeptali konspiracyjnie w kącie. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że wśród gości jest agent wroga. Władimirowi Putinowi udało się wreszcie wprowadzić na szachownicę swojego pionka.

Andriej Ługowoj nie przyjechał do Blenheim limuzyną. Były szef ochrony telewizji Pierwyj Kanał, w narzuconym na smoking sfatygowanym brązowym sztruksowym płaszczu, dotarł na bal wynajętym przez gospodarza autobusem razem z innymi mniej

prestiżowymi gośćmi. Niedawno wyszedł na wolność po odsiedzeniu wyroku za zorganizowanie nieudanej ucieczki Nikołaja Głuszkowa i kiedy pojawił się w Londynie, nikomu nie przyszło do głowy zastanowić się, czy można mu ufać. Ługowoj najpierw zgłosił się do Badriego. Gruziński oligarcha dzielił teraz czas między Tbilisi i Anglię, gdzie kupił Downside Manor, okazałą rezydencję nieopodal posiadłości Bieriezowskiego w Wentworth Estate, i zaprosił byłego ochroniarza w gości.

Ługowoj, przy całym swoim chłopięcym uroku, był trudny do rozszyfrowania. Miał różowe policzki, krótką blond grzywkę i ogólnie sprawiał sympatyczne wrażenie, które psuły jedynie pewne napięcie w ruchach i ukradkowe spojrzenia na boki. Zanim zatrudnił się u Borisa i Badriego, pracował w KGB. Z jego przyjazdu do Wielkiej Brytanii bardzo ucieszył się Litwinienko, który zamierzał założyć prywatną agencję wywiadowczą i potrzebował wspólnika w Rosji.

Panowie mogli uchodzić za braci: obaj płowowłosi, czujni, z nawykami wykształconymi w akademii KGB. Szybko znaleźli wspólny język. Kiedy Ługowoj wśliznął się chyłkiem do sali, Litwinienko od razu do niego podszedł. Już wcześniej rozmawiali o tym, jak mogliby wykorzystać swoje doświadczenie w służbach, żeby zarobić w Londynie, ale zostało jeszcze wiele do omówienia. Ługowoj chętnie gawędził o sprawach zawodowych i z uśmiechem pozował do zdjęć z Litwinienką i jego elegancką żoną Mariną. Doskonale wiedział, że ta znajomość przyniesie mu wymierne korzyści.

Kiedy w drzwiach pojawił się Bieriezowski, na sali nastąpiło ogólne poruszenie. Oligarcha szybkim krokiem minął ogromną rzeźbę z lodu w kształcie Kremla oraz podobiznę królowej w czerwonej pelerynie i kapeluszu z piórem, kierując się prosto do Patarkaciszwilego. Starzy druhowie przywitali się niedźwiedzim uściskiem. Następnie Bieriezowski podszedł do swojego fiksera. Young nie wyglądał najlepiej. U nasady ciemnych włosów perliły się kropelki potu; miał przekrzywioną muszkę i nieco szklisty wzrok. Jednak na widok zbliżającego się szefa zdobył się na promienny uśmiech.

– Borisie! Fantastyczne przyjęcie – huknął, przyciskając Bieriezowskiego do piersi.

Wkrótce przeszli do biblioteki na wystawny bankiet, uświetniony występem solistów opery. Wniesiono tort, z którego wyskoczyła dwunastoletnia córka Bieriezowskiego, ubrana w obszywaną cekinami różową spódniczkę i taki sam top. Dziewczynka wykonała taniec brzucha. Po kolacji Young, z podwójną whisky w dłoni, obserwował, jak Zakajew wręcza swojemu dobroczyńcy prezent urodzinowy: pięknie opakowany miecz samurajski. Patarkaciszwili hasał po parkiecie z Mariną Litwinienko do *Brown Eyed Girl*, a Ługowoj kręcił się wśród gości, paląc cygaro i rozglądając badawczo na boki.

Bieriezowski był w swoim żywiole. Brylował na przyjęciu, ściskał gości, wznosił toasty za *Matuszkę Rossiję*, karmił i poił swych wiernych stronników. Wieczór zwieńczył spektakularny pokaz sztucznych ogni nad taflą jeziora. Potem wszyscy zaczęli się żegnać, a szoferzy podjeżdżali po swoich państwa i zabierali ich do domu. Oligarcha na wygnaniu stał na schodach pałacu, dopóki ostatnia limuzyna nie opuściła oświetlonego pochodniami podjazdu, by po chwili rozpłynąć się w mroku. Nagle było po wszystkim.

Kreml wybrał dzień urodzin Bieriezowskiego, by zadać Wielkiej Brytanii upokarzający cios. Rosjanie odkryli portal MI6 służący Brytyjczykom do komunikacji z agentami w Moskwie – przekaźnik ukryty w fałszywym kamieniu na jednej z londyńskich ulic. Urządzenie pełniło funkcję cyfrowej skrzynki kontaktowej: rosyjskie źródło, przechodząc obok, wysyłało informację z kieszonkowego komputera, a kilka godzin później agent wywiadu odbierał ją za pomocą bezprzewodowego odbiornika. FSB wiedziało o fałszywym kamieniu od poprzedniego roku. Przez kilka miesięcy rosyjscy szpiedzy śledzili brytyjskich agentów i ich rosyjskie źródła, filmując ich z ukrycia.

Rosyjska telewizja państwowa pokazała te materiały w głównym wydaniu wiadomości. Widzowie zobaczyli sztuczny kamień z odpiłowanym wierzchem i umieszczony w środku przekaźnik, a także informatorów i ich brytyjskich opiekunów przy pracy. Czterech brytyjskich szpiegów było spalonych, a ich kret w Rosji

aresztowany. Dla MI6 była to kompletna katastrofa. Co gorsza, nastąpiła w szczególnie delikatnym momencie.

Wielka Brytania niedawno przekazała przewodnictwo w G8 Federacji Rosyjskiej i obecnie trwały przygotowania do zaplanowanego na lato szczytu grupy, który po raz pierwszy miał się odbyć w Petersburgu. Kilka dni przed wybuchem skandalu ze sztucznym kamieniem państwowy gigant gazowy Gazprom zakręcił kurek Ukrainie, zamykając najważniejszy gazociąg z Rosji na zachód, co wywołało szok w całej Europie. Mieszkańcom kontynentu zajrzała w oczy wizja nieogrzewanych mieszkań w zimie. Po czterech dniach konflikt cenowy został zażegnany i gaz znowu popłynął przez Ukrainę, ale kryzys dobitnie uzmysłowił Europie, do jakiego stopnia jest uzależniona od rosyjskiego gazu. Przywódcy Unii Europejskiej zamierzali na zbliżającym się szczycie dołożyć wszelkich starań, by nakłonić Kreml do zagwarantowania bezpiecznych dostaw gazu i ropy naftowej.

Oprócz tego Wielka Brytania miała na oku pewien łakomy kąsek. W połowie lipca, tuż przed petersburskim szczytem grupy G8, na Giełdzie Papierów Wartościowych w Londynie miał zadebiutować rosyjski państwowy koncern naftowy Rosnieft. Brytyjski regulator rynku kapitałowego, Financial Service Authority, zgodził się na pierwotną emisję akcji mimo zgłaszanych protestów, że gros swoich środków trwałych Rosnieft ukradł konkurencyjnemu Jukosowi, którego właściciel Michaił Chodorkowski trafił do kolonii karnej i został pozbawiony majątku za krytykowanie Putina. Debiut Rosnieftu na londyńskiej giełdzie oznaczał krociowe zyski dla kasy miasta. Ponadto brytyjski gigant paliwowy BP zamierzał nabyć duży pakiet akcji rosyjskiego rywala. Rządowi zależało na tym, by wszystko poszło gładko, a awantura o kamień z nadajnikiem mogła to popsuć.

Właśnie w tym delikatnym momencie Bieriezowski postanowił przypuścić kolejną szarżę. Rozsierdzony artykułem reżimowego dziennikarza, który mu zarzucił, że wyłudził azyl polityczny w Wielkiej Brytanii metodą oszustwa, zaatakował ostrzej niż kiedykolwiek dotąd. Zadzwonił do radia Echo Moskwy i nie bawiąc się w żadne wstępy, poinformował, że przygotowuje się do siłowego obalenia rządu w Moskwie.

– Los tego reżimu jest przesądzony. Zamierzam go zniszczyć, zanim on zniszczy Rosję – oznajmił. – Jest tylko jeden sposób: zamach stanu. Przejęcie władzy siłą.

Mówiąc, że od półtora roku przygotowuje zbrojne powstanie, Bieriezowski uderzył w najczulszy punkt Putina, który nadal lizał rany po pomarańczowej rewolucji. Wyskok oligarchy mógł spowodować dalsze oziębienie relacji Londynu z Moskwą, więc nic dziwnego, że rozzłościł również Tony'ego Blaira. Premier Wielkiej Brytanii dopiero co z najwyższym trudem załagodził sytuację, jaka powstała po niedawnej awanturze o azyl polityczny Bieriezowskiego.

W imieniu rządu zareagował minister spraw zagranicznych. Jack Straw wygłosił w Izbie Gmin przemówienie, w którym potępił wypowiedź oligarchy i po raz kolejny powtórzył, że: „Wielkiej Brytanii zależy na dobrych relacjach z Rosją, która jest naszym ważnym partnerem". Podkreśliwszy, że Bieriezowski nie przyjechał do Zjednoczonego Królestwa na zaproszenie władz, Straw ostrzegł go otwartym tekstem.

– Osoby, którym Wielka Brytania przyznała azyl polityczny, mają obowiązki w stosunku do państwa – powiedział. – Zostały uprzedzone, że mogą utracić status uchodźcy, jeśli będą się zachowywać ze szkodą dla ogółu obywateli.

Rosjanie natychmiast powiedzieli „sprawdzam", składając nowy wniosek o ekstradycję. Tym razem Moskwa oskarżała oligarchę o przygotowywanie zbrojnego zamachu stanu. Jednak sędzia pokoju Workman znów pokrzyżował im plany, odrzucając w czerwcu wniosek o ekstradycję. Bieriezowskiemu znowu udało się ukłuć boleśnie Putina i schować za twardą tarczą brytyjskiego systemu sprawiedliwości. Tyle że rozgniewany prezydent Federacji Rosyjskiej miał już gotowy nowy plan.

W lipcu rosyjski parlament przyjął nowe „antyterrorystyczne" prawo, które wprost pozwalało agentom FSB na zabijanie wrogów państwa poza obszarem Federacji Rosyjskiej. Jednocześnie wypłynęła informacja, że Kreml przygotował listę potencjalnych celów. Wkrótce uchodźcy z Rosji dowiedzieli się od swoich kontaktów w rosyjskich służbach tego, co i tak podejrzewali: czarną listę otwierały nazwiska Litwinienki, Bieriezowskiego, Zakajewa,

a także zaprzyjaźnionej z nimi dziennikarki „Nowoj Gaziety” Anny Politkowskiej.

Litwinienko był przerażony. Mordercze zapędy Putina nie były dla nikogo niespodzianką, jednak nowe prawo stanowiło wypowiedzenie otwartej wojny. Dotychczasowa kampania skrytobójstw była nieco ryzykowna i nie zawsze przynosiła pożądane efekty, ale likwidowanie ludzi w pełnym świetle dnia będzie dziecinną zabawką dla wyszkolonych agentów rosyjskich służb. Po raz pierwszy od uzyskania brytyjskiego obywatelstwa były oficer FSB nie czuł się bezpieczny w nowej ojczyźnie. Udał się więc po pomoc do swojego nowego idola.

Były pułkownik KGB Oleg Gordijewski, najwyższy rangą rosyjski szpieg, jaki kiedykolwiek przeszedł na stronę Zachodu, był najjaśniejszą gwiazdą na firmamencie brytyjskiego wywiadu w czasach zimnej wojny. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przez ponad dekadę pracował dla MI6 jako podwójny agent. Część tego czasu spędził jako rezydent KGB w radzieckiej ambasadzie w Londynie, gdzie zbiegiem okoliczności wysłali go jego szefowie. Dzięki temu mógł kontynuować dostarczanie Brytyjczykom cennych informacji o sowieckich planach nuklearnych i politycznych machlojkach, a jednocześnie neutralizować efekty rosyjskich operacji szpiegowskich w Wielkiej Brytanii. Gordijewski został bohaterem narodowym i w końcu otrzymał z rąk królowej order „Za Zasługi dla Bezpieczeństwa Zjednoczonego Królestwa”. Litwinienko, który uważał go za swojego mentora, poszedł do niego porozmawiać o nowym prawie. Po spotkaniu z młodszym kolegą stary szpieg napisał list do redaktora naczelnego londyńskiego „Timesa”, w którym bez ogródek przedstawił mu swój punkt widzenia.

Sir,

podczas gdy przywódcy siedmiu najwyżej rozwiniętych państw świata pakują walizki przed podróżą do Sankt Petersburga na szczyt G8, ich przyszły gospodarz, były podpułkownik KGB Władimir Putin, przepchnął przez Dumę Państwową dwie nowe ustawy.

Pierwsza z nich pozwala „plutonom egzekucyjnym” [złożonym z agentów] *jego tajnych służb na eliminowanie „ekstremistów” poza*

granicami Rosji (również w Wielkiej Brytanii). Druga, nowelizacja dotychczasowych regulacji dotyczących zwalczania „ekstremizmu", poszerza definicję tej zbrodni o „szkalowanie" administracji prezydenta.

W tej sytuacji osobom krytykującym tutaj reżim Putina, a zwłaszcza ludobójstwo w Czeczenii, grozi spotkanie z zatrutym parasolem. Według rosyjskiego ministra obrony Siergieja Iwanowa powstała już lista potencjalnych celów. Zgodnie z najlepszymi tradycjami polityki zagranicznej Związku Radzieckiego, który zawsze starał się uczynić z całego świata mimowolnego wspólnika swoich zbrodni, ten legislacyjny majstersztyk z rozmysłem przeprowadzono tuż przed szczytem G8 po to, aby stworzyć pozory, że świat pochwala albo przynajmniej akceptuje nowy krok [Moskwy] *w ramach „wspólnej walki z terroryzmem".*

Nie trzeba dodawać, że to niezwykle groźny krok. Jeśli zachodni przywódcy nie chcą stać się wspólnikami morderstwa, powinni odwołać szczyt lub, w najgorszym razie, głośno wyrazić protest przeciwko takiemu nadużywaniu przewodnictwa w grupie G8.

Szczyt w Petersburgu w połowie lipca odbył się bez najmniejszych zakłóceń. Głównym tematem rozmów była energia. Tuż po wylądowaniu na petersburskim lotnisku Tony Blair otrzymał informację, że wprowadzenie na giełdę Rosnieftu przyniosło Kremlowi na czysto dziesięć miliardów siedemset milionów dolarów (piąty najlepszy wynik pierwszej oferty publicznej w historii), a British Petroleum kupiło pakiet akcji za okrągły miliard. Mimo to w czasie rozmów w pałacu Konstantynowskim Putin dał odczuć swoim partnerom, że jest urażony odrzuceniem przez Brytyjczyków wniosków o ekstradycję Bieriezowskiego i Zakajewa. Kiedy poruszono kwestię sankcji wobec Syrii i Iranu – bliskowschodnich sojuszników Rosji – za udzielanie schronienia bojownikom Hezbollahu, Putin wbił szpilę premierowi Wielkiej Brytanii, pytając, czy członkowie grupy nie powinni skupić się raczej „na innych krajach chroniących ludzi, którzy bez wątpienia są terrorystami". Niemniej jednak Rosja zobowiązała się do zapewnienia stabilnych dostaw gazu i ropy naftowej do krajów europejskich, chociaż Putinowi udało się uniknąć zagwarantowania czegokolwiek na piśmie.

Jeżeli ostrzeżenie brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, że azyl polityczny można zawsze odebrać, dało Bieriezowskiemu do myślenia, oligarcha nie dał tego po sobie poznać. Przeciwnie, tuż przed rozpoczęciem szczytu wykupił w jednym z brytyjskich dzienników całostronicową reklamę przedstawiającą Putina jako Groucho Marxa. Pod karykaturą widniało słynne zdanie wypowiedziane niegdyś przez komika: „Nie chciałbym należeć do żadnego klubu, który zgodziłby się przyjąć mnie na członka".

Złośliwości Bieriezowskiego zostały zignorowane równie łatwo, jak list Gordijewskiego. Obradujący w Petersburgu przywódcy najwyżej rozwiniętych krajów świata nie wspomnieli ani słowem o nowej ustawie, która dopuszczała likwidowanie wrogów Rosji na obszarze innych krajów. I dalej umizgiwali się do Putina.

Londyn, Moskwa, Miami, 2006 rok

Projekt Moskwa natrafił na rafę. Kłopoty zaczęły się tuż przed świętami Bożego Narodzenia, kilka tygodni przed przyjęciem urodzinowym Bieriezowskiego. Young nie wpłacił w terminie kolejnej transzy swojego wkładu we wspólny interes. Fomiczew, zazwyczaj spokojny i opanowany, przysłał mu wściekłego mejla: „Dziś czwartek 22 GRUDNIA!!! Nadal nie dostaliśmy od ciebie ani grosza. Nie poczuwam się do lojalności wobec ciebie, skoro ty nie jesteś lojalny wobec mnie".

Young obiecał, że pieniądze lada moment się zmaterializują, ale kiedy nie wpłynęły w kolejnym terminie, na początku lutego, jego rosyjskiemu partnerowi zabrakło słów. „Co jest, k…!!!!!!?", napisał do fiksera.

„Pracuję nad tym", odpisał Young. „Jutro do południa będziesz miał całość".

Ostatnie pięć milionów od Younga było niezbędne do zagwarantowania współpracy ratusza; trzeba było pilnie wykonać pewną liczbę płatności na konta urzędników, od których zależało wydanie pozwolenia na budowę, a Łużkow łatwo wpadał w złość, jeśli jego ludzie nie dostawali tego, co im się należało. „Jutro lecę do Moskwy. Musimy się spotkać i omówić nasze stanowisko wobec

mera”, napisał w mejlu do Younga Fomiczew[9], ale znów nic to nie dało.

Obiecane pieniądze nie wpłynęły i w marcu Fomiczew postawił krzyżyk na Projekcie Moskwa.

Jonathan Brown dowiedział się o kłopotach dopiero wtedy, gdy dotarła do niego informacja, że Scot Young zbankrutował, próbował popełnić samobójstwo i został przyjęty do Priory, prywatnego szpitala „dla wariatów”. Potentat branży rybnej nie uwierzył w ani jedno słowo i natychmiast zadzwonił do Younga.

– Scot, to ja! – ryknął do słuchawki. – Nie jesteś w żadnym pieprzonym Priory. – Chodźmy coś wciągnąć do Boujis!

Przeczucie nie zawiodło Browna: Young nie leżał w szpitalu, chociaż rzeczywiście pojechał tam po zażyciu garści środków uspokajających i powierzchownym przecięciu żył na nadgarstkach. Lekarze uznali, że zrobił to, żeby „przekonać ludzi, że jest na skraju samobójstwa”. Następnie fikser wysłał serię nieskładnych mejli do inwestorów Projektu Moskwa, którym był winien miliony. Pisał, że „znajduje się pod silnym działaniem leków psychotropowych”, rozwodził się na temat samobójstwa i obiecywał, że zażegna kryzys, kiedy tylko poczuje się lepiej.

Brown namówił kumpla, żeby przyleciał pierwszym samolotem do Miami. Gdy ujrzał Younga na Florydzie, nie miał już cienia wątpliwości, że rzekoma próba samobójcza była ściemą na użytek rozwścieczonych inwestorów. Wkrótce obaj panowie siedzieli w Green Street Café w Coconut Grove i sączyli drinki. Oczywiste jednak było i to, że w Londynie i Moskwie szykują się poważne kłopoty. Young twierdził, że stracił cały majątek i wpadł w wielomilionowe długi, nie chciał jednak wyjawić, jak to się stało. Brown miał wrażenie, że jego przyjacielowi niebo zwaliło się na głowę.

Pozyskując inwestorów do Projektu Moskwa, Young brał całe ryzyko na siebie, gwarantując udziałowcom, że w razie niepowodzenia zwróci im wszystko co do pensa. Teraz, kiedy projekt zakończył się klapą, był im winien przeszło dwadzieścia milionów dolarów. Oprócz tego zaciągnął w rozmaitych bankach ogromne kredyty i pożyczki, których nie był już w stanie spłacić,

i miał horrendalne zaległości podatkowe. Ale najgorsze było to, że mer Moskwy Łużkow wstąpił na wojenną ścieżkę.

Nieuiszczenie łapówki za pozwolenie na budowę ściągnęło na inwestorów gniew ratusza. Władze zaatakowały na wszystkich frontach, dążąc do przejęcia kontroli zarówno nad samą lokalizacją, jak i nad środkami trwałymi. Urzędnicy domagali się „zwrotu kilku milionów rubli" niezapłaconego czynszu za najem rządowych budynków na terenie niedoszłej budowy, politycy podnieśli wrzawę w Dumie Państwowej z powodu nielegalnych prac budowlanych, rozbiórek i wycinki drzew. Prokuratura ogłosiła, że prowadzi śledztwo przeciwko wszystkim inwestorom w sprawie możliwych przestępstw gospodarczych[10], a FSB zaczęło sprawdzać przepływy finansowe. Pojawiło się zagrożenie, że tajny udział Bieriezowskiego w Projekcie Moskwa wyjdzie na jaw.

W ostatniej chwili sytuację uratował Fomiczew, który dogadał się z holdingiem Guta Group, by wykupił wszystkich inwestorów i przejął lokalizację. Właściciele Guta Group byli starymi przyjaciółmi Fomiczewa, a ponadto chcieli w Moskwie kręcić własne lody i zamierzali wykorzystać niedoszły plac budowy jako kartę przetargową, „negocjując z władzami w innych sprawach". W ten sposób udało się zażegnać kryzys w Moskwie, ale Youngowi nadal paliła się ziemia pod nogami. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Nie było tygodnia, żeby sąd nie wszedł mu na konto w imieniu któregoś z wierzycieli; jego domy w Londynie, Oksfordzie i na Florydzie zmieniły właściciela albo poszły pod młotek na poczet długów; kolekcje rzadkich samochodów, luksusowych zegarków i zabytkowych mebli przejęli wściekli kredytodawcy.

Wszyscy zachodzili w głowę, co się właściwie stało. Niektórzy znajomi Younga spekulowali, że jego imperium biznesowe od początku było domkiem z kart budowanym z pożyczek pod zastaw majątku, który nigdy nie należał do niego. Inni słyszeli plotki, że Young wdał się w interesy z rosyjską mafią i coś poszło nie tak. Michelle miała na ten temat własną teorię. Jej małżeństwo ze Scotem od kilku lat się sypało i kobieta sądziła, że owa plajta była wybiegiem obliczonym na to, by ją pozbawić należnej części majątku. W czasie rzekomego pobytu Younga w szpitalu psychiatrycznym do Michelle zadzwonił jego prawnik.

Poinformował, że jej mąż stracił wszystko, co miał, i próbował popełnić samobójstwo. Nie omieszkał też dodać, że Scot miał „hordy kochanek”. Telefon od prawnika spełnił swoją funkcję: małżeństwo rozpadło się nieodwołalnie i Young mógł rozpocząć nowe życie na własnych warunkach. Ale Michelle od tej pory darzyła nielojalnego małżonka zapiekłą nienawiścią.

Michelle złożyła pozew o rozwód, w którym zarzuciła mężowi, że ukrył przed nią „co najmniej kilka miliardów”. Zatrudniła prawników, prywatnych detektywów i kryminalistycznych księgowych, którym zleciła odnalezienie zaginionych pieniędzy. Następnie uzyskała międzynarodowy nakaz zabezpieczenia wszystkich aktywów i nieruchomości Younga, nie wyłączając domu w Mayfair, który posłużył jako przykrywka dla inwestycji Bieriezowskiego w Projekcie Moskwa. Tak rozpoczęła się najdłuższa rozwodowa batalia prawna w historii brytyjskiego sądownictwa, toczona w obecności telewizyjnych kamer. A tajemnice Projektu Moskwa odegrały w niej kluczową rolę.

Scot robił wszystko, co mógł, a nawet więcej, byle tylko nie ujawnić szczegółów swoich rosyjskich interesów. Konsekwentnie ignorował nakazy sądu, który domagał się wyjaśnienia, co się stało z jego pieniędzmi. Skasował kilkaset mejli od i do Bieriezowskiego. Wolał spędzić trzy miesiące w więzieniu za obrazę sądu, niż ujawnić prawdę. Mimo to nadal prowadził wystawne życie, o jakim przeciętny obywatel mógłby najwyżej pomarzyć: jadał w najlepszych restauracjach, mieszkał w penthouse’ach, nosił designerskie ciuchy i płacił za zakupy grubymi zwitkami pięćdziesięciofuntowych banknotów.

Brown również się głowił, jak do tego wszystkiego doszło. Nie wierzył, że miliony Younga rozpłynęły się nagle w powietrzu, widział jednak, że na jego kumpla spadło jakieś nieszczęście. Zastanawiał się, czy to nagłe bankructwo nie ma przypadkiem związku ze zmianą położenia Bieriezowskiego.

Kiedy Projekt Moskwa posypał się w lutym 2006 roku, Patarkaciszwili oznajmił, że chce finansowego „rozwodu” z wieloletnim partnerem. Zajadłe ataki Bieriezowskiego na Kreml utrudniały mu prowadzenie interesów. Rosyjska prokuratura, oskarżająca oligarchę o nadużycia finansowe i pranie brudnych

pieniędzy, zdołała tymczasem namówić do współpracy władze kilku innych państw. We Francji uzbrojeni funkcjonariusze służb przeszukali posiadłości Bieriezowskiego; Szwajcarzy systematycznie zamrażali jego konta w tamtejszych bankach. Nie tylko Bieriezowski popadł w tarapaty; właściwie każdy, kto robił z nim interesy, mógł w każdej chwili stwierdzić, że nie ma dostępu do swoich pieniędzy. Kilka zachodnich banków pod naciskiem rosyjskich władz odmówiło przyjęcia środków Patarkaciszwilego. Ostatnią kroplą, która przepełniła czarę goryczy, było publiczne wezwanie do zamachu stanu w Rosji. Gruziński przedsiębiorca powiedział wspólnikowi, że chce oddzielić biznes od polityki, a Bieriezowski na to przystał. Później utrzymywał, że „rozwód" był fikcyjny i miał tylko ułatwić działalność biznesową. Twierdził, że Patarkaciszwili przejął odpowiedzialność za finanse, a on skupił się na walce z Putinem, ale *de facto* wszystko pozostało wspólne.

Czy odcięcie Bieriezowskiego od kasy mogło mieć coś wspólnego z nagłym bankructwem Younga? Brown nigdy się nie dowiedział, co się naprawdę wydarzyło, ale kiedy po latach spojrzał na to z perspektywy czasu, dwie rzeczy były oczywiste.

Pieniądze zniknęły. A potem ludzie zaczęli, kuźwa, umierać.

Część czwarta. Cena

X

Muswell Hill i Mayfair, Londyn, lato 2006 roku

Życie w skromnym domu jednorodzinnym z żółtej cegły w sennym zaułku Osier Crescent, gdzie Litwinienko i jego rodzina zamieszkali *vis-à-vis* Zakajewów, wpadło w przyjemnie przewidywalne koleiny. Lokalni mieszkańcy znali ich jako Edwina, Marię i Anthony'ego Carterów, chociaż ciężki akcent byłego oficera FSB, a także jego zwyczaj podkarmiania kota sąsiadów rosyjską kiełbasą zadawały kłam angielskiemu nazwisku. Zafascynowani nowym przybyszem, z początku żartowali nawet, że pewnie jest szpiegiem KGB, ale kiedy na Boże Narodzenie obdarował ich podpisanymi egzemplarzami *Wysadzić Rosję*, śmiech zamarł im na ustach.

Rodzina Litwinienków mieszkała w Muswell Hill już prawie sześć lat. Aleksandr nadal słabo mówił po angielsku, ale Marina przyłożyła się solidnie do nauki języka i od pewnego czasu zasilała rodzinny budżet, zarabiając jako nauczycielka tańca towarzyskiego. Anatolij też odnosił sukcesy. Właśnie zakończył z doskonałymi stopniami pierwszy rok nauki w prestiżowej szkole dla chłopców nad brzegiem Tamizy, za którą płacił Bieriezowski. Chłopiec mówił już po angielsku prawie jak rodowity londyńczyk. Miał dwanaście lat i zaczął wygrywać z tatą w szachy. Choć wciąż rozmawiał z nim po rosyjsku, wspomnienia zjeżdżania na sankach i skutej lodem rzeki Moskwy stopniowo blakły w jego pamięci, ulatniając się wraz z ostatnimi śladami ojczystego akcentu. Syn rosyjskiego zbiega w szybkim tempie zmieniał się z Anatolija Litwinienki w prawdziwego Anthony'ego Cartera.

Litwinienko był dumny, że mieszka w Anglii. Z zachwytem mówił o prawach i swobodach, z których jego rodzina korzysta w nowej ojczyźnie. Wkrótce po przyjeździe do Londynu zabrał synka do Speaker's Corner w Hyde Parku, gdzie zrobili sobie zdjęcie z dwoma londyńskimi policjantami. Aleksandr wyjaśnił chłopcu, że w tym miejscu każdy może wygłaszać swoje poglądy, a stróże prawa są tam

po to, by strzec jego bezpieczeństwa. Obsesyjnie dbał, by podjazd przed jego domem był zawsze zamieciony, wywieszał z balkonu brytyjską flagę i codziennie z zapałem trenował w prowizorycznej siłowni, którą urządził sobie w garażu. W weekendy biegał po kilkanaście kilometrów i chodził z Anatolijem na lokalny basen. Kiedy ogarniała go nostalgia za ojczyzną, oglądał na wideo rosyjskie filmy, a Marina przygotowywała rosyjskie przysmaki – aromatyczny barszcz i naleśniki z mięsnym farszem. Wieczory najczęściej jednak spędzał przy pracy.

Dom na Osier Crescent był od parteru po dach zawalony aktami wieloletnich śledztw, które były oficer FSB prowadził w ramach osobistej krucjaty przeciwko Władimirowi Putinowi. Półki regałów wypełniały rzędy skrupulatnie skatalogowanych teczek. Zawierały materiały dowodowe wskazujące na związki prezydenta Federacji Rosyjskiej z mafią tambowską, zamachami na życie Bieriezowskiego i Triepaszkina oraz na współudział FSB w aktach terroru, o które władze Rosji oskarżyły czeczeńskich rebeliantów. Litwinienko wieczorami przeglądał i uzupełniał notatki; czasem zrywał się nagle z fotela i biegł do Zakajewa, który mieszkał po drugiej stronie ulicy, żeby podzielić się z nim nowym odkryciem.

Były oficer FSB i przywódca czeczeńskich rebeliantów zostali serdecznymi przyjaciółmi. Obie rodziny bardzo się do siebie zbliżyły – zapraszały się nawzajem na obiady, wspólnie obchodziły święta i na zmianę pilnowały dzieci. Litwinienko nabrał zwyczaju przepadania u Zakajewa na długie godziny. Wracał do domu tak objedzony czeczeńskimi przysmakami, że nie miał już miejsca na kolację, którą przygotowała Marina.

Panowie nadal pracowali nad wyjaśnieniem roli FSB w eksplozjach w budynkach mieszkalnych i wzięciu zakładników w teatrze na Dubrowce. W śledztwie, które prowadzili na zlecenie komisji badającej zbrodnie wojenne w Czeczenii, pomagała im Anna Politkowska. Nieustraszona dziennikarka „Nowoj Gaziety” zaglądała na Osier Crescent przy okazji niemal każdej wizyty w Londynie, gdzie odwiedzała siostrę. Od pewnego czasu trzyosobowy zespół zbierał informacje dotyczące jeszcze jednego ataku terrorystów.

Dwa lata wcześniej w mieście Biesłan na dzikim rosyjskim Kaukazie Północnym uzbrojeni islamiści zajęli szkołę, biorąc ponad

tysiąc zakładników, w przeważającej większości dzieci. Zapędzili ich na salę gimnastyczną, gdzie na tablicach do koszykówki rozwiesili ładunki wybuchowe. W zamian za uwolnienie zakładników zażądali wycofania rosyjskich wojsk z Czeczenii. Po ciągnącym się przez trzy dni impasie Rosjanie zaatakowali szkołę z użyciem czołgów, wyrzutni rakietowych i wyrzutni granatów. W wyniku ostrzału zawalił się dach sali gimnastycznej; pod gruzami zginęło wielu zakładników. Operacja rosyjskich służb zakończyła się śmiercią ponad trzystu osób, w tym stu osiemdziesięciorga sześciorga dzieci.

Rozwiązanie kryzysu przy użyciu zmasowanej brutalnej siły nasuwało nieodparte skojarzenia z oblężeniem moskiewskiego teatru na Dubrowce, nic więc dziwnego, że dochodzeniowcy z Muswell Hill natychmiast nabrali podejrzeń. Dowiedzieli się, że kiedy Politkowska leciała do Biesłanu, żeby relacjonować tamtejsze wydarzenia, podano jej w herbacie truciznę i dziennikarka trafiła do szpitala. Litwinienko, pewny, że władze próbują coś ukryć, zaczął uparcie drążyć.

Najpierw ustalił, że kilku islamistów z Biesłanu zostało wcześniej aresztowanych przez FSB w związku innymi zarzutami o terroryzm, ale przed atakiem w niejasnych okolicznościach wyszli na wolność. Może w więzieniu przeszli na drugą stronę? Bo jeśli nie, to po wyjściu z pudła na pewno znajdowali się pod obserwacją służb, więc jakim cudem, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, przedostali się do Biesłanu z ładunkami wybuchowymi i pasami szahida? Później wyszło na jaw, że kilka dni przed zdarzeniem Putin otrzymał informację, że terroryści planują w regionie akcję z zajęciem szkoły i wzięciem zakładników, jednak nawet nie próbował ostrzec miejscowej ludności albo w inny sposób zapobiec tragedii. Litwinienko napisał artykuł, w którym oskarżył tajne służby o, w najlepszym razie, sprowokowanie zdarzenia w Biesłanie w celu skompromitowania czeczeńskich separatystów. Tekst ukazał się na stronie internetowej poświęconej rosyjskim bestialstwom w Czeczenii, którą założył Zakajew. Dwaj przyjaciele i dziennikarka niestrudzenie próbowali dokopać się do prawdy.

Teorie Litwinienki wzbudziły zainteresowanie jego opiekuna z MI6, występującego pod kryptonimem Martin. Rozmowy w dolnej salce kawiarni Waterstones na Piccadilly Circus były już rutynowym

elementem londyńskiego życia uchodźcy z Rosji. Kiedy pojawiał się nowy trop, Litwinienko dzwonił do opiekuna z zakodowanego telefonu i umawiał spotkanie. Dzielił się z brytyjskimi służbami tym, co udało mu się ustalić w toku własnego śledztwa, i pomagał im uporządkować wiadomości, które Anglicy uzyskali z innych źródeł. Teraz otrzymał od nich kolejne ważne zlecenie, które dało mu poczucie, że cały wysiłek, jaki włożył w poszukiwanie dowodów na związki Putina z potężnym petersburskim gangiem, nie poszedł na marne. Brytyjczycy poprosili go, żeby pomógł kolegom z Madrytu rozpracować relacje Kremla z potężnym rosyjskim gangiem, który rozszerzył działalność na Hiszpanię. Mafia tambowska przeżywała okres dynamicznego rozwoju i ekspansji.

Organizacja przestępcza pod rzutkim przywództwem Giennadija Pietrowa, zwalistego typa z twarzą jak płyta betonu, rozprzestrzeniała się na całą Europę. Pietrow rządził swoim kryminalnym imperium z rezydencji na Majorce. Awansował w szeregach mafii w latach dziewięćdziesiątych, gdy Putin był zastępcą mera Petersburga, a potem został jej szefem i przeprowadził się do Hiszpanii. Tamtejsi prokuratorzy podejrzewali, że Brać Tambowska pierze brudne pieniądze, przepuszczając je przez firmy budowlane na Costa del Sol, handluje narkotykami i bronią oraz wykonuje zabójstwa na zlecenie. Martin, któremu Litwinienko opowiedział o komitywie łączącej Putina z chłopakami z Tambowa, poprosił swojego podopiecznego, żeby pomógł hiszpańskiej policji, która powzięła ambitny plan rozprawienia się z rosyjską mafią na własnym terenie. Były oficer FSB zaczął regularnie podróżować do Madrytu, gdzie dzielił się informacjami z niejakim Jorgosem, który następnie przekazywał je zaangażowanym w sprawę prokuratorom.

Litwinienko wyjaśnił Jorgosowi, że w Rosji Putina struktury władzy, służba bezpieczeństwa i organizacje przestępcze przenikają się ze sobą, tworząc „państwo mafijne”, i że gangi, w zamian za ochronę państwa, wykonują brudną robotę dla Kremla. Opisał szczegółowo, jak były zastępca mera Petersburga stopniowo zacieśniał współpracę z mafią tambowską. Podał też dane członków mafii, którzy jego zdaniem wciąż utrzymują bliskie relacje z administracją prezydenta. I rzeczywiście, kiedy hiszpańska policja

zaczęła podsłuchiwać rozmowy telefoniczne mafiosów, okazało się, że panowie regularnie kontaktują się z wysokimi urzędnikami Kremla.

Uzyskane od Litwinienki informacje pchnęły śledztwo naprzód i dwa lata później hiszpańska policja przeprowadziła serię nalotów, aresztując dwadzieścia osób. Ostatecznie prokuratorzy wnieśli oskarżenie przeciwko dwunastu grubym rybom, w tym kilku obecnym i byłym funkcjonariuszom Kremla, podejrzewanym o działanie w zmowie z mafią tambowską. Ale to wszystko miało dopiero nastąpić. Latem 2006 roku Jorgos przygotowywał bezpośrednie spotkanie Litwinienki z hiszpańskimi prokuratorami, którzy chcieli, żeby w przyszłości były oficer FSB złożył obciążające Putina zeznania na jawnej rozprawie sądowej.

Praca dla Wielkiej Brytanii i jej sojuszników była dla Litwinienki źródłem głębokiej dumy, ale zaczynało mu brakować pieniędzy. Dwa tysiące funtów otrzymywanych co miesiąc od MI6 nie wystarczało na utrzymanie rodziny. Kilka miesięcy wcześniej Bieriezowski, który zaczynał boleśnie odczuwać odcięcie od szwajcarskich aktywów, obciął mu pobory. Litwinienko musiał zacząć zarabiać i dzięki swojemu opiekunowi wiedział, w którą stronę się zwrócić. Dwa lata wcześniej, tuż po zwerbowaniu przez brytyjskie służby, Martin poznał go z jedną z kluczowych postaci szemranego światka prywatnych agencji szpiegowskich.

Dean Attew pracował w prywatnej agencji wywiadowczej najwyższej kategorii, z siedzibą w prestiżowej dzielnicy Mayfair. Titon International mogła się poszczycić posiadaniem bezpośredniego łącza telefonicznego z River House. W zamian za ten przywilej od czasu do czasu wykonywała jakąś robótkę dla królowej i ojczyzny. Attew dobrze znał ludzi z rosyjskiej sekcji MI6. W 2004 roku Martin przedstawił mu Litwinienkę i zasugerował, że były oficer FSB może być cennym źródłem informacji dla brytyjskich przedsiębiorstw, które chcą oszacować ryzyko ewentualnych inwestycji i przedsięwzięć biznesowych w Rosji. Niegdyś Attew pracował w ochronie luksusowych kasyn w różnych miejscach świata i długie lata wypatrywania potencjalnych oszustów przy karcianych stolikach nauczyły go czytać w ludzkich twarzach. Czuł, że Litwinience można zaufać, dał mu jednak jasno do zrozumienia,

że jeśli chce pracować dla brytyjskich klientów, musi się najpierw porządnie nauczyć angielskiego. Kiedy więc Rosjaninowi zaczęły się kończyć pieniądze, poszedł na kurs angielskiego, a potem zadzwonił do Attew i poprosił o pracę.

Szef prywatnej agencji wywiadowczej zlecił mu kilka nieźle płatnych chałtur, polegających na przygotowaniu dossier na temat członków rosyjskiej elity polityczno-biznesowej. Litwinienko szybko się zorientował, że jeśli chce na bieżąco pozyskiwać aktualne dane, potrzebuje partnera w Moskwie. I tu na scenę wkroczył Andriej Ługowoj.

Dwaj byli oficerowie FSB szybko rozkręcili biznes. Podział zadań był prosty: Litwinienko zdobywał w Londynie zlecenia od Titon International i kilku innych prestiżowych agencji, Ługowoj odwalał czarną robotę w Moskwie. Latem 2006 roku mieli pełne ręce roboty: zbierali haki na Putinowskiego ministra rolnictwa dla właścicieli wódki Stolichnaya, sprawdzali duży kontrakt Gazpromu z londyńską firmą ochroniarską i prowadzili inwigilację kilku wpływowych Rosjan, którzy mieli decydujące słowo w sprawie lukratywnych przedsięwzięć rozważanych przez brytyjskie firmy.

Z początku współpracowali na odległość, ale w pewnym momencie Litwinienko uznał, że jego człowiek w Moskwie mógłby zrobić dobre wrażenie na Brytyjczykach. Ługowoj był wygadany i potrafił zjednywać sobie ludzi, więc pokazanie go klientom wydawało się dobrym pomysłem. Litwinienko powiedział Attew, że chciałby mu przedstawić pewnego człowieka, „przyjaciela i źródło" z Rosji. W czerwcu panowie spotkali się na lotnisku Heathrow, gdzie Ługowoj miał międzylądowanie.

Gdy były oficer FSB wjechał ze swoim szefem ruchomymi schodami na antresolę terminalu pierwszego, Ługowoj czekał już na nich w jednej z restauracji. Litwinienko nie mógł nie zauważyć, że jego partner, odkąd zaczął bywać w Londynie, nabrał kosztownych przyzwyczajeń. Ubierał się w luksusowym domu towarowym Harrods, nosił jedwabne krawaty, wzorzyste garnitury i ogromny złoty zegarek.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni i usiedli przy stoliku. Attew bacznie obserwował nieznajomego; jego wytrenowanemu oku nie umknęło najmniejsze drgnienie jego twarzy. Ługowoj, jak zwykle,

popisywał się elokwencją. Twierdził, że w Rosji potrafi znaleźć dowolną informację o dowolnym człowieku; opowiadał o swoich metodach – podsłuchiwaniu rozmów telefonicznych, zakładaniu podsłuchów w budynkach, śledzeniu figurantów – ale Attew czuł, że z każdą chwilą coraz bardziej go nie lubi. Zadufany w sobie typ ze szpanerskim zegarkiem i o nieprzeniknionym spojrzeniu emanował przerażającym chłodem. Kiedy się żegnali, Attew wiedział już, że nie chce mieć z nim do czynienia.

Nie tylko szef Litwinienki zapałał do Ługowoja instynktowną niechęcią. Nikołaj Głuszkow odsiedział wyrok za próbę ucieczki, wyszedł na wolność i przyjechał do Anglii, gdzie Boris i Badri ulokowali go w posiadłości na terenie Berkshire, z ogromnym jeziorem i ze służbą do dyspozycji. Były dyrektor finansowy Aerofłotu wiódł spokojne życie w podlondyńskiej rezydencji, sącząc drogie wina i organizując gry terenowe dla miejscowych dzieciaków. Jednak kiedy dowiedział się, że Ługowoj przebywa w Londynie, dobry humor natychmiast go opuścił. Głuszkow był przekonany, że to właśnie nowy partner Litwinienki załatwił mu odsiadkę, fingując próbę ucieczki na polecenie FSB. Prosił Borisa i Badriego, żeby nie dopuszczali byłego szefa ochrony do swojego grona. Ale nikt nie chciał go słuchać.

– Wyluzuj – uspokajał go Patarkaciszwili. Uważał, że Głuszkow zbyt długo siedział w więzieniu i nabrał paranoicznych skłonności. Gruziński biznesmen zapewnił przyjaciela, że Ługowoj jest swój i nie ma o czym gadać.

Litwinienko był tego samego zdania, więc kiedy kilka tygodni później Attew zlecił mu kolejną robótkę, bez wahania skontaktował się ze swoim partnerem. Tym razem zlecenie było naprawdę ekscytujące.

Nowym obiektem zainteresowania Attew był nie kto inny, jak Wiktor Iwanow: były oficer KGB, który zgodnie z wiedzą Litwinienki w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku wprowadził Putina w interesy z mafią tambowską, zarabiającą wówczas na przemycie narkotyków do Petersburga. Iwanow nadal należał do najbliższych sojuszników Putina, a teraz jeden z klientów Titon International zamierzał wejść z nim w jakąś spółkę. Litwinienko miał prześwietlić byłego KGB-istę i zebrać informacje pozwalające oszacować ryzyko.

Zamówił u Ługowoja aktualne dane na temat ostatnich działań Iwanowa, które miały uzupełnić to, czego dowiedział się o nim wcześniej. Raport Ługowoja wprawił go w konsternację. Zajmował jedną trzecią strony i składał się prawie wyłącznie z informacji, które każdy mógł znaleźć w internecie.

– To mi się na nic nie przyda. – Attew pogardliwie skwitował raport. – Nic tu nie ma.

Zażenowany Litwinienko obiecał załatwić coś lepszego. Tym razem wykorzystał inny ze swoich rosyjskich kontaktów i w odpowiednim czasie dostarczył ośmiostronicowy raport. Dokument zawierał informacje o Putinie i Iwanowie, które były oficer FSB zebrał podczas pracy w wydziale walki z przestępczością zorganizowaną, i uzupełnił je świeżymi danymi z innych źródeł. Tym razem Attew był zachwycony. Jak się wyraził, „dokładnie czegoś takiego oczekiwałem". Treść raportu była tak obciążająca dla Iwanowa, że klient Titon International natychmiast wycofał się z planowanego interesu.

Litwinienko cieszył się z pomyślnego załatwienia sprawy, ale jednocześnie był zły, że Ługowoj go zawiódł. Kiedy następnym razem spotkali się w Londynie, wręczył mu kopię drugiego raportu jako przykład właściwie wykonanej pracy. Ługowoj odleciał do Moskwy, uwożąc w aktówce komplet materiałów dowodowych na temat powiązań Putina i Iwanowa z mafią tambowską.

Londyn, Moskwa, październik 2006 roku

Z Anną Politkowską działo się coś złego. Kiedy podczas kolejnej wizyty w Londynie spotkała się z Litwinienką w Caffè Nero, były oficer FSB zauważył, że w oczach przyjaciółki, za szkłami charakterystycznych okularów w drucianej oprawce, czają się niepokój i napięcie. Nieustraszona dziennikarka była wyraźnie zdenerwowana.

– Co się dzieje, Anno? – zapytał Litwinienko.

– Bardzo się boję, Aleksandrze – odparła.

Politkowska opowiedziała, że otrzymuje wiadomości z pogróżkami, pochodzące, jak sądziła, od samego Putina. Nie był to

pierwszy raz, kiedy jej grożono, ale teraz miała złe przeczucia. Codziennie rano, wychodząc do pracy, żegnała się z synem i córką, jakby miała ich już więcej nie zobaczyć. Nie umiała powiedzieć dlaczego, ale najbardziej bała się w windzie.

– Anno, nie wracaj do Rosji – poprosił ją przyjaciel.

Ale Politkowska zostawiła w kraju dzieci i starych rodziców. Poza tym właśnie kończyła pracę nad dużym tekstem o systematycznym torturowaniu jeńców przez prorosyjskie siły w Czeczenii. Pożegnała się z Litwinienką i wróciła do domu.

Po południu 7 października Politkowska zaparkowała swoją ładę pod blokiem i zaczęła wypakowywać zakupy. Spieszyła się, musiała odesłać artykuł do jutrzejszego wydania gazety, dlatego nie zauważyła mężczyzny w bejsbolowej czapeczce, który stał na chodniku. Wwiozła na górę część toreb i wsiadła do windy, żeby zjechać po resztę. Gdy drzwi rozsunęły się na parterze, czekał za nimi mężczyzna z pistoletem. Oddał do Politkowskiej trzy strzały, dwa w klatkę piersiową i jeden w ramię. Kiedy czwarta kula przebiła czaszkę, dziennikarka już nie żyła. Napastnik porzucił broń przy zwłokach i się ulotnił.

Śmierć Anny Politkowskiej wywołała gniew i smutek na całym świecie. Komitet Ochrony Dziennikarzy (*Committee to Protect Journalists*), który ma siedzibę w Nowym Jorku, ogłosił, że Politkowska jest trzynastym pracownikiem mediów zamordowanym w Rosji po dojściu Putina do władzy. W Moskwie odbyła się kilkusetosobowa demonstracja, na całym świecie organizowano milczące protesty ze świecami. Nawet Tony Blair i George W. Bush potępili zabójstwo dziennikarki, apelując we wspólnym oświadczeniu o przeprowadzenie „rzetelnego dochodzenia w sprawie tej przerażającej zbrodni". Odpowiedź Władimira Putina była lakoniczna. Prezydent Rosji zapowiedział wnikliwe śledztwo, ale dodał, że Politkowska była „zupełnie nieistotną postacią bez żadnego wpływu na życie polityczne [kraju]".

Litwinienko był zdruzgotany. Śmierć dzielnej przyjaciółki wstrząsnęła nim do głębi, a poza tym bał się, że jest następny na liście. Tydzień później otrzymał informację, która nieco złagodziła jego obawy. On i jego bliscy dostali wreszcie wymarzone brytyjskie

obywatelstwo. Z paszportem w dłoni wpadł do biura Attew na najwyższym piętrze eleganckiego budynku w Myfair.

– Jestem Brytyjczykiem! – wołał, dosłownie podskakując z radości.

Zażartował, że teraz Anatolij wyrośnie na angielskiego dżentelmena i może pewnego dnia będzie pracował w MI6.

Uroczystość przyjęcia obywatelstwa odbyła się 13 października w Haringey Civic Center. Prosto stamtąd Aleksandr pojechał z synem na manifestację zorganizowaną dla uczczenia pamięci Politkowskiej. W tłumie ludzi przed opactwem westminsterskim spotkał Felsztinskiego.

– Właśnie dostałem obywatelstwo – pochwalił się historykowi. – Teraz już mnie nie dopadną.

Felsztinski uśmiechnął się uprzejmie, zachowując swoje myśli dla siebie.

Litwinienko powiedział synowi, że w ich nowej ojczyźnie każdy może bez lęku głosić swoje poglądy i że zamierza wykorzystać to prawo, by walczyć o sprawiedliwość dla Politkowskiej. Tydzień później razem z Zakajewem wziął udział w wieczorze upamiętniającym zamordowaną reporterkę, zorganizowanym we Frontline Club niedaleko dworca Paddington, ulubionym lokalu londyńskich dziennikarzy. Kiedy ucichły oficjalne przemowy, Litwinienko podniósł się z miejsca i zabrał głos.

– Nazywam się Aleksandr Litwinienko i jestem byłym oficerem KGB i FSB – oznajmił kulawą angielszczyzną, zanim przyszedł mu z pomocą tłumacz. – Uważam, że skoro tu jestem, mam obowiązek powiedzieć to, co wiem. – Z wysoko podniesioną głową kontynuował już po rosyjsku. – Kto odpowiada za śmierć Anny? Powiem wprost: Prezydent Federacji Rosyjskiej, mister Putin.

Te słowa wywołały poruszenie w przytulnym klubie z drewnianą podłogą i ścianami z gołej cegły. Litwinienko nie był powszechnie znaną postacią, ale jego wystąpienie przykuło uwagę dziennikarzy. W skupieniu słuchali niebieskookiego mężczyzny o przenikliwym spojrzeniu, który z wyraźnym uczuciem opowiadał o swojej przyjaciółce, odważnej kobiecie i zaangażowanej, nieulęknionej korespondentce wojennej.

– Dziennikarkę jej formatu mógł zabić tylko jeden człowiek – oświadczył Litwinienko. – Putin. Nikt inny nie wchodzi w grę.

XI

Londyn, październik–listopad 2006 roku

W słoneczne popołudnie tydzień po zabójstwie Politkowskiej Ługowoj był już z powrotem w Londynie. Tym razem nie przyleciał sam. Towarzyszył mu Dmitrij Kowtun, przyjaciel z dzieciństwa i kolega z roku w elitarnej moskiewskiej akademii wojskowej, który właśnie wrócił z Niemiec, gdzie przez dziesięć lat bezskutecznie próbował zostać gwiazdą porno. Po wyjeździe Kowtuna do Hamburga kontakt się urwał. Dmitrijowi znudziło się w końcu mycie garów w knajpach, picie na umór i snucie się bez celu po dzielnicy czerwonych latarni, wrócił więc na łono ojczyzny. Wpadł w Moskwie na dawnego kolegę, kiedy właśnie rozpaczliwie szukał jakiegoś zajęcia. Stary kumpel zaoferował mu szansę rozpoczęcia nowego życia. Powiedział, że jest pewna robótka w Londynie i że jeśli wszystko pójdzie gładko, będą ustawieni do końca życia.

W połowie października Ługowoj przyszedł na spotkanie z Litwinienką w marynarce w krzykliwą kratę i objuczony torbami z drogich sklepów z ciuchami. Przyprowadził ze sobą Kowtuna. Przedstawił go jako jednego ze swoich najstarszych przyjaciół i fachowca od inwigilacji cyfrowej, który może im pomóc w wyszukiwaniu brudów na rosyjskich figurantów. Litwinienko z miejsca zapałał do Kowtuna niechęcią. Nie podobały mu się jego naburmuszona mina, ziemista cera i połyskujący srebrzyście garnitur. Facet zdecydowanie nie budził zaufania, ale Ługowoj powiedział, że za niego ręczy, i uparł się, żeby go zabrać na popołudniowe spotkanie z ważnym klientem.

Owym klientem była brytyjska firma ochroniarska o nazwie Erinys International, która miała na oku duży kontrakt z Gazpromem i chciała oszacować ryzyko. Rosjanie przeszli piechotą do eleganckiego biura w Mayfair, gdzie w progu przywitał ich Tim Reilly, wytworny dyrektor działu ochrony obiektów energetycznych. Po wymianie powitalnych uścisków dłoni Reilly, starając się nie

śmiać z jarmarcznych strojów gości, zaprowadził ich do sali konferencyjnej. Kiedy usiedli, Ługowoj poprosił o herbatę. Dzień był wyjątkowo upalny jak na tę porę roku i nikt nie miał ochoty na gorące napoje, ale Ługowoj nalegał, więc uprzejmy Reilly podał trzy filiżanki. W czasie spotkania mówił głównie Ługowoj, chwaląc się znajomościami w rosyjskiej branży energetycznej. Litwinienko z coraz większą niechęcią obserwował milczącego ponuro Kowtuna. W filiżankach stygła nietknięta herbata.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, Litwinienko pobiegł do autobusu, by wrócić na Osier Crescent, gdzie Marina gotowała aromatyczny rosół z kury. Przy kolacji zwierzył się żonie, że nie jest zadowolony z przebiegu rozmowy. Nie potrafił wyjaśnić, co go konkretnie zaniepokoiło, powiedział tylko, że przyjaciel Ługowoja to „bardzo nieprzyjemny" człowiek. Po kolacji zrobiło mu się niedobrze i zwymiotował. Kiedy wyszedł z łazienki, wyglądał na zdenerwowanego.

– Źle się czuję – powiedział Marinie i wcześnie położył się spać.

Rano był już zupełnie zdrowy.

Ługowoj i Kowtun wrócili do Rosji, ale niespełna dwa tygodnie później partner Litwinienki ponownie zjawił się w Londynie. Najpierw odwiedził Patarkaciszwilego w Downside Manor. Spędzili ze sobą miły wieczór w altance w ogrodzie, gawędząc o tym i owym. Następnie wstąpił na Down Street do Bieriezowskiego. Oligarcha chciał się go poradzić, jak zapewnić bezpieczeństwo dziennikarce, która napisała książkę o niszczeniu demokracji w Rosji. Kiedy w jej bloku wybuchła bomba, uciekła do Londynu i zwróciła się o pomoc do oligarchy. W czasie rozmowy do gabinetu Bieriezowskiego wpadł Głuszkow z dwiema butelkami wina. Chciał pokazać szefowi, jaki gatunek postanowił zamówić do jego prywatnego odrzutowca, ale na widok gościa wycofał się jak niepyszny.

O zmierzchu Ługowoj wyszedł od oligarchy i udał się do hotelu Sheraton przy Park Lane, gdzie miał się spotkać z Litwinienką. Naprawdę właśnie w tym celu przyjechał do Londynu, lecz kiedy jego partner zjawił się w wytwornym hotelowym salonie z częściowo przeszklonym sufitem, nastąpiły nieprzewidziane okoliczności i Ługowoj musiał zweryfikować plan.

Litwinienko postanowił dopuścić partnera do swojego największego sekretu i ucieszył się, widząc, że tym razem nie ma z nim Kowtuna. Usiadł przy stoliku, zamówił herbatę i wyjął dwie jednorazowe karty SIM, które kupił, żeby móc się bezpiecznie kontaktować z Ługowojem. A potem pochylił się w jego stronę i zaczął opowiadać o swojej tajnej współpracy z hiszpańskim wywiadem.

Wyjaśnił, że od kilku lat pomaga hiszpańskim służbom rozpracowującym powiązania mafii tambowskiej z Kremlem i że 8 listopada ma się spotkać w Madrycie z tamtejszymi prokuratorami. Hiszpanie chcą, żeby zeznawał przeciwko Putinowi w sądzie. Był tym niezwykle podekscytowany i namawiał Ługowoja, żeby poleciał razem z nim do Madrytu. Ługowoj z udawanym spokojem kiwał głową. Zanim Litwinienko skończył, wypił trzy kieliszki czerwonego wina i wypalił cygaro. W rzeczywistości jednak słuchał z najwyższą uwagą. Było dla niego oczywiste, że musi się wstrzymać z wykonaniem zadania. W pierwszej kolejności trzeba polecieć do Moskwy i poinformować o wszystkim szefów.

Kilka dni później, 1 listopada 2006 roku, Litwinienko i jego rodzina świętowali szóstą rocznicę przyjazdu do Wielkiej Brytanii. Były oficer FSB obiecał żonie, że wróci do domu na uroczystą kolację, ale pozostałą część dnia miał wolną, więc kiedy Ługowoj zadzwonił i powiedział, że jest w Londynie, z chęcią umówił się z nim na popołudnie.

Tamtego ranka odebrał jeszcze jeden telefon. Tym razem dzwonił Mario Scaramella, specjalista od spraw bezpieczeństwa, który pracował dla komisji publicznej badającej powiązania skorumpowanych włoskich urzędników z Rosją. Litwinienko spotykał się z nim już kilkakrotnie w sprawie agenta FSB, który wedle jego wiedzy działał pod przykrywką w Neapolu. Tym razem to Scaramella chciał mu pilnie powiedzieć o czymś, co odkrył. Panowie umówili się „tam gdzie zawsze” (kryptonim ustalonego punktu w centrum Londynu). Dzień był chłodny, więc Litwinienko przed wyjściem z domu włożył pikowaną dżinsową kurtkę. Czerwonym londyńskim autobusem, a potem metrem dojechał na Piccadilly Circus. Z daleka dostrzegł przysadzistą sylwetkę

Scaramelli, który czekał na niego pod kolumną zwieńczoną statuą uskrzydlonego erosa. Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że spec od bezpieczeństwa jest nieogolony i ogólnie wygląda nie najlepiej.

Zamiast powitania Scaramella oświadczył, że obaj znajdują się w niebezpieczeństwie; wszystko wyjaśni, jak tylko znajdą się w spokojnym miejscu. Włoski partner zaprowadził Litwinienkę do pobliskiej japońskiej restauracji popularnej sieci Itsu. Wzięli po porcji sashimi i znaleźli wolny stolik.

– Przyniosłem ci materiały – powiedział Włoch, kiedy usiedli.

Wyłuskał z aktówki kopertę, z której wyjął cztery brudne złożone kartki i podał je pod stołem Litwinience. Byłemu oficerowi FSB wystarczył jeden rzut oka, by zrozumieć, co tak wytrąciło z równowagi jego włoskiego kolegę.

„Materiały" okazały się dwoma mejlami od rosyjskiego informatora, który powołując się na swoje źródła w rosyjskim wywiadzie, ostrzegał Scaramellę, że jego nazwisko widnieje na czarnej liście FSB. Oba mejle nosiły datę z początku października. Rosjanin dodał, że jego znajomi w służbach „coraz częściej mówią o konieczności użycia siły" do wyeliminowania wrogów Rosji. Jeden z mejli zawierał kopię „czarnej listy" i Litwinienko, bez większego zdziwienia, odnalazł na niej własne nazwisko. Nie zabrakło tam również Bieriezowskiego i Zakajewa. Byłego oficera rosyjskich służb szczególnie zmroził widok nazwiska Politkowskiej: mejl został wysłany kilka dni przed jej śmiercią.

Litwinienko oderwał wzrok od dokumentu i spojrzał w szeroko otwarte oczy Scaramelli.

– Spokojnie – powiedział, chowając papiery do torby.

Wyjaśnił, że potrzebuje trochę czasu, by sprawdzić wiarygodność źródła.

Były oficer FSB zachował zimną krew, ale instynkt wytrawnego detektywa podpowiadał mu, że sprawa jest poważna. Autor mejli opisał grupę agentów, którzy według niego mieli zająć się likwidacją osób z listy. Wymienił między innymi kulejącego na prawą nogę mistrza dżudo z Petersburga, który jakoby nadzorował siatkę zabójców. Litwinienko uznał, że te „portrety" mogą pomóc w zidentyfikowaniu mordercy Politkowskiej. Chciał jak najszybciej pokazać mejle Zakajewowi i Bieriezowskiemu, ale najpierw miał

spotkanie z Ługowojem. W pośpiechu dokończył lunch, pożegnał się ze Scaramellą i popędził do hotelu Millenium w Mayfair.

Litwinienko słynął z ostrożności. Komunikował się z informatorami za pomocą jednorazowych telefonów komórkowych, stosował metody antyobserwacyjne i skrupulatnie pilnował, czy nie jest śledzony. Zdawał sobie sprawę, że rosyjskie służby mają go na muszce, i często przestrzegał innych uciekinierów z Rosji, by uważali na dawno niewidzianych znajomych, którzy niespodziewanie znów pojawiają się w ich życiu. Ale od jego odejścia z FSB minęło już wiele lat i zaczął stopniowo obniżać standardy.

Nigdy wcześniej nie był w hotelu Millenium. Kiedyś, przed przyjściem na spotkanie w nieznanym miejscu, zrobiłby najpierw rekonesans. Zjawiłby się przed czasem, sprawdził rozkład pomieszczeń, zlokalizował drogi ucieczki, obserwował, kto wchodzi i kto wychodzi. Gdyby tym razem przyszedł pół godziny wcześniej, być może historia potoczyłaby się inaczej. Zobaczyłby zdenerwowanego Ługowoja, który szybkim krokiem przechodzi lobby, ukrywając pod marynarką jakiś przedmiot, i znika na kilka minut w męskiej toalecie. Widziałby, jak jego partner po wyjściu z łazienki kieruje się do wyłożonego drewnem baru z miękkimi fotelami i przyćmionym oświetleniem, i miałby czas się zorientować, że jest to jedyne miejsce w hotelu poza zasięgiem kamer monitoringu. Zauważyłby również Kowtuna, który też chyłkiem odwiedził toaletę, a potem dołączył do kumpla. Panowie zamówili dżin i szampana. Po chwili jeszcze raz zawołali kelnera i poprosili o herbatę. Kiedy chłopak postawił przed nimi ceramiczny imbryk, zrobili coś dziwnego przy dzióbku. Ale Litwinienko tego wszystkiego nie widział.

Były oficer FSB czuł się zupełnie bezpieczny; w końcu Ługowoj był jego przyjacielem. Wszedł do lobby o 15.39 i od progu zawołał swojego partnera. Ługowoj podniósł się od stolika i wyszedł mu na spotkanie. Miał na sobie ubranie, które kilka miesięcy wcześniej Litwinienko pomógł mu wybrać w dziale mody męskiej Harrodsa: obcisły niebiesko-pomarańczowy sweter i eleganckie szare dżinsy.

– Usiądźmy – powiedział, wskazując gestem Pine Bar. Zaprowadził partnera do stolika. – Zostało jeszcze trochę herbaty. –

Od niechcenia kiwnął ręką w stronę imbryka. – Nalej sobie.

Litwinienko napełnił filiżankę. Imbryk był prawie pusty, a ciecz, która popłynęła z dzióbka, miała zielony kolor. Rosjanin wypił najwyżej trzy, cztery łyki. Herbata była zimna, nieposłodzona i miała dziwny, gorzki smak. Były oficer FSB z obrzydzeniem odsunął naczynko.

Ku jego niezadowoleniu do stolika dosiadł się Kowtun. W czarnym swetrze na suwak wydawał się jeszcze bledszy niż zwykle. Sprawiał wrażenie przygnębionego, albo po prostu miał kaca. Litwinience przyszło do głowy, że kumpel jego partnera może być narkomanem lub alkoholikiem. Nagle dotarło do niego, że spotkał się w nieznanym miejscu z człowiekiem, którego prawie nie zna. Kim jest Kowtun? Po co Ługowoj go tu ściągnął? Niespodziewanie ogarnął go niepokój.

Mężczyźni rozmawiali przez chwilę o interesach, wykorzystując panujący w barze gwar, ale niebawem Ługowoj zerknął na swój wielki złoty zegarek i oświadczył, że musi iść. Przyjechał do Londynu z całą rodziną i ma bilety na mecz CSKA Moskwa z londyńskim Arsenalem. Bieriezowski załatwił im dobre miejsca na Emirates Stadium. Ługowoj nalegał na spotkanie z Litwinienką, a teraz nagle nie miał mu nic do powiedzenia. Żona Ługowoja już stała w lobby i kiwała do męża ręką. Mężczyzna podszedł do niej i wrócił do stolika z małym chłopcem, który przyciskał do piersi torbę z logo Hamleys, słynnego londyńskiego sklepu z zabawkami. Przedstawił go jako swojego ośmioletniego syna Igora.

– To wujek Sasza – powiedział do Igora. – Przywitaj się.

Chłopiec podał Litwinience rączkę i wszyscy się rozeszli.

W zapadającym zmierzchu Litwinienko opuścił hotel i ruszył na południe uliczkami Mayfair. Kiedy dotarł na Down Street, paliły się już latarnie. Odkąd Bieriezowski obciął mu pobory, zaglądał tam znacznie rzadziej, ale nadal czuł się jak w domu. Wjechał windą na pierwsze piętro, wszedł do biura, mijając strzegących drzwi ochroniarzy, pomachał wychodzącemu Głuszkowowi, szybkim krokiem przeciął wyłożony puszystą kremową wykładziną hol i zatrzymał się przy ustawionej pod ścianą kserokopiarce. Szybko

skopiował wyświechtane kartki, które dostał od Scaramelli, starannie zaginając górną część, żeby ukryć tożsamość źródła.

Po drodze z hotelu Litwinienko zadzwonił do Bieriezowskiego i powiedział mu, że ma w ręku dokumenty, które być może pomogą zidentyfikować zabójcę Politkowskiej. Oligarcha odpowiedział ze zniecierpliwieniem. On też nie chciał się spóźnić na mecz na Emirates Stadium.

– Pospiesz się! – wrzasnął do słuchawki.

Były oficer wręczył szefowi plik świeżych kopii i sięgnął po brzęczący mu w kieszeni telefon. Dzwonił Zakajew, z zaparkowanego pod budynkiem mercedesa, żeby zaproponować przyjacielowi podwózkę do Muswell Hill.

W samochodzie zaczęli się wspólnie zastanawiać, w jaki sposób zweryfikować zawarte w mejlach informacje. Litwinienko wciąż nie mógł się pozbyć niepokoju, który go dręczył od spotkania z Ługowojem i Kowtunem, ale zachował te myśli dla siebie. Zadzwonił do Mariny i powiedział jej, że jest już w drodze do domu.

– Tylko błagam cię, niczego nie jedz! – zawołała Marina, słysząc w tle głos Zakajewa.

Smażyła naleśniki z farszem z kurczaka, żeby uczcić rocznicę przyjazdu do Anglii, pierwszą, którą mieli obchodzić jako pełnoprawni brytyjscy obywatele. Litwinienko obiecał, że dotrze do domu z pustym żołądkiem.

Anatolij wrócił ze szkoły przed ojcem. Po przyjściu do domu Litwinienko dokładnie przejrzał otrzymane od Scaramelli dokumenty, a potem je przedziurkował i wpiął do segregatora. Marina kończyła szykować kolację. Wreszcie rodzina zasiadła do uroczystego posiłku. Ku zachwytowi żony były agent FSB pochłonął pięć naleśników. Pomyślała, że sprawia wrażenie szczęśliwego. Dobrze im się żyło w Anglii.

Wieczór upłynął w spokojnej atmosferze. O dwudziestej trzeciej małżonkowie położyli się spać. Dziesięć minut po zgaszeniu światła Litwinienko pobiegł do łazienki i zwrócił wszystko, co zjadł. Nawet kiedy już całkowicie opróżnił żołądek, nadal wstrząsały nim torsje.

– Może zaraz ci przejdzie – powiedziała Marina.

– Chyba raczej nie – odparł jej mąż.

Dała mu do wypicia rozpuszczony w ciepłej wodzie węgiel spożywczy, tradycyjny rosyjski środek na zatrucie pokarmowe, ale natychmiast go zwymiotował. Nie chcąc zakłócać żonie i synowi snu, Litwinienko zamknął się w gabinecie, gdzie spędził koszmarną noc, co dwadzieścia minut nękany kolejnym potężnym atakiem torsji.

O świcie Marina zajrzała do męża, żeby sprawdzić, jak się czuje. Były oficer FSB powiedział żonie, że wymiotuje krwią i pianą. Miał trudności z oddychaniem, więc otworzyła wszystkie okna i wpuściła do gabinetu zimne listopadowe powietrze.

– Otruli mnie – powiedział jej Litwinienko.

XII

Londyn, listopad 2006 roku

Po przyjęciu Litwinienki do szpitala jego stan początkowo zdawał się poprawiać. Chory dostał kroplówkę i to go nieco wzmocniło. Nikt jednak nie wiedział, co mu jest. Z początku lekarze myśleli, że to ostry przypadek zatrucia pokarmowego, ale potem zauważyli, że gwałtownie spada liczba białych ciałek krwi. To oznaczało, że system odpornościowy przestaje działać, lecz nikt nie potrafił powiedzieć dlaczego.

Pacjent upierał się, że został otruty, jednak wyniki badań tego nie potwierdzały. W organizmie nie wykryto śladów żadnej znanej toksycznej substancji. Marina mówiła lekarzom, że jej mąż nie twierdzi tego bezpodstawnie: w końcu jest byłym oficerem Federalnej Służby Bezpieczeństwa i zna „niebezpiecznych ludzi". Jednak lekarze nie chcieli jej słuchać. Mijały kolejne dni, a chory nie wykazywał żadnych oznak poprawy.

Kiedy 13 listopada Marina po raz kolejny odwiedziła męża w szpitalu, z przerażeniem stwierdziła, że jego stan gwałtownie się pogorszył. Litwinienko wyglądał, jakby miał żółtaczkę, był wychudzony i wyraźnie opadał z sił. Kiedy pogłaskała go z czułością po głowie, na jej rękawiczce został pęk włosów. Dopiero wtedy zauważyła włosy na poduszce i na pościeli.

– Co to? – krzyknęła. – Co się stało mojemu mężowi?

Litwinienko chorował już od prawie dwóch tygodni, a lekarze ani na krok nie zbliżyli się do postawienia diagnozy. Dopiero wezwany na konsylium hematolog wygłosił znamienną uwagę. Stwierdził, że chory ma podobne objawy, jak pacjenci onkologiczni po dużych dawkach chemioterapii. Po chwili specjalista chorób krwi doprecyzował rozpoznanie: jego zdaniem pacjent miał chorobę popromienną.

Do pokoju Litwinienki przyniesiono licznik Geigera, który mierzy promieniowanie gamma (najczęstszy rodzaj promieniowania), ale

aparat pokazał zero. Lekarze nadal byli w kropce. Następny trop pojawił się po południu. Badania laboratoryjne wykryły w organizmie Litwinienki śladowe ilości substancji toksycznej przypominającej strukturą metal ciężki tal. Było jej jednak zbyt mało, by mogła tłumaczyć ciężki stan chorego. Konieczne były kolejne badania, ale poszukiwania diagnozy wreszcie poszły we właściwym kierunku. Od tej pory pacjent był leczony jako przypuszczalna ofiara otrucia.

Litwinienkę przeniesiono na specjalistyczny oddział szpitala uniwersyteckiego w Bloomsbery, gdzie zaczął otrzymywać błękit pruski, który jest odtrutką na związki talu. Przed jego izolatką na piętnastym piętrze budynku dyżurowali uzbrojeni policjanci. Tuż przed północą przy jego łóżku pojawiła się szczupła postać.

Nieznajomy mężczyzna w garniturze zwrócił się do Litwinienki jego angielskim imieniem: Edwin. Był chudy, blady i żylasty. Zaczesane do tyłu siwiejące włosy odsłaniały głębokie bruzdy na czole. Przedstawił się jako inspektor Brent Hyatt ze Scotland Yardu.

– Edwinie, jesteśmy tutaj w związku z podejrzeniem, że ktoś pana otruł – wyjaśnił beznamiętnym tonem. – Proszę opowiedzieć, co się według pana wydarzyło? I dlaczego?

Litwinienko nie mógł nic zrobić, jego stan fizyczny pogarszał się systematycznie od dwóch tygodni, ale umysł pracował jak brzytwa. Powiedział Hyattowi, że został otruty przez Andrieja Ługowoja i Dmitrija Kowtuna.

Nie powiedział tego nawet swojej żonie Marinie. Dopóki Ługowoj i Kowtun nie wiedzieli, że ujawnił ich tożsamość, istniała szansa, że wrócą do Londynu i zostaną aresztowani. Ale Hyattowi Litwinienko był gotów wyznać całą prawdę.

– To bardzo ważne w tej sytuacji – oznajmił.

I zaczął opowiadać. Wyjaśnił łamaną angielszczyzną, że zdemaskował spisek rosyjskich służb na życie Bieriezowskiego i uciekł do Wielkiej Brytanii, nie zrezygnował jednak z dojścia do prawdy o udziale rosyjskich służb w serii eksplozji w blokach mieszkalnych w Moskwie oraz w innych aktach przemocy, na których Kreml pozostawił swoje odciski palców.

– Tutaj żyję – stwierdził. – Mówię. Walczę.

Opowiedział, że miesiąc wcześniej nieznany sprawca zastrzelił jego przyjaciółkę Annę Politkowską i że na poświęconym jej wieczorze w klubie Frontline oświadczył publicznie, że odpowiedzialność za śmierć dziennikarki ponosi Putin.

– Straciłem wielu przyjaciół. Moja żona płakać. Mój syn nie rozumieć tego.

Mówił przez kilka godzin. Powiedział detektywowi, że w domu na Osier Cresent znajdzie teczki z materiałami dochodzeniowymi, które potwierdzą prawdziwość jego słów.

Następnego dnia Hyatt przyszedł do szpitala razem z tłumaczem. Teraz Litwinienko mógł się wypowiadać swobodniej. Miał całkowitą pewność, kto zlecił jego otrucie.

– Tylko jeden człowiek może wydać rozkaz zamordowania obywatela innego państwa w jego ojczyźnie, zwłaszcza jeśli tym państwem jest Wielka Brytania.

Hyatt przyjrzał mu się wyzutym z emocji wzrokiem.

– Zechciałby pan wymienić jego nazwisko?

– Ten człowiek to prezydent Federacji Rosyjskiej Władimir Putin.

Litwinienko zapewnił detektywa, że nie jest naiwny.

– Nie dacie rady postawić go przed sądem – przyznał – bo jest prezydentem ogromnego kraju z potężnym arsenałem jądrowym, chemicznym i bakteriologicznym.

Ale błagał go, żeby nie rezygnował z szukania winnych.

– Wiem, że wszyscy będą uważali, że to sprawa polityczna – powiedział. – Ale naprawdę wcale tak nie jest. To sprawa kryminalna.

Hyatt przesłuchiwał Litwinienkę przez trzy kolejne dni, łącznie przez dziewięć godzin. Uchodźca miał ostrą biegunkę i musiał co chwila przerywać składanie zeznań, żeby udać się do toalety. Do pokoju nieustannie zaglądały pielęgniarki; podawały choremu leki, zmieniały kroplówkę, sprawdzały odczyty urządzeń monitorujących. Na zakończenie przesłuchania Litwinienko złożył osobiste oświadczenie.

– Jest mi bardzo przykro, że ten zbrodniarz Putin przewodniczy obradom G8 przy jednym stole z premierem Wielkiej Brytanii Tony'm Blairem – powiedział z przejęciem w głosie. – Dopuszczając

mordercę do swojego stołu, zachodni przywódcy faktycznie dają mu wolną rękę, żeby zabijał, kogo chce i gdzie chce.

Stan chorego był dramatycznie zły. Litwinienko miał nierówne tętno, szybko postępującą niewydolność wielonarządową i tak ostry stan zapalny przewodu pokarmowego, że prawie nie mógł mówić. Przeniesiono go na oddział intensywnej terapii.

Marina niemalże nie odchodziła od łóżka męża. Anatolij odwiedzał słabnącego z dnia na dzień ojca po lekcjach. Bieriezowski skrócił wycieczkę do Republiki Południowej Afryki, żeby być przy cierpiącym przyjacielu. Również Zakajew codziennie przychodził do szpitala.

Lekarze szacowali szanse Litwinienki na wyrwanie się śmierci spod kosy na pięćdziesiąt procent, ale wciąż nie mieli pojęcia, co spowodowało chorobę. Objawy nie pasowały do zatrucia talem, a śladowe ilości substancji toksycznej wykryte w organizmie były zbyt małe, by tłumaczyć gwałtowne pogorszenie się jego stanu. Również choroba popromienna nie wydawała się dobrą diagnozą, bo licznik Geigera nie wykrył promieniowania gamma.

Zdezorientowani lekarze poprosili o opinię toksykologa z innego szpitala, który zasugerował, że pacjent mógł zostać poddany działaniu innego promieniowania, znacznie rzadszego od promieniowania gamma, dlatego standardowe badania laboratoryjne go nie wykryły. Lekarzom wydało się to mocno naciąganym przypuszczeniem, ale nie mając lepszego pomysłu, wysłali próbkę moczu Litwinienki do rządowego ośrodka badań jądrowych, Atomic Weapons Establishment w Aldermaston.

Tymczasem były oficer FSB czuł, że umiera, i chciał, żeby świat się dowiedział dlaczego. Poprosił adwokata o przygotowanie oświadczenia, które miało zostać opublikowane po jego ewentualnej śmierci. Prawnik przygotował dokument, który bezpośrednio oskarżał o tę zbrodnię Putina, i pokazał go swojemu klientowi.

– Dokładnie o to mi chodziło – wychrypiał chory, składając u dołu kartki podpis z zawijasem.

Teraz należało się zastanowić, jak najskuteczniej przyciągnąć uwagę opinii publicznej. Bieriezowski poprosił o radę swojego człowieka od PR-u, lorda Bella, który uznał, że w tym konkretnym

przypadku obraz przemówi dobitniej niż słowa. Chory przyznał mu rację i Bell sprowadził do szpitala fotografkę. Kiedy przyjechała, Litwinienko rozsunął szpitalną piżamę, odsłaniając plątaninę kabli i czujników przymocowanych do jego wychudłej piersi. Błysnął flesz i powstało słynne zdjęcie: wychudzona postać o pożółkłej skórze i przenikliwych błękitnych oczach patrzących wyzywająco prosto w obiektyw.

Zdjęcie spełniło swoje zadanie. Następnego dnia umęczona twarz Litwinienki pojawiła się na pierwszych stronach wszystkich brytyjskich gazet. Bramy szpitala szturmował rosnący tłum dziennikarzy, którzy domagali się świeżych informacji o stanie otrutego rosyjskiego szpiega.

Jeszcze tylko jedno pozostało do załatwienia. Litwinienko, który ślubował wspierać sprawę wolnej Czeczenii, postanowił wykonać ostatni symboliczny gest solidarności z uciśnionym narodem. Powiedział Zakajewowi, że chce umrzeć jako muzułmanin. Za zgodą Mariny przywódca separatystów wypowiedział słowa szahady i sprowadził imama, który odprawił obrzęd konwersji.

Nazajutrz chory na zmianę tracił i odzyskiwał przytomność. Jego ojciec Walter przyleciał z Rosji i zamierzał spędzić noc przy łóżku syna. Kiedy Marina wstała z krzesła, by wrócić do domu, do Anatolija, Litwinienko nagle się obudził.

– Marino – powiedział, patrząc jej w oczy. – Bardzo cię kocham.

W nocy były oficer FSB stracił przytomność i już jej więcej nie odzyskał. Następny dzień Marina spędziła przy łóżku pogrążonego w śpiączce męża. Wieczorem pojechała na Osier Crescent, do Anatolija. Kiedy weszła do domu, zabrzęczał telefon. Dzwoniono ze szpitala, żeby natychmiast przyjechała z powrotem. Wzięła syna i razem z nim wróciła do szpitala. Weszli do izolatki, w której przebywał Litwinienko.

W szpitalnym łóżku leżało chude jak szkielet ciało, poszarzałe i całkowicie bezwłose. Były oficer FSB nie żył.

Sześć godzin wcześniej Scotland Yard otrzymał wyniki wysłanych do Atomic Weapons Establishment próbek. W organizmie Litwinienki wykryto wysoki poziom promieniowania alfa. Został otruty rzadkim izotopem o nazwie polon-210, który mógł pochodzić

tylko z jednego miejsca na Ziemi: rosyjskiego ośrodka badań jądrowych w odludnym zakątku Uralu.

Kiedy odrętwiali z rozpaczy wdowa i syn wrócili nad ranem do domu, na Osier Crescent zaroiło się od policjantów w kombinezonach ochronnych, gumowych butach i maskach przeciwgazowych. Poinformowali Marinę i Anatolija, że ich życiu zagraża niebezpieczeństwo i muszą natychmiast opuścić budynek. Ostatnie godziny tej koszmarnej nocy przedrzemali po drugiej stronie ulicy, u Zakajewów. Rano ich dom był szczelnie owinięty plastikiem i pilnowany przez mundurowych. Budynek aż buczał od promieniowania alfa.

Policja poprosiła rodzinę zmarłego, żeby nie rozmawiała z nikim o tym, co się dzieje, dopóki władze nie oszacują ryzyka dla zdrowia publicznego. Ale zaskoczony na progu szpitala przez dziennikarzy i flesze aparatów fotograficznych Walter Litwinienko nie wytrzymał ciężaru rozpaczy i napięcia.

– Mojego syna zabiła malutka bomba atomowa – wyszlochał przed kamerami.

Władze nie mogły dłużej zwlekać z oficjalnym potwierdzeniem, że Litwinienkę zamordowano za pomocą radioaktywnego polonu. Szefowie brytyjskich tajnych służb zebrali się w COBRA, by omówić sytuację. Zaledwie rok wcześniej w tym samym pomieszczeniu szefowie agencji wywiadowczych siedzieli przy jednym stole z Władimirem Putinem. Teraz przekazywali członkom brytyjskiego rządu dane wywiadowcze, które łączyły prezydenta Rosji z miniaturowym atakiem jądrowym w centrum Londynu.

Na zewnątrz bunkra panował chaos. Ubrani w ochronne kombinezony funkcjonariusze służb ochrony zdrowia publicznego szukali na ulicach Londynu śladów promieniowania alfa, a po piętach deptały im ekipy telewizyjne.

„Mamy do czynienia z wydarzeniem bez precedensu w Wielkiej Brytanii”, stwierdziła w specjalnym oświadczeniu rządowa Agencja Ochrony Zdrowia. „Po raz pierwszy w naszym kraju ktoś został celowo, jak się wydaje, otruty substancją radioaktywną”. Wszystkie programy informacyjne relacjonowały na bieżąco sytuację. Na specjalną kryzysową linię telefoniczną dzwoniły tysiące ludzi, którzy obawiali się, że zostali napromieniowani.

Doradcy Bieriezowskiego opublikowali oświadczenie Litwinienki. Dokument, który podpisał tuż przed śmiercią, trafił do wszystkich redakcji w kraju. Cały świat usłyszał ostatnie słowa byłego oficera FSB.

Jest wiele osób, którym chciałbym podziękować. Moim lekarzom, pielęgniarkom i pracownikom szpitala, którzy robią wszystko, co w ich mocy, żeby mi pomóc; brytyjskiej policji, która prowadzi energiczne, profesjonalne śledztwo w sprawie mojego otrucia oraz strzeże bezpieczeństwa mojego i mojej rodziny.

Chciałbym podziękować rządowi Wielkiej Brytanii, który udzielił mi schronienia. To dla mnie zaszczyt, że jestem brytyjskim obywatelem. Dziękuję brytyjskiemu społeczeństwu za słowa wsparcia i zainteresowanie moim losem. Dziękuję mojej żonie Marinie, która zawsze stała przy moim boku. Moja miłość dla niej i naszego syna jest bezgraniczna.

Leżąc tutaj, słyszę nad głową trzepot skrzydeł anioła śmierci. Może zdołam mu uciec, ale nie biegam już tak szybko, jak bym chciał. Dlatego to może być ostatnia chwila, żeby powiedzieć to i owo człowiekowi, który doprowadził mnie do obecnego stanu.

Może uda się panu zmusić mnie do milczenia, ale to milczenie ma swoją cenę. Pokazał pan, że jest pan tak bezwzględny i brutalny, jak twierdzą pańscy najbardziej zajadli krytycy. Pokazał pan, że nie szanuje pan życia, wolności ani wartości cywilizowanego świata. Pokazał pan, że nie jest pan wart zajmowanego przez siebie stanowiska ani zaufania cywilizowanych ludzi.

Może się panu udać, panie Putin, zmusić do milczenia jednego człowieka, ale krzyk oburzenia, jaki podniesie cały świat, do końca życia będzie rozbrzmiewać w pańskich uszach. Niech Bóg panu wybaczy to, co pan uczynił, nie tylko mnie, ale też mojej ukochanej Rosji i jej narodowi.

Aleksandr Litwinienko, 21 listopada 2006 roku

Putin zbył oświadczenie Litwinienki, nazywając je fałszywką. „To smutne, że tak tragiczne wydarzenie, jak czyjaś śmierć, zostało wykorzystane do prowokacji politycznej”, powiedział dziennikarzom na konferencji prasowej w Helsinkach. Tymczasem w Rosji

państwowa machina propagandowa ruszyła pełną parą, siejąc zamęt i wątpliwości. Deputowany Dumy Państwowej Siergiej Abielcew oznajmił, że śmierć renegata jest „poważnym ostrzeżeniem dla wszelkiej maści zdrajców, obojętne, gdzie przebywają”, a prokremlowskie media rozgłaszały zdumiewające teorie spiskowe. Litwinienko sam się otruł. Bieriezowski zamordował go, żeby wrobić Putina. Było to dzieło mafii. Egzekucja na zlecenie MI6. Albo Zakajewa.

Jednak radioaktywny trop jednoznacznie wskazywał na Moskwę. Ługowoj i Kowtun rozwlekli promieniotwórczy polon po całym Londynie, ułatwiając policji odtworzenie ich działań ze wszystkimi drastycznymi szczegółami. Radioaktywny szlak zaczynał się w ich pokojach hotelowych i wiódł do biur, restauracji, barów i innych miejsc, które odwiedzili, nie wyłączając klubów ze striptizem. Nawet po powrocie do Rosji zostawiali radioaktywne ślady. Kiedy Scotland Yard upublicznił ich nazwiska, obaj panowie udali się do ambasady brytyjskiej w Moskwie, aby oświadczyć, że są niewinni, a przy okazji napromieniowali wszystko, czego dotknęli. Krzesło, na którym siedział Ługowoj, było tak radioaktywne, że trzeba było je spalić.

W Londynie ślady polonu pozwoliły policji odtworzyć dokładny bieg zdarzeń, które doprowadziły do śmierci Litwinienki. Pine Bar stanowił strefę katastrofy nuklearnej. Kabina w toalecie, którą Ługowoj i Kowtun odwiedzili kolejno przed przybyciem Litwinienki, była silnie skażona. Podobnie fotele i stolik, przy którym siedzieli agenci. Imbryk, w którym podano im herbatę, wydzielał astronomicznie wysokie promieniowanie, a najwyższy odczyt był przy dzióbku. Po użyciu czajniczek powędrował do zmywarki i skaził zastawę, szkło i sztućce, z których następnie korzystali inni goście hotelu. Naukowcy badający pokój Kowtuna znaleźli w odpływie umywalki kłąb włosów nasączony czystym polonem. Zabójcy wylali resztki trucizny do kanalizacji.

Ługowoj i Kowtun dostarczyli polon do Pine Baru, a stamtąd radioaktywny ślad pociągnął dalej Litwinienko. Po wypiciu zatrutej herbaty były oficer FSB, wydzielając zabójcze promieniowanie, udał się na Down Street. Wniósł polon do biura Bieriezowskiego, gdzie skaził przede wszystkim kserokopiarkę, na której powielił otrzymane

od Scaramelli dokumenty. Ślady radioaktywnego izotopu znaleziono także na tylnym siedzeniu samochodu Zakajewa.

Ślady promieniowania sugerowały, że zabójcy już wcześniej podjęli dwie próby usunięcia Litwinienki. Pierwsze nieudane podejście miało miejsce w sali narad Railly'ego, gdzie polon prawdopodobnie został dodany do filiżanki Litwinienki z herbatą, o którą poprosił Ługowoj. Były oficer FSB nawet jej nie skosztował, ale pomiary wykazały, że stół konferencyjny niemal drży od napromieniowania. Po spotkaniu w Titon International Ługowoj wrócił do hotelu Best Western i wylał resztki trucizny do umywalki w łazience.

Litwinienko drugi raz o włos uniknął śmierci w salonie hotelu Sheraton. Ługowoj przyniósł kolejną fiolkę z polonem, ale jej nie wykorzystał, bo partner zaczął opowiadać mu o swojej współpracy z hiszpańskimi służbami. Po spotkaniu Ługowoj, tak jak poprzednio, wrócił do swojego pokoju i tym razem wyrzucił truciznę do śmieci. Trochę się wychlapało, więc wytarł płyn hotelowymi ręcznikami, które sprzątaczka wrzuciła następnie do zsypu na brudną bieliznę. Po przyjeździe na miejsce technicy kryminalistyczni ze Scotland Yardu wykryli tak silne promieniowanie radioaktywne, że dwóch fizyków atomowych w pełnym rynsztunku musiało się wycofać z hotelu, który został opieczętowany. Wysłane do Aldermaston ręczniki nigdy stamtąd nie wróciły.

Tymczasem na kryzysową linię telefoniczną zgłosiło się ponad trzy tysiące osób, które obawiały się, że mogły mieć kontakt z zabójczą substancją. Agencja Ochrony Zdrowia poszukiwała około pięciuset osób, które jej zdaniem mogły znajdować się w niebezpieczeństwie. Dawkę promieniowania otrzymał cały personel Pine Baru. Należało znaleźć i przebadać każdego, kto pił herbatę podaną w skażonym imbryku. Napromieniowanych zostało dwóch policjantów. A także Reilly, Scaramella, Bieriezowski i Zakajew oraz rodzina ofiary. Z nich wszystkich ciężko zachorował jedynie Litwinienko, który spożył polon w czystej postaci, ale długofalowe skutki zatrucia izotopem nie są jeszcze dokładnie znane.

Anatomopatolodzy, którzy przeprowadzali sekcję zwłok Litwinienki, pracowali w pełnych strojach ochronnych. Cały zespół

był zgodny co do tego, że „była to jedna z najbardziej niebezpiecznych autopsji w historii zachodniej medycyny”. Zmarły miał we krwi dwadzieścia sześć i pół mikrograma polonu; do zabicia człowieka wystarcza niespełna mikrogram. Ciało zwrócono rodzinie w ołowianej skrzyni z zastrzeżeniem, że jeśli chce je poddać kremacji, musi zaczekać dwadzieścia lat, zanim promieniowanie opadnie na tyle, że będzie można otworzyć trumnę.

Siódmego grudnia Marina i Anatolij stali w ulewnym deszczu na szczycie górującego nad północnym Londynem wzgórza i patrzyli, jak grabarze spuszczają trumnę do błotnistego dołu. Wśród żałobników zebranych na cmentarzu Highgate byli Bieriezowski i Zakajew. Imam, sprowadzony przez przywódcę czeczeńskich separatystów, odmówił modlitwy. Walter Litwinienko wygłosił mowę pogrzebową, której wysłuchała garstka skulonych pod parasolami osób.

– Sasza został zamordowany za to, że mówił prawdę. Zabili go ludzie, którzy bali się tego, co miał do przekazania – powiedział zdławionym głosem.

Policjanci pilnowali, żeby żałobnikom nie przeszkadzali dziennikarze. Poprzedniego wieczoru Scotland Yard poinformował oficjalnie, że prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa. Ostatecznie Koronna Służba Prokuratorska (*Crown Prosecution Service, CPS*) wniosła oskarżenie o zabójstwo przeciwko Kowtunowi i Ługowojowi. Wielka Brytania zażądała ekstradycji agentów, żeby mogli zostać osądzeni przez brytyjski system sprawiedliwości, ale nikt nie miał złudzeń, że Rosja rzeczywiście ich wyda. Moskwa w pierwszej chwili zasugerowała ich „wymianę” na Bieriezowskiego i Zakajewa, ale kiedy propozycja napotkała na twardy opór, rosyjska prokuratura kategorycznie odmówiła ekstradycji.

Downing Street nie mogła sobie pozwolić na zamrożenie relacji z Moskwą. Wielka Brytania była największym inwestorem zagranicznym rosyjskiego sektora naftowo-gazowego i British Petroleum po nabyciu udziałów w koncernie Rosnieft analizowało możliwości utworzenia nowego *joint venture* z Gazpromem. Co więcej, Zachód, przerażony nowym programem atomowym Iranu, nie mógł marzyć o powstrzymaniu atomowych ambicji Teheranu bez pomocy Putina. Współpraca z Moskwą była zbyt ważna, by

brytyjski rząd ryzykował awanturę z Kremlem, nie wiedząc, czym może się ona skończyć. Doszło do patowej sytuacji. Wielka Brytania wydaliła czterech rosyjskich dyplomatów; Moskwa w odpowiedzi odesłała do domu czterech Brytyjczyków.

Rząd Putina otoczył podejrzanych o zamordowanie Litwinienki ścisłą ochroną. Ługowoj zdyskontował swój udział w makabrycznej historii i stał się swego rodzaju celebrytą. Zwoływał konferencje prasowe, udzielał wywiadów stacjom telewizyjnym, występował w *talk-show*. Przy każdej okazji nazywał Litwinienkę zdrajcą i powtarzał, że nie ma nic wspólnego z jego śmiercią.

– Wtykał nos tam, gdzie pies nie wetknąłby nawet ogona – zakpił w jednym z wywiadów radiowych. – To, co go spotkało, najprawdopodobniej było skutkiem nierozważnych znajomości i lekkomyślnego stylu życia.

Ługowoj robił też szybką karierę w sferze publicznej. Został posłem do Dumy Państwowej, co oznaczało, że nie można go było postawić przed sądem w Rosji, a oprócz tego dostał własny program w państwowej telewizji pod znamiennym tytułem *Zdrajcy*. Kowtun nie miał takiego parcia na szkło. Wystąpił tylko w kilku starannie wyreżyserowanych konferencjach prasowych, na których ponuro zapewniał o swojej niewinności, ale i tak zarabiał duże pieniądze jako konsultant. Dawny pomywacz i niedoszły gwiazdor porno nagle stał się bogatym człowiekiem.

Otrucie byłego oficera FSB było urzeczywistnieniem obaw, które szpiedzy z MI6 żywili już od dłuższego czasu. Dowiedzieli się o zdarzeniu, kiedy inspektor Hyatt zadzwonił ze szpitalnej izolatki do opiekuna Litwinienki. Rosjanin chętnie współpracował z policją, udzielał wyczerpujących odpowiedzi na zadawane pytania, ale w jednym punkcie się zaparł. Kiedy śledczy, próbując odtworzyć jego działania na przestrzeni kilku poprzednich dni, doszli do spotkania w podziemnej salce kawiarni Waterstones na Piccadilly Circus, Litwinienko stanowczo odmówił podania nazwiska osoby, z którą tam rozmawiał.

– Edwinie, to może być absolutnie kluczowe dla śledztwa – upomniał go surowo Hyatt.

Litwinienko nie zmienił zdania, ale podał Hyattowi numer kontaktowy do swojego opiekuna i detektyw natychmiast do niego zatelefonował. Kiedy wyjaśnił rozmówcy, kogo właśnie przesłuchuje, Martin natychmiast pognał do szpitala, by osobiście wysłuchać relacji podopiecznego. Po kilku godzinach wrócił do River House z koszmarną wiadomością, że na brytyjskiej ziemi otruto bezcennego współpracownika MI6 i nikt niczego nie zauważył.

Brytyjska agencja wywiadowcza weszła w tryb kryzysowy. Zmobilizowano wszystkie źródła i stanowiska nasłuchowe, żeby wyjaśnić, kto chciał się pozbyć Litwinienki. Dane wywiadowcze składały się na przerażająco wyraźny obraz. Ługowoj i Kowtun działali na zlecenie FSB. Otrzymali zadanie infiltrowania środowiska rosyjskich dysydentów w Wielkiej Brytanii oraz zlikwidowania renegata. Operację osobiście nadzorował dyrektor FSB Nikołaj Patruszew. Zebrane materiały wskazywały jednoznacznie, że rozkaz przyszedł z samej góry – Litwinienkę otruto na życzenie Władimira Putina.

Ujawnienie materiałów ze źródeł operacyjnych było niemożliwe, ponieważ pociągnęłoby za sobą spalenie cennych informatorów i stanowisk nasłuchowych w Rosji, ale szpiedzy z River House, którzy je widzieli, nie mieli żadnych wątpliwości. Ponadto rosyjska sekcja MI6 uzyskała informacje o trzech innych podejrzanych zdarzeniach, które utwierdziły ją w przekonaniu, że Putin stanowi poważne zagrożenie dla Zachodu.

Otóż zaledwie dwa dni przed otruciem Litwinienki przedstawiciel Rosji w Międzynarodowej Organizacji Morskiej ONZ, Igor Ponomariow, nagle źle się poczuł i zmarł po wieczorze spędzonym w londyńskiej operze. Dyplomata skarżył się na palące pragnienie (znany objaw zatrucia talem) i wypił trzy litry wody, a następnie zasłabł i zmarł. Zwłoki odleciały do Rosji samolotem dyplomatycznym, zanim brytyjscy lekarze zdążyli pobrać jakiekolwiek próbki. Ponomariow nawiązał bliskie relacje z amerykańskimi dyplomatami, a co więcej, następnego dnia miał się spotkać w cztery oczy ze Scaramellą. Wspólny znajomy oraz fakt, że Litwinienko i Ponomariow zachorowali niemal w tym samym czasie, nasuwały nieodparte skojarzenie, że istnieje związek między

tymi dwiema sprawami. Brytyjscy szpiedzy zwrócili się do kolegów z CIA z oficjalną prośbą o informacje na temat Ponomariowa. Odpowiedź potwierdziła obawy MI6: z amerykańskich danych wywiadowczych wynikało, że rosyjski dyplomata rzeczywiście mógł zostać otruty.

Drugim podejrzanym zdarzeniem była śmierć Daniela McGrory'ego. Doświadczony dziennikarz londyńskiego „Timesa" wykrwawił się pięć dni przed premierą dokumentu amerykańskiej stacji NBC, w którym wystąpił. McGrory udzielił autorom filmu wywiadu i opowiedział, co się działo, kiedy pisał o śmierci Litwinienki. Wkrótce po emisji programu dwóch nieznanych sprawców postrzeliło amerykańskiego specjalistę do spraw bezpieczeństwa, Paula Joyala, który również wypowiedział się w tym filmie. Napastnicy, którzy zaatakowali go przed jego domem w stanie Maryland, nigdy nie zostali schwytani. Nie było bezpośrednich dowodów łączących zabójstwo McGrory'ego czy postrzelenia Joyala z Rosją; tym razem podejrzani nie pozostawili po sobie radioaktywnego śladu. Joyal publicznie wyraził przekonanie, że naraził się Rosjanom, ale rodzina McGrory'ego twierdziła stanowczo, że krwotok, który go zabił, był skutkiem przerostu mięśnia sercowego. Tak brzmiało również orzeczenie koronera.

Po śmierci Litwinienki specjaliści od Rosji w brytyjskich służbach specjalnych musieli oswoić się z myślą, że Putin nie cofa się przed likwidowaniem swoich przeciwników na obszarze kraju, który udzielił im schronienia. Gdy tylko wprowadził nowe prawo pozwalające agentom FSB na dokonywanie egzekucji poza granicami Federacji Rosyjskiej, od razu wcielił je w życie. Rządowe laboratorium pod Moskwą pracowało nad rozszerzeniem rosyjskiego arsenału broni chemicznej i biologicznej oraz przystosowaniem go do celów selektywnej eliminacji, a sam prezydent FR udowodnił już, że nie zawaha się narazić zdrowia i życia niewinnych obywateli. Co gorsza, niebezpieczeństwo grożące rosyjskim uchodźcom w Wielkiej Brytanii zdawało się sukcesywnie rosnąć.

Putin przekonał się, że może bezkarnie zabić obywatela Wielkiej Brytanii na ulicach Londynu, a nazwisko Litwinienki było jednym z wielu na czarnej liście FSB. Kto będzie następny?

Część piąta. Bezkarność

XIII

Home Office, Londyn, listopad 2006 roku

Ciężkie chmury rozpełzały się po niebie nad Londynem jak świeży siniak. Nieoznakowany samochód sunął w deszczu Whitehall Road w kierunku Big Bena. Minął najeżoną kolcami bramę przy Downing Street i wjechał na Parliament Square. Doświadczony specjalista Scotland Yardu od spraw bezpieczeństwa omiótł plac wzrokiem, sprawdzając miejsca, w których mogło się czaić potencjalne zagrożenie. Od wielu lat ochraniał ministrów rządu i zagranicznych dygnitarzy i znał labirynt władzy jak własną kieszeń.

Rozbryzgując kałuże, samochód zatrzymał się przed barwną szklaną fasadą nowoczesnego gmachu. Nieliczni przechodnie przemykali po wilgotnych szarych chodnikach, kryjąc się pod ociekającymi parasolami, za to kierowcy czarnych londyńskich taksówek w deszczowy dzień zarabiali aż miło. Lecz w mieście panowała kryzysowa sytuacja. Oficer ochrony został wezwany do ośrodka władzy, w którym zastanawiano się nerwowo, jak odpowiedzieć na atak nuklearny w sercu brytyjskiej stolicy.

Drzwi do budynku rozsunęły się bezszelestnie, wpuszczając oficera do centrum dowodzenia brytyjskiego aparatu bezpieczeństwa. Skierowano go do dużej sali konferencyjnej na piętrze, gdzie czekał na niego spory tłumek oficjeli. Na wszystkich twarzach malowała się powaga. Stęchłe powietrze wskazywało, że już od dłuższego czasu obradują zamknięci w pomieszczeniu.

– Na czarnej liście Kremla znajdowało się sześć nazwisk – powiedziała prowadząca obrady kobieta, kiedy nowo przybyły zajął miejsce przy stole. – Litwinienkę już załatwili.

Oficer odnotował, że wśród obecnych byli wysocy rangą funkcjonariusze MI5, MI6, Centrali Łączności Rządowej (*Government Communications Headquarters, GCHQ*), a także wysocy urzędnicy biura bezpieczeństwa Home Office, brytyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Pozbywanie się dysydentów jest częścią polityki rosyjskiego państwa – kontynuowała prowadząca. – Niektórzy z nich mieszkają tutaj i Rosjanie spróbują dopaść ich na naszym terenie – zwróciła się bezpośrednio do gościa ze Scotland Yardu. – Musi im pan zapewnić bezpieczeństwo.

Oficer ochrony dowiedział się, że Boris Bieriezowski i Achmied Zakajew znajdują się w „poważnym" niebezpieczeństwie, innymi słowy, należy się spodziewać prób zamachu na ich życie. Jak ustalono, Kreml miał na celowniku także pewnego rosyjskiego dziennikarza na wygnaniu w Wielkiej Brytanii oraz Olega Gordijewskiego[11], który uciekł ze Związku Radzieckiego w końcowym okresie zimnej wojny. Kolejne zabójstwo polityczne na terenie Wielkiej Brytanii byłoby „niewyobrażalną" katastrofą dla rządu, który usilnie starał się utrzymać dobre stosunki z Moskwą i odzyskać zaufanie społeczeństwa po skandalu z otruciem Litwinienki. Dlatego Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zwróciło się do SPC (*Specialist Protection Command*), dowództwa ochrony specjalistycznej Scotland Yardu, z prośbą, by wspomogło służby bezpieczeństwa i zapewniło osobom, których nazwiska figurują na czarnej liście, tak zwaną głęboką ochronę.

Funkcjonariusze SPC chronili premiera i ministrów, dlatego mieli takie same certyfikaty bezpieczeństwa jak ich koledzy z wydziału zwalczania terroryzmu. To oznaczało, że można im przekazać poufne dane wywiadowcze na temat niebezpieczeństwa grożącego uchodźcom z Rosji, którzy znaleźli schronienie w Wielkiej Brytanii.

W następnym tygodniu ludzie z SPC dowiedzieli się o istnieniu podmoskiewskiej fabryki trucizn, gdzie armia naukowców prowadziła badania nad bronią chemiczną i biologiczną, przystosowując zabójcze substancje do potrzeb skrytobójców. Tworzono tam trucizny, które powodowały pozornie naturalną śmierć, wywołując błyskawicznie rozwijające się nowotwory, zawały serca i inne śmiertelne choroby. Wydzielone laboratoria zajmowały się analizowaniem struktury biomolekularnej leków na receptę i szukaniem czynników zmieniających je w zabójczy koktajl. Rosjanie dysponowali arsenałem psychotropów, które wykorzystywali do zdestabilizowania celu. Były to silnie działające substancje psychoaktywne, powodujące straszliwe cierpienie

psychiczne i doprowadzające ofiarę na skraj samobójstwa. Dzięki nim łatwiej było upozorować, że poniosła ona śmierć z własnej ręki.

Rosyjskie państwo zainwestowało horrendalne pieniądze w wyposażenie morderców w niepozostawiające śladów substancje, które umożliwiały popełnienie zbrodni doskonałej; tym bardziej więc porażała ordynarna bezczelność zamachu na Litwinienkę. Polon miał potencjał niewykrywalnej trucizny; promieniowanie alfa jest trudne do wykrycia i przy mniejszej dawce ofiara prawdopodobnie umarłaby po kilku miesiącach na raka, nie zwracając niczyjej uwagi. Specjaliści od bezpieczeństwa przypuszczali, że zabójcy w pośpiechu niechcący przedawkowali polon. Ale istniała również możliwość, że przedłużająca się, dramatyczna agonia Litwinienki była skutkiem rozmyślnego działania i miała stanowić ostrzeżenie dla pozostałych rosyjskich dysydentów przebywających w Wielkiej Brytanii. Tak czy inaczej, dla oficera ochrony jedno było jasne: kiedy rosyjski uchodźca umiera z przyczyn pozornie naturalnych, ginie w wypadku albo popełnia samobójstwo, wyniki sekcji zwłok mogą być niewarte papieru, na którym zostały napisane.

Sprawę jeszcze bardziej komplikował fakt, że struktury FSB przenikały się z rosyjskimi organizacjami przestępczymi, które z kolei współpracowały z potężnymi gangami w Wielkiej Brytanii. Dlatego funkcjonariusze Scotland Yardu musieli być przygotowani na wszystko, od finezyjnego ataku biologicznego, chemicznego czy nuklearnego po zwykłą mokrą robotę w wykonaniu londyńskiego zbira.

Zdecydowanie największe niebezpieczeństwo groziło Bieriezowskiemu. Zajadły krytyk Kremla, który usiłował wzniecić powstanie tuż za progiem Putina, nie tylko był wrogiem publicznym numer jeden w Rosji, lecz także samozwańczym przywódcą rosyjskich dysydentów na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii. Przeżył już kilka nieudanych zamachów na swoje życie, a sekcja rosyjska MI6 odbierała niesłabnący strumień danych wywiadowczych o nowych spiskach. Pod rządami Putina rosyjskie państwo policyjne i świat przestępczości zorganizowanej utworzyły wielogłową hydrę. Zwalczające się nawzajem frakcje wewnątrz FSB, mafia, wywiad wojskowy (Główny Urząd Wywiadowczy, *Gławnoje*

razwiedywatielnoje uprawlenije, GRU) rywalizowały o to, kto pierwszy wbije harpun w białego wieloryba prezydenta Federacji Rosyjskiej.

Priorytetowym zadaniem oficera ochrony było teraz niedopuszczenie, by Bieriezowskiemu stało się coś złego. Nadszedł czas na złożenie wizyty na Down Street.

Down Street, Londyn, listopad 2006 roku

Bieriezowski był w swoim typowym wojowniczym nastroju. Zabójstwo Litwinienki stanowiło dla niego bolesny cios, ale z drugiej strony pokazało, że oligarcha miał rację. Wreszcie świat się przekonał, że – jak to ujął na łożu śmierci były oficer FSB – Putin jest „tak bezwzględny i brutalny, jak twierdzą jego najbardziej zajadli krytycy". W końcu zaczęli go słuchać. Na Down Street wrzało jak w ulu. Bieriezowski naradzał się ze współpracownikami, jak wykorzystać to, co się stało, do uzmysłowienia niedowiarkom, kim jest prezydent Rosji.

Otoczenie oligarchy nie otrząsnęło się jeszcze z szoku spowodowanego odkryciem, że Andriej Ługowoj był wilkiem w owczej skórze. Były różne teorie co do tego, w którym momencie przeszedł na stronę wroga. Nikołaj Głuszkow twierdził, że Ługowoj pracował dla FSB już wtedy, kiedy sfingował próbę ucieczki z więzienia Lefortowo, ale nie wszyscy byli w stanie w to uwierzyć. Czy siedział już w kieszeni Putina, kiedy po wyjściu na wolność zgłosił się do Badriego Patarkaciszwilego? Czy gawędził z innymi gośćmi na przyjęciu urodzinowym Bieriezowskiego na zlecenie rosyjskich służb? A może zwerbowano go później? Jedna z wersji głosiła, że Ługowoj został zatrzymany na lotnisku w Moskwie, kiedy wracał z Londynu z kopią raportu na temat Wiktora Iwanowa, który Litwinienko przygotował dla Deana Attew. Kto wie, czy nie zgodził się wtedy na współpracę, żeby uniknąć wyroku za zdradę.

Tylko Patarkaciszwili konsekwentnie negował fakt, że jego były szef ochrony zszedł na złą drogę. Gruziński biznesmen zawsze wolał Ługowoja od Litwinienki, którego uważał za niebezpiecznego maniaka z głową nabitą „szalonymi teoriami". Upierał się, że

Ługowoj został wrobiony, i ku zgorszeniu przyjaciół nadal odbierał telefon, kiedy zabójca dzwonił z Rosji, żeby zapewnić o swojej niewinności.

Sam Bieriezowski nie miał żadnych wątpliwości co do tożsamości zabójcy, ale był przekonany, że śmiertelna dawka polonu nie była przeznaczona dla Litwinienki. Przecież już kilka lat wcześniej ostrzegano go, że Rosjanie szykują nuklearny zamach na jego życie. Czyż to nie on był największym wrogiem Putina? Oligarcha opowiadał każdemu, kto chciał słuchać, że to właśnie jego miał zlikwidować Ługowoj, ale coś poszło nie tak, więc żeby nie marnować czasu, zabił Litwinienkę. Gdy więc oficer ochrony odwiedził go w biurze na Down Street i poinformował, że jego nazwisko otwiera kremlowską listę celów do zlikwidowania w Wielkiej Brytanii, Bieriezowski nie posiadał się z zachwytu. Nareszcie brytyjskie władze przyjęły do wiadomości to, co im od dawna powtarzał: że Putin dybie na jego życie.

Oficer ochrony był eleganckim wysokim mężczyzną o krótko ostrzyżonych, przetykanych siwizną włosach i jasnoniebieskich oczach. Miał lepsze wykształcenie od większości swoich kolegów ze Scotland Yardu i łatwo nawiązał wspólny język z oligarchą. Wyjaśnił, że muszą dokładnie przeanalizować jego styl życia, żeby znaleźć słabe punkty, które mogliby wykorzystać zabójcy. Zaczęli od „audytu spożycia”: skatalogowania wszystkiego, co Bieriezowski jadł i pił, żeby oszacować ryzyko otrucia. W toku kilku sesji funkcjonariusze policji sporządzili wyczerpującą listę potraw i napojów spożywanych przez Bieriezowskiego, przy okazji zyskując obszerną wiedzę o najdroższych gatunkach win i whisky. Spisali też nazwy wszystkich kremów i balsamów, którymi nacierał swoje ciało, oraz przyjmowanych przez niego lekarstw. Zidentyfikowanie głównego problemu nie wymagało dużego wysiłku.

Bieriezowski był silnie uzależniony od viagry, a co gorsza, przyjmował preparat na powiększenie członka, który sprowadzał specjalnie z Moskwy. Jeszcze większy niepokój budziła jego wyjątkowa słabość do nastolatek, sprawiająca, że łatwo było zastawić na niego zasadzkę (*honey trap*). Do oligarchy masowo zgłaszały się młodociane prostytutki z krajów byłego Związku Radzieckiego. Często posyłał po nie swojego pilota, który przywoził

je prywatnym odrzutowcem na miłosną schadzkę na brytyjskim lotnisku.

„Mam przed sobą absurdalne zadanie przekonania sześćdziesięcioletniego miliardera, żeby trochę powściągnął swoje chucie", pomyślał z rezygnacją oficer ochrony, przeglądając wyniki „audytu". Kilkadziesiąt lat opiekowania się możnymi tego świata przyzwyczaiło go do takich sytuacji. Gdy ambasador obcego mocarstwa wciągał dragi na tylnym siedzeniu samochodu albo dyplomata sprowadzał do hotelu prostytutkę, jego zawód wymagał, by patrzył w inną stronę.

– Nie chcę wygłaszać wykładów o moralności i etyce, ale jest to właśnie obszar największego zagrożenia – powiedział swojemu podopiecznemu. – Tak właśnie pana zabiją.

Nie chodziło jedynie o dziewczyny. Do Bieriezowskiego nieustannie dobijali się potencjalni partnerzy biznesowi i polityczni sojusznicy potrzebujący pieniędzy na nowe przedsięwzięcie albo nową partię, a oligarcha zdecydowanie zbyt łatwo zgadzał się na spotkanie z każdym, kto go o nie poprosił.

Innym niebanalnym wyzwaniem było oddzielenie zagrożeń ze strony Kremla od tych, które były konsekwencją jego własnych ciemnych interesów. Bieriezowski wielokrotnie wchodził w układy ze światem przestępczym i miał kilku prywatnych wrogów, którzy już wcześniej próbowali go zlikwidować, ale pod kompetencje oficera ochrony podpadały jedynie zamachy na tle politycznym. Problem polegał na tym, że prywatni adwersarze oligarchy mogli zapłacić agentom FSB za chałturę po godzinach, a Kreml, równie dobrze, dogadać się z innym oligarchą lub gangsterem, żeby stuknął Bieriezowskiego, pozorując mafijne porachunki. To bardzo utrudniało zorientowanie się, kto był rzeczywistym zleceniodawcą.

Oficer ochrony uznał, że nie ma sensu wypytywać oligarchy o ciemną stronę jego życia, bo i tak nie usłyszałby prawdy. Poinstruował go jedynie, by nie spotykał się z ludźmi, którzy ni stąd, ni zowąd skontaktują się z nim pod jakimkolwiek pretekstem – wszystko jedno, seksualnym, biznesowym czy politycznym – zanim dokładnie nie prześwietli ich Scotland Yard.

Wywiad co rusz dostarczał informacje o nowych zagrożeniach i spiskach, zasypując Dowództwo Ochrony Specjalistycznej

zmieniającymi się jak w kalejdoskopie nazwiskami i zdjęciami agentów rosyjskich służb i mafijnych cyngli. Za każdym razem, gdy szpiedzy wykryli nową intrygę, funkcjonariusze Scotland Yardu musieli ustalić aktualne miejsce pobytu Bieriezowskiego, wyciągnąć go ze spotkania biznesowego lub restauracji i ostrzec, że grozi mu śmierć.

Oficer miał wrażenie, że żyje na kartach powieści Johna le Carrégo. Spotykał się ukradkiem z oligarchą na spowitych mgłą rogach ulic Belgravii, żeby w świetle latarni pokazywać mu zdjęcia potencjalnych zamachowców i po raz kolejny poprosić, żeby, na miłość boską, się z nimi nie umawiał.

Pozostałe osoby z czarnej listy Kremla dość łatwo dostosowały się do nowych zasad. Zakajew zgodził się, by w chwilach podwyższonego zagrożenia jego domu strzegł uzbrojony policjant, i nigdy nie umawiał się na spotkanie bez dokładnego prześwietlenia danej osoby i zastosowania metod antyobserwacyjnych. Gordijewski i rosyjska dziennikarka również uważali na siebie. Za to Bieriezowski był kompletnie niesubordynowany.

Dzwonił, i to nie raz, do oficera ochrony, żeby poinformować, że właśnie widział się z osobą, przed którą go ostrzegano. Stanowczo odmówił zaprzestania krytyki Kremla. W dalszym ciągu jeździł do Białorusi i Gruzji, by podsycać niepokoje tuż za granicą Rosji, chociaż Scotland Yard uprzedzał, że nie może go chronić poza obszarem Wielkiej Brytanii. Po każdym wywiadzie, w którym wetknął kolejną szpilę Putinowi, ze stanowisk nasłuchowych w Moskwie napływała świeża porcja informacji o planach uciszenia oligarchy. „Jakby wionęło chłodem ze Wschodu”, zauważył oficer ochrony.

Ale Bieriezowskiemu ta sytuacja najwyraźniej odpowiadała.

– Jestem tym, kim jestem – mawiał. – Jestem Borisem Bieriezowskim i pożądam konfliktu.

Oficer ochrony pomyślał, że jego podopiecznego napędza jakiś dziwny rodzaj niszczącej energii, która każe mu biec na spotkanie ze śmiercią.

Berlin, Niemcy, 2007 rok

Scot Young coraz bardziej odlatywał. Przed sprzedaniem na poczet długów rezydencji w Coconut Grove spędził kilka miesięcy w Miami i długi pobyt w krainie kokainowych kowbojów jeszcze bardziej uzależnił go od narkotyków. Wypijał także ogromne ilości alkoholu – tak duże, że nawet Jonathan Brown zaczął się o niego martwić. Young nadal zachowywał się jak cwany kombinator; nosił w kieszeni grube zwitki pięćdziesięciodolarowych banknotów i błyskał zębami w uśmiechu, ale nie można się było oprzeć wrażeniu, że coś jest nie tak, i to bardzo. Król wędzonego łososia zastanawiał się, czy szklisty wzrok i niezrozumiałe reakcje jego kumpla są wywołane alkoholem, czy może strachem?

Śmierć Litwinienki przeraziła Browna, który chciał o tym poważnie porozmawiać, ale Young zbywał go żartami.

– Wyobrażasz sobie coś takiego: wyłysieć po wypiciu filiżanki herbaty? – zapytał. – Kurwa, ale jaja, Jon!

Brown obawiał się również o bezpieczeństwo Bieriezowskiego, ale na ten temat Young także miał niewiele do powiedzenia. I dalej uparcie nie chciał wyjawić powodów swojego bankructwa. Sprzedał dom w Miami i czmychnął do Berlina, gdzie zamieszkał na rachunek przyjaciela w luksusowym hotelu Ritz-Carlton. Rzekomo zajmował się szukaniem interesujących inwestycji w nieruchomości, ale kiedy Brown do niego zadzwonił, bredził coś o dziwnych interesach i samochodach z bagażnikami pełnymi pieniędzy. Cokolwiek naprawdę robił w stolicy Niemiec, sprawiał wrażenie, jakby przed czymś uciekał.

Tymczasem stale powiększający się zespół prawników i detektywów, zatrudnionych przez Michelle, energicznie przedzierał się przez labirynt finansów Scota. Fikserowi Bieriezowskiego zależało przede wszystkim na utrzymaniu interesów, które robił w Rosji. Wywoził pudła dokumentów do wynajętych magazynów w zabitych deskami wsiach, czyścił twarde dyski komputerów, kasował mejle, niszczył telefony komórkowe, ale i tak nie udało mu się uniknąć przecieków. W ręce Michelle wpadł stary laptop, który jej mąż oddał kiedyś córkom, i rozgniewana kobieta zleciła odtworzenie usuniętych plików specjaliście od informatyki śledczej. W ten sposób odkryła prawdziwą skarbnicę materiałów dowodowych, w tym dwa zestawienia aktywów, z których wynikało,

że bezpośrednio przed bankructwem Young był właścicielem inwestycji i nieruchomości o łącznej wartości kilkuset milionów funtów.

Wyglądało na to, że przed porzuceniem żony Young stworzył system nieprzejrzystych, zarejestrowanych za granicą firm i funduszy, za których pośrednictwem przeprowadził wiele skomplikowanych transakcji pod wspólnym kryptonimem „Projekt koniec małżeństwa”. W tym samym czasie wysyłał do przyjaciół zaszyfrowane mejle, dając do zrozumienia, że planuje jakieś gruntowne zmiany. „Przepisuję moje życie na innych”, napisał w jednym z listów rok przed fiaskiem Projektu Moskwa. Transakcje były tak zagmatwane, że prawnicy, księgowi i detektywi Michelle nie umieli ich rozgryźć. Wykorzystali jednak odtworzone pliki, występując o sądowy nakaz, który zmusiłby Scota Younga do ujawnienia, co się stało z jego pieniędzmi.

Scot błagał żonę, żeby odpuściła. Przysięgał, że jeśli przestanie grzebać w jego sprawach, znajdzie jakiś sposób i zapłaci jej kilkadziesiąt milionów funtów. Na spotkaniu w obecności prawników powiedział, że pewni ludzie próbują go „ukrzyżować” i że jeśli nie zostawi go w spokoju, nie dostanie ani pensa, bo go zabiją. Ale Michelle odrzucała wszystkie propozycje. Była absolutnie przekonana, że jej mąż ukrywa miliardy, i zamierzała walczyć, dopóki nie uzyska swojej połowy majątku.

Londyn, 2007 rok

Jurij Gołubiew od przyjazdu do Londynu starał się nie zwracać na siebie uwagi. Znał Bieriezowskiego – jak każdy, kto coś znaczył w tym mieście – ale trzymał się z dala od jego prowokacyjnych wygłupów. Ostrożny, opanowany i głęboko religijny Gołubiew stanowił przeciwieństwo wojowniczego oligarchy. Był jednym ze współzałożycieli Jukosu i po uwięzieniu Michaiła Chodorkowskiego próbował walczyć o ocalenie koncernu, robił to jednak bez medialnego rozgłosu. Odpierał kolejne ataki Kremla, pracując ramię w ramię ze Stephenem Curtisem, a po śmierci prawnika samotnie kontynuował batalię. Ale wszystko na próżno – władza wystawiła

naftowemu gigantowi wielomiliardowy rachunek za rzekomo zaległe podatki, który przewyższał całkowitą wartość przedsiębiorstwa, i w 2006 roku Jukos ogłosił bankructwo.

Gołubiew miał sześćdziesiąt cztery lata i po przegranej walce zwolnił tempo. Mieszkał sobie spokojnie w apartamencie w Mayfair, niedaleko luksusowego domu towarowego Selfridges, czytał zachłannie, dużo się modlił i recytował wiersze W.H. Audena. Wiódł całkiem przyjemne życie, ale w Londynie nie potrafił być naprawdę szczęśliwy. Trzeźwy z natury, do jednej rzeczy podchodził sentymentalnie. Tęsknił za *Matuszką Rossiją*. Czasem nostalgia stawała się nie do zniesienia i Gołubiew myślał o tym, by wrócić na stałe do Moskwy. Było to jednak niebezpieczne marzenie. Od momentu kiedy Chodorkowski popadł w niełaskę u Putina, Gołubiew regularnie otrzymywał listy z pogróżkami. Zdawał sobie sprawę, że powrót na łono ojczyzny mógłby się dla niego źle skończyć.

Gołubiew zostawił w Moskwie kilkaset prawosławnych ikon i rzeźb. Był to jeden z najcenniejszych prywatnych zbiorów dzieł sztuki sakralnej w rosyjskiej stolicy; niektóre ikony były unikatowe i mogły osiągnąć wysokie ceny, dlatego przez całą dobę strzegła ich prywatna firma ochroniarska. Jednak niedługo po zabójstwie Litwinienki Gołubiew zwierzył się przyjaciołom, że ktoś włamał się do budynku i ukradł cały zbiór. Był zdruzgotany, a jednocześnie przerażony. Powiedział, że sprawcy przeniknęli przez wszystkie poziomy zabezpieczeń i nie zostawili śladów. Jego zdaniem tylko jedna istota była zdolna do takiego wyczynu i tą istotą było państwo. Obawiał się, że włamanie było elementem rządowego programu zastraszania dysydentów.

W styczniu Gołubiew poleciał do Chin, żeby poddać się operacji kolana, jednak źle się poczuł i wrócił do Londynu wcześniej, niż zamierzał. Samolot miał międzylądowanie w Moskwie. Kiedy przez kilka dni po przyjeździe do Anglii nie odezwał się do nikogo ze znajomych, 7 stycznia jeden z nich dostał się do mieszkania w Mayfair i znalazł tam siedzącego w fotelu trupa.

W Londynie nie opadły jeszcze emocje po zabójstwie Litwinienki i śmierć kolejnego rosyjskiego uchodźcy wywołała pewne poruszenie, ale policja szybko umorzyła sprawę. Nazwiska

Gołubiewa nie było na liście osób chronionych przez Scotland Yard, zresztą nic nie świadczyło o tym, że ktoś pomógł mu umrzeć. Wyniki autopsji wskazywały na atak serca, więc policja ogłosiła, że były dyrektor Jukosu zmarł z przyczyn naturalnych. W odpowiedzi Moskwa wyprowadziła cios, który wszystkich kompletnie zaskoczył.

Prokurator generalny Federacji Rosyjskiej Jurij Czajka wydał oświadczenie, w którym stwierdził, że są „wszelkie podstawy, by sądzić", iż Gołubiew „zginął gwałtowną śmiercią", i wezwał brytyjskie władze do przeprowadzenia wnikliwego śledztwa. Żeby jeszcze bardziej zagmatwać intrygę, Czajka dodał, że według posiadanych przez Moskwę dowodów ktoś już próbował otruć rtęcią kilka osób związanych z Jukosem. Znawcy Rosji z MI6 nie byli tym zachwyceni. Poprosili kolegów z CIA, żeby podzielili się swoimi informacjami na temat ostatniego zgonu rosyjskiego dysydenta w Wielkiej Brytanii. I znów amerykański wywiad przekazał Brytyjczykom dane wywiadowcze, z których wynikało, że ślad prowadzi do Moskwy.

Scotland Yard oficjalnie odrzucił sugestię, że w śmierć Gołubiewa są zamieszane osoby trzecie, i wobec braku konkretnych dowodów utrzymał decyzję o umorzeniu śledztwa. Oficera ochrony to jednak nie uspokoiło. Zbyt wiele wiedział, by bezkrytycznie uwierzyć w oficjalną wersję, więc zdwoił czujność, obawiając się o bezpieczeństwo Bieriezowskiego.

Po śmierci Litwinienki oligarcha przez jakiś czas zachowywał się w miarę spokojnie, ale wiosną był już gotów przypuścić kolejną szarżę. Pewnego kwietniowego poranka zaraz po obudzeniu oficer ochrony dowiedział się, że jego podopieczny udzielił wywiadu, w którym po raz kolejny przyznał, że zamierza siłą obalić Putina. Powiedział dziennikarzowi „Guardiana", że nawiązał kontakty z przedstawicielami rosyjskiej elity rządzącej i finansuje tajne przygotowania do pałacowego zamachu stanu.

– Trzeba to zrobić siłą – stwierdził w wywiadzie. – Tego reżimu nie da się zmienić demokratycznymi metodami.

Kreml natychmiast odpowiedział ciosem na cios, oświadczając, że wzywanie do przewrotu jest przestępstwem kryminalnym i że w związku z tym Wielka Brytania powinna odebrać Bieriezowskiemu status uchodźcy. Scotland Yard zapowiedział, że

zbada te zarzuty, ale oligarcha się nie przejął – sędzia Workman już odrzucił wniosek o ekstradycję i Bieriezowski nie musiał się obawiać, że Rosjanie postawią go przed sądem.

Oficer ochrony był przerażony. Po ostatniej wypowiedzi Bieriezowskiego znów ruszyła lawina danych wywiadowczych, z których wynikało, że FSB szykuje kolejną próbę zamachu na życie niesfornego oligarchy. Nie były to bynajmniej czcze pogróżki. Wkrótce w Dowództwie Ochrony Specjalistycznej rozdzwonił się telefon: z Moskwy nadeszła pilna depesza z informacją, że zabójca jest już w drodze do Wielkiej Brytanii.

XIV

Moskwa, Londyn i Ejlat, czerwiec 2007 roku

Tym razem płatnym zabójcą był budzący postrach gangster, dobrze znany swojej niedoszłej ofierze. Mowładi Atłangierijew był ojcem chrzestnym mafii czeczeńskiej w Moskwie. Nazywano go „Lordem” lub – z jeszcze większym szacunkiem – „Leninem”. Zaczynał w latach siedemdziesiątych jako cwany czeczeński łobuziak ze słabością do zachodnich samochodów i talentem do włamań. W latach osiemdziesiątych dorobił się na ściąganiu haraczy z bogatych czeczeńskich studentów uczących się w Moskwie. Na przełomie dekad, po upadku komunizmu, przekonał bossów największych czeczeńskich grup przestępczych, które operowały w stolicy Rosji, by połączyli siły i utworzyli syndykat zbrodni pod jego przywództwem. W ten sposób został jednym z najpotężniejszych moskiewskich mafiosów.

Grupa lazańska[12], jak nazwano nową organizację przestępczą, wywalczyła władzę w mieście w serii krwawych potyczek z lokalnymi gangami. Zajmowała się ściąganiem haraczy, wymuszeniami, napadami rabunkowymi i zabójstwami na zlecenie. Jednakże Atłangierijew był eleganckim światowcem o mrocznej urodzie i rzutkim umyśle. Nosił dobrze skrojone garnitury i obracał się w kręgach rodzącej się właśnie w Rosji elity biznesowej. Szybko rozszerzył działalność gangu na moskiewskie stacje benzynowe i salony samochodowe. Wtedy właśnie nawiązał lukratywną współpracę z Bieriezowskim.

Matematyk i przedsiębiorca nieźle zarobił na sprzedaży ład w kontrolowanych przez mafię salonach, a gdy na początku lat dziewięćdziesiątych pojawiły się nowe możliwości, zapłacił gangowi za *kryszę* dla swojego rozrastającego się biznesu. Według jednej z wersji po nieudanym zamachu na Bieriezowskiego to właśnie grupa Atłangierijewa zabiła w akcie zemsty skonfliktowanego z oligarchą Siergieja „Sylwestra” Timofiejewa. Kiedy miliarder

zadarł z Putinem i uciekł do Anglii, czeczeński król zbrodni nadal utrzymywał z nim kontakty.

Atłangierijew dzwonił od czasu do czasu, żeby pogadać o interesach. W pewnym momencie przyjechał do Londynu, żeby złożyć Bieriezowskiemu i jego współpracownikom zdumiewającą propozycję. Kilka miesięcy przed śmiercią Litwinienki skontaktował się z Achmiedem Zakajewem.

– Znam go! – zawołał były oficer FSB, kiedy przyjaciel powiedział mu, kto do niego zadzwonił.

Litwinienko dobrze pamiętał czeczeńskiego gangstera z czasów pracy w wydziale walki z przestępczością zorganizowaną, kiedy to zajmował się między innymi werbowaniem kretów w podziemiu przestępczym. W połowie lat dziewięćdziesiątych mafia lazańska była już bardzo potężna i FSB zależało, żeby mieć w niej swojego człowieka. Litwinienko, jak zawsze pełen zapału, postanowił zacząć od samej góry. Kolaborowanie z organami państwa przynosiło liczne korzyści, wśród których warto wymienić chociażby bezkarność, więc Atłangierijew przyjął propozycję. Kluczową rolę w zwerbowaniu go do współpracy odegrał Litwinienko.

Urobienie ojca chrzestnego czeczeńskiej mafii było dużym wyczynem, ale w tamtych czasach Litwinienko wciąż jeszcze wierzył w uczciwość rosyjskich służb. Po stracie złudzeń z wielkim niepokojem obserwował z daleka poczynania swojego rekruta. Atłangierijew bardzo pomógł FSB w niszczeniu czeczeńskiego separatyzmu i zainstalowaniu w Groznym prokremlowskiego rządu. Jego gang był zamieszany w pewną liczbę ataków terrorystycznych i zabójstw w regionie. W uznaniu za zasługi Atłangierijew miał otrzymać kilka orderów i pistolet z grawerowaną dedykacją z rąk samego szefa FSB, generała Nikołaja Patruszewa.

– To człowiek FSB – poinformował Litwinienko Zakajewa.

Spotkanie z Atłangierijewem wiązało się z ogromnym ryzykiem, ale obaj przyjaciele uważali, że przywódca czeczeńskich separatystów powinien się na nie udać i je nagrać, żeby Litwinienko mógł dostarczyć swoim opiekunom z MI6 dowody na działalność FSB w Londynie. Były oficer rosyjskich służb miał osłaniać Zakajewa w czasie jego rozmowy z Atłangierijewem.

Zakajew umówił się z Czeczenem w hotelu Westbury w Mayfair. Przyszedł na miejsce przed czasem, żeby przygotować teren. Ściągnięci przez Litwinienkę specjaliści od ochrony sprawdzili tonący w półmroku Polo Bar pod kątem ewentualnych zagrożeń, umieścili urządzenie nagrywające pod stolikiem, przy którym miał usiąść Zakajew, i rozlokowali się na stanowiskach obserwacyjnych. Przywódca rebeliantów zajął pozycję i czekał. W swoim czasie uczestniczył w niejednej ryzykownej akcji, ale i tak czuł się jak w filmie szpiegowskim. Jeden z goryli siedział przy sąsiednim stoliku, inny udawał w kącie naprawiającego awarię elektryka. Litwinienko nie chciał powiedzieć, skąd wytrzasnął ekipę, ale Zakajew był gotów się założyć, że wypożyczył chłopaków z MI6.

W końcu czeczeński mafioso, elegancki jak zawsze, wszedł do baru. Choć był już po pięćdziesiątce, nadal wyglądał znakomicie; miał smagłą cerę i regularne rysy, a jego biała, świeżo wyprasowana koszula opinała szerokie ramiona pływaka. „Wygląda jak George Clooney", pomyślał Zakajew. Gangster od razu wyłożył karty na stół. Powiedział, że pracuje dla FSB i przywozi propozycję od samego generała Patruszewa. Jeśli przywódca rebeliantów zrezygnuje z atakowania Putina i wróci do ojczyzny, Rosjanie dadzą mu wysokie stanowisko rządowe.

– Jestem Czeczenem – podkreślił. – Możesz mi zaufać.

Zakajew był rozdarty. Zgodnie z czeczeńską tradycją, jeśli ktoś zaprasza cię w podróż, ma święty obowiązek zapewnić ci bezpieczeństwo; tylko w jakim celu FSB miałoby go ściągać z powrotem, jeśli nie po to, żeby go zabić albo porwać? Gdy przywódca czeczeńskich rebeliantów się nad tym zastawiał, zadzwonił telefon Atłangierijewa i król zbrodni poderwał się na równe nogi.

– Tak jest, panie generale. – Wysłannik FSB wyprężył się jak struna, zerkając spod oka na Zakajewa. – Właśnie z nim jestem.

„Spójrzcie tylko na niego", pomyślał Zakajew, obserwując, jak Atłangierijew płaszczy się przed rozmówcą. „Tak się boi, że stoi na baczność, chociaż tamten go nie widzi. Jaką gwarancję może mi dać, skoro sam jest taki przestraszony?"

– To pułapka – potwierdził obawy przyjaciela po skończonym spotkaniu Litwinienko. – Nie ufaj mu.

Ale w głębi duszy nie posiadał się z podniecenia: oto miał dowód, że FSB proponuje stanowisko w rządzie człowiekowi, którego Kreml publicznie nazywa czeczeńską wersją Osamy bin Ladena. Zakajew odmówił powrotu do Rosji i nagranie ze spotkania trafiło do rąk brytyjskich służb.

Kilkanaście miesięcy później, w czerwcu 2007 roku, Atłangierijew znowu wyruszył do Londynu. Według danych wywiadowczych MI6 tym razem miał zabić Bieriezowskiego. Sześć tygodni wcześniej brytyjskie służby dostały cynk o przygotowaniach do nowego zamachu na życie oligarchy, w których uczestniczył czeczeński gangster. Oficer ochrony poinstruował swojego podopiecznego, żeby pod żadnym pozorem nie spotykał się z Atłangierijewem. Informacje pochodziły z kilku niezależnych źródeł. Do Jurija Felsztinskiego zadzwonił jeden z jego czeczeńskich kontaktów i ostrzegł, że król zbrodni zamierza zlikwidować Bieriezowskiego. Oligarcha otrzymał również bezpośrednie ostrzeżenie od własnej wtyczki w FSB.

Brytyjskie służby monitorowały wszystkie poczynania Atłangierijewa. Kiedy kupił bilety do Londynu z międzylądowaniem w Wiedniu, oficer ochrony odebrał pilny telefon z MI5.

– Przylatuje na Heathrow – oznajmił głos w słuchawce. – Natychmiast wycofać cel.

Oficer ochrony popędził na Down Street, żeby powiedzieć Bieriezowskiemu, że musi niezwłocznie wyjechać z kraju, bo zabójca jest już w drodze do Anglii. Perspektywa przygody, jak zawsze, wprawiła oligarchę w wyśmienity humor. Teatralnym gestem otworzył drzwi gabinetu i wrzasnął do sekretarki:

– Przygotować samolot! Muszę pilnie wyjechać!

Bieriezowski poleciał do Izraela w towarzystwie młodego oficera Dowództwa Ochrony Specjalistycznej, który jeszcze niedawno szlifował chodniki i nie mógł uwierzyć, że tak wygląda jego nowa praca. Prywatny odrzutowiec wylądował na lotnisku Ben Guriona, gdzie oligarcha i jego ochrona przesiedli się do helikoptera, który zabrał ich do Ejlatu. W izraelskim kurorcie cumował wart dwieście milionów funtów jacht Bieriezowskiego, połyskujący jak płetwa rekina na turkusowych wodach Morza Czerwonego.

Na pokładzie jachtu nieopierzonego oficera przywitała seksowna hostessa. Zaprowadziła go do kabiny, gdzie na koi leżał smoking

dokładnie w jego rozmiarze. Był tam też komplet żeglarskich ciuchów – szorty, sandały, koszulki polo i czapeczka z daszkiem, wszystkie ozdobione nazwą jachtu, Thunder B. Łódź miała własny dział mody męskiej z ubraniami we wszystkich rozmiarach, żeby goście zawsze mogli się ubrać stosownie do okazji i pogody. Rozejrzawszy się dookoła z niedowierzaniem, młody gliniarz uznał, że skoro na tym ma polegać jego zadanie, to równie dobrze może wykonywać je w odpowiednim stroju. Wdział smoking oraz muszkę i wspiął się po schodkach na pokład.

Tymczasem w Londynie wydział walki z terroryzmem i Dowództwo Ochrony Specjalistycznej pracowały na najwyższych obrotach, przygotowując się na przybycie zabójcy. Jego głównym celem był Bieriezowski, ale z danych wywiadu wynikało, że Achmied Zakajew również jest w niebezpieczeństwie. Przed domem przywódcy czeczeńskich rebeliantów na Osier Crescent stanęli uzbrojeni policjanci. Funkcjonariusze przećwiczyli z rodziną plan ucieczki, na wypadek gdyby budynek został zaatakowany. Na sąsiednich ulicach rozlokowano zespoły inwigilacyjne, za rogiem czekały w pogotowiu silne oddziały uderzeniowe.

– Wystarczy, że jedno z was kichnie, i natychmiast będziecie tu mieli wojsko – zażartował oficer ochrony, ale Zakajew nawet się nie uśmiechnął.

Marina Litwinienko świętowała tamtego dnia urodziny, pierwsze od śmierci męża, i pod jej domem stanęła straż, by chronić gości, których zaprosiła na grilla.

Wiedząc, że potencjalne ofiary są bezpieczne, Scotland Yard mógł się pobawić z królem zbrodni w kotka i myszkę. Policjanci opracowali plan oparty na zasadzie „śledź i aresztuj”: jak najdłuższa inwigilacja, żeby zebrać możliwie dużo informacji o aktywności zabójcy na terenie Londynu, i aresztowanie dopiero wtedy, kiedy będzie się szykował do zadania śmiertelnego ciosu.

Zabójca nie podróżował sam; towarzyszył mu mały chłopiec, co bardzo przypominało *modus operandi* Andrieja Ługowoja, który lecąc do Londynu w celu zabicia Litwinienki, też zabrał ze sobą dla niepoznaki rodzinę. Policjanci mieli nadzieję, że jeśli okażą

cierpliwość, król zbrodni doprowadzi ich do tajnego składu polonu w sercu brytyjskiej stolicy.

– Będą mi potrzebne grupy pościgowe. Śmigłowce bojowe. Trzy zespoły inwigilacyjne, czyli sześćdziesięciu funkcjonariuszy w terenie – powiedział oficer ochrony komendantowi wydziału walki z terroryzmem. – Specjaliści od skażeń chemicznych, biologicznych, radiologicznych i jądrowych w pełnym rynsztunku do pobrania próbek z jego bagażu.

Szefowie policji zatwierdzili tę strategię, ale musieli jeszcze uzyskać błogosławieństwo rządu. Kiedy w rządowym pokoju COBRA spotkali się na naradę z ministrami i wysokimi urzędnikami resortów spraw wewnętrznych, spraw zagranicznych i gabinetu premiera, Atłangierijew siedział już w samolocie i leciał do Anglii. Czasu było niewiele. Mimo to plan, który przedstawili policjanci, napotkał opór. Gdyby wyszło na jaw, że policja chodzi po ulicach Londynu za agentem FSB, wybuchłby skandal, a rząd nie mógł sobie pozwolić na kolejny zatarg dyplomatyczny z Moskwą. Czy nie można po prostu zatrzymać zabójcy na granicy? Policjanci odparli, że Atłangierijew nie popełnił jeszcze w Wielkiej Brytanii żadnego zagrożonego aresztowaniem przestępstwa, a danych wywiadowczych, wskazujących na jego udział w spisku na życie Bieriezowskiego, nie można ujawnić bez spalenia źródeł i stanowisk nasłuchowych w Moskwie. Inwigilacja jest konieczna, bo tylko tak można zebrać dowody na to, że król zbrodni przyjechał do Wielkiej Brytanii w celu popełnienia zabójstwa. Bez tego nie można go aresztować.

Po burzliwych sporach dygnitarze zaakceptowali w końcu policyjną strategię, ale zastrzegli, że informacje o akcji nie mogą wyciec do mediów – nawet po jej zakończeniu. Jeśli uda się zatrzymać Atłangierijewa i dziennikarze zaczną zadawać pytania, oficjalne oświadczenie ma być lapidarne i niekonkretne. „Policja dokonała aresztowania. Kropka”. Poziom zagrożenia dla Bieriezowskiego został podniesiony z „poważnego” na „krytyczny”, co oznaczało, że w każdej chwili może nastąpić atak na jego życie.

Do wylądowania Atłangierijewa na Heathrow zostało parę godzin. Pospiesznie zorganizowano centrum sztabowe; dowodzący akcją oficerowie mieli koordynować stamtąd działania zespołów

inwigilacyjnych w terenie, specjalistycznych ekip szukających śladów promieniowania i uzbrojonych grup uderzeniowych, czekających w pogotowiu na rozkaz.

W pokoju nieopodal zespół oficerów z certyfikatami bezpieczeństwa monitorował dane wywiadowcze napływające na bieżąco z MI5 i MI6. W momencie wylądowania Atłangierijewa w Londynie do zadań zespołu doszło czytanie jego esemesów i nasłuch rozmów telefonicznych w czasie rzeczywistym. Te poufne informacje i przechwycone materiały zostały wyłączone z głównego łańcucha dowodów, bo inaczej trzeba by je było ujawnić podczas ewentualnego postępowania w sądzie, a to oznaczałoby spalenie źródeł i metod. Gdyby pojawiło się coś interesującego, co mogło wpłynąć na podejmowane decyzje, jeden z policjantów z komórki wywiadu miał przyjść do centrum dowodzenia i przekazać wiadomość dowódcy operacji.

Gdy sztab i komórka wywiadu były gotowe do działania, wokół lotniska rozlokowano zespoły inwigilacyjne i specjalistów od niebezpiecznych materiałów. Teraz pozostało jedynie skontaktować się z szefami ochrony Heathrow, żeby przygotować teren na przyjęcie króla zbrodni.

Samolot Atłangierijewa stał na płycie lotniska nieco dłużej niż zwykle. Czeczeński mafioso czekał razem z innymi pasażerami, nie wiedząc, że jego torba została wyciągnięta z luku bagażowego i jest właśnie przeszukiwana. Oficerowie w kombinezonach ochronnych pobierali z jego rzeczy próbki (wymazy) do analizy. Kiedy pasażerom pozwolono wreszcie wysiąść, Atłangierijew i towarzyszący mu chłopiec gładko przeszli przez odprawę paszportową, odebrali walizkę z karuzeli bagażowej i skierowali się do wyjścia dla osób niemających nic do oclenia. Wsiedli do czekającej przed budynkiem terminalu taksówki i odjechali.

Czarne londyńskie taksówki od dawna stanowiły tajną broń oficera ochrony. Większość mieszkańców stolicy nie domyślała się nawet, że Scotland Yard, służba bezpieczeństwa i wywiad posiadają własne floty takich wozów i wykorzystują je do specjalnych operacji. Były do tego stopnia wszechobecne na ulicach miasta, że stały się niemal niewidoczne; to najbardziej anonimowy środek

transportu, jakim można się poruszać po Londynie. Oficer ochrony woził taksówką Tony'ego Blaira, gdy służby wykryły aktywny spisek na jego życie, i jeździł z Salmanem Rushdiem, kiedy indyjsko-brytyjski pisarz ukrywał się przez dziesięć lat po wydaniu *Szatańskich wersetów*. Siadając na tylnej kanapie auta, człowiek natychmiast znikał, nawet jeśli był najwyższej rangi dygnitarzem lub popularnym celebrytą. Podstawiona w odpowiednim momencie taksówka zapewniała również bezpośredni kontakt z figurantem.

Atłangierijew podał adres hotelu Hilton przy Park Lane i rozsiadł się wygodnie na obitym skórą fotelu, nie zdając sobie sprawy, że właśnie poinformował Scotland Yard, gdzie się zamierza zatrzymać. Po dotarciu na miejsce płatny zabójca i jego młodziutki towarzysz weszli przez obrotowe drzwi do podświetlonego na niebiesko drapacza chmur. Po chwili do centrum dowodzenia wbiegł oficer z komórki wywiadu. Atłangierijew zadzwonił do Bieriezowskiego.

Kiedy na pokładzie Thunder B rozległ się dzwonek telefonu, oligarcha wiedział, co ma zrobić. Następnego ranka po jego pospiesznej ucieczce z Londynu do Ejlatu przylecieli trzej oficerowie brytyjskich służb specjalnych. Z nieba lał się żar, Anglicy wyglądali cokolwiek nieświeżo w przepoconych szortach i T-shirtach, odrzucili jednak propozycję oligarchy, żeby skorzystali z garderoby dla gości. Nie są tu na wakacjach, przyjechali pomówić o poważnych sprawach. Usiedli z Bieriezowskim przy stole w zacienionej części dolnego pokładu i powiedzieli mu, że musi pomóc Scotland Yardowi kupić trochę czasu. Gdyby Atłangierijew zorientował się, że jego cel jest poza zasięgiem, mógłby przerwać misję i wrócić do Rosji, zanim służby zdążą się czegokolwiek dowiedzieć. Więc kiedy zabójca zadzwoni, oligarcha ma być dla niego miły i obiecać, że za kilka dni będą mogli się spotkać.

Bieriezowski nie miał zwyczaju wypełniać cudzych poleceń, ale podobała mu się rola głównego bohatera prawdziwej operacji przeciwko agentowi wroga, kiedy więc zadzwonił Atłangierijew, postąpił zgodnie z instrukcją. Następnie połączył się z sekretariatem swojego biura i ostrzegł, że na Down Street może się pojawić zabójca; jeśli ktoś będzie o niego pytał, należy odpowiedzieć, że szef jest bardzo zajęty. Teraz pozostawało już tylko czekać. W czasie gdy służby śledziły po Londynie króla zbrodni, oligarcha spędził kilka

przyjemnych dni na jachcie, zażywając kąpieli, nurkując z akwalungiem i śmigając na skuterze wodnym.

Prowadzący inwigilację oficerowie Scotland Yardu ze zdziwieniem zorientowali się, że zwiedzają Londyn. Liczyli na to, że figurant doprowadzi ich do centrum operacyjnego FSB w sercu brytyjskiej stolicy albo do składu substancji radioaktywnych, ale po odbyciu rozmowy telefonicznej z Bieriezowskim zabójca zachowywał się jak zwyczajny turysta, który pokazuje dziecku miasto. Czeczeński król zbrodni i jego mały towarzysz kręcili się po Trafalgar Square i wokół pałacu Buckingham, specjaliści od niebezpiecznych materiałów deptali im po piętach, szukając śladów trucizny albo promieniowania – ale wszystkie wyniki pomiarów były negatywne.

Policjanci przyjęli założenie, że kiedy Atłangierijew rozdzieli się z chłopcem, będzie to znak, że przygotowuje się do uderzenia. Czekali, ale goście z Rosji kontynuowali zwiedzanie miasta. Oficer ochrony zaczynał się niecierpliwić. Bieriezowski był zajętym człowiekiem, nie mógł bez końca siedzieć w Ejlacie. Wreszcie zespół inwigilacyjny zameldował, że płatny zabójca wyszedł z hotelu sam.

– Teraz! – zawołał dowódca operacji.

Atłangierijew nie zachowywał się już jak zwyczajny turysta, teraz ewidentnie pilnował, czy ktoś go nie śledzi. Stosował podręcznikowe metody antyobserwacyjne: wybierał okrężne trasy, często zawracał, wielokrotnie zmieniał środki transportu, żeby zgubić ogon. Oficerom z zespołu obserwacyjnego z najwyższym trudem udawało się utrzymać go na oku, kiedy odwiedzał kolejne adresy, a oni nie mogli wejść za nim do środka. Informacje od komórki wywiadu sugerowały, że figurant zamierza dokonać zakupu broni.

– Musimy ściągnąć Bieriezowskiego z jachtu – zadecydował oficer dowodzący.

Scotland Yard skontaktował się z funkcjonariuszami na pokładzie Thunder B i kazał im przygotować oligarchę na wielką chwilę. Nadszedł czas, żeby zadzwonił do swojego potencjalnego zabójcy i zaproponował mu spotkanie.

Wieczorem trzech policjantów w cywilu zajęło pozycje w lobby biura na Down Street. Recepcjonistki z pierwszego piętra poproszono o pozostanie po godzinach i uprzejme powitanie

zabójcy, kiedy się wreszcie zjawi. Mijały godziny, ale nikt nie przychodził. W końcu zaniepokojone dziewczyny zadzwoniły na dół do starego konsjerża z głównej recepcji i zapytały, czy ktoś się dowiadywał o pana Bieriezowskiego.

– Tak – drżącym głosem odparł staruszek. – Przed chwilą przyszedł jeden dżentelmen, a teraz jest z nim trzech innych panów.

– I co ci panowie robią? – spytała recepcjonistka.

– Panowie rozmawiają – poinformował ją konsjerż. – Trzech dżentelmenów stoi, a jeden leży na ziemi.

Kiedy Atłangierijew wszedł do lobby, dwóch policjantów rzuciło się na niego przed wejściem do windy i przygwoździło go do ziemi. Trzeci machnął odznaką przed nosem konsjerża. Płatny zabójca został zatrzymany w związku z podejrzeniem o współudział w planowaniu morderstwa. Przewieziono go do policyjnego aresztu, gdzie przez dwa dni był przesłuchiwany. Dziecko, z którym podróżował, trafiło pod opiekę pracowników opieki społecznej.

A potem z góry przyszedł rozkaz, żeby wypuścić Atłangierijewa, nie stawiając mu żadnych zarzutów. Policjanci usłyszeli, że oskarżenie i tak nie utrzymałoby się w sądzie bez ujawnienia danych wywiadowczych, a to oznaczałoby spalenie cennych źródeł w Moskwie. Poza tym publiczne oskarżenie Kremla o zlecenie zabójstwa kolejnego dysydenta niedługo po śmierci Litwinienki spowodowałoby katastrofę w stosunkach Wielkiej Brytanii z Rosją. Króla zbrodni przekazano więc służbom imigracyjnym, które uznały go za *persona non grata* i odesłały pierwszym samolotem do Moskwy. Co jak zapewnili swoich podwładnych szefowie Scotland Yardu, w języku dyplomacji stanowiło bardzo poważny prztyczek w nos.

W Scotland Yardzie decyzja deportowania niedoszłego zabójcy bez postawienia mu zarzutów nie wywołała powszechnego entuzjazmu. Nie wszyscy jednak byli równie niezadowoleni. Oficer ochrony pocieszał się, że wprawdzie FSB zlikwidowało na brytyjskiej ziemi jednego dysydenta, ale policji udało się udaremnić kolejną próbę. Jego zdaniem wynik był remisowy. Zadzwonił do Bieriezowskiego i powiedział mu, że może bezpiecznie wracać do kraju.

Tymczasem dziennikarze dowiedzieli się o dramatycznym aresztowaniu w Mayfair i zaczęli zasypywać Scotland Yard

pytaniami. Policyjne biuro prasowe wydało enigmatyczne oświadczenie, zgodne z życzeniami rządu. Nawet Bieriezowski po powrocie z Ejlatu milczał jak grób. Uświadomiono mu, że jeśli zawstydzi Rosję z powodu nieudanego zamachu, jego życie będzie jeszcze mniej warte niż dotąd.

– Niech się pan gdzieś przyczai i nie wychyla – nakazał mu surowo oficer ochrony.

Wkrótce po tej rozmowie oligarcha zwołał w centrum Londynu konferencję prasową i oznajmił przybyłym tłumnie dziennikarzom, że Scotland Yard właśnie udaremnił próbę zabicia go na zlecenie Kremla.

– Uważam, że za spiskiem na moje życie stoją ci sami ludzie, co za otruciem Aleksandra Litwinienki – powiedział. – A właściwie nie ludzie, tylko Putin we własnej osobie.

Bieriezowski powstrzymał się od ujawnienia, kim był niedoszły zabójca i w jaki sposób służby pokrzyżowały mu plany, ale wyjaśnił przyjaciołom, że wyjawił informację o próbie zamachu dla własnego bezpieczeństwa. Powiedział, że pilnowanie tajemnic państwowych jest niebezpieczną grą; lepiej, żeby cały świat poznał prawdę. Zresztą nie należał do ludzi, którzy odpuściliby sobie dramatyczną konferencję prasową.

Oficer ochrony wpadł w furię.

– Zerżnęli nas w dupę! – wrzasnął do oficera łącznikowego z MI5, odpowiedzialnego za monitorowanie poziomu zagrożenia Bieriezowskiego.

Miał nieodparte wrażenie, że on i jego koledzy mimo woli stali się pionkami w rozgrywanej przez oligarchę partii szachów.

Pół roku po pamiętnej konferencji prasowej Scotland Yard dowiedział się, jaki los spotkał Atłangierijewa po powrocie do Moskwy. Pewnego mroźnego zimowego wieczoru, gdy mafioso wyszedł z tradycyjnej czeczeńskiej restauracji w centrum stolicy, na chodniku czekało na niego dwóch mężczyzn. Wepchnęli go do samochodu i odjechali. Niedoszły zabójca Bieriezowskiego został wywieziony do lasu i zastrzelony z przyłożenia.

Londyn, październik 2007 roku

Po udaremnionym zamachu Bieriezowskiego dosłownie roznosiła złośliwa satysfakcja. Ze świeżą energią zaczął szykować się do nowej bitwy. Tym razem oligarcha wpadł na pomysł wytoczenia w Wielkiej Brytanii sprawy swojemu staremu wrogowi, Romanowi Abramowiczowi. Zamierzał udowodnić przed sądem, że w 2001 roku został zmuszony do sprzedania z ogromną stratą swoich udziałów w Sibniefcie i telewizji Pierwyj Kanał, ponieważ Kreml postanowił zniszczyć jego imperium biznesowe. Bieriezowski złożył w Royal Courts of Justice w Londynie pozew o wielomiliardowe odszkodowanie, jednak postępowanie w sądzie nie mogło się rozpocząć, dopóki Abramowicz nie otrzyma pozwu. Bieriezowski przez kilka miesięcy bezskutecznie tropił nieprzyjaciela, usiłując wręczyć mu dokumenty. W październiku wreszcie szczęście się do niego uśmiechnęło.

Abramowicz kupił pierwszoligowy klub piłkarski Chelsea FC i porzuciwszy żonę dla dwudziestopięcioletniej supermodelki, coraz częściej bywał w Londynie. Panowie natknęli się na siebie na słynnej z luksusowych sklepów Sloane Street. Wychodząc z Dolce & Gabbana, Bieriezowski kątem oka dostrzegł czterdziestoletniego biznesmena, który w obstawie trzech goryli wchodził do butiku Hermès dwie przecznice dalej. Oligarcha posłał ochroniarza po dokumenty, które od kilku miesięcy na taką właśnie okazję woził w pancernym maybachu, i z papierami w dłoni popędził do Hermèsa. W drzwiach zastąpili mu drogę ochroniarze Abramowicza i między dwoma ekipami goryli wywiązała się drobna przepychanka. Bieriezowski wykorzystał zamieszanie i wdarł się do środka.

– Mam dla ciebie prezent – obwieścił triumfalnie.

Rzucił papiery Abramowiczowi, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Następnie obdzwonił wszystkich znajomych dziennikarzy, chwaląc się swoim zwycięstwem.

– Przypominało to scenę z *Ojca chrzestnego* – powiedział jednemu z reporterów.

Nagranie ze sklepowego monitoringu potwierdziło, że Abramowicz otrzymał pozew, i wkrótce rozpoczęła się wielka batalia sądowa dwóch miliarderów. W toku ciągnącego się ponad cztery lata postępowania wypłynęły na światło dzienne porażające

szczegóły kryminalnych początków rosyjskiego kapitalizmu w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Bieriezowski wykorzystał też sąd jako platformę do kolejnych ataków na Kreml.

Dwa sukcesy odniesione w krótkim czasie – wystrychnięcie na dudka nasłanego przez FSB zabójcy i zaciągnięcie do sądu Abramowicza wprawiły oligarchę w stan graniczącej z manią ekscytacji. Niemniej jednak nieudana próba zamachu uświadomiła Bieriezowskiemu, że powinien wydać kilka rozporządzeń na wypadek swojej śmierci. Jak zwykle w takich sprawach zwrócił się o pomoc do Badriego.

– Nie żebym się bardzo bał – powiedział wspólnikowi – ale chciałbym omówić z tobą to i owo, na wypadek gdyby coś mi się stało.

Kiedy Patarkaciszwili zapewnił, że chętnie go wysłucha, Bieriezowski wyrecytował długą litanię zobowiązań, które trzeba będzie uregulować, jeśli następnym razem asom Scotland Yardu nie uda się przechytrzyć mordercy. Mówiąc w skrócie, była to lista obietnic, które złożył oszałamiającej liczbie swoich kochanek. Tej młodej kobiecie należy opłacić studia, tamta dziewczyna nie ma gdzie mieszkać w Moskwie i potrzebuje pomocy w znalezieniu dachu nad głową. Po półgodzinie słuchania Patarkaciszwili wybuchnął gromkim śmiechem.

– Bądź tak uprzejmy, Borisie – powiedział – i pozwól mi umrzeć przed tobą.

XV

Londyn, hrabstwo Surrey i Tbilisi, listopad 2007 roku

Badri Patarkaciszwili właściwie nigdy nie zadomowił się w Anglii. Sporą część roku spędzał w hrabstwie Surrey, żeby być blisko Bieriezowskiego, i chociaż w swojej imponującej Downiside Manor pławił się w przepychu i luksUSAch, z jakiegoś powodu Wielka Brytania sprawiała, że czuł się mały. Oczywiście nie pomagało, że nie opanował biegle języka i nie był w stanie korzystać z brytyjskiej kultury w takim stopniu jak jego wspólnik. Potrzebował tłumacza, żeby komunikować się z armią brytyjskich prawników, finansistów i fikserów, którzy dla niego pracowali. Ale było coś jeszcze. Anglicy generalnie nie zdawali sobie sprawy, jakim jest ważnym człowiekiem. Patarkaciszwili nie łaknął medialnego rozgłosu i pasowało mu, że to jego partner skupia na sobie uwagę dziennikarzy, ale lubił, kiedy odnoszono się do niego z czcią i szacunkiem należnymi multimiliarderowi.

W Gruzji było zupełnie inaczej. Wąsaty oligarcha był najbogatszym człowiekiem w swojej ojczyźnie. Jego osobisty majątek przewyższał budżet ubogiego państwa, i to do tego stopnia, że Patarkaciszwili miał prawo uważać Tbilisi za swoje prywatne miasto. Był właścicielem tamtejszego klubu piłkarskiego, drużyny koszykówki, parku tematycznego i cyrku. Zbudował zapierające dech w piersiach centrum handlowe w sercu stolicy i ogromny ośrodek wypoczynkowy nad Morzem Czarnym. Założył ogólnokrajową sieć radiowo-telewizyjną, której nazwa, Imedi, po gruzińsku oznacza nadzieję.

Ludzie przychodzili do niego ze swoimi problemami, a on, jak dobry wujaszek w futrzanej czapce, załatwiał je machnięciem książeczki czekowej. Gdy władzom zbrakło pieniędzy, żeby zapłacić za gaz i prąd, dwa razy uregulował cały rachunek Tbilisi za energię. Finansował projekty charytatywne, szkoły, a nawet zubożały

monastyr. A kiedy w 2004 roku Gruzińskiemu Komitetowi Olimpijskiemu skończyły się pieniądze, został jego prezesem i z własnej kieszeni zapłacił za wyjazd sportowców na olimpiadę w Atenach.

Patarkaciszwili, biznesmen z krwi i kości, uważał wojnę Bieriezowskiego z Kremlem za zagrożenie dla wspólnych inwestycji na Zachodzie. Z tego powodu trzymał się z dala od jego politycznego teatru, skupiając się na zarządzaniu pieniędzmi. Był jednak pewien ważny wyjątek. Zrównoważony zazwyczaj oligarcha tracił zimną krew, kiedy chodziło o jego ojczyznę. Lubił myśleć o sobie, że jest mężem opatrznościowym Gruzji. Być może właśnie dlatego, gdy w 2003 roku kraj zalała fala protestów przeciwko popieranemu przez Kreml skorumpowanemu rządowi, przerwał polityczną abstynencję i zaczął finansować opozycję.

Niepokoje i protesty eskalowały w rewolucję róż, która obaliła reżim i wyniosła do władzy wspieranego przez Stany Zjednoczone Micheila Saakaszwilego. Nowy prezydent zyskał sobie sympatię rodaków obietnicami wprowadzenia Gruzji do NATO i Unii Europejskiej. Rewolucja róż, pierwsza z serii „kolorowych rewolucji", które przetoczyły się przez kraje byłego Związku Radzieckiego, rozwścieczyła Putina, utwierdzając go w przekonaniu, że Patarkaciszwili jest wrogiem Kremla. Na dodatek stosunki oligarchy z nowym prezydentem szybko się zepsuły. Saakaszwili przeprowadził serię reform, które zagroziły niemal monopolistycznej pozycji Patarkaciszwilego w życiu gospodarczym kraju. W odwecie wspólnik Bieriezowskiego zaczął atakować nową administrację za pośrednictwem swojego koncernu medialnego.

Nie trzeba było długo czekać, by nowa władza również splamiła sobie ręce korupcją i łamaniem praw człowieka. W 2006 roku wybuchła w Gruzji kolejna fala protestów. Patarkaciszwili miał już wówczas serdecznie dosyć prowadzenia interesów w utrudnionych warunkach, pod lawiną nakazów aresztowania i zamrożenia aktywów wydawanych przez zagraniczne sądy wskutek nacisków moskiewskiej prokuratury, która próbowała położyć rękę na pieniądzach przywłaszczonych w latach dziewięćdziesiątych przez Borisa i Badriego. Zastanawiał się, jak doprowadzić do pojednania

z Kremlem, i w końcu wpadł na genialny, jak mu się wydawało, pomysł.

Koniecznie trzeba było udobruchać Putina, a Patarkaciszwili uświadomił sobie, że właśnie w Gruzji mają zbieżne interesy. Może gdyby włożyć w obecne protesty odpowiednio dużo gotówki, udałoby się wywołać kolejne powstanie, obalić proamerykańskiego prezydenta i odkręcić rewolucję róż. Putin na pewno ucieszyłby się z prezentu w postaci pozbycia się wspieranego przez USA rządu w Tbilisi. Czy to wystarczy, żeby uzyskać jego przychylność?

Patarkaciszwili i Bieriezowski ogłosili już publicznie, że planują zakończyć współpracę. Prywatnie wyjaśnili przyjaciołom, że to ściema, która ma na celu ochronę ich wspólnych interesów i stworzenie kordonu sanitarnego wokół działalności politycznej Bieriezowskiego. Patarkaciszwili mógł więc zabiegać o sympatię Kremla jako niezależny przedsiębiorca. Istniała szansa, że zdoła przekonać prezydenta Rosji, by przestał utrudniać im życie w zamian za obalenie Saakaszwilego. Boris, jeśli zechce, będzie mógł dalej drażnić Putina, ale już wyłącznie na własny rachunek.

Bieriezowski podchwycił pomysł, uzupełniając go owocem własnej błyskotliwej inteligencji. A może po obaleniu Saakaszwilego Patarkaciszwili wystartowałby osobiście w wyborach prezydenckich? Jeśli wygra, będzie kontrolował cały kraj tuż pod nosem Putina. Ku zaskoczeniu oligarchy wspólnik się zgodził i późną wiosną 2006 roku Boris, Badri oraz dwóch zaufanych doradców usiedli razem i napisali list do Putina. Pismo, noszące podpis Patarkaciszwilego, składało się z zapewnienia o dobrej woli i uwagi, że obalenie Saakaszwilego leżałoby w obopólnym interesie. Gruziński oligarcha wysłał je do Moskwy i przystąpił do organizowania kampanii przeciwko rządowi w Tbilisi.

Przekształcenie wybuchów niezadowolenia w pełnowymiarową rewolucję zajęło półtora roku. Gruziński oligarcha finansował dziesięć ugrupowań opozycyjnych, które prowadziły coraz ostrzejszą kampanię przeciwko administracji urzędującego prezydenta. Również we własnym imieniu coraz ostrzej atakował Saakaszwilego, nazywając go faszystą. Kontrolowana przez Patarkaciszwilego telewizja zajadle krytykowała obecny rząd. W listopadzie 2007 roku

kilkadziesiąt tysięcy osób wyległo na ulice Tbilisi, żeby domagać się ustąpienia prezydenta.

Przez pięć dni policja walczyła z demonstrantami, używając gazu łzawiącego i armatek wodnych; w wyniku obrażeń ponad pięćset osób trafiło do szpitala. Następnie władze zrobiły nalot na studio telewizji Imedi i odłączyły antenę. Saakaszwili wprowadził na dwa tygodnie stan nadzwyczajny i oskarżył Patarkaciszwilego o podżeganie do zamieszek i działanie na rzecz Rosji, ale jednocześnie, dla uspokojenia nastrojów, zapowiedział przyspieszone wybory prezydenckie w styczniu. Kiedy gruzińska prokuratura poinformowała, że poszukuje Patarkaciszwilego pod zarzutem próby wywołania zamachu stanu, oligarcha uciekł do Anglii i zaszył się w Downside Manor. Dwa dni później, 10 listopada, ogłosił, że zamierza ubiegać się o fotel prezydenta.

Przyjaciel i były partner Bieriezowskiego rozpoczął kampanię wyborczą od obietnicy, że z własnej kieszeni wyłoży miliard dolarów, by przeobrazić Gruzję w kraj mlekiem i miodem płynący. Pieniądze zostaną przeznaczone na podniesienie płacy minimalnej, zwiększenie emerytur, refundowanie obywatelom przez półtora roku opłat za media oraz wykupienie całego urodzaju cytrusów i winogron.

Amerykańscy dyplomaci w Tbilisi z najwyższym niepokojem obserwowali poczynania Patarkaciszwilego. Wiedzieli, że gruzińską opozycję infiltrują agenci rosyjskich służb, którzy chcą zdestabilizować proamerykańską administrację Saakaszwilego, i podejrzewali, że nowy kandydat, przez większość znajomych postrzegany jako dobroduszny *bon vivant*, ma również swoją „mroczną stronę”. Ambasador Stanów Zjednoczonych napisał w poufnej depeszy do Waszyngtonu, że chociaż Patarkaciszwili od dawna jest „wykonawcą” woli Bieriezowskiego, to jednak utrzymuje również niepokojąco bliskie relacje z „bardzo nieprzyjemnymi” ludźmi FSB, w tym z Andriejem Ługowojem. „Uważa się, że mimo różnic zdań z rządem FR Patarkaciszwili ma powiązania z rosyjskim wywiadem”.

Patarkaciszwili rzeczywiście utrzymywał żywe kontakty z ludźmi rosyjskich służb i bynajmniej tego nie ukrywał. Mawiał, że dobrze jest mieć na oku swoich wrogów, ale nikomu nie opowiadał, o czym

rozmawia z agentami FSB podczas częstych spotkań w Londynie i Tbilisi. Pozostaje tajemnicą, czy i w jakim zakresie konsultował swoją działalność w Gruzji z przedstawicielami rosyjskiej machiny państwowej. Tak czy inaczej, gruzińska kampania prezydencka wkrótce skręciła w złą stronę.

Najpierw były minister obrony oskarżył publicznie urzędującego prezydenta o zlecenie zabójstwa Patarkaciszwilego, po czym dwa dni później został aresztowany pod zarzutem korupcji. Następnie Achmied Zakajew wszedł w posiadanie nagrania, na którym słychać, jak wysoki rangą pracownik gruzińskiej służby bezpieczeństwa poleca pewnemu czeczeńskiemu watażce zlikwidować oligarchę: ma go zamordować w Londynie albo zestrzelić z bazooki jego samolot, kiedy będzie lądował w Tbilisi. „Poradzimy sobie, choćby go pilnowała setka ochroniarzy", stwierdził funkcjonariusz bezpieki. „Rozwalimy obstawę".

Watażka nie tylko odmówił, lecz także nagrał rozmowę i przekazał taśmę Zakajewowi. Lord Bell pomógł wykorzystać materiał do maksimum, zanosząc dowód brutalnych metod Saakaszwilego do londyńskiego „Timesa". Niebawem jednak również kampania Patarkaciszwilego rozbiła się o skandal. Okazało się, że gruziński oligarcha także rozważał zabójstwo.

Pod koniec grudnia do Patarkaciszwilego zgłosił się wysoki funkcjonariusz gruzińskiej policji, który zaoferował pomoc w obaleniu rządu. Panowie spotkali się w Londynie i rozmawiali o zamordowaniu ministra spraw wewnętrznych; miał to być element szerszej, skomplikowanej intrygi, obliczonej na wywołanie zamieszek w przededniu wyborów. Rzecz w tym, że policjant został podstawiony przez władze i wyposażony w mikrofon. Była to klasyczna prowokacja służb, a Patarkaciszwili dał się złapać na gorącym uczynku. W wigilię Bożego Narodzenia ludzie urzędującego prezydenta ujawnili kompromitujące nagranie, i to przesądziło o wyniku wyborów.

Dwa tygodnie później Patarkaciszwili poniósł druzgocącą porażkę, otrzymując zaledwie siedem procent głosów. Saakaszwili bez trudu zachował stanowisko prezydenta. Znany z trzeźwego podejścia do życia oligarcha tym razem czuł się nie tylko upokorzony, lecz także przerażony. Plan obalenia Saakaszwilego

przyniósł skutek odwrotny od zamierzonego. Nie dość, że już nigdy nie będzie mógł wrócić do ukochanej Gruzji, to jeszcze pozbawił się atutu w negocjacjach z Putinem. Utknął na dobre w Wielkiej Brytanii i wyznał przyjaciołom, że jego dni są policzone. Zaszył się w Downside Manor i przez kilka tygodni nie opuszczał rezydencji, której pilnowało stu dwudziestu ochroniarzy.

Na początku lutego Patarkaciszwili zaczął stopniowo wracać do siebie. Dwunastego lutego pojechał do Londynu na spotkanie z prawnikiem, który miał mu pomóc w ratowaniu gruzińskich aktywów. Oligarcha jak zwykle sięgnął po towar z najwyższej półki. Adwokatem, który przyjął go w wytwornej kancelarii w londyńskim City, był sam lord Peter Goldsmith, były prokurator generalny Tony'ego Blaira. Konsultacja przeobraziła się w spotkanie starych znajomych: swoją pomoc zaofiarowali Julij Dubow i Nikołaj Głuszkow, a także Bieriezowski i lord Bell. Narada trwała ponad pięć godzin.

Patarkaciszwili wydawał się pełen energii i zaangażowania, ale po paru godzinach zaczął narzekać, że kiepsko się czuje i musi wyjść na dwór, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Po skończonym spotkaniu panowie stali na chodniku przed kancelarią i czekali na swoje samochody, żartując, że szkoda, że nie widzi ich nikt z FSB: wszyscy najwięksi wrogowie Kremla w jednym miejscu.

Patarkaciszwili i Bieriezowski pojechali na Down Street, by porozmawiać jeszcze przez chwilę w cztery oczy. Potem gruziński oligarcha wsiadł do swojego maybacha za sześćset tysięcy dolarów i wrócił do Downside Manor. Zjadł kolację z żoną Inną, ale po posiłku znów źle się poczuł, więc poszedł na górę i położył się spać.

Wiadomość dotarła do Bieriezowskiego tuż po północy. Badri Patarkaciszwili nie żył. O dwudziestej trzeciej znaleziono go bez oznak życia w sypialni. Reanimacja nie przyniosła rezultatu. Bieriezowski wsiadł w samochód i popędził przez Surrey do Downside Manor. Kiedy dotarł na miejsce, rezydencję otaczał kordon policji, a specjaliści sprawdzali dom pod kątem promieniowania radioaktywnego. Policja nie wpuściła oligarchy do środka. O trzeciej nad ranem lord Bell odebrał telefon od zrozpaczonego klienta.

– Załatwili Badriego – wyszlochał do słuchawki Bieriezowski.

Policja hrabstwa Surrey początkowo poinformowała, że podejrzewa udział osób trzecich, ale szybko zmieniła zdanie i ogłosiła, że według raportu z sekcji zwłok „nic nie wskazuje”, by śmierć otyłego pięćdziesięciodwulatka nie nastąpiła z przyczyn naturalnych. „Po przeprowadzeniu wszechstronnych badań toksykologicznych” prowadzący śledztwo doszli do wniosku, że Patarkaciszwili, podobnie jak Gołubiew, zmarł na atak serca. Tak samo brzmiało wydane później orzeczenie koronera.

Jednak brytyjscy szpiedzy mieli wątpliwości. To prawda, że Patarkaciszwili był w słabej kondycji i prowadził niezdrowy tryb życia, hołdował tłustej gruzińskiej kuchni, pił mnóstwo alkoholu i od rana do wieczora kopcił jak smok. Nikt nie przeczył, że zapracował sobie na zawał. Z drugiej strony już wcześniej kilka razy usiłowano go zabić, a specjaliści z rosyjskiej sekcji MI6 wiedzieli, że wrogowie oligarchy doskonale potrafią upozorować naturalną śmierć.

Kiedy Brytyjczycy poprosili o pomoc CIA, amerykańscy koledzy potwierdzili, że ich zdaniem Patarkaciszwili mógł zostać otruty. Nie umieli powiedzieć, kto był zleceniodawcą zabójstwa – władze Rosji, Gruzji czy może jakaś organizacja przestępcza – ale z posiadanych przez nich informacji wynikało, że był to kolejny mord polityczny w Wielkiej Brytanii. Mimo to, wobec braku dowodów kryminalistycznych i śladów trucizny w organizmie ofiary, policja nie wznowiła śledztwa.

Bieriezowski odchodził od zmysłów.

– Po części to moja wina! – Rwał sobie włosy z głowy. – To ja wciągnąłem go na siłę w politykę.

Kazał powiesić w swoim gabinecie powiększone czarno-białe zdjęcie zmarłego przyjaciela. Godzinami się w nie wpatrywał, wznosząc toasty stuletnim koniakiem, który dostał od Badriego, i paląc jego ulubione papierosy, Parliament 100. Rozmawiali ze sobą niemal codziennie przez prawie dwadzieścia lat i Boris mawiał, że oprócz własnej matki nikogo nie kochał bardziej od Badriego.

Ale kiedy po śmierci Patarkaciszwilego przyjaciele i rodzina zaczęli zagłębiać się w jego sprawy, odkryli sekretny świat, którego istnienia nie podejrzewali.

Pierwszy szok wywołało odkrycie, że Patarkaciszwili od dawna wiódł podwójne życie. Z żoną Inną, którą poślubił trzydzieści lat wcześniej w Tbilisi, Badri dochował się dwóch córek i trojga wnucząt. Jednak wkrótce po jego śmierci pojawiła się druga kobieta, z którą ożenił się w 1997 roku w Petersburgu. Miał z nią czternastoletniego syna. Druga żona oligarchy i jej dziecko domagali się swojej części spadku.

Drugi szok spowodowała konstatacja, że oligarcha nie zostawił testamentu ani żadnych instrukcji co do podziału fortuny pomiędzy spadkobierców. Bieriezowski utrzymywał, że on i Badri zawsze mieli wszystko wspólne, więc jest właścicielem połowy majątku. Rodzina zmarłego uznała jednak, że skoro wspólnicy oficjalnie się rozeszli, Bieriezowskiemu nic się nie należy. Oligarcha twierdził stanowczo, że „rozwód” był lipny i *de facto* zachowali współwłasność, ale umowa została potwierdzona jedynie uściskiem dłoni i nie zostawiła śladu w dokumentach.

Patarkaciszwili od lat załatwiał wszystkie praktyczne sprawy Bieriezowskiego, dzięki czemu oligarcha, wolny od przyziemnych kłopotów, mógł bez przeszkód oddawać się politycznemu awanturnictwu. Po śmierci Badriego zapanował kompletny chaos. Prawnicy i doradcy, którzy próbowali rozeznać się w jego finansach, odkrywali kolejne pokłady firm wydmuszek powiązanych z podejrzanymi zagranicznymi fundacjami. Znacznej części rzekomych bogactw gruzińskiego oligarchy w ogóle nie udało się znaleźć. Prawie nic nie było zapisane na jego nazwisko.

Bieriezowski był zbulwersowany bałaganem, który pozostawił po sobie jego partner. Nigdy nie interesował się, jak są ustrukturyzowane ich wspólne przedsięwzięcia, dokąd trafiają zyski ani jak Badri zdobywa kontrakty. Obaj pierwszych dużych pieniędzy dorobili się w czasach Związku Radzieckiego, kiedy władze tępiły inicjatywę prywatną i mądrzej było nie powierzać niczego papierowi. Umowy były regulowane przez odwieczne prawa honoru i przemocy – domaganie się pisemnego potwierdzenia uchodziło za grubiaństwo i obrazę.

Tymczasem, jak się okazało, Patarkaciszwili powierzył jednak to i owo papierowi, tyle że nie informując o tym swojego partnera. Gruziński oligarcha poprzepisywał duże segmenty wspólnego, jak

uważał Bieriezowski, majątku na przyjaciół z dzieciństwa, znajomych i dalekich krewnych. W ręce kuzyna Badriego, biznesmena z Tbilisi, posługującego się nazwiskiem Joseph Kay, dostały się perły biznesowego imperium o łącznej wartości kilkuset milionów funtów, w tym Fisher Island – wysepka w obrębie Miami, gdzie miały swoje domy Oprah Winfrey i Julia Roberts – nowojorska gałąź franczyzy Buddha-Bar i luksusowe ośrodki wypoczynkowe w Hiszpanii i Maroku.

Oprócz tego była sprawa pieniędzy ulokowanych w New World Value Fund, stworzonym do odbierania wpłat od Abramowicza, oraz cała masa zagranicznych trustów i funduszy, za których pomocą panowie wyprowadzali swoją fortunę z Rosji. Znaczną część tych zasobów Patarkaciszwili przepisał na Rusłana Fomiczewa, o którym Bieriezowski mawiał, że jest jedynym człowiekiem, który zna całą prawdę o jego interesach. Ku bezbrzeżnemu zdumieniu oligarchy finansista sprzymierzył się z krewnymi zmarłego.

Od kilku lat Fomiczew stopniowo odsuwał się od Bieriezowskiego. Prowadził działalność biznesową w Rosji, a tam zażyłość z największym wrogiem Kremla powodowała jedynie problemy. Mniej więcej w 2005 roku wyprowadził się z gabinetu na Down Street, a teraz wykorzystał śmierć Patarkaciszwilego, by ostatecznie zerwać więzy.

Między Bieriezowskim, Kayem i obiema wdowami rozpętała się wojna, która przerodziła się w jedną z największych batalii sądowych o podział majątku w historii brytyjskiego prawa. Były ojciec chrzestny rosyjskich oligarchów bronił się rozpaczliwie przed widmem ruiny. Wystąpił do sądu przeciwko rodzinie Patarkaciszwilego, domagając się swojej części majątku; pozwał także Fomiczewa, żądając zaległych odsetek od pięćdziesięciomilionowej pożyczki, której udzielił finansiście kilka lat wcześniej. Jego ostatnią wielką nadzieją był proces z Abramowiczem, który w razie wygranej przyniósłby oligarsze wielomiliardowe odszkodowanie. Ale Curtis i Moss od dawna nie żyli, Fomiczew przeszedł na stronę wroga, a Patarkaciszwili był ostatnim człowiekiem, który mógł opowiedzieć w sądzie o ich prywatnej umowie z właścicielem Chelsea. Śmierć partnera

pozbawiła Bieriezowskiego nie tylko kontroli nad majątkiem, lecz także kluczowego świadka.

Bieriezowski zaczął się zastanawiać, czy zmarły wspólnik rzeczywiście był przyjacielem, za jakiego go uważał. Czy to nie Badri przygarnął ponownie do ich grona Ługowoja? Czy nie odbierał telefonów od zabójcy jeszcze długo po śmierci Litwinienki? Patarkaciszwili zawsze utrzymywał niepokojąco bliskie kontakty z FSB i zależało mu na powrocie do łask Putina. A teraz na dodatek okazało się, że od dawna lokował ich wspólne aktywa poza zasięgiem swojego partnera.

Kilka miesięcy po śmierci wspólnika Bieriezowski polecił asystentowi zdjąć ze ściany portret Badriego. Został zupełnie sam. Ale nie zamierzał się poddawać.

Część szósta. Pieriegruzka

XVI

Osetia Południowa, Gruzja, sierpień 2008 roku

Czołgi sunęły pod głównym pasmem Wielkiego Kaukazu, którego ośnieżone, niedostępne szczyty stanowiły naturalną barierę pomiędzy Rosją a Gruzją, wypełniając dudniącym echem Tunel Rokijski. Rosyjskie jednostki pancerne jechały do Osetii Południowej, separatystycznej republiki, która oderwała się od Gruzji i dążyła do ponownego połączenia z Osetią Północną po drugiej stronie Kaukazu, kontrolowaną przez Rosję od rozpadu Związku Radzieckiego Kreml przysyłał na pomoc swoje czołgi.

Rosja, która od lat podsycała separatystyczne nastroje w kaukaskiej republice, od styczniowej reelekcji Saakaszwilego systematycznie zwiększała aktywność w regionie. Kiedy na początku sierpnia prorosyjscy bojownicy w Osetii Południowej ostrzelali wsie gruzińskich sąsiadów, Saakaszwili wysłał wojsko, by przywróciło porządek. Nikt nie przewidział, że Rosja zareaguje z taką furią.

Kreml zaatakował Gruzję na wszystkich frontach: od strony lądu i morza, z powietrza i w przestrzeni cybernetycznej. Oddziały wojsk lądowych zajęły Osetię Południową, odcinając zbuntowany region Abchazji; zaczęły się naloty myśliwców, okręty wojenne ostrzeliwały wybrzeże, a rosyjscy hakerzy włamali się na strony internetowe gruzińskiego rządu. Po raz pierwszy od rozpadu Związku Radzieckiego Moskwa dokonała inwazji na suwerenne państwo, wywołując pierwszy konflikt militarny w Europie w dwudziestym pierwszym wieku. Zaatakowanie sojusznika Stanów Zjednoczonych, ubiegającego się o przyjęcie do NATO, było wyraźnym aktem wrogości wobec całego Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Odkąd cztery lata wcześniej Saakaszwili obiecał wprowadzić kraj do NATO, Ameryka systematycznie wzmacniała potencjał militarny Gruzji. Zaledwie kilka tygodni przed inwazją w pobliżu Tbilisi odbyły się wspólne manewry wojskowe z udziałem amerykańskich żołnierzy. Podczas lipcowej wizyty w Gruzji ówczesna sekretarz

stanu Condoleezza Rice wystąpiła na wspólnej konferencji prasowej z prezydentem Saakaszwilim i zapewniła, że Stany Zjednoczone zdecydowanie popierają starania Tbilisi o pełne członkostwo w NATO.

– Zawsze bronimy naszych przyjaciół – zadeklarowała.

Ale rosyjska inwazja na Gruzję wywołała kryzys w Waszyngtonie. W ostatnim roku prezydentury Busha juniora stosunki z Rosją i tak były mocno napięte. Plany umieszczenia w Polsce i Czechach amerykańskiej tarczy rakietowej, osłaniającej Zachód przed atakiem nuklearnym ze strony Iranu, spotkały się ze zdecydowaną dezaprobatą Rosji. Putin wyraził ostry sprzeciw, twierdząc, że system obronny uczyniłby z Europy „beczkę prochu". Prezydent FR demonstracyjnie udał się do Teheranu, gdzie uśmiechał się i ściskał dłoń swojemu irańskiemu odpowiednikowi oraz podkreślał, że Irańczycy mają prawo rozwijać własny program badań jądrowych na potrzeby cywilne.

Stany Zjednoczone nie mogły sobie pozwolić na kolejne poważne zadrażnienie w stosunkach z Moskwą: współpraca Kremla wydawała się niezbędnym warunkiem powstrzymania Iranu przed stworzeniem własnego potencjału nuklearnego, ponadto armia amerykańska musiała korzystać z rosyjskich linii zaopatrzenia, żeby przerzucać sprzęt dla swoich oddziałów w Afganistanie. Więc gdy rosyjskie wojska lądowe zajęły Osetię Południową i Abchazję, wprowadzając okupację na jednej piątej obszaru państwa uznanego przez wspólnotę międzynarodową, Ameryka nie ruszyła na pomoc swojemu przyjacielowi.

W końcu sierpnia Kreml ogłosił, że wyzwolił Osetię Południową i Abchazję spod panowania Gruzji i uznaje je za niepodległe republiki. Po wyrzuceniu obserwatorów ONZ i Unii Europejskiej podpisał z faktycznymi władzami obu separatystycznych regionów umowy o integracji z Rosją. Putin postawił na niechęć Zachodu do walki i wygrał.

Genewa, Szwajcaria, marzec 2009 roku

Hillary Clinton przywiozła do Genewy duży czerwony guzik. Prezydent Obama, który przejął urzędowanie w Białym Domu, dążył do ocieplenia relacji z Moskwą, dlatego wysłał nową sekretarz stanu do Szwajcarii, by spotkała się na neutralnym gruncie ze swoim rosyjskim odpowiednikiem. Miała wykonać symboliczny – żeby nie powiedzieć kabaretowy – gest, obliczony na rozładowanie atmosfery.

W Rosji też nastąpiła zmiana warty, przynajmniej nominalnie. Putin nie wystartował w wyborach prezydenckich rok wcześniej, ponieważ rosyjska konstytucja nie pozwalała mu ubiegać się o trzecią z rzędu kadencję. Władimir Władimirowicz przekazał ster rządów swojemu wiernemu giermkowi Dmitrijowi Miedwiediewowi, a sam zadowolił się stanowiskiem premiera. Zachód jeszcze nie do końca sobie uświadamiał, że *de facto* Putin nadal sprawuje najwyższą władzę w państwie. Zmiana na Kremlu rozbudziła w Waszyngtonie nadzieje, że Biały Dom będzie miał wreszcie partnera, z którym da się konstruktywnie rozmawiać. W lutym wiceprezydent Joe Biden w pierwszym oficjalnym przemówieniu poświęconym polityce zagranicznej nowej administracji powiedział, że Stany Zjednoczone pragną „zresetować za pomocą guzika” relacje z Rosją i teraz Hillary Clinton przyleciała do Szwajcarii, przywożąc ze sobą materialną manifestację tej metafory.

Poprawienie napiętych stosunków z innym mocarstwem nuklearnym poprzez wykonanie kabaretowego numeru z użyciem choćby najbardziej eleganckiego rekwizytu na pewno nie było przyjemnym zadaniem. Mimo to sekretarz stanu dzielnie wypełniła powierzoną jej misję. Podczas wspólnej konferencji prasowej z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych Siergiejem Ławrowem Clinton pokazała dziennikarzom przewiązane wstążką jasnozielone pudełko, a następnie teatralnym gestem zdjęła z niego pokrywkę.

– Chciałabym wręczyć panu drobny prezent, który symbolizuje to, co prezydent Obama, wiceprezydent Biden i ja powtarzamy – powiedziała głośno i wyraźnie z przyklejonym do twarzy uśmiechem, po czym dwoma palcami ostrożnie wyłuskała guzik z pudełka, jakby to był granat. – Chcemy *zresetować* nasze relacje.

Ławrow przyjrzał się osobliwemu podarkowi. Czerwony guzik tkwił na jaskrawożółtym postumenciku, ozdobionym z jednej strony

angielskim słowem *reset*, a z drugiej rosyjskim słowem *перегрузка* (*pieriegruzka*). Rosyjski minister spraw zagranicznych obrócił przedmiot w ręku i jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Tu jest błąd – oznajmił.

Urzędnicy Departamentu Stanu powinni podszlifować swój rosyjski. Słowo *pieriegruzka* nie oznacza bowiem resetu, lecz przeładowanie. Dziennikarze wybuchnęli śmiechem. Mimo to Ławrow nacisnął guzik.

Symboliczny gest nie udał się Amerykanom, ale oba mocarstwa i tak we wspólnym oświadczeniu zapowiedziały „nowy początek" we wzajemnych stosunkach. Rosja pozwoliła amerykańskim samolotom transportowym korzystać ze swojej przestrzeni powietrznej w drodze do Afganistanu, a Ameryka odłożyła na półkę plany tarczy antyrakietowej. W maju 2010 roku Rosja zgodziła się wreszcie na nałożenie międzynarodowych sankcji na Iran, który nie chciał przerwać swojego programu nuklearnego; w zamian Stany Zjednoczone odwołały sankcje, którymi ukarały Rosję za eksport broni do republik islamskich. Przyszła wiosna i wydawało się, że lody topnieją. Jednak wkrótce znów miało nastąpić ochłodzenie.

Nowy Jork, czerwiec–lipiec 2010 roku

Anna Chapman denerwowała się. Oszałamiająco atrakcyjna kobieta szpieg, mieszkająca pod przykrywką w Nowym Jorku, należała do dziesięcioosobowej siatki nielegałów i zaczynała podejrzewać, że ktoś ich sprzedał.

Większość członków siatki udawała małżeństwa – mieszkali na zielonych przedmieściach, pracowali na zwykłych posadach, niektórzy nawet mieli dzieci. Chapman obrała inną taktykę. Przed przyjazdem do Ameryki wyszła za mąż za niczego niepodejrzewającego Anglika, Alexa Chapmana. Przyjęła jego nazwisko i wyrobiła sobie brytyjski paszport, który dał jej zupełnie nową tożsamość. Kilka lat później porzuciła męża, by podjąć się nowego zadania. Była najmłodsza z całej siatki, miała ogniście rude włosy, przepastne zielone oczy, iloraz inteligencji 162 i umiała doskonale wykorzystać wszystkie te cechy do nawiązywania

znajomości z wpływowymi ludźmi. Wcieliła się w postać niezależnej bizneswoman, właścicielki znakomicie prosperującej międzynarodowej agencji nieruchomości z biurem w centrum Manhattanu.

Zadanie nielegałów polegało na poznawaniu ważnych ludzi i przekazywaniu uzyskanych od nich informacji do centrali za pomocą klasycznych metod szpiegowskich: martwych skrzynek kontaktowych, BPM (bezpośrednie przekazanie materiałów, *brush passes*) i zaszyfrowanych wiadomości. Członkom siatki udało się już zbliżyć do byłego oficera wywiadu i naukowca, który brał udział w pracach nad bombą penetrującą. Teraz opracowywali członka rządu.

W sobotni czerwcowy poranek 2010 roku Chapman odebrała wezwanie od swojego opiekuna, którego znała jedynie jako Romana. Mężczyzna skontaktował się z nią, używając specjalnego kodu, i umówił spotkanie w jednej z kawiarni w centrum Manhattanu. Było to dziwne, ponieważ Roman wręcz fanatycznie przestrzegał dwóch złotych zasad: odzywał się tylko w środy i nigdy nie spotykał z nią osobiście. Zwykle Chapman szła z laptopem w jakieś miejsce publiczne, na przykład do domu towarowego Macy’s albo do księgarni Barnes & Noble, a Roman parkował w pobliżu białym minivanem i przesyłali sobie wiadomości przez zakodowaną sieć bezprzewodową. Tym razem jednak zjawił się we własnej osobie. Wręczył Chapman fałszywy paszport i polecił jej następnego dnia rano dostarczyć go innemu agentowi.

Chapman czuła, że coś jest nie tak. Spotykając się z nią w kawiarni, Roman złamał swoją żelazną zasadę, a co więcej, zadanie, które jej zlecił, też było co najmniej niezwykłe. Rosjanka zadzwoniła do ojca, starego wyjadacza z KGB i urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, i powiedziała mu, że musi się natychmiast wydostać z USA. Ale było już na to za późno. Telefon kobiety był na podsłuchu i następnego dnia rano do jej mieszkania wtargnęli agenci FBI. Anna Chapman została aresztowana, a wraz z nią wpadło pozostałych dziewięcioro nielegałów w Waszyngtonie, Nowym Jorku i Bostonie.

FBI od dawna rozpracowywało rosyjską siatkę szpiegowską. Operacja amerykańskich służb otrzymała kryptonim Ghost Stories

(historie o duchach), nawiązujący do praktykowanego przez szpiegów zwyczaju przywłaszczania sobie tożsamości zmarłych. Chapman się nie myliła: ktoś ich sprzedał. Śledczy czytali ich mejle, rozszyfrowywali wiadomości, przechwytywali rozmowy telefoniczne i filmowali BPM, a mężczyzna, z którym spotkała się w kawiarni, nie był prawdziwym Romanem, lecz agentem amerykańskiego kontrwywiadu. Dwa tygodnie później rosyjscy szpiedzy przyznali się do winy przed sądem federalnym na Manhattanie i rozpoczęły się przygotowania do największej wymiany szpiegów od czasów zimnej wojny.

Historia rosyjskiej siatki szpiegowskiej stała się głośna na całym świecie (na jej kanwie powstał cieszący się dużym powodzeniem serial telewizyjny *Zawód: Amerykanin*). Media rozpływały się w zachwytach nad urodą Anny, jej twarz pojawiała się na okładkach tabloidów z podpisami w rodzaju *Szpieg, który nas kochał* czy *Rudowłosa piękność*.

– Czy my też mamy takich seksownych szpiegów? – Jay Leno zapyta Joego Bidena w późnowieczornym programie telewizyjnym.

– To nie ja kazałem odesłać ją do Rosji – pozwolił sobie zażartować wiceprezydent.

Tymczasem w Wielkiej Brytanii były mąż rudowłosej piękności postanowił zdyskontować swoją epizodyczną rólkę w międzynarodowym thrillerze szpiegowskim, sprzedając szczegóły pożycia seksualnego z Anną oraz album intymnych zdjęć jednej z londyńskich gazet. Pięć lat później trzydziestosześcioletni Alex Chapman zostanie znaleziony martwy w pustym domu w portowym Southampton. Koroner orzeknie śmierć z przedawkowania kilku różnych narkotyków.

Administracja Obamy, nie chcąc narażać swoich planów zresetowania stosunków z Rosją, szybko doprowadziła do wymiany szpiegów. Dziewiątego lipca dziesięcioro nielegałów odleciało samolotem do Wiednia i na płycie lotniska wymieniono ich na czterech Rosjan przyłapanych na szpiegowaniu dla państw Zachodu. Moskwa powitała rosyjskich agentów jak bohaterów. Podczas uroczystej ceremonii na Kremlu prezydent Miedwiediew odznaczył ich za zasługi dla ojczyzny. Putin osobiście spotkał się z Chapman i zaoferował jej posadę szefowej prokremlowskiej młodzieżówki,

żeby mogła sobie dorobić do poborów modelki i prezenterki telewizyjnej.

Jednym ze zwolnionych przez Rosję zachodnich szpiegów był Siergiej Skripal. Były oficer wojskowego wywiadu został skazany za sprzedawanie sekretów państwa Brytyjczykom i od 2006 roku odsiadywał wyrok w ściśle strzeżonym wojskowym więzieniu. Teraz wreszcie był wolnym człowiekiem. Z Wiednia udał się do Wielkiej Brytanii, gdzie osiedlił się w sennym Salisbury, słynącym z przepięknej katedry. Wydawało się, że obie strony są w pełni USAtysfakcjonowane.

Jednak wkrótce po powrocie rosyjskich nielegałów do Moskwy prezydent Putin ogłosił, że służby ustaliły tożsamość przeniewiercy, który sprzedał ich Amerykanom.

– To była zwykła zdrada – grzmiał z mównicy. – Zdrajcy zawsze źle kończą; zaczynają pić albo brać narkotyki i umierają w rynsztoku – przepowiedział marny los człowiekowi, który zdemaskował siatkę szpiegów.

Tym człowiekiem był pułkownik Aleksandr Potiejew. Walczył w długiej i krwawej wojnie w Afganistanie, za którą został odznaczony Orderem Czerwonej Gwiazdy, a po rozpadzie Związku Radzieckiego zrobił karierę w Służbie Wywiadu Zagranicznego FR. W latach dziewięćdziesiątych wysłano go na placówkę do Stanów Zjednoczonych. Po powrocie do Moskwy został zastępcą szefa ściśle tajnego wydziału znanego jako Zarząd S, który nadzorował uśpionych szpiegów w USA.

Sprawą Potiejewa zajął się sąd wojenny. Pułkownika oskarżono o zdradę. Anna Chapman zeznała na procesie, że to on musiał dostarczyć Amerykanom informacje, które doprowadziły do jej aresztowania. Tylko Potiejew i jej opiekun znali kod, którym posłużył się udający Romana agent FBI, żeby się z nią skontaktować. Sąd skazał Potiejewa na dwadzieścia pięć lat kolonii karnej, ale nie było kogo wyprowadzić w kajdankach z sali rozpraw. Winny uciekł z kraju.

Gdy FBI przygotowywało się do aresztowania Anny Chapman i pozostałych „śpiochów”, zastępca szefa Zarządu S poprosił swojego zwierzchnika o nieplanowany urlop. Wsiadł do pociągu do Mińska, a ze stolicy Białorusi przedostał się na Ukrainę, gdzie kupił fałszywy

paszport. Udało mu się dotrzeć do kryjówki (*safe house*) CIA we Frankfurcie, skąd jego mocodawcy przerzucili go do Ameryki.

„Spróbuj to przyjąć spokojnie”, napisał do żony w esemesie odczytanym przez prokuratora w sądzie. „Nie wyjeżdżam na jakiś czas, tylko na zawsze. Nie chciałem tego, ale nie mam wyboru. Zaczynam nowe życie. I będę się starał pomagać dzieciom”.

Putin dał wyraz niezadowoleniu z ucieczki renegata, grzmiąc z ekranów telewizorów: „Ten człowiek zdradził swoich przyjaciół, towarzyszy broni i ludzi, którzy poświęcili życie dla ojczyzny. Jak może spojrzeć w oczy swoim dzieciom?! Świnia!”.

Administracja prezydenta Obamy, dążąca do poprawy stosunków z Moskwą, miała teraz na głowie jeszcze jeden kłopot. Szpieg, którego amerykańskie służby ściągnęły do Stanów Zjednoczonych, posiadał bezcenną wiedzę wywiadowczą – ale należało się też spodziewać, że spróbują go dopaść zabójcy Putina.

Langley, stan Wirginia, USA

W odludnym zakątku hrabstwa Fairfax w stanie Wirginia, nieopodal miasteczka Langley, znajduje się Kwatera Główna Centralnej Agencji Wywiadowczej. Rozległy kompleks budynków otacza gęsty las. To właśnie tam szefowie amerykańskiego wywiadu szukali rozwiązania nowego problemu. Z rządowego programu ochrony uchodźców politycznych w Stanach Zjednoczonych korzystało kilkadziesiąt osób, w tym wielu Rosjan. Zbiegowie otrzymywali nową tożsamość i zakładano roboczo, że Kreml nie będzie próbował zlikwidować ich na terenie Ameryki. Jednak ostatnio do Langley zaczęły napływać informacje o coraz liczniejszych groźbach wobec uciekinierów z Rosji ukrywających się w USA. Najpoważniejsze niebezpieczeństwo groziło pułkownikowi Potiejewowi.

Rosjanie podejrzewali, że człowiek oskarżony o spalenie siatki szpiegowskiej Anny Chapman przeszedł na stronę Amerykanów w czasie pobytu w USA i od tamtej pory nieprzerwanie przekazywał im sekrety rosyjskiego państwa. Trzeba było zapewnić mu bezpieczeństwo. Tylko że Potiejew nie był człowiekiem, którego łatwo ochronić.

Zgodnie ze standardową procedurą programu ochrony uchodźców Potiejew i wszyscy członkowie jego rodziny powinni otrzymać nową tożsamość. Rządowa agencja zapewniała swoim podopiecznym zakodowane kanały komunikacji, pomoc w znalezieniu pracy i szkoły dla dzieci, leczenie depresji, będącej częstym skutkiem ucieczki z ojczystego kraju, a w razie potrzeby nawet operację zmiany twarzy. Potiejew nie zamierzał się jednak ukrywać. Oświadczył opiekunom z CIA, że zamierza żyć pod własnym nazwiskiem. Próbowali go przekonać, żeby zmienił zdanie, ale pułkownik był nieprzejednany. Nie miał ochoty przemykać się w cieniu. Jeśli byli koledzy go dopadną, to widocznie tak miało być.

Nie trzeba było długo na to czekać. W listopadzie rosyjskie media poinformowały, że na kreta, który spalił siatkę nielegałów, zostało wydane zlecenie. „Wiemy, kim jest i gdzie przebywa", powiedział anonimowo jednej z gazet wysoki urzędnik Kremla. „Możecie być pewni, że Mercader już po niego jedzie". Była to aluzja do Hiszpana Ramóna Mercadera, płatnego zabójcy, który w 1940 roku na zlecenie KGB zakłuł w Meksyku szpikulcem do lodu Leona Trockiego.

Potiejew osiedlił się na Florydzie, gdzie wiódł spokojne życie, łowiąc ryby i pławiąc się w słońcu, co prawda pod całodobową ochroną. Wkrótce rzeczywiście do jego domu zawitał płatny zabójca, ale ochroniarze podnieśli alarm, zanim zdążył zaatakować. Tym razem próba zabójstwa zakończyła się fiaskiem. Przez chwilę wydawało się, że na razie będzie spokój, ale nagle moskiewskie media zaczęły trąbić, że zdrajca, który wydał nielegałów, nie żyje.

Prym wiodła kontrolowana przez Kreml stacja Rossija 1, powtarzając na okrągło umoralniającą przypowieść o Potiejewie, oficerze wywiadu o „nieposzlakowanej przeszłości", który sprzedał swój kraj, za co „spotkał go smutny koniec" – kolejny przykład, że „życie karze zdrajców". Nazwisko Potiejewa zostało dopisane do coraz dłuższej listy wrogów Putina, którzy zeszli z tego świata w podejrzanych okolicznościach, a „New York Times" wymienił je w głównym artykule numeru, opisującym ten ponury trend.

Jednakże trzy miesiące po opublikowaniu makabrycznego nekrologu martwy szpieg wmaszerował, jak gdyby nigdy nic, do Walmartu na Florydzie i kupił pozwolenie na amatorskie połowy

w wodach słonych. W formularzu podał własne nazwisko i adres mieszkania w pobliskim lśniącym wieżowcu. Niedługo potem zarejestrował się jako wyborca republikanów. W rzeczywistości Potiejew był jak najbardziej żywy i nadal nie zamierzał się ukrywać.

CIA miewała już do czynienia z podobnymi mistyfikacjami. Rosjanie rozgłaszali czasem historie o śmierci renegatów, by ich wykurzyć z ukrycia – zmusić do kontaktu z obserwowanymi przez służby zaniepokojonymi krewnymi i przyjaciółmi, a tym samym do ujawnienia adresu mejlowego albo numeru telefonu. Ale przecież Potiejew żył na widoku pod własnym nazwiskiem. Czyżby po nieudanej próbie zamachu na jego życie Rosjanie posunęli się do rozprzestrzeniania fałszywej informacji, by uwiarygodnić swoje groźby wobec innych zdrajców?

Szefowie amerykańskich agencji wywiadowczych wydali rozkaz, by bez względu na to, jakimi motywami kierowali się Rosjanie, w żadnym wypadku nie dementować ich wersji. Dla wszystkich będzie bezpieczniej, jeśli świat uwierzy, że Potiejew nie żyje. Gdyby prawda wyszła na światło dzienne, zawstydzony ujawnieniem porażki Kreml mógłby wysłać kolejnego zabójcę, który poradzi sobie lepiej od poprzednika. CIA i FBI przygotowywały wspólny plan skoordynowanego reagowania na ewentualne przyszłe zamachy na innych rosyjskich uchodźców. Wszystkie potencjalne cele otrzymały całodobową ochronę. Stanowiło to poważne wyzwanie logistyczne. Amerykańskim programem ochrony uchodźców było objętych wówczas około stu osób i uciekinierzy z Rosji mogli się czuć bezpiecznie. Ale już nie teraz.

Kwatera CIA w Moskwie

Moskiewski rezydent CIA był czerstwym siwowłosym weteranem wywiadu, zbliżającym się do końca swojej kariery. Spędził w Rosji wiele lat i dziwne zgony przestały robić na nim wrażenie.

– Wszyscy wiedzą, że Putin zabija swoich przeciwników; przez chwilę media mają się czym podniecać, a poza tym wielkie mi halo – brzmiała jego standardowa odpowiedź na sugestię, że mógłby

poświęcić trochę uwagi kremlowskim zabójcom. – Mam na głowie znacznie poważniejsze rzeczy niż to, że kogoś stuknęli.

Wolał zajmować się zbieraniem danych wywiadowczych dotyczących doniosłych zagadnień strategicznych: zamiarów Rosji wobec NATO, jej aktywności w Syrii i planów związanych z bronią nuklearną. Jednakże bieżąca ocena zdolności państwa rosyjskiego do prowadzenia wrogich działań na terenie Stanów Zjednoczonych była jednym ze stałych zadań moskiewskiej placówki CIA, a teraz sprawa stała się paląca. Waszyngton kazał swoim szpiegom w Moskwie zorientować się, jak duże szkody mogą wyrządzić Rosjanie, jeśli zaczną ścigać swoich wrogów w Ameryce, tak jak robią to od dłuższego czasu w innych krajach Zachodu.

Studiując listę zgonów rosyjskich dysydentów na emigracji, amerykańscy agenci zauważyli niepokojący trend. Rosyjscy uchodźcy w Wielkiej Brytanii zbyt często umierali przedwcześnie, by można to było tłumaczyć przyczynami naturalnymi. Dotyczyło to przede wszystkim osób z najbliższego otoczenia Borisa Bieriezowskiego. Amerykanie wiedzieli, że oligarcha jest zaprzysięgłym wrogiem Putina, więc nie dziwiło ich, że jego współpracownicy padają ofiarą zabójców; zresztą jemu samemu też nie wróżyli długiego życia. Tym, co ich naprawdę poraziło, była wyraźna łatwość, z jaką Rosja likwidowała swoich adwersarzy na terenie Wielkiej Brytanii.

Gdyby w Stanach Zjednoczonych uchodźcy z Rosji rozstawali się z życiem równie często, jak w Anglii, władze z pewnością nie przymykałyby na to oczu. Komisje nadzoru rządowego zaczęłyby zadawać pytania. Agencje okazałyby znacznie większe zainteresowanie niż – przynajmniej na pozór – MI6, a FBI szybko załatwiłoby sprawę. Trzeba jednak pamiętać, że do Londynu płynął potężny strumień rosyjskich pieniędzy, i to też odgrywało pewnie jakąś rolę.

Szef moskiewskiego biura CIA zapytał przy piwie brytyjskich kolegów, co się właściwie u nich dzieje.

– Jak to możliwe – zaczął obcesowo – że Rosjanie zabijają u was, kogo chcą, i nikt im w tym nie przeszkadza? To takie proste: przyjechać do Anglii i zabić?

Brytyjczycy przyznali, że mają problem.

– Wiemy, że Rosjanie uruchomili program likwidowania ludzi na terenie Wielkiej Brytanii – powiedział jeden z nich. – Ale to nie podlega pod nasze kompetencje. To sprawa Scotland Yardu.

Wysoki odsetek zgonów wśród rosyjskich uchodźców w Wielkiej Brytanii zdumiewał nie tylko szpiegów w Moskwie. Również ich szefowie w Langley obserwowali to zjawisko z narastającym niepokojem. Amerykański wywiad śledził sytuację od momentu ucieczki Bieriezowskiego z Rosji i już dawno doszedł do wniosku, że brytyjskie władze są rozpaczliwie nieudolne, kiedy trzeba chronić mieszkańców kraju przed długim ramieniem Kremla. Jednak do tej pory było to prywatne zmartwienie Brytyjczyków. Owszem, Rosjanom dość często zdarzało się stuknąć tego czy innego dysydenta w Zjednoczonym Królestwie, ale wydawało się nie do pomyślenia, by kiedykolwiek pozwolili sobie na podobną bezczelność na obszarze supermocarstwa po drugiej stronie Atlantyku. Teraz trzeba było od nowa przemyśleć sytuację.

Kiedy po ucieczce Potiejewa z Moskwy zagrożenie dla rosyjskich dysydentów objętych amerykańskim programem ochrony życia zaczęło gwałtownie rosnąć, superszpiedzy z Langley zadali sobie nieprzyjemne pytanie: czy przypadkiem najbliższy sojusznik Stanów Zjednoczonych, tolerując kremlowskich morderców na własnym podwórku, nie rozbudził w Putinie przekonania, że może bezkarnie zabijać swoich wrogów we wszystkich krajach Zachodu?

XVII

Down Street i Downing Street, Londyn, maj–czerwiec 2010 roku

Drobny mężczyzna o niebieskich oczach, który w ciepły letni dzień zjawił się na Down Street, podszedł do recepcjonistki i sepleniąc, oświadczył, że przyniósł prezent dla pana Bieriezowskiego. Rafael Filinow, rosyjski potentat z branży telekomunikacyjnej o złudnie niepozornym wyglądzie, z którym Boris i Badri robili kiedyś intratne interesy, został zaprowadzony do gabinetu oligarchy. Bieriezowski dobrze wiedział, że Filinow utrzymuje kontakty z FSB, ale wbrew zaleceniom oficera ochrony nie miał zwyczaju unikać spotkań z dawnymi znajomymi. Wylewnie przywitał gościa w progu i zamknął za nim drzwi. Filinow wręczył miliarderowi pakiecik i wyjaśnił, że ich wspólny znajomy z Moskwy, Andriej Ługowoj, przesyła pozdrowienia.

Oligarcha zmierzył wzrokiem paczuszkę i uznał, że taki moment wymaga publiczności. Wezwał do gabinetu sekretarkę i dawnego dyrektora LogoWAZ-u Julija Dubowa; dopiero w ich obecności rozpakował przesyłkę. W środku znajdował się czarny T-shirt ze złotym logo klubu piłkarskiego CSKA Moskwa, drużyny, której grę oligarcha i Ługowoj podziwiali na Emirates Stadium w dniu otrucia Litwinienki. Można by go pomylić ze zwykłą koszulką kibica, gdyby nie to, że zamiast piłki do futbolu pośrodku emblematu klubu znajdował się międzynarodowy symbol promieniowania radioaktywnego, otoczony słowami „polon-210” i „ciąg dalszy nastąpi”. Napis na plecach głosił: „Nuklearna śmierć puka do twoich drzwi”.

Bieriezowski bynajmniej nie zbladł z przerażenia. To miłe, że w Moskwie o nim nie zapomnieli. Od przyjazdu do Wielkiej Brytanii wyszedł już cało z dwóch zamachów na swoje życie i zaczął wierzyć, że jest niezniszczalny. Po wyjściu Filinowa wysłał sekretarkę z trefną koszulką do Scotland Yardu.

Ługowoj mógł sobie pozwolić na taką bezczelność. Wiedział, że Kreml nigdy nie wyda go Anglikom, a Wielka Brytania, nie chcąc wywołać dyplomatycznych zadrażnień, nie będzie zbyt mocno naciskała na ekstradycję.

– Upierając się, Brytyjczycy tylko zaszkodzą swoim relacjom z nami – powiedział Ługowoj w jednym z wywiadów dla agencji prasowej Interfax.

Prawidłowo oceniał sytuację. Nowy premier Zjednoczonego Królestwa z ramienia Partii Konserwatywnej, David Cameron, który 11 maja wprowadził się na Downing Street, chciał jak najszybciej zamknąć nieprzyjemny rozdział nuklearnego ataku na obszarze Wielkiej Brytanii. Jego plan ożywienia dotkniętej recesją brytyjskiej gospodarki zakładał promowanie brytyjskich interesów w Moskwie i ściągnięcie do kraju kolejnych rosyjskich miliardów, dlatego zależało mu na dobrych relacjach z Moskwą. Niestety, już pierwszego dnia jego urzędowania wywiad poinformował o nowym spisku rosyjskich służb.

Tym razem celem miał być Achmied Zakajew, a zabójcą kolejny dawny przyjaciel, który zmienił front – były czeczeński bojownik, sąsiad przywódcy rebeliantów i częsty gość w jego domu na Osier Crescent. Brytyjscy szpiedzy sądzili, że mężczyzna przeszedł na stronę prorosyjskiego reżimu w Czeczenii. Podejrzewali, że to on zastrzelił w Wiedniu innego czeczeńskiego bojownika, który oskarżył Rosjan o stosowanie tortur. MI6 uważało, że życiu Zakajewa zagraża „bezpośrednie niebezpieczeństwo”. Należało natychmiast podjąć odpowiednie działania.

Downing Street zareagowała na tę wiadomość szybko, acz dyskretnie. Minister spraw wewnętrznych postanowił po cichu wydalić Czeczeńca z Wielkiej Brytanii, unieważniając jego pozwolenie na pobyt, kiedy przebywał w interesach za granicą. Ale ledwie udało się ugasić jeden pożar, wybuchł następny. Zawoalowana groźba Ługowoja pod adresem Bieriezowskiego stanowiła kolejny problem, bez którego brytyjski rząd wolałby się obejść.

Pod koniec czerwca na szczycie G8 w Kanadzie Cameron spotkał się z Miedwiediewem. Obaj przywódcy podsumowali rozmowę w ciepłych słowach. Żaden z nich nie wspomniał o zabójstwie

Litwinienki ani o groźbie śmierci wiszącej nad Bieriezowskim i Zakajewem. Cameron oświadczył, że Wielka Brytania i Rosja znalazły „wspólną platformę”, i wezwał do „wzmocnienia stosunków bilateralnych”. Rozpływając się w uśmiechach, powiedział dziennikarzom, że zamierza śledzić Miedwiediewa na Twitterze i będzie z nim w stałym kontakcie telefonicznym. Czuła przyjaźń trwała nadal, gdy kilka miesięcy później panowie spotkali się w Korei Południowej. Cameron ogłosił wtedy, że z radością przyjął zaproszenie rosyjskiego kolegi i w następnym roku wybiera się do Moskwy.

Od tego momentu ministrowie Camerona robili wszystko, co w ich mocy, by śmierdząca sprawa rosyjskiego morderstwa w Londynie nie wydostała się na światło dzienne. Kiedy starania o ekstradycję Ługowoja i Kowtuna nie przyniosły efektu, władze Wielkiej Brytanii, powołując się na priorytetową konieczność „ochrony relacji z zagranicą”, zablokowały zabiegi Mariny Litwinienko o wszczęcie publicznego dochodzenia w sprawie śmierci jej męża. A gdy kolejni adwersarze Kremla rozstawali się z życiem na brytyjskiej ziemi, rząd systematycznie wyłączał część materiału dowodowego z przesłuchania przed koronerem, tłumacząc się „względami bezpieczeństwa państwa”. Czarną serię rozpoczął dziwny przypadek szpiega w walizce, który wydarzył się jeszcze tego samego lata.

Pimlico, Londyn, sierpień 2010 roku

Policjantów, którzy wyważyli drzwi luksusowego mieszkania służbowego na prawym brzegu Tamizy, dokładnie naprzeciwko River House, uderzyła fala gorąca. Ogrzewanie pracowało na pełny regulator. Inspektor Colin Sutton zmarszczył z obrzydzeniem nos i wszedł do środka. W upalny sierpniowy dzień temperatura w mieszkaniu była nie do wytrzymania. Ale poza tym panował w nim idealny porządek. „Zbyt idealny,” pomyślał Sutton.

Mieszkanie było zamknięte od środka i nic nie wskazywało na włamanie. Wszystko leżało na swoim miejscu – z wyjątkiem telefonu komórkowego, laptopa i kilku kart SIM ułożonych rzędem na stole

oraz dużej, zamkniętej na kłódkę torby sportowej z logo North Face, przezornie umieszczonej w wannie. W środku znajdowały się zwłoki Garetha Williamsa.

Trzydziestojednoletni szpieg nie żył od dziesięciu dni. Z powodu panującego w mieszkaniu upału proces rozkładu zaszedł tak daleko, że ustalenie przyczyny zgonu okazało się niemożliwe. Na brzegu wanny, suwaku i kłódce, na którą zamknięto torbę od zewnątrz, nie było żadnych odcisków palców ani śladów DNA. Kluczyk do kłódki znajdował się w torbie, pod zwłokami.

Williams był wysokiej klasy specjalistą od szyfrów z Centrali Łączności Rządowej (*Government Communications Headquarters*, GCHQ), matematycznym geniuszem, który został oddelegowany do River House, żeby pomógł MI6 w rozwiązaniu trudnej międzynarodowej łamigłówki. Już od przeszło tygodnia nie pokazywał się w pracy, ale jego koledzy nie wszczęli alarmu. Dopiero kiedy siostra Williamsa zadzwoniła do GCHQ i zapytała, dlaczego Gareth nie odbiera jej telefonów, szpiedzy powiadomili policję, która weszła do mieszkania w Pimlico i znalazła zwłoki.

Po południu Sutton, doświadczony detektyw wydziału zabójstw Scotland Yardu, odebrał telefon od przełożonego, który poinformował go, że zamordowany łamał szyfry dla brytyjskiego wywiadu. Powiązania denata ze służbami oznaczały, że w dochodzenie włączy się wydział walki z terroryzmem, ale jak podkreślił szef, to sprawa dla wydziału zabójstw. Detektyw musi natychmiast pojechać na miejsce zbrodni i pokazać, kto tu rządzi.

Sutton był oficerem dochodzeniowym z krwi i kości, z tych, co to w chwilach wolnych od tropienia prawdziwych morderców czytują kryminały, i podzielał nieufność swojego przełożonego wobec nieprzejrzystych brytyjskich tajnych służb. Uważał, że posiadający certyfikaty bezpieczeństwa koledzy z wydziału walki z terroryzmem za bardzo bratają się ze szpiegami, którzy w sekrecie przed resztą policji przekazują im ściśle tajne informacje. Nie życzył sobie, żeby wtrącali się w śledztwo, próbując wywęszyć, co wie – i czego nie wie – wydział zabójstw.

Gdy Sutton dotarł na miejsce zbrodni, rzeczywiście był już tam inspektor Brent Hyatt z wydziału do walki z terroryzmem.

Przesłuchanie na łożu śmierci Litwinienki uczyniło z Hyatta swego rodzaju celebrytę, ale Sutton nie miał czasu się tym przejmować.

– Przejmujemy dochodzenie – oznajmił oschle. – To zabójstwo.

Suttonowi nie spodobało się to, co zobaczył w mieszkaniu. Scena wyglądała na starannie wyreżyserowaną: ktoś dokładnie posprzątał, żeby usunąć ślady DNA i odciski palców, ale zostawił w widocznym miejscu telefony, laptop i karty SIM jako przynętę dla policji. Dlaczego szpiedzy tak długo zwlekali ze zgłoszeniem zaginięcia kolegi? Po telefonie od jego siostry odczekali jeszcze pięć godzin, zanim powiadomili Scotland Yard. Sutton był zbyt zajęty, by samemu poprowadzić śledztwo, więc przekazał je młodszej koleżance, detektyw Jackie Sebire, upominając ją, żeby nie pozwoliła szpiegom wejść sobie na głowę.

Sebire była bystrą policjantką, ale fakt, że denat pracował dla tajnych służb, od początku utrudniał śledztwo. MI6 forsowało hipotezę, że Williams nie został zamordowany, lecz padł ofiarą własnej perwersji – udusił się przez przypadek w trakcie seksualnych igraszek. Do mediów trafiły informacje, że szpieg odwiedzał strony pornograficzne BDSM oraz kluby dla transwestytów i zgromadził kolekcję damskiej designerskiej odzieży o łącznej wartości piętnastu tysięcy funtów.

Policjanci z wydziału zabójstw robili, co mogli, by znaleźć mordercę, ale nie pozwolono im porozmawiać z kolegami Williamsa z MI6 i odcięto dostęp do kluczowych materiałów dowodowych. Musieli się zadowolić niepodpisanymi raportami z przesłuchań, które przeprowadzili antyterroryści. W iPhonie z mieszkania denata przywrócono ustawienia fabryczne, a o istnieniu dziewięciu pendrive'ów znalezionych w jego szafce w siedzibie MI6 Sebire dowiedziała się dopiero półtora roku później, na rozprawie u koronera. Tymczasem jednak wydział zabójstw poddał się i zamknął śledztwo.

Werdykt koronera był druzgocący dla MI6 i wydziału zwalczania terroryzmu. Doktor Fiona Wilcox wykluczyła teorię, że szpieg mógł się udusić podczas seksualnych igraszek, i uznała przecieki do mediów na temat prywatnego życia denata za możliwą próbę „zmanipulowania części materiału dowodowego przez osoby trzecie". Stwierdziła, że śmierć Williamsa „nie nastąpiła z przyczyn

naturalnych i istnieje duże prawdopodobieństwo, że była skutkiem przestępstwa”. Ponadto zarzuciła szpiegom i antyterrorystom mataczenie w śledztwie i niewłaściwe obchodzenie się z dowodami kryminalistycznymi, co w konsekwencji uniemożliwiło ustalenie, w jaki sposób zginął Williams.

Kiedy koroner prowadził śledztwo w celu ustalenia przyczyny zgonu, władze utrzymywały w tajemnicy charakter pracy denata. Ówczesny minister spraw wewnętrznych William Hague, powołując się na interes publiczny i względy bezpieczeństwa państwa, zakazał upubliczniania jakichkolwiek informacji na temat zadań, które zmarły wykonywał dla MI6. Tymczasem w utajnionych dokumentach krył się klucz do rozwiązania ostatniej zagadki łamacza kodów.

Williams zajmował się Rosją. Niedawno został zakwalifikowany do misji operacyjnej i w ostatnich miesiącach przed śmiercią regularnie odwiedzał Fort Meade w stanie Maryland, centralę National Security Agency, gdzie pomagał Amerykanom przegryzać się przez niezwykle skomplikowany system przepływów finansowych, służący powiązanym z Kremlem organizacjom przestępczym do przerzucania zysków z nielegalnych procederów. Było to tak delikatne zadanie, że Williamsowi przyznano certyfikat bezpieczeństwa uprawniający do wstępu do obiektu NSA na pustyni Utah, który posiadał klauzulę najwyższej tajności (*above top secret*).

Departament Stanu stanowczo nie życzył sobie, żeby informacja o współpracy Williamsa z amerykańskim wywiadem przedostała się do wiadomości publicznej, dlatego brytyjski rząd dopilnował, żeby szczegóły jego kariery zawodowej nie znalazły się w aktach, które policja przekazała koronerowi. Zagadka śmierci kryptologa nigdy nie została oficjalnie wyjaśniona. Jednakże gdy MI6 rzucało kłody pod nogi prowadzącej śledztwo policji, forsując teorię, że szpieg padł ofiarą własnych „niecodziennych skłonności seksualnych”, do River House dotarły niepokojące dane wywiadowcze zza oceanu. Według amerykańskich źródeł i stanowisk nasłuchowych zabójstwo Williamsa było kolejną akcją rosyjskich służb na terenie Wielkiej Brytanii.

Londyn, lata 2010–2012

Bieriezowski odkrył nową namiętność. Batalie sądowe, które toczył na wielu frontach, rozbudziły w nim obsesję na punkcie zalet brytyjskiego systemu sprawiedliwości. Z upodobaniem wygłaszał peany na temat rządów prawa i roli niezależnego sądownictwa w cywilizowanym państwie. Jego fascynacja brytyjską praworządnością osiągnęła taki poziom, że kiedy sąd w Londynie przyznał jego porzuconej żonie dwieście dwadzieścia milionów funtów z i tak już mocno nadszarpniętego majątku oligarchy, Bieriezowski uznał to za kolejny dowód niezłomności brytyjskiej Temidy.

Prawdę powiedziawszy, sąd był dla Bieriezowskiego ostatnią deską ratunku. Osierocony przez Patarkaciszwilego, praktycznie spłukany, nie miał innego wyjścia, jak tylko procesować się o każdy grosz z rodziną zmarłego partnera i z byłymi przyjaciółmi, którzy w jego poczuciu go zdradzili. Wnosił pozew za pozwem, a dwie wygrane w dwóch pierwszych sprawach dodatkowo podsyciły jego pieniacki zapał.

Zaczął od wytoczenia rządowi Rosji sprawy *per procura*. Złożył pozew przeciwko niejakiemu Władimirowi Terłukowi, który w prokremlowskiej telewizji oskarżył go o zamordowanie Litwinienki. Motywem zbrodni miało być powstrzymanie byłego oficera FSB od ujawnienia, że oszukał brytyjskie władze, by załatwić Bieriezowskiemu azyl polityczny. Terłuk twierdził, że próba zabójstwa za pomocą zatrutego długopisu, która ostatecznie przekonała Brytyjczyków, że życiu oligarchy zagraża realne niebezpieczeństwo, została sfingowana. Bieriezowski miał przygotować całe przedstawienie wspólnie z Litwinienką, który rzekomo próbował wciągnąć do spisku Terłuka. Bieriezowski, przekonany, że Terłuk jest człowiekiem FSB, oskarżył go przed brytyjskim sądem o zniesławienie.

Postępowanie sądowe miało chaotyczny przebieg. Terłuk występował osobiście, bez adwokata, ale jakimś „nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności” – jak to ujął jeden z sędziów – w trakcie procesu w lutym 2010 roku na sali rozpraw pojawiło się czterech rosyjskich prokuratorów, którzy zaczęli aktywnie pomagać

pozwanemu. Czterej prawnicy z biura prokuratora generalnego w Moskwie usiedli obok Terłuka, zażądali tłumaczenia symultanicznego i raz po raz zabierali głos, chociaż nie byli stroną postępowania. Podsuwali Terłukowi notatki i dokumenty, składali w jego imieniu wnioski do sądu i próbowali dyskretnie wręczyć sędziemu jakieś papiery. W pewnym momencie telefon jednego z Rosjan rozdzwonił się głośno podczas rozprawy.

– To pewnie mister Putin – zażartował adwokat Bieriezowskiego.

Kiedy rosyjscy prokuratorzy złożyli wniosek o przesłuchanie oligarchy, sędzia stwierdził, że posunęli się o krok za daleko. Orzekł, że oskarżenia wygłoszone przez Terłuka były fałszywe i miały na celu „podważenie statusu uchodźcy pana Bieriezowskiego oraz jego pozwolenia na pobyt w Wielkiej Brytanii". Zasądził także na rzecz oligarchy odszkodowanie w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy funtów.

Terłuk złożył apelację i próbował przedstawić nowe dowody w postaci obciążających Bieriezowskiego zeznań Andrieja Ługowoja. Oświadczenie zabójcy potwierdził wysoki urzędnik moskiewskiej prokuratury Wadim Jałowicki. Sędzia odrzucił apelację, uznawszy, że „nikt rozsądny nie może uznać" zeznań Ługowoja „za wiarygodne", i udzielił rosyjskim prawnikom ostrej reprymendy za mieszanie się w brytyjski system sprawiedliwości.

Następnie Bieriezowski wygrał w sądzie z Rusłanem Fomiczewem, od którego zażądał spłaty odsetek od pożyczonych pięćdziesięciu milionów dolarów, które natychmiast po wpłynięciu na szwajcarskie konto finansisty zamroziła tamtejsza prokuratura. Fomiczew chwytał się wszelkich sposobów, by uniknąć wyjawienia szczegółów swoich interesów z byłym szefem, a jego prawnicy twierdzili, że czyni tak dla własnego bezpieczeństwa.

„Osoby, które współpracowały z panem Bieriezowskim, a nawet jego byli i obecni przyjaciele, w różnych jurysdykcjach popadają w kłopoty z prawem", zauważyli w piśmie do sądu. „Wielu z nich zmarło, nie wszyscy śmiercią naturalną". Jednakże sędzia, nie wdając się w dyskusję z Fomiczewem, nakazał mu wypłacić zaległe odsetki i napisał w uzasadnieniu wyroku, że jako świadek „mijał się z prawdą".

Te dwa zwycięstwa nie przyniosły Bieriezowskiemu takich pieniędzy, jakich potrzebował, żeby odtworzyć swoją fortunę, ale dały mu poczucie satysfakcji i podsyciły w nim chęć do walki. Teraz szykował się do wielkiej batalii sądowej z Romanem Abramowiczem i w dalszym ciągu sądził się z rodziną Patarkaciszwilego.

Przedmiotem sporu był New World Value Fund, utworzony przez Stephena Curtisa do obsługi przelewów Abramowicza dla Borisa i Badriego. Bieriezowski prawował się o fundusz ze spadkobiercami po dawnym wspólniku. O swoją część walczył również Fomiczew; jednocześnie próbowano wysiudać z podziału krewnych Curtisa. Scot Young, który tymczasem wrócił do Londynu, wyczuł okazję do łatwego zarobku. Fikser podjął się roli mediatora i doprowadził do podziału aktywów pomiędzy część zwaśnionych stron, zatrzymując okrągłą sumkę dla siebie.

Od przyjazdu do Londynu Young starał się znów stanąć na nogi. Szukał obiecujących okazji biznesowych dla Bieriezowskiego i pomagał grupie podejrzanych Rosjan z Monako prać brudne pieniądze, nabywając dla nich nieruchomości w Londynie, zagraniczne waluty, cenne dzieła sztuki i ekskluzywne restauracje w Mayfair. Był bankrutem, więc nie mógł niczego kupić na własne nazwisko, ale ustawiał transakcje i pobierał sowitą prowizję w gotówce. Superfikser wracał do gry, ale nadal nikt nie wiedział, co się stało z jego utraconą fortuną. Na dodatek Young bał się jak jeszcze nigdy dotąd.

Sasha i Scarlet dorastały, przeobrażając się z nastolatek w młode damy o wykwintnych manierach i gustach ukształtowanych w najlepszych prywatnych szkołach. Zaczynały zadawać niewygodne pytania. Pamiętały, że kiedyś miały piętnaście kucyków, a Wróżka Zębuszka nie zostawiała pod poduszką mniej niż pięćdziesiąt funtów, lecz potem musiały nagle opuścić ekskluzywną placówkę edukacyjną dla dziewcząt Francis Holland School, gdzie zalegały z czesnym na sumę ponad trzydziestu tysięcy funtów, i zamieszkać z matką w ciasnym mieszkanku w dzielnicy Pimlico.

Sąd przyznał Michelle na utrzymanie dziewczynek alimenty w wysokości dwudziestu siedmiu i pół tysiąca funtów miesięcznie, ale Young po prostu nie płacił. Sam jednak nadal żył jak król. Na

spotkania z córkami przyjeżdżał szybkimi samochodami i ciągle przeprowadzał się z jednego luksusowego apartamentu do drugiego. Twierdził, że korzysta z hojności przyjaciół, a kiedy Sasha i Scarlet pytały, co się stało z jego własnymi pieniędzmi, odpowiadał: „To skomplikowane".

Dziewczynki były wściekłe na ojca za to, że uwikłał rodzinę w sieć kłamstw, i kiedy przez jego bankructwo musiały zmienić szkołę, oświadczyły mu, że nie zniosą więcej upokorzeń. Mimo to wciąż go kochały. Sasha miała piętnaście lat i była wierną kopią taty: to samo naiwne spojrzenie szeroko otwartych oczu, ten sam szelmowski uśmiech. To prawda, że ojciec je zawiódł, ale to właśnie przy nim czuła się najbezpieczniej. Mogła mu powiedzieć wszystko, co jej przyszło do głowy, a on nigdy jej nie oceniał. Był jej bohaterem.

Scarlet była o dwa lata starsza i nieco mniej naiwna od siostry. Wysoka i szczupła, o długich czarnych włosach i porcelanowej cerze, pracowała jako modelka, żeby zasilić rodzinny budżet, jednocześnie uzyskując najwyższe noty z końcowych egzaminów. Znajdowała też czas, by codziennie wysyłać do ojca kilka esemesów. Odpowiadał jej czule: „Kocham Cię" albo: „Nie daj się nikomu ani niczemu zdołować! Jesteś na to za dobra! Jesteś debeściarą".

Young starał się jak mógł umilać córkom życie. Załatwiał im VIP-owskie bilety na koncerty, kiedyś obdarował kartami upominkowymi Topshop o wartości pięciu tysięcy funtów, które dostał od swojego kumpla, potentata handlowego sir Philipa Greena. Regularnie zabierał je na pizzę do ulubionej włoskiej restauracyjki w South Kensington i zawsze mogły na niego liczyć, kiedy chciały się poprzytulać, pośmiać albo powygłupiać. Jeśli nie mógł się z nimi spotkać, dzwonił codziennie, żeby zapytać, jak się czują, jak było w szkole i czy odrobiły już lekcje.

Jednak od jakichś dwóch lat w ich rozmowach telefonicznych coraz częściej pojawiały się posępne nuty. Pewnego wieczoru w 2008 roku, kiedy dziewczynki były same w domu, ojciec zadzwonił i urywanym głosem oznajmił, że ktoś go śledzi i że prawdopodobnie cała rodzina znajduje się w niebezpieczeństwie. Błagał, żeby się gdzieś ukryły, i ostrzegł, że ich dom może być obserwowany. Ale przy następnym spotkaniu stwierdził, że wszystko

jest w najlepszym porządku, i zbył ich pytania swoimi zwykłymi wygłupami.

Rok później Young zadzwonił o trzeciej w nocy na policję, błagając o ochronę. Funkcjonariusze, którzy przyjechali do jego mieszkania, napisali w raporcie, że „był przekonany, że rosyjska mafia chce go zabić". Od trzech dni nie zmrużył oka i przez poprzednią dobę „niczego nie pił ani nie jadł, z wyjątkiem jajka po szkocku", bo bał się otrucia. Prosił o przysłanie uzbrojonych policjantów oraz o powiadomienie MI5 i MI6. Funkcjonariusze uznali jednak, że „jego obawy o życie wydają się całkowicie bezpodstawne", i skierowali go na badania psychiatryczne.

Lekarze stwierdzili u Younga objawy „paranoi o zabarwieniu maniakalnym" i „złożony system przekonań urojeniowych". Na mocy ustawy o zdrowiu psychicznym umieścili go w St. Charles Hospital pod opieką zespołu psychiatrów. Zanotowali, że był „spocony, podejrzliwy i pobudzony", próbował całować innych pacjentów i się obnażać. Oskarżał pielęgniarki, że „pracują dla KGB", i próbował wyważyć kopniakami drzwi, żeby uciec.

Kilka dni później Young miał się stawić na rozprawie rozwodowej i wyjaśnić sądowi, jak doszło do jego bankructwa. W przeciwnym razie groziło mu więzienie. Psychiatrzy z St. Charles Hospital poinformowali sąd, że pacjent nie jest w stanie zeznawać. Michelle była wściekła. Zażądała ukarania byłego męża aresztem za niesubordynację, jednak sędzia przychylił się do prośby pozwanego i przełożył rozprawę na inny termin. Nazajutrz lekarze zauważyli „znaczącą poprawę" stanu pacjenta. Young „nie wykazywał" już „cech psychotycznych", choć nadal utrzymywał – teraz już na spokojnie – że ma realne powody do strachu. Zadzwonił ze szpitala do Sashy i powtórzył, że jest śledzony i że obie dziewczynki powinny jak najszybciej znaleźć jakieś bezpieczne schronienie. Wyznał też, że zgłosił się na zamknięty oddział psychiatryczny, żeby się ukryć przed wrogami.

Obawy Younga wzrosły jeszcze bardziej, kiedy w krótkim odstępie czasu zmarło dwóch jego przyjaciół. Paul Castle i Robbie Curtis, potentaci rynku nieruchomości, stanowili nierozłączną parę narwanych utracjuszy. Jadali razem z Youngiem i Bieriezowskim w Cipriani, ulubionej włoskiej restauracji całej czwórki. Castle

grywał w polo z księciem Karolem i, jak mawiali jego kumple, wydawał na szampana „więcej niż sam Pan Bóg”. Curtis dorobił się w pierwszych latach dwudziestego pierwszego wieku na wynajmie luksusowych apartamentów i lubił się chwalić, że spotykał się kiedyś z modelką Caprice. Obaj panowie, podobnie jak Young, stracili ostatnio bardzo dużo pieniędzy. Krążyły słuchy, że wpadli w tarapaty, robiąc ryzykowne interesy z bandziorami związanymi z rosyjską mafią.

Pierwszy umarł Castle. Pewnego dnia w listopadzie 2010 roku pięćdziesięciooczteroletni mężczyzna jak co dzień wypił poranną herbatę w Grosvenor, a następnie, najwyraźniej w znakomitym nastroju, udał się do biura. Jednak niebawem odwiedzili go tam mafijni egzekutorzy i groźbami zmusili do oddania cennej kolekcji luksusowych zegarków. Po tym zdarzeniu Castle opuścił biuro i poszedł prosto na stację metra Bond Street, gdzie kamery monitoringu uchwyciły, jak rozkłada szeroko ramiona i rzuca się pod nadjeżdżający pociąg. Później przyjaciele denata powiedzieli prasie, że „bardzo, bardzo źli ludzie” doprowadzili go do ostateczności, grożąc, że jeśli sam nie odbierze sobie życia, załatwią mu powolną i bolesną śmierć. Koroner orzekł samobójstwo.

Smutny koniec Castle’a zdruzgotał Curtisa, jednocześnie wprawiając go w lodowate przerażenie. Zwierzył się przyjaciołom, że ma kłopoty z tą samą powiązaną z Rosjanami organizacją przestępczą, której podpadł Castle. Powiedział, że bandyci już raz wyrzucili go z okna. Tak bardzo się bał, że niedługo przed śmiercią zwrócił się o pomoc do jednego z londyńskich gangów.

– Muszę zadbać o swoje bezpieczeństwo – powiedział gangsterom.

– Sorki, ale już na to za późno – usłyszał w odpowiedzi. – Jest na ciebie kontrakt.

Niemal dokładnie dwa lata po śmierci Castle’a Curtis wpadł pod nadjeżdżający pociąg z peronu stacji metra Kingsbury.

Young ani przez chwilę nie wątpił, że jego kumpli z premedytacją doprowadzono do samobójstwa. Był roztrzęsiony. Nie chciał rozmawiać o tym przez telefon, bo bał się, że jego rozmowy są podsłuchiwane. Dwa lata później kolejny bywalec Cipriani, brytyjski przedsiębiorca i były menadżer zespołu Tears for Fears, Johnny

Elichaoff, rzucił się z dachu londyńskiej galerii handlowej po plajcie spowodowanej katastrofalną inwestycją w ropę naftową.

Policja uznała wszystkie trzy zdarzenia za zwykłe samobójstwa i nie zawracała sobie głowy badaniem wątku zastraszania przez mafię. Szpiedzy z River House podejrzewali jednak, że ślady mogą prowadzić do Rosji, więc znów zapytali dyskretnie Amerykanów, czy coś na ten temat wiedzą. Langley odpowiedziało, że nazwiska Castle'a, Curtisa i Elichaoffa pojawiają się w ich bazie danych w kontekście działalności rosyjskich zabójców na terenie Wielkiej Brytanii. Według amerykańskiego wywiadu ich zgony należały do „klastra samobójstw" (*suicide cluster*) wywołanych manipulacją, zastraszaniem albo substancjami psychoaktywnymi. Poza tym niedawno doszło do nieudanej próby zamachu, która również niepokoiła szpiegów po obu stronach Atlantyku.

W 2010 roku bankier Gierman Gorbuncow oskarżył biznesmenów związanych z Kremlem i mafią o sfuszerowaną próbę zabójstwa i uciekł z Rosji do Londynu. W marcu 2012 roku czterdziestopięcioletni finansista przygotowywał się do złożenia wniosku o azyl polityczny w Wielkiej Brytanii. W najbliższym czasie miał też się spotkać w Londynie z przedstawicielami rosyjskich służb śledczych i przekazać im materiały potwierdzające, że rzeczywiście w Moskwie usiłowano go zabić. Pewnego wieczoru Gorbuncow wysiadł z czarnej londyńskiej taksówki przed swoim domem w Canary Wharf. Nie zauważył, że w ciemnościach czai się szczupła zakapturzona postać. Napastnik oddał do bankiera cztery strzały z pistoletu z tłumikiem i rozpłynął się w labiryncie zaułków.

Gorbuncow ledwo uszedł z życiem. Przez kilka tygodni leżał w śpiączce w szpitalu, a jego pokoju strzegło dwudziestu uzbrojonych policjantów. Po odzyskaniu przytomności oskarżył swoich wrogów o zlecenie zabójstwa. Strzelanina w Canary Wharf jest uznawana za przełomowy moment działalności rosyjskiej mafii w brytyjskiej stolicy. Aktywność rosyjskich gangów w Londynie nasilała się stopniowo od dekady, rodzime gangi też były znane z brutalności, ale gangsterzy na ogół unikali otwierania ognia na ulicach miasta. Gdyby rozzuchwalona moskiewska mafia zaczęła załatwiać swoje porachunki na oczach przechodniów, dotknięta

ostrymi cięciami budżetowymi policja nie miałaby środków, żeby stawić im czoło.

Tymczasem Young przestał liczyć na ochronę policji i zwrócił się o pomoc do starego znajomego z przestępczego podziemia Londynu. Od czasów kiedy jako początkujący kryminalista wykonywał rozmaite robótki dla głowy najpotężniejszej rodziny mafijnej w Londynie, minęło dwadzieścia lat, ale fikser zachował ciepłe relacje z Patrickiem Adamsem, który zawsze pamiętał o urodzinach Scarlet i Sashy. Pewnego zimowego popołudnia w 2012 roku panowie odbyli długą, zakrapianą alkoholem rozmowę w pubie Barley Mow w Mayfair, po której Young powiedział znajomym, że „nic mu nie grozi”, bo jest „zaopiekowany”. Ale kiedy w zapadającym zmierzchu żegnał się przed pubem ze swoim starym kumplem, nie wiedział, że obaj są obserwowani.

Michelle, zdecydowana odnaleźć zaginione tajemniczo pieniądze, wynajęła prywatnych detektywów, którzy dzień i noc deptali jej byłemu mężowi po piętach. Specjalny zespół inwigilacyjny pieszo, w furgonetkach i na motocyklach śledził go po całym Londynie. Szpiedzy byłej żony filmowali go, kiedy załatwiał interesy w ekskluzywnych barach i restauracjach West Endu, odwiedzał luksusowe hotele i bawił się w Boujis z nową dziewczyną, modelką i gwiazdą *reality show* Noelle Reno. Pewnego zimowego dnia 2012 roku sfilmowali, jak wchodzi do swojego ulubionego pięciogwiazdkowego hotelu Dorchester, udaje się na piętro i po pewnym czasie schodzi roztrzęsiony i śmiertelnie blady. Później Young opowiedział przyjaciołom, że w pokoju hotelowym czekały na niego zbiry z rosyjskiej mafii, które wywiesiły go za okno.

Fikser pognał do swojego mieszkania i chwilę później wyszedł objuczony torbami, przyciskając do piersi naręcze garniturów i koszul. Przeniósł się do pobliskiego dwugwiazdkowego hoteliku Columbia, zupełnie nie w jego kosztownym stylu, gdzie zameldował się pod fałszywym nazwiskiem i zapłacił gotówką. Pracującym dla Michelle detektywom udało się wsunąć przez szparę pod drzwiami mikrofon i nagrali, jak Scot omawia przez telefon przekazanie „papierów” jakiejś osobie w Rosji i zapewnia nieznanego rozmówcę, że Bieriezowski siedzi „cicho jak mysz pod miotłą”. Zadzwonił też

do Sashy i po raz kolejny powiedział, że się boi i że powinna szybko zabrać siostrę i matkę w jakieś bezpieczne miejsce.

I właśnie wtedy z Michelle niespodziewanie skontaktowała się Moskwa. Rosyjski rząd zaproponował spotkanie.

Moskwa, luty 2012 roku

Kiedy w mroźny lutowy poranek samolot Aerofłotu wylądował na lotnisku Szeremietiewo, ziemię pokrywała półmetrowa warstwa śniegu. Michelle i jej prawniczka bez problemów przeszły przez odprawę paszportową, opuściły terminal przylotów i wsiadły do samochodu przysłanego przez człowieka, który zorganizował ich wizytę w Moskwie. Był nim Howard Hill, prywatny detektyw z Londynu szczycący się bezpośrednimi kontaktami w rosyjskich sferach rządowych.

Hill zaproponował barter: Michelle opowie o interesach byłego męża z Bieriezowskim rosyjskim prokuratorom, którzy chcą dorwać oligarchę, a w zamian za to oni podzielą się z nią swoją wiedzą o zaginionym majątku Younga.

Na zachętę Hill powiedział Michelle, że FSB posiada informacje łączące Younga i Bieriezowskiego z szeregiem lukratywnych kontraktów na obiekty sportowe w Brazylii, Ukrainie i Wielkiej Brytanii, a także z budową stadionu na igrzyska olimpijskie w Soczi. Skontaktował jej adwokatkę z prawnikami Aerofłotu, którzy oznajmili, że ich zdaniem Young pomógł Bieriezowskiemu wyprowadzić i ukryć kilkaset milionów dolarów zdefraudowanych z państwowych linii lotniczych. Hill zaznaczył, że jeśli Michelle chce się dowiedzieć więcej, musi zaoferować coś w zamian.

Tymczasem sądowi udało się wreszcie zmusić Younga do udzielenia odpowiedzi na pytania o Projekt Moskwa; szczegóły tego przedsięwzięcia znajdowały się na twardym dysku, który przeszukano w trakcie postępowania sądowego. Przy tej okazji wyszła na jaw intryga, która pozwoliła Bieriezowskiemu zainwestować pieniądze w budowę centrum handlowo-biznesowego w stolicy Federacji Rosyjskiej. Przed wyjazdem prawniczka Michelle

poprosiła swojego asystenta o przygotowanie kopii odnośnych dokumentów. Panie zabrały je ze sobą do Moskwy.

Samochód zatrzymał się przed nieciekawym szarym budynkiem w pobliżu Kremla. Michelle i prawniczka bocznymi drzwiami weszły do środka, gdzie powitał je potężny mężczyzna z końskimi zębami i czarnym zjeżonym wąsem, który przedstawił się jako Wadim Jałowicki.

Zastępca prokuratora generalnego Federacji Rosyjskiej był lojalnym i zaufanym sługą Kremla. To właśnie jemu powierzono odpowiedzialne zadanie pokrzyżowania planów brytyjskim policjantom, którzy w 2007 roku odwiedzili Moskwę w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa Litwinienki. Jałowicki uniemożliwił im wtedy przesłuchanie Dmitrija Kowtuna. Kierował również zespołem prokuratorów, który pomagał w Londynie Władimirowi Terłukowi oskarżonemu przez Bieriezowskiego o zniesławienie, i to on dostarczył brytyjskiemu sędziemu pisemne oświadczenie Ługowoja. Teraz pracował nad nowym sposobem zalezienia za skórę najbardziej znienawidzonemu przez Kreml rosyjskiemu oligarsze.

Jałowicki bez wstępów oświadczył, że biuro prokuratora generalnego dysponuje informacjami o byłym mężu Michelle, które mogą być przedmiotem wymiany. Był jednak pewien szkopuł: śledczy, który zajmował się tą sprawą, niespodziewanie trafił do szpitala, więc dziś nie uda się z nim spotkać. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, by Michelle już teraz oddała twarde dyski, które przywiozła ze sobą z Anglii. Kobieta odmówiła. Powiedziała, że przekaże dowody dopiero wtedy, kiedy zobaczy, co mają do zaoferowania Rosjanie.

Następnego dnia, po wystawnej kolacji w kompanii prokuratorów i funkcjonariuszy rządu, prawniczka Michelle otrzymała mejl od Hilla. Detektyw pisał, że spotkał się z wysokim oficerem FSB, który twierdzi, że agencja ma „grubą teczkę” na Younga. Panie poleciały z powrotem do Anglii i dalsze rozmowy odbywały się na odległość. W zamyśle miały doprowadzić do powtórnego spotkania z Jałowickim.

Przez jakiś czas Hill kursował między Moskwą a Londynem, przekazując Michelle prośby prokuratury o dowody współpracy Younga z Bieriezowskim. Poprosił ją również o zdjęcie i dane z jego

paszportu, potrzebne do sprawdzenia, kiedy fikser przebywał w Rosji. Prawniczka Michelle podała datę urodzenia Younga i przekazała kilka jego fotografii. Potem kontakt nagle się urwał. Hill zawiadomił, że prokuratura w Moskwie zrezygnowała z dalszej współpracy.

Michelle nie zbliżyła się ani o krok do znalezienia zaginionych miliardów. Nie wiedziała też, że kremlowskie służby zdołały już zlokalizować jej byłego męża. Zresztą w 2012 roku nie tylko rosyjski wywiad interesował się Youngiem.

Także szpiedzy z NSA pilnie śledzili niepokojące poczynania fiksera. Informacje uzyskane z podsłuchu jego rozmów telefonicznych miały tak wielką wagę, że część z nich zaklasyfikowano jako „ściśle tajne". Jest to najwyższy poziom tajności, zarezerwowany wyłącznie dla danych wywiadowczych, których ujawnienie mogłoby spowodować „wyjątkowo poważne zagrożenie" dla bezpieczeństwa państwa.

Amerykanie uważnie obserwowali osoby z kurczącego się gwałtownie środowiska rosyjskich dysydentów w Wielkiej Brytanii, a Young był jedną z jego kluczowych postaci. Kolejni ludzie z otoczenia Bieriezowskiego i jego fiksera przenosili się na tamten świat i należało koniecznie ustalić, czy zginęli z rąk zabójców nasłanych przez Kreml, w wyniku mafijnych porachunków, czy też z premedytacją doprowadzono ich do samobójstwa. Amerykanie nie wykluczali, że część podejrzanych zgonów nie miała nic wspólnego z Rosją. Ale pod koniec 2012 roku amerykański wywiad uzyskał alarmujące dane wywiadowcze na temat kolejnego zamachu na brytyjskiej ziemi. I tym razem nie było cienia wątpliwości, kto stoi za tą zbrodnią.

XVIII

St. George's Hill, hrabstwo Surrey, listopad 2012 roku

Pod szczytem wzgórza reflektory wyłowiły z wilgotnego mroku bezwładne ciało. Szef kuchni w białym stroju służbowym wyskoczył z samochodu i rzucił się na ratunek. Mężczyzna, który leżał na poboczu, był potężnie zbudowany, ciemnowłosy i biały jak prześcieradło. Kucharz próbował go reanimować, ale nieznajomy kilkakrotnie zwymiotował i kiedy przyjechała karetka, był już zupełnie nieprzytomny. Wkrótce jego serce przestało bić.

Zmarłym był Aleksandr Pieriepieliczny, zagadkowy multimilioner, który dwa lata wcześniej wynajął luksusową rezydencję w enklawie bogaczy St. George's Hill w hrabstwie Surrey. Rzadko pokazywał się poza domem, sąsiedzi widywali go głównie wtedy, gdy biegał po ogrodzonym terenie. Rankiem 10 listopada 2012 roku czterdziestoczteroletni Rosjanin wrócił do domu z tajemniczej wyprawy do Francji. Nikt nie wiedział, z kim się tam spotkał. Żonie i ośmioletniej córeczce wspomniał przy obiedzie, jedząc rosyjską zupę szczawiową, że Paryż był „okropnie szary" i „ponury". Potem wyszedł pobiegać, i to był ostatni raz, kiedy widziały go żywego.

Policjanci, którzy przybyli na miejsce zdarzenia, uznali, że Pieriepieliczny zmarł na atak serca. Nie przyszło im do głowy, żeby sprawdzić jego nazwisko w specjalnej bazie danych udostępnianych policji przez wywiad. Gdyby to zrobili, dowiedzieliby się, że denat był na muszce Kremla.

Przed wyjazdem z Moskwy Pieriepieliczny zajmował się praniem pieniędzy zarobionych przez urzędników państwowych na gigantycznym przekręcie, zorganizowanym wspólnie z gangiem niejakiego Dmitrija Kłujewa. Gangsterzy przejmowali kontrolę nad prywatnymi przedsiębiorstwami. Następnie fałszowali dokumenty, wykazując horrendalne straty, i zwracali się do urzędu skarbowego o zwrot nadpłaconego podatku. Skorumpowani urzędnicy fiskUSA

wydawali korzystną decyzję i zgarniali swoją dolę. Pieriepieliczny należał do grupy finansistów, którzy wyprowadzali zyski z tego procederu do fikcyjnych zagranicznych spółek, kontrolowanych przez Kłujewa i jego rządowych wspólników. W ciągu kilku lat niezakłóconej niczym działalności przestępcy zdefraudowali w ten sposób równowartość ośmiuset milionów dolarów.

Kłopoty zaczęły się, gdy właściciel brytyjsko-amerykańskiego funduszu hedgingowego Bill Browder zauważył, że grupa należących do niego rosyjskich przedsiębiorstw nagle zaczęła przynosić ogromne straty. Browder zwrócił się do moskiewskiego prawnika i specjalisty od podatków, Siergieja Magnickiego, prosząc go o zbadanie sprawy. Magnicki odkrył, że firmy zostały nielegalnie przejęte przez gang Kłujewa i złożyły wnioski o najwyższy w historii Rosji zwrot podatku (dwieście trzydzieści milionów dolarów). Fiskus wydał pozytywną decyzję w wigilię Bożego Narodzenia i wypłacone pieniądze prosto z kont przestępców popłynęły za granicę. Pokopawszy głębiej, Magnicki zidentyfikował skorumpowanych urzędników skarbówki, którzy zatwierdzili zwrot podatku, a także współpracującego z Kłujewem podpułkownika z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. I powiadomił o wszystkim władze.

Było to posunięcie tyleż odważne, co naiwne. Zamiast wszcząć dochodzenie przeciwko urzędnikom i gangsterom, których nazwiska podał im prawnik, władze aresztowały jego samego pod zarzutem oszustwa. Trzydziestosiedmioletni Magnicki spędził niemal rok za kratami, ale nawet bestialsko pobity nie zmienił zeznań. Trzymano go w ciemnej, zalanej fekaliami celi, pozbawiając jedzenia, wody, snu, dostępu do toalety – a także pomocy medycznej. W listopadzie 2009 roku, po 358 dniach skrajnie złego traktowania, Magnicki zmarł w więzieniu.

Wstrząśnięty Browder nagłośnił sprawę w mediach, wywołując potężną falę oburzenia. Domagał się nałożenia sankcji na urzędników Kremla, którzy odpowiadali za oszustwo i śmierć jego prawnika. To właśnie wtedy Pieriepieliczny zwrócił się w końcu przeciwko swoim mocodawcom. W 2010 roku, niedługo po śmierci Magnickiego, uciekł do Wielkiej Brytanii, gdzie zgłosił się do Browdera z imponującym kompletem dokumentów zawierających wszystkie szczegóły przekrętu.

Dostarczone przez finansistę pliki pozwalały krok po kroku prześledzić, jak ukradzione rosyjskim podatnikom pieniądze wyciekły do skomplikowanego systemu zagranicznych kont i funduszy zarejestrowanych w kilkunastu krajach Zachodu, w tym w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Kupowano za nie za luksusowe jachty, prywatne samoloty, luksusowe nieruchomości w Londynie, ubrania od najdroższych projektantów i edukację w prywatnych szkołach. Pieriepieliczny zafundował sobie luksusową rezydencję przy plaży na wyspie Palma Dżamira w Dubaju dla męża jednej z zaangażowanych w przekręt urzędniczek i przelał na jego konto kilka dodatkowych milionów. W przemyconych z Rosji dokumentach znajdował się również trop wiodący do jeszcze mroczniejszej rzeczywistości.

Pieriepieliczny podpisał w imieniu swoich wysoko postawionych klientów umowy na wielomilionowe transfery na konto jednej z szemranych spółek, które przestępcy wykorzystywali do wyprowadzania pieniędzy z Rosji. Jej właścicielem, ukrytym za nieprzeniknioną korporacyjną zasłoną dymną, był niejaki Issa al-Zejdi. Amerykański rząd uzna go później za jedną z czołowych postaci syryjskiego programu badań nad bronią chemiczną. Zachodnie agencje wywiadowcze będą potrzebowały sporo czasu na połączenie wszystkich kropek. Tak czy inaczej, Pieriepieliczny ujawnił nie tylko szczegóły gigantycznej malwersacji, lecz także zdemaskował rozbudowany system fikcyjnych funduszy, przez które wedle niego najprawdopodobniej przepływały nielegalne dochody Kremla. Z tych pieniędzy finansowano między innymi syryjskie prace nad bronią chemiczną, której reżim Baszszara al-Asada użył później przeciwko własnym obywatelom.

Browder przekazał otrzymane od Pieriepielicznego informacje władzom wszystkich państw, przez które przepływały zdefraudowane pieniądze. W kilkunastu krajach wszczęto dochodzenie. Szwajcaria zamroziła konta członków gangu Kłujewa; Stany Zjednoczone nałożyły sankcje na czterdzieści dziewięć osób, wśród których znaleźli się wysocy urzędnicy Kremla. Wielka Brytania odmówiła jednak przeprowadzenia śledztwa, mimo dowodów, że trzydzieści milionów funtów z wyłudzonego zwrotu podatków trafiło do Londynu. Kilka lat później wysoki rangą

detektyw z National Crime Agency stwierdził publicznie, że próbował rozpocząć dochodzenie, ale musiał je zamknąć na polecenie wysokiego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Brytyjski rząd nie chciał się wikłać w awanturę z Moskwą z powodu zdefraudowanych pieniędzy rosyjskich podatników, poza tym odcięcie dopływu rosyjskich środków do osłabionej recesją gospodarki nie leżało bynajmniej w jego interesie. Kiedy wiosną 2012 roku po sfałszowanych, jak mówiono, wyborach Władimir Putin wrócił na Kreml, premier Zjednoczonego Królestwa natychmiast rozpoczął kampanię pochlebstw. Latem David Cameron zaprosił nowego-starego prezydenta Federacji Rosyjskiej do Londynu, gdzie razem obejrzeli walki judoków na olimpiadzie. Kilka miesięcy później British Petroleum połączyło się z rosyjskim państwowym gigantem naftowym Rosnieft w największy na świecie koncern paliwowy. A potem rozpoczęły się przygotowania do wizyty Camerona w Soczi wiosną następnego roku.

Kolejne zadrażnienie na linii Rosja–Zachód nastąpiło, kiedy Moskwa poparła walczący z własnymi obywatelami reżim al-Asada. Cameron uznał się za męża opatrznościowego zdolnego pogodzić zwaśnione strony. Pojechał do Soczi, gdzie przy dziesięciodaniowym obiedzie, zakończonym puddingiem karmelowym w kształcie Big Bena, rozmawiał z Putinem o rzezi w Syrii. Zgodził się wówczas na wznowienie współpracy brytyjskiego wywiadu z FSB, zerwanej po zabójstwie Aleksandra Litwinienki.

Przedstawione przez Pieriepielicznego materiały nie skłoniły rządu Wielkiej Brytanii do działania, ale wzbudziły żywe zainteresowanie szpiegów z River House. Uciekinier z Rosji zamieszkał w hrabstwie Surrey i został cennym źródłem dla kilku zachodnich wywiadów badających przepływy brudnych rosyjskich pieniędzy. Zdawał sobie sprawę, że podjął ryzykowną grę. Trzy inne osoby, które brały udział w ujawnionym przez niego przekręcie, zdążyły już umrzeć w podejrzanie młodym wieku, kolejno: na wątrobę, zawał serca i wypadając z balkonu. Pierwszy zwiastun, że może go spotkać podobny los, pojawił się niedługo po jego przyjeździe do Wielkiej Brytanii.

Pierieplicznyj dowiedział się od swoich kontaktów w Rosji, że znajduje się na czarnej liście. Wkrótce na jego konto na Skypie

zaczęły przychodzić wiadomości z pogróżkami. Następnie firma Dmitrija Kowtuna złożyła przeciwko niemu serię pozwów sądowych, domagając się zwrotu pieniędzy, które rzekomo był winien zabójcy Litwinienki. Finansista wykupił w towarzystwie Legal & General wielomilionową polisę na życie, by zabezpieczyć żonę i córkę na wypadek swojej „przedwczesnej” śmierci. W tym celu musiał się poddać badaniom lekarskim, które wykazały, że jest zdrów jak ryba; mimo to, kiedy kilka miesięcy później stracił przytomność i umarł na poboczu drogi, policja hrabstwa Surrey bez namysłu przyjęła wersję, że umarł na zawał serca.

Kiedy Browder dowiedział się o śmierci sygnalisty, zażądał na piśmie, żeby policja przeprowadziła dochodzenie w sprawie zabójstwa, jednak na wyraźne polecenie z góry śledczy z Surrey zbagatelizowali jego podejrzenia. Miesiąc po śmierci Pieriepielicznego odbyła się odprawa, na której zastępczyni komendanta brytyjskiej policji Olivia Pinkney poleciła im „nie robić szumu”. Zaznaczyła enigmatycznie, że aczkolwiek góra jest zainteresowana rozwiązaniem sprawy, ktoś z ministerstwa „naciska, by tego zanadto nie rozdmuchiwać”. Prowadzący śledztwo komisarz Ian Pollard obiecał, że jego wypowiedzi dla mediów będą „krótkie i węzłowate”. Policja ogłosiła, że „nic nie wskazuje na to, by w sprawę śmierci Pieriepielicznego były zamieszane osoby trzecie”. Poinformowała, że „przeprowadzone wszechstronne badania toksykologiczne nie wykryły w organizmie denata żadnej podejrzanej substancji”. Dochodzenie zostało umorzone.

I tu nastąpił niespodziewany zwrot akcji. Towarzystwo ubezpieczeniowe, w którym Pieriepieliczny wykupił polisę na życie, zleciło własne badania treści żołądka denata. W czasie rutynowej rozprawy w celu ustalenia przyczyny zgonu prawnicy towarzystwa powiedzieli koronerowi, że botaniczka z Kew Gardens znalazła coś, co przypominało śmiertelną truciznę. Wykryta przez nią substancja wykazywała uderzające podobieństwo strukturalne do rzadkiej azjatyckiej rośliny kwitnącej z rodzaju *Gelsemium*, której ludowa nazwa brzmi „łamacz serc”, ponieważ jej liście powodują zatrzymanie pracy serca. Ekspertka zeznała na rozprawie, że nie mogła zidentyfikować substancji ze stuprocentową pewnością, ponieważ przysłana do laboratorium próbka była zbyt mała. Kolejne

badania okazały się niemożliwe, gdyż policyjni toksykolodzy nie zabezpieczyli zawartości żołądka denata.

To sensacyjne odkrycie wystarczyło, by francuska policja wszczęła własne śledztwo w sprawie zagadkowej wizyty Pieriepielicznego w Paryżu tuż przed rzekomym zawałem serca. Detektywi zanotowali, że finansiście „grożono w Rosji śmiercią” i że on sam powiedział szwajcarskim prokuratorom, iż jego nazwisko figuruje „na liście przyszłych ofiar rosyjskiej mafii”. Zaklasyfikowali sprawę jako „podejrzenie morderstwa z premedytacją”.

Pobyt Pieriepielicznego w Paryżu spowijała nieprzenikniona mgła tajemnicy. Nikt z jego rodziny, przyjaciół ani partnerów biznesowych nie miał pojęcia, co sygnalista robił w stolicy Francji. Wiadomo było tylko, że 6 listopada Rosjanin wsiadł do pociągu Eurostar, następnie zameldował się w dwóch paryskich hotelach jednocześnie i 10 listopada wrócił do Anglii z opiewającym na tysiąc dwieście euro rachunkiem ze sklepu Prada na Champs Élysées, jednak nie przywiózł żadnych zakupów.

Francuzi szybko trafili na świeży jeszcze trop. Policjanci dotarli do nagrań, z których wynikało, że przez dwie ostatnie noce w pięciogwiazdkowym hotelu Bristol Pieriepielicznemu towarzyszyła młoda Ukrainka i że wieczorami finansista zamawiał do pokoju „zestaw dla dwojga”. Dziesiątego listopada oboje opuścili hotel, po czym Pieriepieliczny wrócił do Anglii i umarł.

Francuscy policjanci poinformowali o swoich ustaleniach brytyjskich kolegów, ale szefostwo Scotland Yardu odrzuciło propozycję nawiązania współpracy, twierdząc, że nie widzi powodów do podejrzeń ani potrzeby kontynuacji dochodzenia. Poproszono Francuzów, żeby wstrzymali się z dalszymi czynnościami, dopóki koroner nie określi przyczyny śmierci. Ustalenia francuskiej policji powędrowały więc na lata do archiwum, a w Londynie śledztwo koronera po interwencji z góry utknęło w miejscu. Tymczasem kobieta, z którą Pieriepieliczny spędził ostatnią noc swojego życia, mieszkała sobie spokojnie w luksusowym penthousie przy wytwornej Avenue Victor Hugo i nikt jej o nic nie pytał.

Paryż, listopad 2012 roku

Elmira Miedynska szła po Champs Élysées, kołysząc biodrami, i każdy, kto ją mijał, musiał się za nią obejrzeć. Znacznie wyższa od swojego towarzysza, o jasnych, niemal białych włosach i ciemnych, przenikliwych oczach, nawet na najelegantszej ulicy Paryża stanowiła olśniewające zjawisko. Rankiem tamtego dnia dwudziestodwulatka przyleciała z Ukrainy na trzecią schadzkę z Aleksandrem Pieriepielicznym.

Poznali się kilka miesięcy wcześniej w ekskluzywnym klubie w Kijowie, a potem spędzili razem krótkie wakacje w Nicei na francuskiej Riwierze. Pieriepieliczny nie opowiadał jej o swoim życiu, rodzinie ani o pracy. Był przystojny w nierzucający się w oczy sposób, miał rozwichrzone włosy i łagodne spojrzenie; lubił zabierać ją na zakupy i przysyłać jej róże. Jednak dość wcześnie pojawiły się pierwsze sygnały, że coś mu chyba zagraża.

Kiedy byli latem we Francji, podczas lunchu w bistro Pieriepieliczny odebrał telefon, wyszedł na ulicę i zaczął krzyczeć do słuchawki. Gdy znowu spotkała się z nim w Paryżu, od razu zauważyła, że jego nerwy są w strzępach. Zaprosił ją na obiad do Four Seasons, ale ciągle wychodził z restauracji i odbierał tajemnicze telefony. Był coraz bardziej przerażony. Tak mu się trzęsły ręce, że wylał sobie wino na koszulę. Miedynska wpadła w złość. Była przyzwyczajona, że mężczyźni, których zaszczyca swoim towarzystwem, skupiają całą uwagę wyłącznie na niej. Powiedziała to bez ogródek Pieriepielicznemu. Zaproponował, że w ramach przeprosin zabierze ją na zakupy.

W ten sposób znaleźli się na Champs Élysées, gdzie finansista kupił jej torebkę Prady i czarne louboutinsy. Ale kiedy przymierzała pantofle, chodził nerwowo tam i z powrotem, sprawdzając mejle. Był tak rozkojarzony, że w końcu wziął zły rozmiar. To ją kompletnie zmroziło i nawet „zestaw dla dwojga" w Le Bristol nie zdołał poprawić jej nastroju.

Następnego dnia Pieriepieliczny próbował udobruchać Miedynską kolacją w Buddha-Bar, dla zmylenia ewentualnych śledzących zarezerwowawszy najpierw stoliki w kilku innych restauracjach. Jednak podczas całego posiłku był spięty. Nie chciał usiąść plecami

do pozostałych gości, zażądał miejsca na antresoli z widokiem na ulicę i dwa razy, bez skosztowania, odsyłał do kuchni swoje danie. Kiedy w końcu zaczął jeść, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zdenerwowanego. Miedynska zauważyła, że ciągle zerka na schody. Ledwie skończyli, oświadczył, że musi wyjść na świeże powietrze.

Na ulicy poczuł się lepiej. Wrócili do hotelu, trzymając się za ręce. Ale po wejściu do pokoju Pieriepieliczny zamknął się na godzinę w toalecie. Puścił wodę, lecz to nie zagłuszyło odgłosów wymiotowania. Kiedy wreszcie opuścił ubikację, miał przekrwione oczy, a jego twarz i skóra były lepkie od potu. Odmówił jednak wezwania lekarza.

Rano znów wszystko wydawało się w porządku. Zjedli śniadanie złożone z jajek na miękko i gorącej czekolady i Pieriepieliczny poprosił Miedynską, żeby spotkała się z nim jeszcze raz przed jego wyjazdem. Ale dziewczyna miała już dosyć. Po powrocie do siebie wysłała mu esemes z przeprosinami, tłumacząc, że się przeziębiła i nie przyjdzie, ale on nawet nie odpisał. Mimo to miała lekkie wyrzuty sumienia.

Niedługo po śmierci Pieriepielicznego Miedynska otworzyła w Paryżu własną firmę odzieżową i zmieniła nazwisko na Elmira Medins. Zamieszkała w luksusowym apartamencie przy Avenue Victor Hugo i zaczęła zamieszczać na Instagramie liczne selfie z pięciogwiazdkowych hoteli i ekskluzywnych restauracji w Paryżu, Dubaju i Mediolanie. Urządziła parę pokazów mody w Le Bristol, w którym bywała dawniej w towarzystwie Pieriepielicznego, i fotografowała się w Four Seasons, gdzie razem jedli.

Kilka miesięcy po znalezieniu zwłok sygnalisty na poboczu drogi w hrabstwie Surrey do Miedynskiej odezwał się oficer śledczy z Wielkiej Brytanii. Detektyw napisał w mejlu, że w telefonie denata znaleziono wiadomości od niej, i zapytał, czy widziała się z nim w Paryżu. Odpisała, że tak. W następnym mejlu detektyw zapytał, czy zna pozostałe cztery kobiety, z którymi esemesował zmarły. Nie znała ich, ale podała policjantowi numer swojego telefonu komórkowego i obiecała, że jeśli dostanie brytyjską wizę, przyleci do Anglii i odpowie na wszystkie jego pytania. Na tym kontakt się urwał.

Ponownie policja odezwała się do Miedynskiej dopiero po kilku latach. Wcześniej odnaleźli ją dziennikarze z BuzzFeed News, którzy przeprowadzili z nią wywiad i opublikowali jej relację. Dopiero wtedy poproszono ją o zeznawanie na rozprawie przed koronerem, która odbyła się z pięcioletnim opóźnieniem. Miedynska zeznała, że „bardzo się przestraszyła", kiedy przeczytała w internecie o śmierci kochanka, bo to ona była „ostatnią osobą, która widziała go w Paryżu".

W międzyczasie popełniono tyle horrendalnych błędów, że poznanie pełnej prawdy o okolicznościach śmierci sygnalisty już nigdy nie będzie możliwe. Policja w Surrey nie tylko wyrzuciła zawartość żołądka denata, lecz także pozbyła się kluczowych danych cyfrowych, które mogły rzucić światło na ostatnie miesiące życia Pieriepielicznego. Zmarły przechowywał w komputerze pliki z pogróżkami otrzymywanymi przez Skype'a, a także szczegóły zagadkowego przelewu na sumę pół miliona dolarów, który otrzymał krótko przed śmiercią. Policjanci przez przypadek wykasowali zarówno pliki z głównego dysku z materiałem dowodowym, jak i backupy, a potem zorientowali się, że pliki zniknęły także z serwera regionalnego wydziału walki z terroryzmem, co oznaczało, że już nie będzie ich można odtworzyć.

Jednocześnie rząd Wielkiej Brytanii swoim zwyczajem robił wszystko, co mógł, by wyłączyć z postępowania koronera część prawdy o zmarłym. Najpierw minister spraw wewnętrznych, powołując się na ochronę interesu publicznego i bezpieczeństwa państwa, zakazał upubliczniania informacji na temat Pieriepielicznego, które znajdowały się w rządowych dokumentach. Kiedy wypłynęła kwestia współpracy sygnalisty z MI6, rząd uzyskał nakaz utajnienia informacji, tym razem dotyczących kontaktów Pieriepielicznego z brytyjskim wywiadem.

W następnych latach ujawniony przez sygnalistę przekręt dalej zbierał krwawe żniwo. Adwokat rodziny Siergieja Magnickiego ledwo przeżył upadek z balkonu na czwartym piętrze. Dwukrotnie próbowano otruć aktywistę domagającego się ukarania skorumpowanych urzędników. Reżyser teatralny, który wystawił sztukę o Magnickim, zmarł nagle na atak serca. Półtora miesiąca

później ten sam los spotkał jego żonę, która – tak się złożyło – była autorką sztuki. Przez cały ten czas rząd Wielkiej Brytanii stał niezłomnie na stanowisku, że w śmierci Aleksandra Pieriepielicznego nie ma nic podejrzanego.

Szpiedzy w Langley byli wściekli. Przecież ostrzegali brytyjskich kolegów, że Rosja zamierza zintensyfikować program likwidowania wrogów państwa na obszarze Zjednoczonego Królestwa. Prywatnie uważali, że „niekompetentne" władze w Londynie powinny zostać pociągnięte do odpowiedzialności za to, że nie powstrzymały zabójczego trendu. Jeden z szefów amerykańskiego wywiadu przygotował dla Kongresu USA poufny raport „o skrytobójstwie jako metodzie działania aparatu państwa Federacji Rosyjskiej", zawierający listę podejrzanych zgonów w Wielkiej Brytanii. Napisał w nim, że „wedle wszelkiego prawdopodobieństwa" Pieriepieliczny został zamordowany na rozkaz samego Putina lub kogoś z jego bliskich współpracowników. MI6 otrzymało dane wywiadowcze, na których opierał się raport. Rząd w Londynie zignorował jednak trop łączący Kreml z kolejnym bezczelnym morderstwem na brytyjskiej ziemi, co jeszcze bardziej rozzuchwaliło Rosjan.

Royal Courts of Justice, Londyn, sierpień 2012 roku

Romana Abramowicza już nie było w zatłoczonej sali rozpraw, kiedy sędzia odczytywała wyrok, natomiast jego przeciwnik wolałby umrzeć, niż przepuścić taką okazję. Po trwającym miesiąc procesie, obfitującym w dramatyczne zwroty akcji, Elizabeth Gloster była wreszcie gotowa wydać orzeczenie. Boris Bieriezowski przybył do Royal Courts of Justice przed czasem, by ponapawać się atmosferą.

Oligarcha był już prawie całkiem spłukany, ale gdyby wyrok zapadł po jego myśli, trzy miliony funtów odszkodowania od dawnego protegowanego postawiłoby go na nogi. Z kolei przegrana oznaczałaby kompletną ruinę, jednak Bieriezowski nie miał zwyczaju marnować czasu na rozważanie najgorszej ewentualności. Kiedy dziennikarze oblegający wejście do najeżonego wieżyczkami gmachu sądu zapytali go, czy sądzi, że wygra, odparł: „Jestem tego pewien". I dodał z godnością: „Wierzę w system".

Bieriezowski twierdził w pozwie, że on i Patarkaciszwili zostali zmuszeni do sprzedania Sibnieftu Abramowiczowi „za rażąco zaniżoną cenę", kiedy Kreml, stosując brudne chwyty, próbował pozbawić ich aktywów w Rosji. Abramowicz przed sądem wszystkiemu zaprzeczył. Zeznał, że Boris i Badri nigdy nie byli udziałowcami koncernu naftowego i że zapłacił im miliard trzysta tysięcy milionów nie po to, by ich wykupić, lecz żeby odwdzięczyć się za *kryszę*, którą zapewnili mu, gdy w latach dziewięćdziesiątych budował swoje biznesowe imperium.

Żadna ze stron nie mogła potwierdzić swoich słów dokumentami, ponieważ wszystkie umowy zawarto ustnie, przypieczętowując je uściskiem dłoni. „Tak prowadziło się wtedy interesy", wyjaśnił sądowi Bieriezowski, nazywając Rosję lat dziewięćdziesiątych „Dzikim Wschodem". Panią sędzię bardziej niepokoiła jednak „liczba świadków, którzy złożyliby lub mogli złożyć rozstrzygające zeznania, ale nie żyją". Wyrok zależał więc od tego, w czyją wersję wydarzeń uwierzy lady Elizabeth Gloster.

Zeznając w sądzie, Bieriezowski jak zwykle dał się ponieść krasomówczej pasji. Wykorzystał okazję, żeby wygłosić zjadliwą krytykę polityki Kremla i wyolbrzymić swoją rolę w budowaniu postkomunistycznej Rosji.

– Nie chcę robić z siebie bohatera, ale znów mnie pan do tego zmusza – powiedział przesłuchującemu go adwokatowi Abramowicza, który zapytał go, jak w pojedynkę zdołał pokonać komunistów i w 1996 roku zapewnić reelekcję Borysowi Jelcynowi.

Za to Abramowicz udzielał wyjaśnień spokojnie, w sposób wyważony i z szacunkiem. Zeznawał po rosyjsku i zwięźle odpowiadał na pytania.

Proces przykuwał uwagę opinii publicznej zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Rosji. Z zeznań świadków wyłaniał się brutalny obraz początków dzikiego kapitalizmu czasów postsowieckich. Galeria dla publiczności była wypełniona do ostatniego miejsca, a w dniu ogłoszenia wyroku woźny sądowy musiał otworzyć sąsiednią salę, żeby wszyscy mogli się zmieścić. Kiedy o godzinie 10.30 Elizabeth Gloster w todze i peruce weszła na salę rozpraw i zajęła miejsce, zapadła cisza jak makiem zasiał. Bieriezowski patrzył, jak sędzia porządkuje papiery, i wyglądał, jakby miał zaraz

wybuchnąć. Gloster obrzuciła chłodnym wzrokiem galerię dla publiczności i przystąpiła do systematycznego miażdżenia argumentacji powoda.

– Po przeanalizowaniu całości zeznań uznałam, że pan Bieriezowski jest nieprzekonującym, z natury niewiarygodnym świadkiem, dla którego prawda jest konceptem chwilowym i elastycznym, dającym się naginać do bieżących potrzeb – oznajmiła. Oligarcha schował twarz w dłoniach. – Czasem świadomie zeznawał niezgodnie z prawdą; kiedy indziej wyraźnie zmyślał na bieżąco – mówiła dalej. – W niektórych momentach odnosiłam wrażenie, że nie tyle kłamie z rozmysłem, ile po prostu uwierzył we własną wersję wydarzeń.

Sędzia stwierdziła, że Abramowicz, w odróżnieniu od Bieriezowskiego, był „prawdomównym i wiarygodnym świadkiem", i uznała jego zeznania za przekonujące.

Bieriezowski wyszedł z sali rozpraw kompletnie oszołomiony. Zamiast odzyskać majątek, musiał uregulować zabójcze honorarium kancelarii prawnej, a na dodatek zapłacić kilka milionów kosztów sądowych Abramowicza. Zwyczajnie nie miał takich pieniędzy. Przecież powiedział sądowi, że sprzedał posiadłość w Wenthworth i kolejno wyzbywał się aktywów, żeby pospłacać najpilniejsze długi. Najboleśniej jednak odczuwał ostre słowa sędzi Gloster, rozbrzmiewające niecichnącym echem w jego głowie. Bieriezowski toczył zajadłą wojnę informacyjną z machiną propagandową rosyjskiego państwa. A teraz, w kilku prostych zdaniach, lady Gloster nieodwracalnie zniszczyła jego wiarygodność.

– Nie mogę się otrząsnąć ze zdumienia po tym, co się dzisiaj wydarzyło – oznajmił czekającym przed sądem dziennikarzom, nieprzytomnie kręcąc głową. – Ten wyrok mógł osobiście napisać Putin.

Wśliznął się na tylne siedzenie czarnego mercedesa i odjechał.

Oligarcha przeniósł się do skromnej rezydencji w Ascot, należącej do jego byłej żony, i próbował pogodzić się z losem. Czuł się zdradzony przez brytyjski system sprawiedliwości, który był ostatnią miłością jego życia. Posprzedawał co bardziej wartościowe przedmioty, w tym portret Lenina autorstwa Andy'ego Warhola, i zwolnił obstawę, pozostawiając tylko jednego goryla.

Oficer ochrony poważnie się martwił. Po nieudanej próbie Atłangierijewa wykryto kilka nowych spisków na życie Bieriezowskiego, a aktualne dane wywiadowcze nie wskazywały, by zagrożenie słabło. Najbardziej niepokoiły go informacje otrzymane od izraelskiego wywiadu, Mosadu, którego agenci dowiedzieli się, że FSB zamierza wysadzić Bieriezowskiego w powietrze przy okazji jego następnej wizyty w Białorusi. Rosyjskie służby planowały zaminować w tym celu piętnaście kilometrów drogi, którą oligarcha jeździł na daczę pod Mińskiem. Oficer ochrony pojechał na Down Street, żeby uprzedzić oligarchę, że jeśli znów pojedzie do Białorusi, będzie po nim. Ledwie udało się zażegnać jedno niebezpieczeństwo, pojawiły się następne. Po niedawnej reelekcji Putina rosyjska sekcja MI6 zaobserwowała gwałtowny wzrost liczby spisków na życie Bieriezowskiego, gdy tymczasem Scotland Yard zdążył się przyzwyczaić, że oligarcha sam płaci za swoją ochronę. Rządowy program zaciskania pasa drastycznie okroił budżet policji i nie było mowy, by państwo wzięło na siebie utrzymywanie wieloosobowej ekipy goryli, zespołów obserwacyjnych i kuloodpornych samochodów potrzebnych do zapewnienia Bieriezowskiemu bezpieczeństwa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale bez takiej ochrony oligarcha stawał się łatwym celem dla płatnych zabójców.

Kolejna wizyta na Down Street jeszcze bardziej wzmogła niepokój oficera ochrony. Bieriezowski, który zawsze roztaczał wokół siebie aurę bogactwa i władzy, wyglądał okropnie. Był wymięty i wyraźnie zmęczony, jakby spał w garniturze. Policjant próbował przekonać oligarchę do zwiększenia obstawy, ale Bieriezowski przerwał mu w pół słowa. Powiedział, że kiedyś tarzał się w pieniądzach, ale teraz jest kompletnie spłukany.

– Jestem bankrutem – powtórzył na pożegnanie.

Ponieważ nie było go stać na dalsze procesowanie się z rodziną Patarkaciszwilego oraz innymi udziałowcami New World Value Fund, musiał przystać na ugodę i zadowolić się nieujawnioną kwotą. W wynegocjowaniu porozumienia pomógł Scot Young, który pojawił się na Down Street w dżinsach i czapeczce bejsbolowej. Dawny fikser oligarchy wyglądał niechlujnie i miał podkrążone oczy. „Przypomina menela”, pomyślała na jego widok sekretarka

Bieriezowskiego. Pieniądze z ugody natychmiast się rozeszły na spłatę długów i honoraria prawników.

Oligarcha całą duszą pogrążył się w nieszczęściu. Zaczął przyjmować leki przeciwdepresyjne i założył profil na Facebooku, na którym lamentował nad swoją nieposkromioną pychą. „Kajam się i proszę o wybaczenie za chciwość. Pożądałem bogactw i nie myślałem o tym, że zdobywam je, krzywdząc innych”, wyznał w jednym ze swoich przegadanych postów. „Kajam się i proszę o wybaczenie za to, że doprowadziłem Putina do władzy”. Rosyjskie media z lubością rozpisywały się o dramatycznej sytuacji oligarchy, a jego wróg na Kremlu złośliwie zacierał ręce.

W grudniu 2012 roku Andriej Ługowoj triumfował nad upadkiem Bieriezowskiego z mównicy rosyjskiego parlamentu. „Bierze antydepresanty”, szydził, „i już nie lata do Izraela prywatnym odrzutowcem, tylko klasą ekonomiczną”. Oznajmił też, że według jego informacji „nikczemny magnat” zamierza przeznaczyć pieniądze z New World Value Fund na dalsze finansowanie swojej walki z Kremlem. Oskarżył udziałowców, z którymi zawarł ugodę, o „czysty cynizm, podłość i zupełny brak wstydu”. Oznajmił, że materiały dowodowe, do których dotarł, przekazał prokuraturze i FSB, i wezwał do surowego ukarania każdego, kto będzie wspierał zbankrutowanego oligarchę.

Niedługo po wystąpieniu Ługowoja w Dumie Państwowej do Michelle Young zgłosił się kolejny prywatny detektyw, utrzymujący, że ma kontakty z FSB.

– Bieriezowskim już się zajmują – powiedział. Uznał, że powinna wiedzieć, iż szef jej byłego męża skończy niebawem „w worku na zwłoki”.

Część siódma. Upadek

XIX

Titness Park, Ascot, Anglia, 23 marca 2013 roku

Kiedy ostatni ochroniarz Bieriezowskiego otworzył drzwi i wszedł do środka, w domu panowała dziwna cisza. Było wczesne popołudnie przeraźliwie zimnego marcowego dnia. Avi Navama wrócił z miasta, gdzie przez kilka godzin załatwiał sprawunki dla szefa. Były agent Mosadu ochraniał Bieriezowskiego od sześciu lat, dostatecznie długo, by traktować go jak przybranego ojca. Dawniej nie spuściłby swojego szefa z oka nawet na minutę, ale teraz, kiedy reszta obstawy została zwolniona, a służba odeszła, musiał wystarczyć mu za wszystkich. Był jego kucharzem, niańką i chłopcem na posyłki, a równocześnie robił, co mógł, by w pojedynkę zapewnić mu bezpieczeństwo.

Navama długo nie mógł znaleźć Bieriezowskiego w urządzonej w stylu *château* rezydencji, w której oligarcha mieszkał od kilku miesięcy na koszt byłej żony. Ochroniarz zauważył, że skrzynka odbiorcza w komórce szefa jest przepełniona nieodebranymi telefonami i esemesami. Wbiegł schodami na górę. Drzwi łazienki były zamknięte, na pukanie nikt nie zareagował. Kiedy walenie też nie przyniosło efektu, Izraelczyk otworzył drzwi energicznym kopniakiem.

Oligarcha leżał na podłodze na plecach, z rozrzuconymi ramionami i fioletową twarzą. Szyję miał ciasno owiniętą oddartym kawałkiem ulubionego kaszmirowego szala. Pozostała jego część zwisała z metalowej obudowy prysznica. Navama ukląkł i przyłożył ucho do ust szefa, ale nie usłyszał szmeru oddechu. Arcywróg Kremla był martwy.

Bieriezowski już od kilku miesięcy wyglądał, jakby wybierał się na tamten świat. Kiedy na miejsce zdarzenia dotarli policjanci, ochroniarze powiedzieli im, że zmarły mówił o samobójstwie. To samo usłyszeli od najstarszej córki Bieriezowskiego, Jelizawiety. Drzwi do łazienki były zamknięte od środka i nie stwierdzono

śladów walki. W pewnym momencie zapiszczał wykrywacz promieniowania i wybuchła niewielka panika. Wezwani na miejsce specjaliści od niebezpiecznych materiałów nie wykryli jednak promieniowania. Policja pospiesznie ogłosiła, że okoliczności śmierci Bieriezowskiego nie budzą podejrzeń, i zamknęła dochodzenie.

Wiadomość, że najbardziej arogancki z rosyjskich oligarchów odebrał sobie życie, podzieliła jego znajomych. Część osób, które widziały, jak się pogrążał w depresji, sądziła, że rzeczywiście mógł popełnić samobójstwo, jednak większość przyjaciół była zdania, że w końcu dopadły go rosyjskie służby, które od lat dybały na jego życie.

– Kurwa, sprzątnęli Borisa – stwierdził Jonathan Brown.

Lord Bell, człowiek Bieriezowskiego od PR-u, mówił każdemu, kogo spotkał, że nie ma cienia wątpliwości, kto załatwił oligarchę.

– Wkurzysz Putina i już po tobie – powtarzał.

Oficer ochrony był zdruzgotany zgonem Bieriezowskiego. Myślał o całym wysiłku włożonym w ratowanie krnąbrnego oligarchy przed śmiercią: o panicznych telefonach wykonywanych za każdym razem, kiedy wykryto nowe zagrożenie; o burzliwych naradach w COBRA; o ostrzeżeniach przekazywanych dyskretnym szeptem pod latarnią na rogach ulic w Mayfair.

„Tyle pracy na nic”, myślał z bólem. Wybrał się na Down Street, żeby złożyć wyrazy współczucia pracownikom Bieriezowskiego, ale z gabinetu na pierwszym piętrze już wynoszono meble.

Putin zręcznie wykorzystał smutny koniec rosyjskiego wroga publicznego numer jeden do swoich celów propagandowych. Stwierdził publicznie, że oligarcha niedługo przed śmiercią przysłał mu dwa listy, w których zdawał się na łaskę Kremla.

„Napisał, że popełnił wiele błędów i prosi o wybaczenie i o zgodę na powrót do ojczyzny”, powiedział Putin, dodając, że oba listy były „bardzo osobiste” i że ich nie upubliczni, ponieważ Bóg nie pochwala takiej niedyskrecji. Dziennikarzy poinformowano, że jeden z listów przekazał prezydentowi Roman Abramowicz, który także otrzymał wiadomość z przeprosinami.

Rosyjskie media, w większości kontrolowane przez Kreml, zareagowały na śmierć Bieriezowskiego, plując jadem. Stacja

Pierwyj Kanał, należąca niegdyś do Borisa i Badriego, nazwała zmarłego oligarchę „geniuszem zła”. Jedna z moskiewskich gazet stwierdziła, że był „mistrzem chaosu”, a pewien brukowiec porównał go do „ogromnego pająka, który złapał w swoją sieć wielu dygnitarzy”. W najbardziej wyważony sposób przedstawiła sylwetkę Bieriezowskiego niezależna „Nowaja Gazieta”, w której pracowała kiedyś Anna Politkowska. Autor artykułu na stronie redakcyjnej napisał, że dla oligarchy „Rosja była partią szachów, ale taką, w której tylko jemu wolno przestawiać piony i figury”.

Rodzina Bieriezowskiego była pewna, że Boris został zamordowany. Planowali wakacje w Izraelu, a u ukochanej matki oligarchy niedawno zdiagnozowano końcowe stadium raka. Nie mieściło im się w głowie, że mógłby ją porzucić, kiedy zostało jej tylko kilka miesięcy życia.

To prawda, że Jelizawieta powiedziała policji, że ojciec wspominał o samobójstwie, ale jej zdaniem to wcale nie wykluczało udziału osób trzecich. Uważała, że jego załamanie nerwowe i osunięcie się w depresję nastąpiło zbyt gwałtownie, by mogło być naturalne. Pewnego dnia, roztrzęsiony i blady, wyznał jej, że czuje się, jakby jego rozpacz wynikała z „zachodzącej w organizmie reakcji chemicznej”. Podejrzewała, że w ostatnich miesiącach życia mógł być podtruwany jakąś substancją psychoaktywną, i postanowiła przeprowadzić własne śledztwo.

Kilka miesięcy później na rozprawie przed koronerem była przygotowana do odpierania argumentów policji forsującej wersję samobójstwa. Najpierw zeznawał urzędowy anatomopatolog, który przeprowadził sekcję zwłok i stwierdził w swoim raporcie, że obrażenia denata mogą być skutkiem powieszenia. Jelizawieta powołała jednak na świadka wybitnego niemieckiego specjalistę od uduszeń, doktora Bernda Brinkmanna, który przeanalizował zdjęcia zwłok i zdecydowanie odrzucił wersję policji.

Brinkmann oświadczył, że obrażenia Bieriezowskiego „wykluczają” śmierć w wyniku powieszenia. Jego zdaniem oligarcha został zaatakowany od tyłu i uduszony, a dopiero po śmierci powieszony na obudowie prysznica. Ślady na jego szyi „całkowicie różniły się od śladów powieszenia” – były okrągłe zamiast w kształcie litery V – a twarz przybrała intensywnie fioletową

barwę, podczas gdy ofiary powieszenia zazwyczaj są blade. Denat miał także świeżą ranę z tyłu głowy i złamane żebra. Na obudowie prysznica znajdował się niezidentyfikowany odcisk palca.

Policjanci tłumaczyli, że te dodatkowe obrażenia mogły powstać, kiedy urwał się szal i zwłoki spadły na podłogę. Stwierdzili, że „są USAtysfakcjonowani" stwierdzeniem, że było to samobójstwo. Jednakże Jelizawieta podchodziła do sprawy z innej perspektywy.

– Śmierć mojego ojca była na rękę wielu osobom – powiedziała koronerowi. Zapytana, czy wie, co to za osoby, odparła: – Myślę, że wszyscy wiemy.

Kreml od lat próbował uciszyć Bieriezowskiego i córka oligarchy uważała, że wreszcie mu się to udało.

– Ojciec mówił, że Putin jest zagrożeniem dla całego świata – powiedziała koronerowi. – Teraz wszyscy to widzą.

Ze względu na tak sprzeczny materiał dowodowy koroner, doktor Peter Bedford, stwierdził, że nie jest w stanie ustalić ponad wszelką wątpliwość przyczyny śmierci, i wydał werdykt otwarty.

Nie wszyscy w Scotland Yardzie zgadzali się z oficjalnym stanowiskiem policji. Kilku oficerów ochrony specjalistycznej i wydziału zwalczania terroryzmu, którzy przez lata obserwowali Bieriezowskiego, podejrzewało, że w końcu został zamordowany. Wiedzieli, że Rosjanie potrafią upozorować samobójstwo, przedtem podając ofierze substancje psychoaktywne, żeby uwiarygodnić załamanie psychiczne.

Zgodnie z utrwalonym już zwyczajem szpiedzy z River House zapytali dyskretnie swoich amerykańskich kolegów, co wiedzą na temat śmierci Bieriezowskiego. Odpowiedź, która nadeszła z Langley, nikogo nie zaskoczyła. Amerykanie podejrzewali, że oligarcha padł ofiarą morderstwa. Nie mieli dowodów wskazujących bezpośrednio na Kreml, ale uważali, że ślady prowadzą do Rosji. Bieriezowski prowadził zdalną wojnę z rosyjskim państwem i narobił tam sobie licznych wrogów. Wielu z nich życzyło mu śmierci, ale Amerykanie przypuszczali, że przypieczętował swój los jednym konkretnym czynem.

Bieriezowski podpisał na siebie wyrok, aktywnie wspierając pomarańczową rewolucję, która w 2004 roku obaliła prorosyjski rząd w Kijowie. Teraz, gdy największy wróg zszedł ze sceny, Putin

zaczął się przygotowywać do ostatecznego odzyskania wpływów w Ukrainie.

Krym i Londyn, luty 2014 roku

Zamaskowani mężczyźni, którzy w lutym 2014 roku otoczyli pod osłoną nocy budynek krymskiego parlamentu, byli uzbrojeni w kałasznikowy i granaty z napędem rakietowym pochodzące z wyposażenia rosyjskiej armii. Nie mieli mundurów, jedynie nieoznakowane zielone kamizelki kuloodporne, ale działali pod auspicjami Kremla. Nad ranem prorosyjskie oddziały przypuściły szturm na siedzibę władz niespokojnego separatystycznego regionu, a następnie zajęły lotnisko i zablokowały ukraińskie bazy wojskowe. O wschodzie słońca na dachu budynku parlamentu powiewała flaga Federacji Rosyjskiej. Półwysep znalazł się pod okupacją.

Zamaskowani żołnierze, których Putin nazywa czule swoimi „zielonymi ludzikami", przygotowali prezydentowi Rosji grunt do dalszych działań. Na rozkaz Władimira Putina rosyjskie siły dokonały faktycznej aneksji oderwanego od Ukrainy półwyspu i miesiąc później Krym został oficjalnie wcielony do Federacji Rosyjskiej. Zielone ludziki, uzbrojone i wspierane przez Moskwę, zajęły tereny wokół Doniecka i Ługańska, proklamując niezależne „republiki ludowe" i wszczynając regularną wojnę z rządem Ukrainy, w której zginęły już tysiące ludzi. Jednocześnie Kijowem wstrząsnęła fala cyberataków inspirowanych przez Moskwę.

Aneksja Krymu położyła ostatecznie kres nadziejom na to, że przy odpowiedniej zachęcie Kreml może się stać poważnym partnerem krajów demokratycznych.

Gdy liberalny świat wreszcie zdecydował się usunąć Rosję ze swoich instytucji i sojuszy, zrobił to szybko i sprawnie. Państwa NATO zerwały polityczną i wojskową współpracę z Moskwą. Rosja została zawieszona w prawach członka Grupy G8. Prezydent USA Barack Obama podpisał serię dekretów nakładających na Rosję dotkliwe sankcje. Za jego przykładem poszła Unia Europejska. Decyzje te boleśnie odbiły się na rosyjskiej gospodarce, i tak już osłabionej gwałtownym spadkiem cen ropy naftowej na światowych

rynkach. Zawieszono ważne dwustronne rozmowy handlowe, a Stany Zjednoczone odkurzyły plany zbudowania tarczy antyrakietowej w bezpośrednim sąsiedztwie rosyjskiej granicy.

W pierwszych dniach po inwazji na Krym premier Wielkiej Brytanii kurczowo trzymał się nadziei, że sprawa rozejdzie się po kościach bez szkody dla jego relacji z Putinem. Jeden z jego najważniejszych doradców dał się sfotografować przed siedzibą rządu z dokumentem stwierdzającym, że Zjednoczone Królestwo nie poprze sankcji ani nie „zamknie londyńskiego centrum finansowego dla Rosjan”. Ale wkrótce okazało się, że faktyczny zabór części terytorium suwerennego europejskiego państwa to jednak trochę za wiele.

– Robienie z nim interesów stało się niemożliwe – zauważył prywatnie jeden z ministrów, kiedy rząd w końcu ocenił sytuację.

David Cameron tym razem musiał się zdobyć na stanowczą odpowiedź. Wygłosił oświadczenie, którego adresatem był Kreml, i tym razem nie przebierał w słowach. „Mamy do czynienia z wtargnięciem na terytorium suwerennego państwa i zawłaszczeniem części jego obszaru, z pogwałceniem obowiązującego prawa”, powiedział premier Wielkiej Brytanii. Zjednoczone Królestwo, idąc za przykładem pozostałych państw NATO, zawiesiło współpracę wojskową z Moskwą i poparło sankcje.

Kolejne posunięcie Rosji było chyba najbezczelniejsze ze wszystkich. W lipcu prokremlowscy bojownicy z Doniecka zestrzelili samolot pasażerski malezyjskich linii lotniczych, lecący z Amsterdamu do Kuala Lumpur. Zginęło dwieście dziewięćdziesiąt osiem osób. Na nagraniach z satelity i innych materiałach cyfrowych widać, jak w dniu katastrofy wojskowa wyrzutnia rakietowa przyjeżdża z Rosji na terytorium kontrolowane przez prokremlowskich separatystów, staje w polu, odpala pocisk, a następnie zostaje w pośpiechu odtransportowana z powrotem do Rosji. Wśród zabitych pasażerów samolotu Malesian Airlines było dziesięcioro obywateli Wielkiej Brytanii.

Cameron zażądał rozmowy telefonicznej z Putinem, żeby wyrazić swój gniew, ale musiał czekać trzy dni, zanim prezydent Federacji Rosyjskiej się do niego odezwał. To ostatecznie przelało czarę goryczy.

Dwa dni później ówczesna szefowa resortu spraw zagranicznych Theresa May ogłosiła wreszcie, że rząd przeprowadzi publiczne dochodzenie w sprawie zabójstwa Aleksandra Litwinienki.

Była to niesłychana wolta ze strony władz Wielkiej Brytanii. Do tamtego momentu konsekwentnie sabotowały one wysiłki dotarcia do prawdy podejmowane przez Marinę Litwinienko. Kiedy starania o ekstradycję podejrzanych spełzły na niczym i trzeba było przeprowadzić oficjalne śledztwo w celu ustalenia przyczyny śmierci byłego oficera FSB, nadzorujący postępowanie sędzia zapowiedział, że będzie ono „jawne i nieustraszone". Spełnienie tej obietnicy uniemożliwił mu jednak minister spraw wewnętrznych, któremu udało się uzyskać nakaz utajnienia istotnych dla śledztwa informacji. Sędzia sir Robert Owen wezwał Home Office do wszczęcia publicznego dochodzenia, w ramach którego utajnione materiały mogłyby zostać przedstawione na zamkniętych rozprawach, ale spotkał się z odmową. Theresa May w pisemnym wyjaśnieniu przyznała, że jednym z czynników, które zaważyły na tej decyzji, były „relacje międzynarodowe".

Wdowa po Litwinience zaskarżyła decyzję władz do sądu i nie zamierzała ustąpić, nawet kiedy odrzucono jej wniosek o zwrot kosztów sądowych z funduszu pomocy prawnej.

– Muszę dotrzeć do prawdy – powiedziała ze łzami w oczach dziennikarzom czekającym na nią na schodach gmachu Wysokiego Trybunału (High Court) w Londynie. W lutym 2014 roku trzyosobowy skład sędziowski wydał wyrok na jej korzyść, orzekając, że podpisana przez Theresę May odmowa wszczęcia śledztwa w sprawie śmierci jej męża była „nieracjonalna" i „prawnie wadliwa".

Od tego momentu rząd nabrał wody w usta. Jednak sześć dni po zestrzeleniu malezyjskiego boeinga Theresa May ogłosiła, że Marina Litwinienko będzie wreszcie miała swoje śledztwo.

Ściągnięto Owena, który znów miał przewodniczyć postępowaniu w sądzie, i rozpoczęły się przesłuchania. Przez półtora roku zajadli krytycy polityki Putina zeznawali na jawnych rozprawach, a sędzia w zaciszu gabinetu studiował ściśle tajne dane wywiadowcze dokumentujące wstrząsającą prawdę o rosyjskim przywódcy, do którego Zachód tak długo robił maślane oczy.

Jeśli brytyjski rząd sądził, że mocno spóźnione działania na rzecz zadośćuczynienia sprawiedliwości podziałają na Rosjan trzeźwiąco, to srodze się przeliczył. W czasie gdy londyński sąd badał okoliczności zabójstwa Litwinienki, Putin po raz kolejny zagrał Zachodowi na nosie, osobiście odznaczając Andrieja Ługowoja orderem „Za Zasługi dla Ojczyzny”. A FSB przygotowywało się do dalszego zintensyfikowania kampanii samobójstw.

XX

Marylebone, Londyn, grudzień 2014 roku

Był mroźny księżycowy wieczór, gdy z okna budynku przy cichym londyńskim placu wypadło bezwładne ciało i z głuchym odgłosem uderzyło o ogrodzenie z kutego żelaza, nadziewając się na jeden z kolców. Szpikulec przebił klatkę piersiową denata. Kapiąca na chodnik krew zbierała się w kałużę w krążku światła ulicznej latarni. W otwartym oknie na czwartym piętrze było jasno.

Zwłoki należały do Scota Younga. Dawny superfikser Bieriezowskiego był dziewiątą osobą z kręgu przyjaciół i partnerów biznesowych oligarchy, która zmarła w podejrzanych okolicznościach w Wielkiej Brytanii. Mimo to policjanci, którzy późnym wieczorem 8 grudnia 2014 roku weszli do jego penthouse'u, nie zdjęli nawet odcisków palców. Natychmiast uznali, że sam odebrał sobie życie, i zamknęli śledztwo.

W ostatnich miesiącach przed śmiercią Young był cieniem dawnego siebie. Rzekome samobójstwo Bieriezowskiego wpędziło go w skrajne przerażenie, dzień i noc nękali go wściekli wierzyciele i nadal bronił się zaciekle przed ujawnieniem szczegółów swoich interesów z Rosjanami.

Po siedmiu latach, sześćdziesięciu pięciu rozprawach rozwodowych i trzech miesiącach spędzonych w areszcie za obrazę sądu Scot nadal nie wyjawił, co się stało z jego majątkiem. Wysoki Trybunał musiał wydać wyrok „w ciemno".

– Na ile udało mi się oszacować, pozwany nadal ma czterdzieści pięć milionów funtów, które ukrywa przed sądem – ocenił sędzia.

Zgodnie z wyrokiem Young musiał oddać byłej żonie połowę tej sumy oraz zwrócić jej kilkumilionowe koszty procesu. Sąd zastrzegł, że „ten dług nie ulegnie przedawnieniu".

Michelle nie dostała tych pieniędzy, więc w dalszym ciągu prowadziła poszukiwania zaginionej fortuny byłego męża. Za to krótko przed jego śmiercią odebrała rozpaczliwy telefon.

– Na końcu wszystko kompletnie spieprzyłem – usłyszała w słuchawce głos ojca swoich córek. – Poddaję się i naprawdę cię przepraszam. Byłaś dobrą żoną. Robiłaś mi kąpiele, parzyłaś herbatę.

Zaproponował, że jeśli przestanie grzebać w jego sprawach, następnego dnia zapłaci jej trzydzieści milionów funtów. Ale Michelle warknęła gniewnie, że to o wiele za mało „po tych wszystkich miliardach, które udało ci się schować".

– Dobra, Michelle – powiedział, zanim się rozłączył. – Próbowałem być miły. W takim razie dostaniesz figę z makiem.

Kiedy kilka tygodni później Michelle dowiedziała się, że jej były mąż zabił się, wypadając z okna, przyszła roztrzęsiona do pokoju młodszej córki.

– Twój ojciec właśnie wyskoczył z okna – powiedziała w oszołomieniu.

Sasha nie uwierzyła. Zaledwie kilka dni wcześniej ojciec zadzwonił do niej, żeby powiedzieć, że idzie na zamknięty oddział psychiatryczny, bo tam będzie bezpieczny. Z tego, co wiedziała, miał tam zostać jeszcze kilka dni.

Sasha zatelefonowała do siostry i razem pojechały do szpitala, ale ojca tam nie było. Zadzwoniły na policję i z płaczem błagały, żeby ktoś powiedział, co się dzieje, ale nie uzyskały żadnych informacji. Pielęgniarka przyniosła im chusteczki higieniczne. Dopiero z artykułów prasowych, które wyguglowały na smartfonach, dowiedziały się, że ojciec wypadł z czwartego piętra i nadział się na kolce ogrodzenia tak skutecznie, że dopiero po wycięciu jego części udało się usunąć zwłoki. Dziewczęta, słaniając się na nogach, wyszły ze szpitala i zwymiotowały na chodnik.

Policjanci zapukali do ich drzwi dopiero o ósmej wieczorem – dwa dni po śmierci Younga. Powiedzieli, że ojciec się zabił i że śledztwo zostało umorzone.

Ale Sasha i Scarlet „absolutnie" nie były w stanie uwierzyć, że ojciec odebrał sobie życie. Wiedziały, że do samego końca myśl o śmierci budziła w nim przerażenie i że miał bardzo silny lęk wysokości. Poza tym – teraz to sobie uświadomiły – rozmawiały

z nim przez telefon dosłownie minuty przed tym, jak jego zwłoki zawisły na ogrodzeniu. Wydawał się spokojny i pogodny.

Zadzwoniły do Jonathana Browna. Lubiły go od czasów dzieciństwa w Miami. Szlochając, powiedziały mu, że tata nie żyje. Reakcja Browna była jednoznaczna. To oczywiste, że jego przyjaciel został „kuźwa, stuknięty, jak cała reszta". Król wędzonego łososia miał tylko dwa pytania. Pierwsze: czyja to sprawka? I drugie: czy jestem następny na liście?

Brown przyleciał pierwszym samolotem do Londynu i zawarł pakt z córkami Younga: skoro policja nie zamierza się tym zająć, muszą sami przeprowadzić śledztwo.

Zaczęli od rozmowy z narzeczoną denata, Noelle Reno. Kobieta powiedziała im to samo co policji: że zerwali ze sobą bezpośrednio przed zgłoszeniem się Younga do szpitala i że 8 grudnia o 15.30 jej były wrócił niespodziewanie do domu, gdy czekała właśnie na ślUSArza, który miał zmienić zamki. Wybuchła dzika awantura, ale Young powiedział, że nie wyjdzie. W nerwach upuściła jeden ze swoich telefonów do sedesu, więc po wymianie zamków zostawiła Younga w mieszkaniu i poszła kupić nowy. Kiedy była poza domem, Scot zadzwonił na jej drugi telefon i powiedział: „Zaraz wyskoczę z okna. Nie rozłączaj się, to wszystko usłyszysz". Rozłączyła się i dosłownie kilka minut później, o 17.15, były fikser Bieriezowskiego wypadł z okna.

Według Sashy i Scarlet opowieść Noelle nie pasowała do wesołego głosu ojca, kiedy dzwonił do nich mniej więcej w tym samym czasie. Scarlet nadal miała w telefonie wiadomość głosową, którą zostawił jej o 17.08: „Cześć Scarlet, chciałem ci tylko powiedzieć, że bardzo cię kocham i tęsknię. U mnie wszystko w porządku, nic się nie martw. Kocham cię! Pa". Odsłuchała tę wiadomość chyba z tysiąc razy, próbując zrozumieć, co się wydarzyło.

Minutę później – pięć minut przed wypadnięciem z okna – Young zadzwonił do Sashy, żeby jej też powiedzieć, że ją kocha i że zadzwoni rano. Zdarza się, że samobójcy telefonują przed śmiercią do bliskich, nie zdradzając swoich zamiarów, ale dziewczęta nie były w stanie uwierzyć, że ojciec chciał się z nimi w ten sposób pożegnać, dlatego postanowiły kontynuować śledztwo.

We troje, z Brownem, pojechali na miejsce zdarzenia. Kiedy poprzedniego wieczoru przejeżdżali samochodem obok budynku, nadal był otoczony policyjną taśmą, a w oknie na czwartym piętrze paliło się światło. Teraz bez przeszkód weszli przez wyważone drzwi do mieszkania, w którym Young spędził ostatnie chwile życia.

W środku panował idealny porządek. Ściany były nieskazitelnie białe, podłogę pokrywała beżowa wykładzina. Znaleźli sypialnię i podeszli do otwieranego pionowo okna, z którego rzekomo wyskoczył Young. Kiedy dziewczęta spróbowały je otworzyć, okazało się, że rama nie daje się podnieść na więcej niż 50 centymetrów, co odpowiadało mniej więcej długości od czubków palców do łokcia denata. Wszyscy troje stwierdzili, że trudno sobie wyobrazić, jak samobójca się przez nie przepchnął.

– Okno jest malutkie, a ojciec był bardzo wysoki – powiedziała Sasha. – Musiałby się przeciskać przez kilka minut.

Jeszcze dziwniejsze były puszka Diet Coke, paczka mentolowych marlboro i zapalniczka w równym rządku na wąskim parapecie. Żeby ich nie strącić, ojciec musiałby przeskoczyć nad nimi i dać szczupaka w mały otwór, co wydawało się mało prawdopodobne.

Dziewczęta wyjrzały przez okno, prosto na najeżone kolcami ogrodzenie – ostatni widok, który ich ojciec zobaczył przed śmiercią. Nie potrafiły sobie wyobrazić, że mógłby się rzucić na metalowe szpikulce, zwłaszcza przy jego paraliżującym niemal lęku wysokości. I wtedy zobaczyły coś, co je kompletnie zmroziło.

Na zakurzonym zewnętrznym parapecie widniały dwa rządki podłużnych śladów, w odległościach odpowiadających rozstawowi palców męskiej dłoni.

– Pewnie starał się utrzymać, żeby nie spaść – powiedziała Sasha.

Obfotografowali mieszkanie, otwarte okna i ślady na parapecie. Policjanci nie zadali sobie nawet tyle trudu. Młode kobiety otworzyły szafę i wyjęły dwa duże miękkie swetry, które wciąż pachniały ich tatą. Ubrały się w nie i poszły się rozmówić z policją.

Przyjął je sierżant Christopher Page, który uznał, że okoliczności zgonu Younga nie budzą podejrzeń, i zamknął śledztwo. Dziewczęta poinformowały Page'a, że ojciec zadzwonił do nich w sobotę poprzedzającą jego śmierć i powiedział, że jest w niebezpieczeństwie. Scarlet wyjaśniła, że znał różnych

„nieprzyjemnych ludzi”, w tym „wielu rosyjskich oligarchów”, i „ciągle” powtarzał, że „musimy uważać na siebie, musimy uważać na siebie, wszyscy musimy na siebie uważać”. Podkreśliły, że w niejasnych okolicznościach zmarło już kilku przyjaciół i partnerów biznesowych Younga, w tym Boris Bieriezowski i Robbie Curtis.

Na Page’u nie zrobiło to żadnego wrażenia. Zeznania Reno, która twierdziła, że Young tuż przed śmiercią groził, że popełni samobójstwo, przeważyły szalę i sprawa była zamknięta.

– Z naszego punktu widzenia wszystko jest jasne – oświadczył policyjny detektyw. – Sam powiedział, że zamierza się zabić.

– Czy były sprawdzane nagrania z monitoringu, żeby ustalić, kto wchodził i kto wychodził z mieszkania? – zapytał Brown.

– Prawda jest taka, że nie wiem – odparł Page. – Przypuszczam, że nie.

– Niech pan chociaż rzuci na nie okiem – poprosił Brown. – Ze względu na dziewczęta. To im nie daje spokoju, a będą musiały z tym żyć przez resztę życia.

– Możemy opierać się wyłącznie na informacjach i dowodach, którymi dysponujemy – stwierdził cierpko Page. – Zdaję sobie sprawę, że to nie wystarczy, aby odpowiedzieć na wszystkie pytania i zweryfikować wasze teorie.

– Chcemy obejrzeć nagrania z monitoringu – upierała się Scarlet. – To dla nas naprawdę ogromnie ważne. Czy policja przeprowadziła oględziny mieszkania? Zdjęliście chociaż świeże odciski palców? W ogóle coś zrobiliście?

– W danych okolicznościach nie było takiej potrzeby – odparł Page.

Detektyw zgodził się w końcu przejrzeć nagrania z monitoringu, ale później policja przyznała, że zrobiła to dopiero po pół roku, na wyraźne żądanie koronera. Dziwnym zbiegiem okoliczności, gdy Young wypadał z okna, obiektywy wszystkich okolicznych kamer były zwrócone w inną stronę.

Michelle była głęboko przekonana, że jej mąż sfingował własną śmierć, by uniknąć zapłacenia zasądzonych przez sąd pieniędzy. W głębi duszy Brown łudził się, że ma rację. Żeby się upewnić, poszedł do kostnicy zobaczyć zwłoki. „Ale będzie numer, jeśli to nie

on”, pomyślał, postanawiając w razie czego zachować tę rewelację dla siebie. Płonne nadzieje.

W pogrzebie Younga uczestniczyło około dwustu osób. W tłumie żałobników do Sashy i Scarlet podszedł nieznajomy mężczyzna i powiedział im, żeby „przestały zadawać pytania”. Zrobiło się jeszcze dziwniej, kiedy Brown wstał, żeby wygłosić mowę pogrzebową, i pastor przedstawił go jako „jednego z ostatnich żyjących uczestników Projektu Moskwa”. Trumnę zdobiły białe róże ułożone w napis „TATA”. Kiedy składano ją do grobu, Brown stał obok córek zmarłego przyjaciela.

Rozprawa w celu ustalenia przyczyny zgonu odbyła się w lipcu 2015 roku. Jako pierwsza zeznawała psychiatra, która wypisała Younga ze szpitala w dniu jego śmierci. Lekarka powiedziała, że zgłosił się na oddział z objawami „epizodu maniakalnego”. Twierdził, że „słyszy głosy, boi się, bo jacyś ludzie chcą go zabić”. Przyznał, że chciał się rzucić z balkonu, ale powstrzymała go myśl o córkach. Po czterech dniach w szpitalu wydawał się „stabilny i w dobrej formie” i twierdził, że nie ma zamiaru zrobić sobie krzywdy. Lekarka uznała, że epizod maniakalny prawdopodobnie był skutkiem zażycia kokainy, i wypisała go do domu. Opuścił szpital około 14.30.

Zdaniem psychiatry było mało prawdopodobne, by po wyjściu ze szpitala Young miał nawrót manii, chyba że znów zażył dużą dawkę narkotyków. Testy toksykologiczne wykazały jednak, że w momencie śmierci był trzeźwy i czysty. Jaqueline Julyan, prawniczka córek zmarłego, odtworzyła wiadomość, którą Young zostawił w skrzynce głosowej Scarlet, i zapytała lekarkę, co może na jej podstawie powiedzieć o stanie umysłu pacjenta.

– Mogę jedynie stwierdzić, że nic nie wskazuje na manię – odparła pani doktor.

Następnie doktor Nathaniel Cary, urzędowy patolog, który przeprowadził sekcję zwłok, zeznał, że oprócz obrażeń spowodowanych „przebiciem [klatki piersiowej]” Young miał poważną ranę głowy, zadrapania na rękach, dłoniach, nadgarstku i kciuku oraz rozciętą opuszkę środkowego palca. Julyan zapytała, skąd wzięły się te dodatkowe obrażenia. Cary stwierdził, że denat prawdopodobnie „uderzył o coś, spadając”. Wyjaśnił, że „czasem

ludzie zawadzają o markizę”. Ale w domu na Montagu Square nie było markiz, a nikt nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, czy znajdowało się tam cokolwiek innego, o co Young mógłby zahaczyć.

Patolog stwierdził, że rany na rękach i dłoniach denata były „typowe dla wypadnięcia [z okna]”, bo „ludzie chwytają się różnych rzeczy, żeby powstrzymać upadek”. Tyle że Young podobno wyskoczył z własnej woli. Prawniczka Scarlet i Sashy zapytała go, czy zbadał parapet okna pod kątem ewentualnych śladów, które mogłyby tłumaczyć obrażenie.

– To zadanie techników kryminalistycznych – odparł.

Po anatomopatologu miejsce dla świadków zajął sierżant Page. Julyan pokazała mu zdjęcia śladów na parapecie i zapytała, czy przybyli na miejsce policjanci je zbadali.

– Nie widziałem ich – stwierdził Page. – Było ciemno.

Prawniczka zapytała, czy widział je, kiedy był tam po raz drugi, w ciągu dnia.

– Nie byłem tam po raz drugi – powiedział Page.

Detektyw przyznał, że okno było bardzo małe i na pewno nie było łatwo się przez nie wydostać. Wyciągnął ręce jak Superman, aby zademonstrować, że Young mógł „rzucić się dłońmi naprzód”. Ale to nie wyjaśniało rany na głowie. Julyan była ciekawa, dlaczego policjanci zamknęli okno, nie zrobiwszy przedtem zdjęcia, żeby udokumentować, jak wąski był otwór, przez który wyskoczył rzekomy samobójca.

– Mogła się zmienić pogoda i nie chcieliśmy ryzykować zniszczenia śladów – odparł policjant. Tyle że funkcjonariusze nie przeprowadzili oględzin mieszkania i nie zabezpieczyli ich.

Prawniczka zapytała, jak to się stało, że Young wylądował na płocie, metr od ściany budynku?

– Nie mam pojęcia – brzmiała szczera odpowiedź. – Sprawdzamy takie rzeczy, gdy okoliczności zdarzenia są podejrzane, a w tym wypadku nie były.

Po wysłuchaniu świadków koroner orzekła, że o ile policja słusznie uznała, że „okoliczności nie budzą podejrzeń”, o tyle nie może zignorować zeznań córek i kilku przyjaciół zmarłego, którzy twierdzą, że kiedy rozmawiali z Youngiem przez telefon bezpośrednio przed jego śmiercią, wydawał się zupełnie spokojny.

Podkreśliła też, że policja nie wyjaśniła śladów na parapecie ani tego, jak to się stało, że ciało zawisło na ogrodzeniu metr od muru budynku.

– Uznaję, że materiał dowodowy nie pozwala określić stanu umysłu i zamiarów denata w momencie wypadnięcia przez okno – podsumowała. Rozprawa zakończyła się otwartym werdyktem.

Był to niewątpliwy sukces Sashy i Scarlet, które nie chciały, żeby śmierć ich ojca została uznana za samobójstwo. Dziewczęta nadal jednak nie wiedziały, w jaki sposób zginął. Ale chociaż policja zamknęło śledztwo, zlekceważyła rosyjski trop i nie przejęła się ich podejrzeniami, szpiedzy z River House znów zapytali dyskretnie kolegów zza oceanu, czy ich zdaniem fikser nie zapłacił przypadkiem za swoje niebezpieczne interesy z Rosjanami.

Szpiedzy z Langley odpowiedzieli twierdząco. Rzeczywiście podejrzewali, że śmierć Younga była kolejnym zabójstwem, które prześliznęło się przez sieć Scotland Yardu. I również zdawała się świadczyć, że rosyjska kampania likwidowania wrogów państwa poza granicami Rosji zaczyna eskalować. Obawy Amerykanów, że plaga skrytobójstw może dotrzeć na ich stronę Atlantyku, wkrótce okazały się słuszne. Jeden z czołowych cyngli Putina znajdował się już w drodze do Waszyngtonu.

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii, listopad 2015 roku

Pewnego październikowego dnia 2015 roku, jeszcze przed świtem, architekt globalnej machiny propagandowej Putina wmaszerował do hotelu Dupont Circle w Waszyngtonie i zapłacił 1200 dolarów gotówką za apartament w penthousie. Michaił Lesin był geniuszem reklamy. W 2000 roku pomógł Bieriezowskiemu wywindować do władzy Putina, a następnie, już jako minister do spraw prasy, telewizji i radiofonii oraz środków komunikacji masowej, brutalnie rozprawił się z niezależnymi mediami. Krzepki mężczyzna o wielkiej niekształtnej czaszce, który nie przebierając w środkach, podporządkował władzy rosyjskie gazety i stacje telewizyjne, zyskał przydomek „Buldożer”. Jego największym osiągnięciem było

stworzenie stacji Russia Today „promującej Rosję za granicą”. Pod fachowym okiem Lesina RT oplotła swoimi mackami cały świat.

Rosnące wpływy RT poważnie niepokoiły rząd Stanów Zjednoczonych. Stacja szerzyła fałszywe informacje na temat okupacji wschodniej Ukrainy i zestrzelenia malezyjskiego boeinga na taką skalę, że ówczesny sekretarz stanu John Kerry nazwał ją „tubą propagandową” Moskwy. W końcu Lesin dojrzał jednak do tego, by zdradzić twór własnego umysłu. Postanowił zasilić szeregi dysydentów, którzy uciekli na Zachód po wypadnięciu z łask Kremla. Przyleciał do Waszyngtonu, żeby spotkać się z przedstawicielami amerykańskich władz.

Medialny baron stracił swoją pozycję w 2009 roku, kiedy ster władzy przejął od Putina Dmitrij Miedwiediew. Lesin wyjechał z Rosji i przez trzy lata podróżował po świecie, szastając pieniędzmi i urządzając dzikie imprezy na pokładzie wartego czterdzieści milionów dolarów jachtu o nazwie Serenity. Coraz więcej czasu spędzał w Stanach Zjednoczonych, gdzie za dwadzieścia osiem milionów dolarów kupił dla siebie i dzieci – córki Jekatieriny Lesiny, szefowej pionu działu administracyjnego RT, i syna Antona Lessine’a, producenta hollywoodzkich filmów – luksusową posiadłość w Kalifornii. Lesin zawsze wiódł hulaszcze życie, ale poza ojczyzną ostatecznie stracił kontrolę nad swoim alkoholowym nałogiem. W 2012 roku, gdy Putin wrócił na Kreml i ponownie zaprosił go na salony władzy, był już na najlepszej drodze do rynsztoka.

Lesin wrócił do Moskwy, żeby przejąć kierowanie holdingiem Gazprom-Media. Zaczął od podporządkowania państwowemu koncernowi medialnemu kilku istniejących jeszcze niezależnych redakcji. Jednak zwyczaj znikania na wielodniowe pijatyki osłabił jego notowania na Kremlu; do tego doszły kłopoty spowodowane stylem życia podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych. Szastanie pieniędzmi w Kalifornii wzbudziło podejrzliwość senatora Rogera Wickera, który w 2014 roku zwrócił się do Departamentu Sprawiedliwości o przeprowadzenie śledztwa w związku z podejrzeniem o korupcję i pranie brudnych pieniędzy. Kiedy sprawą zajął się wydział kryminalny Departamentu Sprawiedliwości, Lesin nagle odszedł z Gazprom-Media i rozpłynął się w powietrzu.

Latem 2015 roku amerykański wywiad dowiedział się, że były szef propagandowej machiny Kremla ukrywa się w Europie, drżąc o swoje życie. W Moskwie mówiono, że kiedy Lesin ściągnął na siebie uwagę amerykańskich organów ścigania, Putin podziękował mu za dalszą współpracę. Pozbawiony *kryszy* Kremla, bojąc się zemsty licznych wrogów, zaszył się w Alpach Szwajcarskich i wyraźnie potrzebował ochrony.

Takie rozłamy w ściśle kontrolowanej orbicie Kremla należą do rzadkości, a kiedy już się zdarzą, stanowią znakomitą okazję do uzyskania cennych informacji. W tym przypadku Departament Sprawiedliwości miał znakomite narzędzie nacisku na Lesina w postaci śledztwa w sprawie jego majątku. Amerykańskie władze nawiązały przez pośredników kontakt ze zbiegiem, który dał do zrozumienia, że jest gotów współpracować.

W ten sposób Lesin trafił do hotelu Dupont Circle, gdzie zameldował się we wczesnych godzinach rannych 4 listopada 2015 roku. Następnego dnia miał umówione spotkanie z urzędnikami Departamentu Sprawiedliwości, którzy spodziewali się uzyskać od niego wiele cennych informacji o kulisach funkcjonowania stacji RT i jej powiązaniach z Kremlem. Ale żeby to się udało, musiałby przeżyć następne dwadzieścia cztery godziny.

Lesin zamknął się w penthousie z dwiema butelkami czerwonego wina, sześciopakiem Guinnessa i flaszką Johnnie Walkera. Wkrótce w pijanym widzie zaczął się włóczyć po hotelowych korytarzach. Ochrona odprowadziła go z powrotem do pokoju. Wczesnym popołudniem troskliwy ochroniarz zajrzał na wszelki wypadek do jego apartamentu i stwierdził, że gość z Rosji jest tak pijany, że ledwo się trzyma na nogach. Zapytał, czy potrzebuje pomocy, ale Lesin objął go ramieniem i wybełkotał: „niet".

O ósmej wieczorem inny ochroniarz wsunął głowę przez drzwi i zobaczył, że Lesin leży na podłodze. Oddychał, ale był nieprzytomny. Rano jeden z recepcjonistów wszedł do apartamentu, by powiedzieć kłopotliwemu gościowi, że pora się wymeldować. Lesin leżał twarzą w dół pośród walających się po podłodze pustych butelek. Teraz już nie oddychał.

Urzędnicy Departamentu Sprawiedliwości musieli pogodzić się z myślą, że architekt globalnego imperium medialnego Putina nic

już im nie powie. Zginął od ciosów tępym narzędziem w głowę. Ślady pobicia widniały również na szyi, tułowiu, ramionach i nogach denata. Lekarz sądowy stwierdził, że ma pękniętą kość gnykową – obrażenie, które zwykle powstaje w wyniku uduszenia.

W śledztwo włączyło się FBI, ale po jedenastu miesiącach dochodzenia prokurator federalny podjął decyzję, która zdumiała zaangażowanych w sprawę agentów: uznał, że Lesin zmarł wskutek nieszczęśliwego wypadku. Car rosyjskich mediów sam zatłukł się na śmierć, wielokrotnie upadając na podłogę „po wielodniowym spożywaniu dużych ilości alkoholu". Sprawa została zamknięta.

Niezadowoleni agenci FBI, którzy wiedzieli, co się znajduje w aktach umorzonego śledztwa, szeptali o tuszowaniu faktów. Władze utajniły dowody obejmujące nagrania z monitoringu i zeznania świadków, a także przeszło sto pięćdziesiąt stron materiałów zgromadzonych przez wielką ławę przysięgłych (*grand jury*), która obradowała za zamkniętymi drzwiami. Co gorsza, agenci wiedzieli, że FBI posiadało tajny raport zawierający ściśle poufne dane wywiadowcze z Moskwy, które wprost zaprzeczały oficjalnej wersji.

Raport przygotował Christopher Steele, były szef rosyjskiej sekcji MI6, obecnie kierujący prywatną agencją wywiadowczą, która często wykonywała zlecenia FBI. Steele zasłynie później jako autor raportu o ingerowaniu Rosji w amerykańską kampanię wyborczą, w którym oskarżył Kreml o „urabianie i aktywne wspieranie kandydatury" Trumpa. W czasach kariery na najwyższych szczeblach brytyjskiego wywiadu miał do czynienia z rosyjskim programem likwidowania wrogów poza granicami FR i naprawdę dużo o nim wiedział. Skontaktował się ze swoimi źródłami w kręgach władzy Rosji i uzyskane od nich informacje na temat makabrycznego końca Lesina przekazał FBI.

Według raportu Steele'a Lesina załatwili agenci rosyjskich służb bezpieczeństwa dorabiający sobie na boku u zaprzyjaźnionego z Putinem oligarchy, któremu król mediów nadepnął kiedyś na odcisk. Mieli go nastraszyć, nie zabić, ale trochę ich poniosło. To się zgadzało z plotkami, które amerykańscy szpiedzy przywieźli z Moskwy. Słyszeli, że były szef propagandy Putina został pobity na

śmierć kijem bejsbolowym przez zbirów tego samego oligarchy, którego nazwisko figurowało w raporcie Steele'a.

Amerykanie przestraszyli się, że plaga rosyjskich skrytobójstw dotarła w końcu do ich kraju. Jeden z wysokich funkcjonariuszy amerykańskiego aparatu bezpieczeństwa w prywatnej rozmowie wyraził obawę, że Kreml zaczął „robić w Stanach to, co od dawna regularnie robi w Londynie".

W tym czasie stosunki Wschodu z Zachodem były najgorsze od czasów zimnej wojny. Rok przed śmiercią Lesina moskiewscy hakerzy dokonali pierwszego cyberataku na Stany Zjednoczone, łamiąc zabezpieczenia systemów komputerowych Białego Domu i Departamentu Stanu. We wrześniu 2015 roku Rosja rzuciła wyzwanie Ameryce i jej sojusznikom, decydując się na szeroko zakrojoną interwencję militarną w Syrii po stronie Baszszara al-Asada, który krwawo tłumił rebelię swoich prozachodnich przeciwników.

Mimo to podsycanie konfliktu z Moskwą nie wydawało się bezpiecznym rozwiązaniem. W tym samym roku bowiem Iran zgodził się wreszcie podpisać długofalowe porozumienie dotyczące kontroli swego programu nuklearnego oraz wpuścić międzynarodowych inspektorów w zamian za zdjęcie sankcji, a Rosja odegrała kluczową rolę w negocjacjach z Teheranem. Pozostało jeszcze sporo do zrobienia, by układ mógł wejść w życie, i Amerykanom zależało na współpracy z Moskwą.

W rezultacie, kiedy najgorsze obawy szpiegów z Langley w końcu się spełniły i prominentny wróg Kremla rozstał się z życiem na terenie USA, Amerykanie zrobili to samo, co od lat robili Brytyjczycy: umorzyli śledztwo.

XXI

Royal Courts of Justice, Londyn, styczeń 2016 roku

Marina Litwinienko usiadła w pierwszym rzędzie sali rozpraw numer 73. Sąsiednie miejsce zajął jej syn Anatolij, dwudziestodwuletni młodzieniec z włosami rozdzielonymi schludnym przedziałkiem i z nieskazitelnym brytyjskim akcentem. Za nimi usiedli dwaj żyjący jeszcze przyjaciele jej zmarłego męża: Julij Dubow w okularach w drucianej oprawce, nadającymi mu wygląd intelektualisty, i Achmied Zakajew we włożonej na tę okazję wspaniałej futrzanej czapie. Czekali z nadzieją na ogłoszenie werdyktu, który miał zakończyć publiczne dochodzenie w sprawie śmierci Aleksandra Litwinienki. Galeria dla publiczności pękała w szwach.

Spodziewano się, że sędzia uzna winę Ługowoja i Kowtuna, którzy zostawili wyraźne radioaktywne ślady w różnych punktach Londynu. Pytanie tylko, czy poprzestanie na tym, czy pójdzie dalej. Publiczne dochodzenie powinno być całkowicie bezstronne i nie podlegać politycznym naciskom, ale wiele z obecnych na sali osób zdążyło zwątpić w brytyjską sprawiedliwość. Czy sędzia odważy się oskarżyć bezpośrednio rosyjskie państwo? Czy też znów zastosuje typowo brytyjskie uniki?

Sir Robert Owen wszedł na salę rozpraw, zajął miejsce i skinął głową zebranym. Zanim zamknął się w gabinecie, żeby napisać wyrok, przewodniczył niezliczonym wielogodzinnym rozprawom i przegryzł się przez całe tomy poufnych materiałów. Doświadczony, siwowłosy sędzia Wysokiego Trybunału, który niedawno przeszedł w stan spoczynku, był jednym z najwybitniejszych brytyjskich prawników. Orzeczenie, które miał za chwilę odczytać, stanowiło rezultat chłodnej, drobiazgowej analizy materiału dowodowego. A mimo to Owen przystępował do odczytania wyroku z widocznym zdenerwowaniem.

– Nie ulega najmniejszej wątpliwości – zaczął wolno i wyraźnie, jakby każde słowo było miną przeciwpiechotną – że Aleksandr Litwinienko został otruty przez pana Ługowoja i pana Kowtuna.

Przez salę przeszedł szmer ulgi; wszystkie stacje telewizyjne w kraju natychmiast poinformowały o konkluzji sądu na paskach w dole ekranu. Sędzia się przygarbił, jakby zbierał siły do wygłoszenia następnego zdania.

– Doszedłem do wniosku, że jest wysoce prawdopodobne, iż pan Ługowoj otruł pana Litwinienkę na polecenie FSB – oświadczył. – Oraz że pan Kowtun również działał na polecenie FSB.

Była to przejmująca chwila. Wydawało się, że cisza na sali rozpraw trzeszczy od wyładowań elektrycznych. Sędzia Owen obciążył bezpośrednią odpowiedzialnością za zamordowanie Aleksandra Litwinienki rosyjską agencję bezpieczeństwa publicznego. Jego słowa nadawały wszystkie telewizyjne kanały informacyjne; redakcje gazet pospiesznie zrzucały wcześniejsze materiały z pierwszych stron jutrzejszych wydań. Owen, czerwony na twarzy, zrobił długą przerwę, wyprostował się i dopiero po chwili otworzył usta, żeby wygłosić następne zdanie. Tym razem posunął się dużo dalej, niż się ktokolwiek spodziewał.

– *Ponadto* doszedłem do wniosku, że operacja zabicia pana Litwinienki najprawdopodobniej została zatwierdzona przez dyrektora Federalnej Służby Bezpieczeństwa, pana Patruszewa – powiedział. – A także – dodał, pochylając nieznacznie głowę i patrząc prosto przed siebie – przez prezydenta *Putina*.

Na galerii dla publiczności rozległy się okrzyki: „Tak!”. Po latach zaprzeczeń i utajniania faktów był to niewyobrażalny przełom. Brytyjski sędzia wskazał palcem Kreml.

Owen nie ograniczył się do ustalenia przyczyny śmierci Litwinienki. Uznał, że jego rolą jest określenie prawdopodobnego motywu zabójstwa. Wysłuchał zeznań ponad sześćdziesięciu świadków, w tym osób, z którymi zmarły pracował w Wielkiej Brytanii i Rosji: funkcjonariuszy MI6; policjantów prowadzących śledztwo w sprawie jego otrucia; naukowców, którzy znaleźli ślady polonu wiodące prosto do Moskwy. Zeznania składali Achmied Zakajew, Julij Dubow, Nikołaj Głuszkow, Jurij Felsztinski. Niektórzy – jak Boris Bieriezowski i Badri Patarkaciszwili – zeznawali zza

grobu. Do postępowania sądowego włączono protokoły zeznań, które złożyli po śmierci byłego oficera FSB. Sędzia wziął również pod uwagę materiały zgromadzone przez Litwinienkę. Liczący trzysta dwadzieścia osiem stron wyrok Owena był prawdziwą bombą nafaszerowaną dowodami zbrodniczej działalności Kremla, które zmarły zebrał w ostatnich latach życia. A wszystko to opakowane w dostojny język brytyjskiego prawa.

Sędzia przedstawił teorię Litwinienki dotyczącą eksplozji w budynkach mieszkalnych w Moskwie, w których zginęło prawie trzysta osób. Napisał, że według byłego oficera rosyjskiej bezpieki „zostały zorganizowane przez FSB w celu uzasadnienia wojny w Czeczenii i, w efekcie, zwiększenia szans prezydenta Putina na reelekcję”. Zauważył, że książka, którą poświęcił tej sprawie zmarły, nie była „zwykłym traktatem politycznym”, lecz „owocem wnikliwego śledztwa”. Napisał również o podejrzeniach Litwinienki, że atak na teatr na Dubrowce był kolejną operacją FSB i że rosyjskie służby zamordowały Annę Politkowską oraz kilka innych osób szukających w Rosji dowodów na udział państwa w tych zbrodniach. Podkreślił, że Litwinienko dotarł do materiałów świadczących o „licznych powiązaniach mafii tambowskiej z oficerami KGB, w tym zarówno z Władimirem Putinem, jak i z Nikołajem Patruszewem”, w okresie gdy byli czynnymi funkcjonariuszami służby bezpieczeństwa Rosji.

Owen przyznał, że zeznania i materiały dowodowe przedstawione na publicznych rozprawach w brytyjskim sądzie stanowią „mocne poszlaki” wskazujące, że za zabójstwem Litwinienki stało rosyjskie państwo, jednak wyrok został wydany na podstawie całości materiału, w tym „znacznej ilości” tajnych danych wywiadowczych. Sędzia nie rozpatrywał zabójstwa Litwinienki jako pojedynczego zdarzenia; zauważył, że „czołowym przeciwnikom prezydenta Putina, również tym mieszkającym poza granicami Rosji, grozi, że zostaną zamordowani”. Niezwykły wyrok sędziego Owena można przeczytać w całości na stronie internetowej dochodzenia razem z protokołami rozpraw i kilkoma tysiącami stron materiałów dowodowych.

Po ogłoszeniu wyroku Marina Litwinienko stanęła na stopniach gmachu Wysokiego Trybunału z wysoko uniesioną głową.

– Oczywiście bardzo się cieszę, że angielski sąd, znany z najwyższych standardów niezależności i uczciwości, uznał prawdziwość słów, które mój mąż wypowiedział na łożu śmierci, oskarżając pana Putina – oświadczyła przed obiektywami telewizyjnych kamer.

Poinformowała, że minister spraw wewnętrznych napisał do niej, „obiecując podjęcie działań", i dodała, że „nie wyobraża sobie, by premier nic nie zrobił". To powiedziawszy, zeszła schodami na ulicę. Jej dziesięcioletnia walka o wydarcie władzom prawdy o śmierci jej męża wreszcie się zakończyła.

Jednak Theresa May, przemawiając w Izbie Gmin, szybko rozwiała nadzieje na pociągnięcie Rosji do odpowiedzialności. Minister spraw wewnętrznych potępiła zabójstwo Litwinienki jako „rażące, niedopuszczalne pogwałcenie prawa międzynarodowego", a następnie wyjaśniła posłom, że drażnienie Putina, w momencie gdy Zachód potrzebuje jego pomocy w zażegnaniu konfliktu w Syrii i rozwiązaniu problemu ISIS, nie leży w interesie Wielkiej Brytanii. Na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos David Cameron, zapytany o to, jakie działania zamierza podjąć w stosunku do Rosji po wyroku sir Roberta Owena, odpowiedział w podobnym tonie.

– Czy musimy utrzymywać z nimi relacje, bo trzeba rozwiązać kryzys w Syrii? Tak, musimy – stwierdził premier Wielkiej Brytanii. – Ale będziemy to robić z otwartymi oczyma i chłodnym sercem.

Rosja przyjęła wynik dochodzenia z nieskrywaną pogardą.

– To wszystko od początku miało jeden cel: oczernić Rosję i oczernić przedstawicieli rosyjskich władz – oświadczyła rzeczniczka Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ostrzegając, że orzeczenie Owena „położy się cieniem na naszych dwustronnych relacjach".

Ługowoj skomentował werdykt w swój zwykły, obelżywy sposób, nazywając go „żałosną próbą wykorzystania przez Londyn «szkieletu w szafie» do realizowania politycznych ambicji", a rzecznik Putina wykpił ustalenia sędziego jako przykład „subtelnego brytyjskiego poczucia humoru".

Ostatecznie rząd Zjednoczonego Królestwa zdecydował się na symboliczny gest zamrożenia środków na brytyjskich kontach Ługowoja i Kowtuna, chociaż nie było pewności, że takowe istnieją.

Z punktu widzenia Wielkiej Brytanii załatwiało to sprawę. Liczące tysiące stron materiały zgromadzone przez Litwinienkę trafiły do National Archives, policyjne akta powędrowały do archiwum Scotland Yardu, a śledczy i naukowcy, których ustalenia stały się podstawą rewolucyjnego wyroku, wrócili do swoich codziennych zadań. Ale Rosja nie zapomniała.

Rosja, luty 2016 roku

Przez kilkadziesiąt lat zakład atomowy Majak był tak tajny, że nie figurował nawet na mapach. W ukrytym w uralskiej puszczy obiekcie, otoczonym zamkniętą strefą o promieniu 250 kilometrów, w najgłębszej tajemnicy prowadzono badania jądrowe. Tutaj narodziła się radziecka bomba atomowa, okupiona serią katastrof nuklearnych, o których Rosjanie dowiedzieli się dopiero po upadku Związku Radzieckiego. Na początku 2016 roku jedno z najbardziej skażonych miejsc na świecie, nazywane przez niektórych „cmentarzem planety", uzyskało kolejny tytuł do złej sławy.

Reaktor zakładu atomowego Majak pojawił się w materiałach dowodowych zgromadzonych przez sędziego Owena jako przypuszczalne źródło polonu, którym otruto Aleksandra Litwinienkę. Do takiego wniosku doprowadziły między innymi pomiary wykonane przez szanowanego naukowca, doktora Matthew Punchera, członka zespołu specjalistów resortu zdrowia publicznego, którzy analizowali wyniki badań otrutego eksszpiega. Zadanie Punchera polegało na precyzyjnym określeniu ilości polonu, który trafił do organizmu denata. Ustalenia uczonego miały szokujące implikacje. Zmarły przyjął dawkę dwadzieścia sześć razy większą od śmiertelnej, a na całej planecie istniało tylko jedno miejsce, z którego mogła pochodzić taka ilość rzadkiego izotopu: reaktor w państwowym zakładzie atomowym Majak.

W 2006 roku Puncher był skromnym, trzydziestokilkuletnim naukowcem z wąską specjalizacją. Nie miał pojęcia, że jego obliczenia obciążą Władimira Putina odpowiedzialnością za szokujące morderstwo. Niemal dziesięć lat później i zaledwie miesiąc po zakończeniu publicznego dochodzenia w sprawie śmierci

Litwinienki po raz kolejny wybrał się do Rosji, by dokończyć ważny projekt badania poziomu promieniowania w osławionej strefie skażenia radioaktywnego wokół tego samego obiektu w górach Uralu, produkującego polon-210 na potrzeby Kremla.

Puncher już wcześniej jeździł kilkakrotnie do Rosji. Jego zespół stworzył oprogramowanie systemu mierzącego poziom promieniowania w Majaku. Podczas tych wizyt Anglicy zauważyli coś niepokojącego. Byli śledzeni, sądzili też, że ktoś podsłuchuje ich rozmowy telefoniczne. Podejrzewali, że są pilnowani przez ludzi z FSB. Ale w czasie przedostatniej wizyty na Uralu w grudniu poprzedniego roku Puncherowi przydarzyło się coś jeszcze.

Czterdziestosześcioletni naukowiec wrócił z wyprawy badawczej całkowicie odmieniony. Urodzony optymista niespodziewanie popadł w głęboką depresję, której przyczyn nikt nie potrafił zrozumieć. Całkowicie stracił zainteresowanie własnymi dziećmi. Żona musiała go błagać, żeby wstał z łóżka i się umył.

Był jednak zdecydowany doprowadzić projekt do końca, więc w lutym zebrał siły i po raz ostatni wyruszył do Rosji. Koledzy, którzy pojechali razem z nim, sądzili, że wszystko poszło jak należy. Jednak Puncher wrócił do domu w stanie przeraźliwej rozpaczy. Rodzinie i współpracownikom powiedział, że popełnił poważny „błąd" w obliczeniach do Projektu 2.4 i boi się, że może trafić za to do więzienia.

Współpracownicy Punchera nie wiedzieli, co o tym sądzić. „Błąd kodowania", który jak twierdził, popełnił, wydawał się zupełnie nieistotny. Na ile byli się w stanie zorientować, po prostu doszedł trochę inną drogą do tego samego wyniku i nie miało to żadnego wpływu na rezultat pomiarów. Kolega z zespołu, George Etherington, zapewniał Punchera, że jego obawy przed odpowiedzialnością karną są „bezpodstawne" i że „za jakiś czas sam będzie się dziwił, że tak się tym przejmował". Ale Puncher był niepocieszony. Tak rozpaczał z powodu tajemniczego błędu, że matka zapytała go, czy ktoś może z tego powodu zginąć.

Syn zapewnił ją, że nie ma takiego ryzyka.

Oxfordshire, Anglia, maj 2016 roku

Policjanci weszli do budynku z czerwonej cegły i znaleźli na podłodze w kuchni zwłoki naukowca. Dookoła było pełno krwi z ran na szyi, rękach i brzuchu. Nie stwierdzono śladów walki, meble stały na swoich miejscach. W martwej dłoni doktora Punchera tkwił duży kuchenny nóż. Drugi, mniejszy, leżał w zlewie.

Detektyw z lokalnego oddziału dochodzeniowo-śledczego, Rachel Carter, która przeprowadziła oględziny kuchni, zauważyła, że był to „niecodzienny" widok. Rzadko zdarzało jej się oglądać tyle krwi i tak rozległe rany kłute. Ale żona Punchera powiedziała policji, że śmierć jej męża jest makabrycznie logiczna. Zamartwiał się swoją pracą tak bardzo, że nie był w stanie normalnie funkcjonować, i tydzień wcześniej próbował powiesić się na kablu od komputera. Pomimo roli Punchera w wyjaśnieniu zabójstwa Litwinienki i jego częstych podróży do Rosji detektywi uznali, że nie mają dalszych pytań. Według policji doktor sam sobie zadał liczne, głębokie rany kłute i cięte dwoma różnymi nożami, po czym się wykrwawił. Śledztwo zostało zamknięte.

Na rozprawie u koronera detektyw Carter zeznała, że rany były „tak rozległe" i denat stracił tyle krwi, że w pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że sam siebie zaatakował dwoma nożami.

– Na początku mnie to niepokoiło – powiedziała koronerowi. – Nie rozumiałam, jak zdołał zadać sobie tyle ran, nie tracąc przytomności.

Ale ostatecznie teoria samobójstwa ją „przekonała".

– Wszyscy mówili, że był w głębokiej depresji.

Samobójstwa poprzez zadźganie się są niezwykle rzadkie. Jednak urzędowy anatomopatolog, doktor Nicholas Hunt, zastrzegając, że nie można „całkowicie wykluczyć" morderstwa, uznał za „możliwe", że Puncher sam zadał sobie taką liczbę ran, nie tracąc przytomności. Hunt zeznał, że drobne rany na dłoniach mogą wskazywać, że się bronił „przed atakiem nożownika", ale mogły również powstać, kiedy „mokry od krwi" nóż wyślizgnął się Puncherowi z dłoni.

Wdowa powiedziała koronerowi, że po powrocie z Rosji jej mąż „kompletnie się zmienił". Urodzony optymista, który uwielbiał gotować i pomagać dzieciom w odrabianiu lekcji, nagle „zupełnie stracił zainteresowanie".

Również współpracownicy Punchera nie umieli zrozumieć jego nagłej przemiany. Zwierzchnik naukowca z rządowej agencji Public Health England zeznał, że nie miał najmniejszego powodu wątpić w jakość jego pracy. Nigdy nie udało się wyjaśnić, co się wydarzyło w Rosji. Przyczyna katuszy psychicznych Punchera również pozostała tajemnicą. Mimo to koroner Nicholas Graham zgodził się z policją i orzekł śmierć w wyniku samobójstwa.

Już po zamknięciu policyjnego śledztwa amerykańskie agencje wywiadowcze przekazały MI6 informacje, z których wynikało, że Puncher mógł być kolejną ofiarą eskalacji rosyjskiej kampanii skrytobójstw. Niewykluczone, że Rosjanie doprowadzili naukowca do samobójstwa. Ale według oceny Amerykanów było to raczej morderstwo.

– Z naszych informacji wynika, że na przestrzeni ostatnich dwóch lat Kreml agresywnie nasilił kampanię likwidowania i uciszania swoich wrogów – zauważył przedstawiciel amerykańskich służb po znalezieniu zwłok Punchera. – Zwłaszcza w Wielkiej Brytanii.

Kiedy koroner wydał werdykt, Rosjanie dopilnowali, by nikomu nie umknęły polityczne konotacje śmierci Punchera. Państwowa telewizja Pierwyj Kanał poświęciła tej sprawie specjalny program. Dziennikarz prowadzący stwierdził, że było to „bardzo dziwne samobójstwo”, i postawił pytanie: „Czego bał się Matthew Puncher?”.

– Czyżby się pomylił w przypadku Litwinienki? – zasugerował. – Według brytyjskich władz te dwie sprawy nie mają żadnego związku.

Londyn, marzec 2018 roku

Ostatnim rosyjskim dysydentem, który zmarł na wygnaniu w Wielkiej Brytanii, był Nikołaj Głuszkow. Od śmierci Bieriezowskiego dawny dyrektor Aerofłotu prowadził skromne życie. Starzał się w obskurnym szeregowcu na obrzeżach południowo-zachodniego Londynu razem ze zniedołężniałym psem i kotem o imieniu Braveheart. Miał sześćdziesiąt cztery lata i chorobę krwi, która poważnie odbiła się na jego zdrowiu podczas

odsiadki w więzieniu Lefortowo. Chodził o lasce, ale miał jeszcze jedną bitwę do stoczenia.

Aerofłot oskarżył Głuszkowa przed Wysokim Trybunałem w Londynie o zdefraudowanie stu dwudziestu milionów dolarów. Zubożałego emigranta nie stać było na adwokata i musiał osobiście wystąpić w sądzie. Obłożony książkami z dziedziny prawa i księgowości przygotowywał swoją obronę, mówiąc wszystkim, że teraz ostatecznie oczyści się z zarzutów i udowodni to, co twierdził od samego początku: że Aerofłot przez wiele lat służył za przykrywkę rosyjskim szpiegom na całym świecie. Zdawał sobie jednak sprawę, że grozi mu niebezpieczeństwo.

Po śmierci Bieriezowskiego Głuszkow powiedział dziennikarzowi „The Guardian", że Putin po kolei skreśla nazwiska z czarnej listy swoich wrogów w Wielkiej Brytanii, i dodał posępnie: „Zdaje się, że już tylko ja na niej zostałem". Dziewięć miesięcy później stracił przytomność po wypiciu kieliszka szampana w towarzystwie dwóch innych Rosjan w hotelowym barze w Bristolu. Kiedy ją odzyskał, powiedział ratownikom medycznym, że został otruty. Był zdecydowany za wszelką cenę dożyć do procesu, na którym zamierzał przemaglować kilka szych rosyjskiego wywiadu na temat ich powiązań z Aerofłotem, ale – jak wyznał swoim przyjaciołom – obawiał się, że jego dni są policzone.

Wstępna rozprawa miała się odbyć rano pewnego marcowego dnia w 2018 roku, ale pozwany nie stawił się w sądzie.

– Spodziewałem się spotkać tu pana Głuszkowa, ale widzę, że go nie ma – powiedział sędziemu prawnik Aerofłotu.

Woźny sądowy wyszedł na korytarz i wywołał nazwisko Głuszkowa, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Kiedy córka Głuszkowa pojechała do jego domu, by sprawdzić, co się dzieje, znalazła zwłoki ojca. Został uduszony smyczą własnego psa.

Rosyjskie media przedstawiły śmierć dysydenta jako nieszczęśliwy wypadek podczas gejowskiej schadzki, a państwowe radio dało do zrozumienia, że były dyrektor Aerofłotu chorował na AIDS. Jednak brytyjskie władze tym razem nie sugerowały, że jego śmierć była skutkiem sprośnych igraszek albo samobójstwem.

Wieczorem w dniu znalezienia zwłok Głuszkowa kilkudziesięciu antyterrorystów otoczyło kordonem jego dom; w ogródku stanęły policyjne namioty. Scotland Yard szybko potwierdził, że śmierć nastąpiła wskutek ucisku na szyję – nie rozstrzygając, czy został uduszony rękami czy smyczą – i oświadczył, że „ze względu na powiązania, które jak sądzimy, miał pan Głuszkow", śledztwo przejmuje wydział do walki z terroryzmem. Nieco później władze upubliczniły nagranie, na którym widać czarną furgonetkę uchwyconą przez kamery monitoringu w pobliżu domu denata w noc jego śmierci, i poprosiły, żeby każdy, kto ma jakiekolwiek informacje, zgłosił się z nimi na policję.

Proaktywna postawa policji po odkryciu ciała Głuszkowa ostro kontrastowała z upartym odmawianiem podjęcia śledztwa, kiedy w poprzednich latach umierali jego przyjaciele. Ale w marcu 2018 roku świat dramatycznie się zmienił.

Zwłoki Głuszkowa ze smyczą na szyi znaleziono tydzień po ataku bronią chemiczną na ulicach Salisbury, który zmusił wreszcie brytyjski rząd do zdecydowanej reakcji. Dlatego władze uznały kolejny ponury zgon rosyjskiego dysydenta za to, czym był w istocie – czyli za egzekucję wroga Kremla na obszarze Wielkiej Brytanii.

Atak z użyciem nowiczoka na Siergieja i Julię Skripalów w deszczową niedzielę w Salisbury zwieńczył całą serię coraz bardziej wrogich posunięć Kremla. Policyjne państwo Putina ułatwiło Trumpowi drogę do Białego Domu, ingerując w amerykański proces wyborczy w 2016 roku. Rosyjskie cyberlaboratoria, fabryki trolli i farmy fake newsów siały niezgodę, pogłębiały podziały i szerzyły dezinformację w całej Europie. Finansując skrajne ugrupowania, Rosja podsycała nienawiść rasową i przemoc w różnych miejscach globu. Wsparła nieudany przewrót w ubiegającej się o przyjęcie do NATO Czarnogórze i nękała cyberatakami zachodnie rządy. I choć Zachód usilnie zabiegał o jej pomoc w zakończeniu wojny w Syrii, Rosja nadal wspierała reżim Baszszara al-Asada walczący z prozachodnimi rebeliantami i mordujący własnych obywateli przy użyciu zakazanej międzynarodową konwencją broni chemicznej.

Przywódcy Stanów Zjednoczonych i Europy przymykali oczy na zbrodnie Kremla, dopóki nie poczuli gorącego oddechu Putina na własnych karkach. Działania prezydenta Federacji Rosyjskiej stały się *de facto* asymetryczną wojną z Zachodem. Za tą zbiorową ślepotą kryły się wielkie nadzieje: że uda się nakłonić Rosję, by dołączyła do postzimnowojennego liberalnego świata; że zechce się podzielić swoimi bogatymi złożami ropy naftowej i gazu ziemnego; że stały napływ rosyjskich pieniędzy wzmocni dotknięte recesją zachodnie gospodarki. A także nadzieja, że Putin pomoże rozwiązać niektóre z najtrudniejszych globalnych problemów, jak plaga islamskiego terroryzmu, nuklearne ambicje Iranu i Korei Północnej, wojna domowa w Syrii. Dziś jednak, zresztą nie po raz pierwszy w historii, Zachód otwiera oczy i zaczyna sobie uświadamiać, że zapłacił zbyt wysoką cenę za iluzoryczną przychylność Putina.

Kiedy atak zabójczym nowiczokiem naraził zdrowie i życie kilkuset brytyjskich obywateli, a Rosja zbyła zarzuty kilkoma bezczelnymi uwagami, trzeba było wreszcie przyjąć do wiadomości, że kampania sponsorowanych przez Moskwę skrytobójstw wymknęła się spod kontroli. Nałożenie sankcji na Rosję nie zatrzymało rozlewu krwi, a wydalanie rosyjskich dyplomatów zdawało się przynosić skutek odwrotny do zamierzonego. Więc jak powstrzymać Putina, nie posuwając się do otwartej wojny?

To właśnie pytanie odbijało się echem w westminsterskich korytarzach po ataku na Skripalów, ale nikt nie znał dobrej odpowiedzi. Lista takich pytań, z którymi borykał się rząd, stale się wydłużała. Po zamachu w Salisbury opinia publiczna zaczęła się głośno domagać wyjaśnienia podejrzanych zgonów imigrantów z Rosji.

W ubiegłym roku dziennikarze śledczy, pracujący dla BuzzFeed News po obu stronach Atlantyku, opublikowali serię artykułów, w których zdemaskowali kampanię skrytobójstw prowadzoną przez Rosję na Zachodzie. Opisali czternaście podejrzanych zgonów w Zjednoczonym Królestwie, w tym Borisa Bieriezowskiego, jego bliskich przyjaciół i ich brytyjskich fikserów, a także śmierć Michaiła Lesina w USA. Ujawnili, że amerykańskie agencje wywiadowcze przekazywały brytyjskim partnerom informacje wskazujące, że tropy prowadzą do Moskwy, ale brytyjskie władze

nieodmiennie zamykały dochodzenie i utajniały materiały ze śledztwa.

Po ataku na Skripalów wielu brytyjskich polityków przyjęło jastrzębi kurs i zaczęło się domagać, by rząd podjął zdecydowane działania w celu wyjaśnienia podejrzanych zgonów. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ugięło się pod presją i zapowiedziało, że rząd, we współpracy z policją i MI5, zbada wszystkie czternaście przypadków.

W archiwach Scotland Yardu i na wiejskich posterunkach akta spraw zdążyły porosnąć kurzem. Niektóre z nich, jak choćby te dotyczące śmierci prawników Bieriezowskiego, Stephena Mossa i Stephena Curtisa w 2003 i 2004 roku, przeleżały nieczytane ponad dziesięć lat. W wielu przypadkach, na przykład rzekomego samobójstwa Scota Younga, zgromadzono bardzo niewiele materiałów dowodowych. Policja nie szukała świadków; nie zabezpieczyła nagrań z monitoringu; nie przeprowadziła kryminalistycznych oględzin miejsca zdarzenia. Detektywi, którym po tylu latach zlecono przejrzenie akt i ponowne przeprowadzenie śledztwa, stanęli przed naprawdę trudnym zadaniem. Nie było też do końca jasne, co ma wyniknąć z ich pracy. Jaki sens ma odgrzebywanie starych trupów, skoro sprawcy i tak są poza zasięgiem, tysiące kilometrów od Anglii?

Pół roku po rozpoczęcia publicznego dochodzenia władze po cichu, niczego nie wyjaśniając, zamknęły wszystkie czternaście spraw. Na posiedzeniu parlamentarnej Komisji Spraw Wewnętrznych szef resortu potwierdził, że Scotland Yard po przejrzeniu dostępnych materiałów uznał, iż „nie ma podstaw” do kontynuowania śledztwa. I jak zwykle nie podał powodów decyzji.

Według pisemnej informacji rząd przedstawił powody niekomentowania publicznie decyzji o zamknięciu śledztw dwóm członkom parlamentu, przewodniczącemu Komisji Spraw Wewnętrznych i szefowi parlamentarnej Komisji Nadzoru Służb Bezpieczeństwa i Wywiadu. Spotkanie odbyło się na specjalnych zasadach – w tajemnicy i po podpisaniu klauzuli poufności – i przedstawiono na nim ściśle tajne materiały. Jednocześnie minister spraw wewnętrznych uzyskał sądowy nakaz wyłączenia rezultatów ponownego śledztwa z postępowania koronera w sprawie śmierci

Aleksandra Pieriepielicznego, które sześć lat po zdarzeniu wciąż tkwiło w urzędowym impasie. Trzy miesiące później, wobec braku „bezpośrednich dowodów, że popełniono morderstwo”, koroner orzekł, że finansista zmarł z przyczyn naturalnych.

Jednak było coś, co rząd Wielkiej Brytanii zdecydował się publicznie przyznać. Kiedy okazało się, że zamachu na Skripalów dokonało dwóch czynnych oficerów rosyjskiego wywiadu, Theresa May obiecała, że odpowie ciosem za cios za pomocą „całego arsenału środków państwowego aparatu bezpieczeństwa”, i w ostrych słowach oskarżyła Rosję o „mataczenie i kłamstwa” w sprawie wydarzeń w Salisbury.

– Próby ukrycia prawdy – grzmiała premier Wielkiej Brytanii, przemawiając w Izbie Gmin – jedynie potwierdzają ich winę.

Wypowiadanie takich słów stało się łatwe. Brytyjski rząd potrafi wreszcie głośno mówić o odpowiedzialności Kremla, ale prawdę o swojej roli w tych wydarzeniach zagrzebał w tajnych archiwach.

Podziękowania

Ta historia nigdy nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie fenomenalna praca moich kolegów z BuzzFeed News. Tom Warren, Richard Holmes, Jane Bradley, Alex Campbell i Jason Leopold – współpraca z Wami, moi bohaterzy, była największą przygodą mojego zawodowego życia. Dziękuję Wam za każdą wspólną sekundę. Mark Schoofs kierował nami, z alchemiczną precyzją łącząc wizjonerstwo z dyscypliną i na każdym zakręcie zachęcając, żebyśmy mierzyli jeszcze wyżej. Bez jego natchnionego nadzoru nasze śledztwo nigdy nie przyniosłoby takich efektów. Szczególne podziękowania dla Alexa i Marka za olśniewającą redakcję rękopisu i dla Toma za skrupulatne sprawdzanie faktów. Wiele zawdzięczam geniuszowi Ariela Kaminera, łącznie z tytułem tej książki. Elior Stempf dbał o nasze bezpieczeństwo, kiedy stąpaliśmy po zdradliwym gruncie, i nigdy nie zdołamy mu się za to odwdzięczyć. Jestem bezgranicznie wdzięczna Benowi Smithowi, który uczynił z BuzzFeed News cudowne, inspirujące miejsce, w którym można się porwać na naprawdę zuchwałe śledztwa.

Dziękuję mojej agentce Bridget Matzie za to, że dostrzegła w naszych raportach potencjał na książkę, i za entuzjastyczne i jednocześnie fachowe wsparcie; dziękuję mojemu redaktorowi z Little Brown Philowi Marino za kapitalne sugestie dotyczące konstrukcji opowieści; i Barbarze Clark za najbardziej wnikliwą adiustację, jaką kiedykolwiek widziałam.

Jestem pełna wdzięczności i podziwu dla naszych źródeł, które odważyły się podjąć ryzyko i przemówić i dostarczyły nam materiały stanowiące fundament tej opowieści.

Dziękuję mojej najdroższej, niewiarygodnej mamie, sokolookiej Libby Blake, która wnikliwie czytała spływający z klawiatury rękopis i która zawsze pozostanie dla mnie wzorem odwagi, siły i uczciwości.

I wreszcie, z głębi serca, z miłością, dziękuję Duncanowi Piper-Bake'owi – mojemu pierwszemu i ostatniemu czytelnikowi – za jego

cudowną werandę, za magię, którą wnosi w moje życie, i za wszystkie przygody, które nas jeszcze czekają.

Bibliografia

Dawisha, Karen, *Putin's Kleptocracy*, New York 2014.

Gessen, Masha, *Putin: człowiek bez twarzy*, przeł. Julia Szajkowska, Magda Witkowska, Warszawa 2012.

Goldfarb, Alex, Marina Litwinienko, *Śmierć dysydenta: dlaczego zginął Aleksander Litwinienko*, przeł. Władysław Jeżewski, Warszawa 2007.

Harding, Luke, *A Very Expensive Poison*, London 2016.

Hayman, Andy, Margaret Gilmore, *The Terrorist Hunters*, London 2009.

Hollingsworth, Mark, Stewart Lansley, *Londyn nowych Ruskich: od Berezowskiego do Deripaski*, przeł. Katarzyna Iwańska, Agata Trzcińska-Hildebrandt, Marta Komorowska, Warszawa 2014.

Knight, Amy, *Orders to Kill*, New York 2017.

Litwinienko, Aleksander, Jurij Felsztinski, *Wysadzić Rosję*, przeł. Maciej Szymański, Poznań 2015.

Lucas, Edward, *Podstęp: o szpiegach, kłamstwach i o tym, jak Rosja kiwa Zachód*, przeł. Mariusz Kukliński, Warszawa 2014.

Myers, Steven Lee, *Nowy car: wczesne lata i rządy Władimira Putina*, przeł. Maciej Potulny, Katowice 2016.

Ostrowsky, Arkadij, *Rosja – wielkie zmyślenie: od wolności Gorbaczowa do wojny Putina*, przeł. Maria Zawadzka, Warszawa 2018.

[1] Od angielskiego *fixer* (dosł. naprawiacz) – osoba, która załatwia sprawy dla kogoś innego. Słowem tym określa się zwłaszcza osobę działającą nieuczciwie lub nielegalnie [przyp. red.].

[2] Wydanie polskie: Borys Jelcyn, *Notatki prezydenta (od puczu do puczu)*, przeł. M. Kotowska, Warszawa 1995.

[3] Znaczna część tych materiałów została później udostępniona prowadzącym śledztwo w sprawie śmierci Litwinienki i opublikowana na stronie litvinenkoinquiry.org. Zarówno Putin, jak i Iwanow konsekwentnie zaprzeczają, że mieli jakiekolwiek związki z przestępczością zorganizowaną.

[4] River House – siedziba brytyjskich służb specjalnych na brzegu Tamizy [przyp. tłum.].

[5] Zapis rozmowy telefonicznej Billa Clintona z Tonym Blairem opublikowała w 2016 roku Prezydencka Biblioteka Billa Clintona.

[6] Fomiczew oświadczył, że nigdy nie znał mera Łużkowa, niczego z nim nie załatwiał i nie ma żadnych powiązań z rosyjskimi służbami specjalnymi. „Nigdy nie miałem *kryszy*, nigdy nie robiłem z nikim żadnych interesów ani nikogo nie przekupiłem”, powiedział, podkreślając stanowczo, że: „Projekt Moskwa był najczystszym przedsięwzięciem biznesowym, jakie można wyobrazić sobie w Rosji”. Zaprzeczył, że Bieriezowski zainwestował w projekt swoje pieniądze, a kiedy pokazano mu dowody na papierze, stwierdził, że jest „wstrząśnięty”. „Pierwsze słyszę”, oświadczył. „Nie zamierzałem realizować Projektu Moskwa przy udziale Bieriezowskiego”.

[7] Łużkow zdecydowanie odrzucił zarzuty o przyjmowanie łapówek. Jego prawnicy oświadczyli listownie, że mer nigdy nie spotkał Younga, nie miał nic wspólnego z Projektem Moskwa i nie przyjął żadnych pieniędzy za protekcję. Podkreślili też, że nigdy nie wydałby zgody na jakiekolwiek przedsięwzięcie, w które byłby zaangażowany Bieriezowski.

[8] Jekatierina Bieriezowska odmówiła komentarza, ale zbliżone do niej źródła twierdzą, że nie miała pojęcia, iż jej nazwisko zostało użyte do uzyskania i zainwestowania kapitału, i że nie sądziła, by jej ojciec zdecydował się na inwestowanie jakimikolwiek kanałami w Rosji, „ponieważ postawiłby w ten sposób siebie i współinwestorów w sytuacji zagrożenia”.

[9] Fomiczew oświadczył, że nigdy nie rozmawiał o swoim projekcie z merem Moskwy i że nie przypomina sobie takiego mejla, chociaż mógł go napisać, aby „przycisnąć Scota”, by wpłacił pieniądze.

[10] Ostatecznie przeciwko nikomu nie wniesiono oskarżenia.

[11] Prawdopodobnie na czarnej liście Moskwy był też Umar Israiłow, były ochroniarz prokremlowskiego prezydenta Czeczenii Ramzana Kadyrowa. Israiłow uciekł do Austrii i wniósł skargę przeciwko swojemu bossowi do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Oskarżył go o współudział w torturach, gwałtach

i morderstwach. W 2009 roku Israiłow został zastrzelony na wiedeńskiej ulicy, przed blokiem, w którym mieszkał z ciężarną żoną i trojgiem dzieci.

[12] Nazwa pochodziła od restauracji Lazania, mieszczącej się w Moskwie przy ulicy Piatnickiej, gdzie mafia miała siedzibę [przyp. red.].

Przekład: Hanna Pustuła-Lewicka

Redaktorki inicjujące: Elżbieta Kalinowska, Dorota Nowak
Redaktorka prowadząca: Ida Świerkocka

Redakcja: Anna Landowska
Korekta: Joanna Rodkiewicz, Anna Dworak

Projekt okładki: Joanna Strękowska
Zdjęcie wykorzystane na okładce: © Antonio Masiello/Getty Images

Projekt typograficzny i łamanie: TYPO – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-8863-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

virtualo